

Stefan Chwin

Panna Ferbelin



WYDAWNICTWO
TYTUŁ



Stepan Chwin

Stefan Chwin

Panna Ferbelin



WYDAWNICTWO
TYTUŁ

Siedem urzędzeń drewnianych

We czwartek – Maria dobrze zapamiętała ten dzień – odwiedził ojca Albert Fritz, właściciel stolarni na Ahornweg. „Słyszał pan? – wyjął z kieszeni kamizelki zegarek i popatrzył na godzinę; była już piąta. – Podobno będą potrzebowali sporo krzyży. Nigdy nie potrzebowali aż tyle”. – Ojciec odłożył dłuto na parapet i otarł dłonie z drzewnego pyłu: – „Naprawdę nie ma lepszych wiadomości, panie Fritz?” – ale Albert Fritz tylko pokręcił głową: – „To jest wiadomość, panie Ferbelin, w połowie dobra, w połowie zła”.

Wszyscy wiedzieli, że są w mieście ludzie, którzy chcą, żeby Gdańsk nie był ani polski, ani niemiecki. Od paru tygodni ktoś rozrzucał na dworcu ulotki z żądaniami, by miasto było wolnym miastem, na co stolica nie mogła, rzecz jasna, pozwolić. Bo przecież – Albert Fritz zaperzał się, gdy mówił o tym w restauracji Jensena na Długim Pobrzeżu, gdzie Maria czasem pomagała pannie Horstmayer – cóż to by się stało, gdyby jakaś Alzacja, Lotaryngia, Wandea, Górny Tyrol, Kraj Basków czy Katalonia ot tak sobie, po prostu, któregoś dnia ogłosiła niepodległość? Żadne, nawet najpotężniejsze państwo, nie może tolerować czegoś podobnego, a cóż dopiero – Albert Fritz podnosił głos – nasze cesar-

stwo, którego niepodzielnej całości należy strzec jak źrenicy oka.

Ale teraz nastały czasy niedobre dla wszystkich, którzy chcieli pracować w spokoju. Kiedyś handlarze z Rotterdamu i Leydy zamawiali w warsztatach na wyspie Holm, w stolarniach Górnego Langfuhr i tartakach na Zigankenbergu deski, belki i gonty z sosen, buków i jesionów, które ścinano w lasach koło Kartuz i Estherhof. Ze Sztokholmu, Königsbergu i Tallina szły zamówienia na szafy, stoły, skrzynie, krzesła i kufry z żelaznymi okuciami, którymi można było ozdobić każdy kantor zbożowy, a nawet najwytworniejsze mieszkanie szwedzkiego, estońskiego czy niemieckiego armatora. Port był pełen statków kompanii Lloyda, na które ładowano ciężkie skrzynie owinięte w czarną ceratę i grube płótno. Nikt nie miał powodów do narzekań. Ale teraz? Teraz – Albert Fritz nie krył swej irytacji – stolarnie w Langfuhr – prawdziwy wstyd! – zabiegały o najgłupsze nawet zamówienia na drewniane stolki, kołyski, proste półki do kuchni, a nawet drewniane łyżki, wyrывая sobie z rąk klientów, którzy – rozbestwieni niskimi cenami – przebierali w ofertach jak w ulęgałkach.

Słowa „zamówienia rządowe” brzmiały jak magiczne zaklęcie. Maria usłyszała je któregoś dnia w salach giełdy, gdzie zaszła, by przekazać radcy Benecke pilną wiadomość od ojca, że zbankrutował sam Silberstein, właściciel siedmiu warsztatów w Dolnym Mieście, co uderzało we wszystkich dostawców. Któż nie marzył o zamówieniach rządowych. Więc kiedy Albert Fritz spojrział na zegarek – była piąta i słońce czerwoną tarczą dotknęło już czarnej linii lasów za Brentau – ojciec tylko westchnął. Nie cierpiał wszystkich tych ludzi – właścicieli tartaków i stolarni, fabryczek kleju i pokostu, szlifierzy hebli i dłut z północnej dzielnicy – którzy kręcili się wokół Prokuratorii, by dostać choćby zlecenie na naprawę boazerii w salach Rady Miasta czy renowację dębowych krze-

seł dla ławników w budynku sądu przy Neugarten. Dobrze wiedział, że wszelkie prośby nie zdadzą się na nic, jeśli nie pójdzie za nimi stosowna porcja guldenów, złota obietnica, która skutecznie zmiękcza serca nawet najtwardszych urzędników. Oferty przygotowywał nocą, starannie rozkładał na stole pod lampą kartki z obliczeniami, parokrotnie sprawdzał każdą cyfrę wpisaną do kosztorysu. Maria niosła rano teczkę z dokumentami na trzecie piętro gmachu Prokuraturii, składała ją na biurku w pokoju 13, brała pokwitowanie z cesarską pieczęcią, po czym wracała do domu z niczym. Zawsze ktoś ją wyprzedził, zawsze ktoś – jak ją przekonywano – złożył ofertę lepszą, więc ojciec mógł tylko zajmować się sprzątaniami warsztatu, w którym i tak nie było już nic do roboty. Heble, dłuta i świdry spokojnie spały na półkach, bejca krzepła w mosiężnym naczyniu, piła o cienkim ostrzu wisiała na gwoździu koło drzwi. Pozostawało tylko siedzieć przy oknie, patrzeć przez zakurzoną szybę na dalekie morze, widoczne za drzewami Lasu Gutenberga i liczyć na odmianę losu, która nie chciała nadejść, choć oferty, które ojciec sporządzał – Maria wiedziała to – spełniały wszystkie wymagania komisji i to z naddatkiem.

Kiedy we środę rano weszła na trzecie piętro gmachu Prokuraturii z teczką dokumentów w rękę, w pokoju 13 przyjął ją asystent Werden, trzydziestoparoletni może mężczyzna, którego nigdy jeszcze tu nie widziała. Od razu poprosił, by usiadła na krześle przed jego biurkiem, co ją zdziwiło, bo urzędnicy z V Wydziału nie mieli takiego zwyczaju. Pokój, w którym asystent Werden urzędował, był niezbyt duży, okno wychodziło na Bischofsberg i starą twierdzę, godło cesarstwa – czarny orzeł w koronie – ciemniało na ścianie jak głowa Meduzy ścięta przez Perseusza, na blacie biurka leżały starannie uporządkowane papiery. Kiedy odrobinę za długo przytrzymał jej dłoń w swojej dłoni, gdy podała ją na powitanie, w pierwszej chwili chciała cofnąć rękę, ale – sama

nie wiedząc czemu – nie zrobiła tego. Powiedziała parę słów o burzy, która właśnie przetaczała się nad dachami miasta, oświetlając zimnym blaskiem błyskawic portret cesarza wiszący za szkłem na przeciwległej ścianie pokoju. Asystent Werden uprzejmie wysłuchał wszystkiego, co miała do powiedzenia, po czym sam uporządkował kartki z ofertą w teksturowej teczce, którą położyła przed nim na blacie biurka. „Staranność przygotowania niezbędnych dokumentów – pochylił się ku niej uprzejmie – świadczy niewątpliwie na korzyść ojca pani, co z pewnością zostanie wzięte pod uwagę, o ile jeszcze na dodatek – tu uśmiechnął się znacząco – ktoś teczkę z ofertą położy tam, gdzie trzeba, na szczycie stosu teczek, które szacowni członkowie komisji, obradujący w każdy piątek pod przewodnictwem naczelnika Vorgasta, będą przeglądać w sali na drugim piętrze”.

Kiedy usłyszała te słowa, przez moment poczuła się silniejsza od niego. Gdy weszła do pokoju, wydał jej się groźny i nieprzystępny, teraz zdawał się rozmawiać z nią jak równy z równym, przedłużając rozmowę bez wyraźnej potrzeby. Każdy błyszczący guzik z godłem cesarskim wyciśniętym w mosiądzu wywyższał go ponad zwykłych śmiertelników, a jednak w jakiejś chwili w jego układnych gestach wyczuła ze zdziwieniem jakąś lękliwą groźbę czy skryte błaganie, którego sens był niejasny. Kiedy podała mu rękę na pożegnanie, znowu jakby trochę zbyt długo przytrzymał palce, na co pozwoliła znów bez uśmiechu, przez moment czując się tak, jakby sprzedawała zawinięty w jedwab kawałek samej siebie. Gdy wychodziła, odprowadził ją do samych drzwi, a nawet je przed nią otworzył, miękko kładąc dłoń na klamce.

Wybierając się następnym razem do gmachu Prokuraturii założyła jasną suknię z kwiecistej grenadyny, w której wydawała się wyższa niż była. Lubiła siebie w tej sukni, którą ojciec kupił – za namową matki – w nowym sklepie kupca Müllera na Ahornweg, a matka umiejętnie obszyła białą

koronką. Idąc ulicą Karrenwall w nowych butach na obcasie, w kapeluszu z jedwabnymi kwiatami na rondzie, z szelestem marszczonej tkaniny, upiętej wokół bioder, poczuła się tak, jakby miała na głowie pióropusz ze strusich piór. Brakowało tylko – uśmiechnęła się do siebie – barw wojennych na twarzy, ale lekko karminowy odcień szminki na ustach sprawiał, że jej uprzejmy uśmiech mógł budzić tylko przychylnie uczucia.

Zanim weszła do pokoju asystenta Werdena, upewniła się na portierni, czy asystent Werden jest sam. Woźny Schulze, który przyjmował interesantów za dębową barierką, powiedział, że pan asystent dziś jeszcze nie przyjął nikogo. Gdy otworzyła drzwi z mosiężną tabliczką, asystent Werden siedział za biurkiem nad stosem papierów zapisanych równym, kancelaryjnym pismem i – co wyczuła natychmiast – spłoszył się na jej widok, tak niespodziewanie zjawiała się w drzwiach w swojej nowej, jasnej sukni i kapeluszu z kwiatami na rondzie, ale trwało to tylko moment, bo zaraz – rozpozgodzony, uprzejmy, spokojny – gestem dłoni poprosił, by usiadła. Potem wstał z za biurka i z uśmiechem podał jej sztywną kartkę z paroma pieczęciami, która w jej palcach nabrała nagle ołowianego ciężaru.

Było to zamówienie rządowe ze stosownym numerem w górnym rogu strony, wypisane przez urzędowego kancelistę, na które ojciec czekał niecierpliwie od dawna. Podając jej kartkę, asystent Werden wyglądał na prawdziwie ucieszonego, ale kiedy w paru słowach podziękowała mu za szczęśliwe doprowadzenie sprawy do końca, powiedział coś, co chłodną igielką ukłuło ją pod sercem. Po prostu, Johann Ferbelin, właściciel warsztatu stolarskiego w Górnym Langfuhr przy Jäschkentaler Weg, powinien się liczyć z tym, że w realizacji cesarskiego kontraktu mogą zajść nieprzewidziane okoliczności, trzeba więc będzie co jakiś czas stawiać się w urzędzie celem wyjaśnienia ewentualnych kwestii, które

w podobnych przypadkach są rzeczą zwykłą, a tak się właśnie składa, że nie kto inny tylko on sam, asystent Werden, został przez władzę wyższą wyznaczony na kuratora zamówienia rządowego numer 11/04/19.49 – tu dotknął palcem wskazującym arkusza papieru z podpisem samego naczelnika Vorgasta – więc należy się spodziewać, że pewnie spotkają się jeszcze niejeden raz...

Wstając z krzesła, raz jeszcze wyraziła wdzięczność za szybkie załatwienie sprawy, co z pewnością nie byłoby możliwe, gdyby nie pan – tu uprzejmie skinęła głową w jego stronę. „Zatem do zobaczenia” – powiedział odprowadzając ją do drzwi. Na korytarzu zatrzymała się przez chwilę, widząc, jak przygarbiony znika w drzwiach do pokoju naczelnika Vorgasta z paroma tekturowymi teczkami pod pachą. Schodząc po schodach na parter, odruchowo wytarła chusteczką dłoń, jakby przed chwilą dotknęła czegoś lepkiego.

Gdy wręczyła ojcu papier ze wszystkimi stosownymi pieczęciami, ojciec tylko z uznaniem pokręcił głową. Od dawna był przekonany, że o zamówieniach rządowych powinien raczej zapomnieć, tymczasem teraz, z arkuszem formularza, który przyniosła z gmachu Prokuratorii, w ręku, poczuł się jak Odyseusz ze złotą gałęzią w dłoni, wychodzący z mroków Hadesu na światło. Zapytał, jak rzecz udało się załatwić tak szybko, ale machnęła tylko ręką, jakby chodziło o jakiś drobiazg bez znaczenia. „Ojcze drogi – pogłaskała go po policzku – po prostu twoja oferta była najlepsza. Nie mogli postąpić inaczej”.

W domu przy Jäschkentaler Weg nastąpiły teraz wielkie zmiany. Od rana do ciemnych godzin zmierzchu ojciec siedział przy długim stole w jadalni i czerwonym, stolarskim ołówkiem w swoim notesie ze skórzaną okładką kreślił plany na najbliższe dni i tygodnie. Chciał nawet zatrudnić na dłużej Josta van der Manna, chłopaka z Ahornweg, który pomagał mu w warsztacie jeszcze za dobrych czasów, kiedy to

szafy z czarnego hebanu, które robili na zamówienie kupców Widersa i Helmholza, wędrowały jedna po drugiej z magazynu przy stolarni na któryś ze statków kompanii Lloyda, odpływających z nabrzeża przy Wyspie Spichrzów do Königsbergu, a nawet do Kłajpedy.

Arkusz zamówienia rządowego, który położyła za szkłem na półce dębowego kredensu w jadalni, musiała to przyznać, wyglądał dobrze. Ogólna suma wynagrodzenia, wypisana czerwonym atramentem, cieszyła oko barwą kardynalskiej purpury, jakby to był osobiście złożony podpis samego cesarza. W domu nie wypowiedziano jej głośno, żeby nie zapeszyć. Siedem krzyży miało być gotowych na 22 maja, a tu już druga niedziela kwietnia, więc czasu nie było znowu tak wiele. Ojciec jednak nie wyglądał na uszczęśliwionego. Ileż by dał, żeby teraz tak jak dawniej móc robić swoje szafy z hebanowego drewna, kto jednak dzisiaj – unosił ręce, wymownie patrząc w sufit – znajdzie kupca na gdańską szafę z atyką podobną do zdobień hiszpańskiego galeonu, która – nie oszukujmy się – kosztuje majątek? Dotąd takie szafy wysyłał morzem do Kopenhagi czy nawet do samego Amsterdamu, ale dzisiaj sprawy na giełdzie w Amsterdamie wyglądają gorzej niż źle. „Trzeba brać to, co jest” – jak mawiał dziadek Christian Ferbelin. Ojciec wiedział jednak dobrze, po co te krzyże i komu.

Zresztą jakie tam krzyże. Krzyżami nazywali je mężczyźni skłonni do buntu, którzy coraz częściej pojawiali się na przedmieściach. W zamówieniu rządowym słowo to jednak nie figurowało. Na arkuszu sztywnego papieru, który Maria przyniosła z Prokuratorii, pochyłymi literami zostało wypisane przez urzędowego kancelistę, że mistrz stolarski, Johann Ferbelin, właściciel warsztatu w Górnym Langfuhr przy Jäschkentaler Weg, wykona najstaranniej, jak potrafi, wedle załączonego rysunku architekta Delaroche’a, siedem urządzeń drewnianych z drewna twardego, najlepiej dębowego, tak by

były one gotowe na dzień 22 maja, następnie dostarczy rzezczone urządzenia na dziedziniec komendy policji przy ulicy Karrenwall, po czym przekaże je – rzecz jasna, po komisijnym sprawdzeniu, czy zamówienie zostało zrealizowane, jak należy – władzom porządkowym w osobie nadkomisarza Bielkowskiego, zgodnie z umową sygnowaną przez naczelnika V Wydziału Prokuraturii, Franza F. Vorgasta, który za całościową realizację zamówień rządowych w mieście odpowiada.

Maria wiedziała, że nawet gdyby z takich czy innych powodów ojciec z rządowego zamówienia zrezygnował, co mogło się przecież zdarzyć, gdyby na przykład zaczął niedomagać na zdrowiu, na jego miejsce zgłosiłoby się od razu pewnie ze stu właścicieli stolarni z Górnego i Dolnego Miasta, gotowych zrobić wszystko, byleby tylko dostać papier z urzędowymi pieczęciami, który teraz leżał na długim stole w jadalni domu przy Jäschkentaler Weg, świecąc piękną cyfrą wypisaną czerwonym atramentem. Cóż, taki jest świat, a świata nie zmienisz. Państwo musi karać tych, co czynią zło, a bez rzeczonych urządzeń drewnianych trudno sobie wyobrazić, by cesarski majestat mógł wymierzać sprawiedliwość tym, którzy powinni być surowo ukarani. Ktoś więc musi te urządzenia wykonać, czy mu się to podoba, czy nie, bo jak nie on, to na pewno zrobi to chętnie ktoś inny.

Naprawdę „krzyże”, o których mówili skłonni do buntu mężczyźni z przedmieść, nie były żadnymi krzyżami. Nazwę krzyża urządzenia te zawdzięczały swojemu podobieństwu do prostej, rzymskiej litery T, które to podobieństwo mogło osobom nieprzychylnym nasuwać dalekie, zresztą najzupełniej niesłuszne skojarzenia, bo cóż właściwie litera T ma wspólnego z przedmiotem tak świętym jak krzyż? Cesarska umowa, której arkusz leżał teraz przed ojcem na długim stole, z urzędowym chłodem stwierdzała, że stolarz Johann Ferbelin wykona w stosownym terminie i z należytych stara-

niem siedem szubienic modą frankfurcką obmyślonych, tak żeby można je było ustawić wysoko nad miastem, najlepiej na wzgórzu pozbawionym drzew, widocznym z daleka.

Maria lubiła zaglądać do warsztatu ojca. Gdy tam wchodziła, by heble, dłuta, świdry i skrzynki z gwoździami pokładać na półkach, skręcone wióry z sosnowego, jesionowego czy lipowego drewna, pokrywające podłogę stolarni między oknem a stołem, ładnie uginały się pod podeszwą, krusząc się w złoty pył. Zapach żywicy, unoszący się nad żółtymi deskami, miał w sobie leśne aromaty świeżo ściętych pni. Od godziny ósmej w warsztacie ojca młotek dzwonił, trafiając nieomylnie w główkę gwoździa zagłębiającego się w deskę. Świst hebla przechodził w świst włókien oddzieranych od drewna, a dłuto zręcznie wycinało kwietny wzór na ciepłej od słońca powierzchni dębowych belek. Ojciec zwykle pogwizdywał przy robocie, ale teraz, odkąd dostał upragnione zamówienie rządowe, pracował w milczeniu.

Dwadzieścia dębowych pni zjechało z lasu na żelaznych wozach w trzecią niedzielę kwietnia. Ułożono je na dźwigarach pod stajnią, nakryto daszkiem z desek, by nie mokły na deszczu, gdyby wiatry wiały od strony Brentau, nie oszczędzając zachodniej ściany stolarni. Na okorowanych balach sęki po odciętych gałęziach wyglądały jak oczy z przymkniętą powieką. Drewno było ciemne, dobrze wysuszone, twarde, pięknie ozdobione słojami, biegnącymi od korzenia do szczytu. Gdy ojciec podszedł do belek zrzucanych z wozów i styliskiem siekiery stuknął w najbliższy pień, odpowiedział mu głęboki, szklany dźwięk zdrowej drzewnej masy, znak, że pnie są mocne i niezawodne. Tartak Manzela i tym razem nie zawiódł.

Rysunek architekta Delaroche'a ze wszystkimi szczegółami urządzenia, które należało wykonać, ojciec przybił do ściany warsztatu przy samych drzwiach, by mieć go cały czas pod ręką. Z daleka – Maria odniosła takie wrażenie – wyglą-

dał niemal jak religijny sztych, sporządzony na miedzianej płycie z wielką starannością i prawdziwym talentem. Pan Delaroche był nie tylko architektem, lecz i – jak można było sądzić – zdolnym malarzem, pewnie dlatego surowe formy drewnianej konstrukcji, odwzorowane na grubym papierze, ozdobił miękką grą światłocienia. Wszystkie części „krzyża”, miały zostać połączone specjalnymi nacięciami i trzpieniami, tak że do wykończenia całości właściwie nie było potrzeba ani metalowych śrub, ani gwoździ. Wysoki, wbity w ziemię pionowy słup kończyło w górze poprzeczne ramię wykonane z mocnej belki, na dole, przy samej podstawie słupa, znajdował się niewielki stopień, na którym miał stanąć nieszczęśnik skazany na śmierć. Obok stopnia w poziomym podeście zbitym z kilku desek otwierała się mała kłapa zapadni z długą rączką żelaznej dźwigni, mocnej i – jak można było sądzić, obeerzawszy rysunek – wygodnej w użyciu. Całe urządzenie swoim wyglądem przypominało nagi, wypreparowany szkielet kostny jakiegoś nieznanego organizmu. Harmonijna, dobrze wyważona konstrukcja cieszyła oko, tak że każdy, kto patrzył na rycinę pana Delaroche, mógł po chwili zupełnie zapomnieć o jej prawdziwym przeznaczeniu.

Potem zaczęły się zmartwienia. Ktoś w nocy z soboty na niedzielę podłożył ogień pod zachodnią ścianę warsztatu, którą liznęły żółte płomienie i tylko dlatego, że beczka z wodą deszczową stała tuż pod okapem, można było pożar ugasić natychmiast. Ktoś czerwoną farbą wypisał na ścianie magazynu stolarni wulgarną obelgę, którą Maria ścierała później do południa. Stało się jasne, dlaczego zamówienie, podpisane przez naczelnika Vorgasta, opiewało na tak znaczną sumę. Urzędnicy z Prokuraturii dobrze wiedzieli, co może czekać szczęśliwego beneficjenta kontraktu. Najgorsza była noc ze środy na czwartek. Jacyś nieznani mężczyźni z pochodniami, którzy koło północy podeszli pod dom, wykrzykiwali obraźliwe słowa pod adresem ojca, a nawet grozili mu

śmiercią, po czym w stronę okien poleciał grad kamieni, wybijając prawie wszystkie szyby od frontu, które trzeba było wstawiać nazajutrz. Szklarz Wertke z Mirchauer Weg, wezwany przez posłańca koło dziesiątej, wziął zresztą za usługę więcej niż zwykle, bez żadnych skrupułów korzystając z okazji. Ojciec nawet zawahał się przez chwilę, czy by nie pójść do Prokuratorii i nie odwołać wszystkiego, ale matka go powstrzymała: „Boże drogi! Cóż ty sobie myślisz? Przecież Lenzion i Halewitz tylko na to czekają! Nie możesz im zrobić takiego prezentu!”. Ojciec miał już z nimi do czynienia, gdy starał się o kontrakt na odnowienie dębowych stali w kościele św. Mikołaja, więc tylko splunął na bok, sięgnął po hebel, dmuchnął na błyszczące ostrze, w którym tkwiły wióry i znowu wziął się do pracy.

Nauczyciel z Neustadt

W sobotę przed południem odwiedziła Marię panna Horstmayer. Znały się jeszcze z dawnych lat, kiedy to razem chodziły na zajęcia do Królewskiego Seminarium Nauczycielskiego, nowego gmachu z wieżą zegarową, wzniesionego przy drodze na Trzy Lipy, a teraz lubiły się co jakiś czas spotkać w kawiarni Herzla na Długim Pobrzeżu czy w restauracji Kaufmanna, by pogadać o tym, co ostatnio zdarzyło się w mieście. Tym razem Sophie już przy drzwiach niespokojnymi machnięciami dłoni w nicianej rękawiczkę dała znać, że ma wiadomości naprawdę ważne. Gdy Maria zapytała ją, co się właściwie stało, Sophie powiedziała, że wczoraj pani Heller, sąsiadka ze Strauss Gasse, zachęciła ją, by poszła na łąki za bastionami pod Bramą Niziną, tam, gdzie przy kamiennej śluzie zaczyna się równina Żuław i trawa porasta dużą, płaską przestrzeń, żeby zobaczyć na własne oczy to, o czym – jak mówiła pani Heller – od paru dni opowiadają sobie w mieście wszyscy. Gdy przyszła na miejsce, na pustych zwykle łąkach między torami kolejowymi a kamienną śluzą, przy samym rozlewisku, gdzie Motława wpływa do miasta, zbierali się już ludzie. Wszyscy oni – Sophie mówiła o tym tak, jakby zdradzała jakąś tajemnicę – przyszli posłu-

chać człowieka, który niedawno przybył z daleka, podobno – jak mówili robotnicy od Schichaua – z miasta Neustadt w Nadrenii i zamieszkał w Dolnym Mieście czy w dzielnicy Ohra, zresztą dokładnie gdzie, nikt tak naprawdę nie wie. Pani Heller mówiła o nim „Nauczyciel z Neustadt”. Kiedy koło szóstej po południu Sophie weszła na łąki i usiadła na trawie pośród ludzi, którzy się tam zebrali, człowiek z Neustadt – zobaczyła go z daleka – wspiął się na trawiasty szczyt bastionu św. Gertrudy. Stojąc na górze, donośnym głosem zaczął mówić do ludzi, którzy siedzieli na trawie u podnóża bastionu i słuchali uważnie tego, co mówił, a zeszło się ich tutaj – Sophie to podkreśliła – niemało.

O czym mówił człowiek z Neustadt? Sophie tylko pokręciła głową. Tego się nie da powtórzyć. Trzeba tam być i samemu usłyszeć. Wyglądała na osobę, która uległa urokowi nieznanemu mężczyzny i teraz, odwiedzając Marię w jej domu przy Jäschkentaler Weg, chciała zarazić ją swoim oczarowaniem, ale Maria, choć lubiła Sophie, pozostawała nieufna i oporna. Ileż to razy słyszała o wędrownych głosicielach Dobrej Nowiny, którzy gromadzili wokół siebie tłumy, wmawiając wszystkim, że przynoszą jakieś skarby ducha, potem zaś okazywało się, że karmili swoich słuchaczy naiwnymi złudzeniami, bezczelnie przy tym wyciągając rękę po pieniądze, bo oczywiście nie palili się do żadnej uczciwej roboty, więc teraz wcale nie miała ochoty wybierać się na łąki za Bramą Niziną tylko po to, żeby raz jeszcze zobaczyć kogoś takiego, ale w końcu po dłuższych namowach zgodziła się pójść tam razem z Sophie w niedzielę po południu.

Na łąkę za Bramą Niziną weszły po szóstej, więc trochę się spóźniły. Przez parę minut błądziły wśród ludzi siedzących na trawie, aż znalazły sobie miejsce w pobliżu torów kolejowych, przy polnym kamieniu, pod krzakiem dzikiej róży, skąd widać było cały bastion po drugiej stronie kanału. Na szczycie bastionu stał już szczupły, wysoki człowiek w dłu-

gim płaszczu i nie wyjmując ręk z kieszeni, ładnym, donośnym głosem mówił do tłumów zgromadzonych między torami kolejowymi a rozlewiskiem. Zbliżał się już wieczór. Słońce obniżyło się nad dachami Gdańska, wieża Ratusza połyskiwała miedzianym hełmem na tle szarzejącego błękitu, noc, z wolna nadciągająca od strony morenowych wzgórz, które otaczają miasto od zachodu, szykowała się do wymazania kolorów z fasad kamienic przy Weiden Gasse i plam światła ze ścian oruńskiego dworca, ale blaski zmierzchu wciąż jeszcze oświetlały sylwetkę mężczyzny stojącego na szczycie bastionu. Rozżarzona linia obrysowała jego głowę i ramiona. Na trawiastym zboczu bastionu stało kilku mężczyzn. Sophie powiedziała do Marii szeptem, że to uczniowie Nauczyciela z Neustadt, którzy mu zwykle w różnych miejscach towarzyszą.

Wszystko to trochę Marię zniechęciło, chociaż idąc na łąki pod bastionami nie łudziła się, że ujrzy coś, co mogłoby ją zachwycić. Przysłuchiwała się słowom mężczyzny nieuważnie, myślała bardziej o kłopotach przy zdobywaniu zamówień rządowych i nocnych niepokojach koło stolarni, więc zmęczona po całym dniu nie śledziła biegu jego myśli. Dopiero po jakimś czasie, gdy oparta plecami o ciepły jeszcze od słońca kamień, przymknęła oczy, powoli zaczęły do niej docierać słowa, które dobiegały ze szczytu bastionu.

„...czyż nasze dzieci nie pytają nas o to, jak żyć? – głos Nauczyciela z Neustadt rozchodził się daleko nad gładką wodą kanału, dopiero po chwili gasnąc wśród płaskich łąk na podmokłej równinie Żuław. – Czyż nie pytają nas, jak być sobą i równocześnie żyć w społeczeństwie, które naszą, ludzką pojedynczość unieważnia? Bo przecież to nie my sami decydujemy o tym, co myślimy i przeżywamy. To inni decydują o tym, kim jesteśmy, jak mamy myśleć, co robić, co uważać za dobre lub złe. Zasiadamy do obiadu, mamy przed sobą talerze, półmiski, noże, widelce, ile jednak potrzeba

było milionów ludzi, żeby to wszystko mogło się pojawić na naszym stole? Ale my nawet o tym nie myślimy. Wszyscy jesteśmy zależni od wszystkich jak cząstki wielkiego organizmu, każdy jednak woli dbać tylko o swoje.

...na kogo więc właściwie wychowujemy nasze dzieci? Mówimy naszym dzieciom: „przyjaźń”, „solidarność”, „pomoc”, a wychowujemy je tak, żeby miały ostre pazury, bo wiemy, że bez ostrych pazurów w życiu sobie nie poradzą. Mówimy im: „współpraca”, „porozumienie”, „dobro wspólne”, a skrycie chcemy, żeby umiały skutecznie zniszczyć konkurenta na wolnym rynku. Taki jest nasz prawdziwy ideał wychowawczy, o którym głośno nie chcemy mówić. Martwimy się, co będzie z naszymi dziećmi, gdy nas zabraknie na świecie. Wieczorami opowiadamy im o „dobru wspólnym”, „wzajemnej przyjaźni”, „współczuciu”, mówimy do nich „nie kłam”, „mów zawsze prawdę”, „bądź uczciwy”, ale skrycie pragniemy, by nasze dziecko umiało ukrywać swoje myśli, bo tylko wtedy, kiedy będzie umiało ukrywać swoje myśli, da sobie radę w życiu.

...czyż nie tak właśnie wychowujemy nasze dzieci? Mówimy do nich: „Bądź skromny, rozważny, uczciwy”, ale skrycie chcemy, by żarłocznie pragnęły tego, czego pragną inni. Robimy wszystko, by – broń, Boże! – nie miały własnych pragnień, bo sami nie mamy własnych pragnień. Umiemy pragnąć tylko tego, czego pragną inni. Nieważne, kim jesteśmy naprawdę, ważne, jakimi się wydajemy. Fałszujemy nasze uczucia i uczymy nasze dzieci fałszować swoje uczucia. A przed snem opowiadamy im bajeczkę o prawdzie, uczciwości i szczerości”.

Maria rozejrzała się dokoła. Ludzie słuchali mężczyzny, który mówił ze szczytu bastionu, bardzo uważnie, przyjmując każde jego słowo z dobrą wiarą, a nawet oddaniem. Czy jednak tak było rzeczywiście?

„...Nie potrafimy czerpać radości z samego faktu naszego istnienia – mówił dalej mężczyzna z trawiastego wzniesienia nad kanałem. – Jeśli czegoś chcemy, to chcemy tylko tego, czego inni mogliby nam zazdrościć. Rzeczy nie mają dla nas żadnej własnej wartości. Umieemy cenić tylko to, co ma wartość dla innych. Jeśli czegoś chcemy, to chcemy cudzą wolą, nie własną. Nikt z nas nie umie żyć chwilą obecną. Nikt nie ma naprawdę własnego życia. Żyjemy albo tym, co mamy, albo tym, co chcemy mieć. Nie mamy naprawdę własnych potrzeb i naprawdę własnych namiętności. I wychowujemy nasze dzieci tak, żeby nie miały własnych potrzeb i własnych namiętności.

...Zapomnieliśmy, co to znaczy być prawdziwą wspólnotą. Przestaliśmy wierzyć, że taką wspólnotę można zbudować na Ziemi. Brakuje nam bliskich więzi, szczerości i harmonii. Jest tylko konkurencja, wyścig, wzajemne wydzieranie sobie pieniędzy, stanowisk, posad i rzeczy. Jeśli ktoś wchodzi ci w drogę, zepchnij go na bok. Zajmij jego miejsce. Puść z torbami. Oto prawdziwy katechizm, którego uczymy nasze dzieci, wmawiając sobie, że wychowujemy je na „dobrych ludzi”.

...I fałszywie współczujemy tym, którzy przegrali. Do teatru idziemy po to, by rozczulać się nad nieszczęściami fikcyjnych postaci, bo zwalnia to nas z konieczności pomagania realnym ludziom. Cóż łatwiejszego niż wzruszać się cudzymi kłopotami, roniąc po dwie łzy na jednego nieszczęśliwego. Ludzkie spojrzenia w naszym świecie nie łączą, lecz dzielą ludzi. A nocą, udręczeni pustką codziennego życia myślimy, że jesteśmy sobą, choć jesteśmy od samych siebie nieskończenie oddaleni”.

Po tych słowach, wypowiedzianych spokojnym, mocnym głosem mężczyzna stojący na szczycie bastionu odgarniał włosy z czoła, po czym ruchem ręki przekreślał wszystko, co powiedział wcześniej.

„Nie tak żyli pierwsi chrześcijanie. Nie tak myśleli i odczuwali. Nas do uczciwości zmusza widok policjanta stojącego na rogu ulicy, u nich wzajemne zobowiązania wynikały jedynie z człowieczeństwa. Oni wiązali się z innymi dzięki współczuciu i solidarności, my jesteśmy drapieżnymi zwierzętami o wrażliwości ograniczonej jedynie do nas samych.

Nad bastionem św. Gertrudy wiatr niósł od strony morenowych wzgórz białe obłoki nad podmokłą równinę Żuław i zamgloną deltę Wisły, cienie bastionów kładły się na wodzie rozlewiska przy kamiennej śluzie, mewy skośnymi lotami przecinały powietrze, spadając w szuwały i trzciny rosnące pod ceglanyimi murami fortyfikacji, a mężczyzna z Neustadt ze szczytu bastionu mówił do tłumów siedzących na trawie o tym, jak żyli pierwsi chrześcijanie.

„W nich była czysta miłość i przyjaźń, w nas miłość i przyjaźń przeinaczyła się w ambicję. Ich namiętności budowały i wzmacniały duszę, nasze namiętności niszczą nas. U nich związki między ludźmi były oparte na szczerości, u nas są oparte na własności i nierówności. Nasze dusze są rozbite, ich były z jednej bryły. W nas rozum, sumienie i wola rozbiegają się na wszystkie strony, w nich były związane w jeden promień. My kierujemy się paragrafami. Oni nosili prawo w sobie. Oni byli prawdziwymi ludźmi, my, żeby dać sobie radę w życiu, rezygnujemy z części naszego człowieczeństwa. Dla nich obyczaj był pouczeniem i drogowskazem, dla nas jest niewolą, przymusem i uciskiem.

Maria słuchając tych słów przez moment poczuła się tak, jakby ktoś jej otwierał oczy. Ileż to razy o pierwszych chrześcijanach słyszała w kościele, na lekcjach w gimnazjum, na wykładach z historii powszechnej w Królewskim Seminarium Nauczycielskim, ale teraz to, co kiedyś słyszała, pod wpływem słów mężczyzny, który ze szczytu bastionu mówił do tłumów, nabrało dotykanej wyrazistości, tak jakby nagle zajrzała do studni z tęczą jaśniejącą na dnie. Może sprawiło

to ciepło nagrzanego słońcem kamienia pod plecami. Tamten dziwny świat opisywany w podręcznikach, świat renesansowych drzeworytów, barwionych litografii i egzaltowanych katechez księdza Rasteckiego z kościoła na Czarnej wynurzył się nagle z zapomnienia niczym słoneczna Jerozolima, więc broniła się przed obrazami tego świata, bo czuła w nich niedobry aromat dzieciństwa, ale równocześnie ulegała im, tak to, co mówił mężczyzna, było dalekie od życia, które znała i o którym teraz chciała zapomnieć.

„...i nie pozwólmy, by ktokolwiek objaśniał nam Pismo – mówił dalej mężczyzna z Neustadt, podkreślając znaczenie swoich słów łagodnymi, lecz stanowczymi gestami. – Każdy z nas może objaśniać Biblię zgodnie ze swoim rozumem. Nikomu nie wolno jej sobie przywłaszczać. Religia ludzi, którzy panują nad światem – jego głos stwardniał i znowu się wzbilił nad wodami rozlewiska przy śluzie – oparta jest na podporządkowaniu. Ale moja religia ugruntowana jest na rozmowie, bo tutaj, stojąc przed wami, rozmawiam z wami. I nie wiercie, że poza Kościołem nie ma zbawienia. Bóg nie potrzebuje żadnego Kościoła. Teologowie są urzędnikami parafialnymi. Robią wszystko, by przestraszyć nas ciężarem dogmatów. Ale Bóg nie zna żadnych dogmatów, bo jest ponad wszelkimi dogmatami. I nie zamierza nikogo palić żywcem w Piekło. Jest nieskończenie miłosierny i dobry. Jedyna kara, jakiej możemy spodziewać się po śmierci, to wieczne rozmyślanie nad tym, cośmy niedobrego zrobili na Ziemi. Prawdziwa religia obywa się bez pośrednictwa. Świętość, której szukamy wszędzie, rodzi się w nas samych w chwili, gdy budujemy prawdziwą, solidarną wspólnotę ludzi, opartą na zasadzie dobra wspólnego. Mądra umowa społeczna jest rzeczą świętą. Prawdziwa władza to zgromadzenie obywateli na miejskim placu, gdzie każdy w zgodzie z własnym sumieniem mówi tylko o tym, co uważa za dobre dla wspólnoty, całkowicie zapominając o sobie.

„...więc pewnie zapytacie, skąd zło na Ziemi? – mężczyzna z Neustadt unosił ręce ku niebu, jakby zwracał się do chmur o wyjaśnienie zawilej kwestii. – Zło bierze się z zagarniania wszystkiego dla siebie. To właśnie jest rdzeń, kamień węgielny zła. Pierwsi chrześcijanie nie wiedzieli, co to własność. Nie znali bogactw, stanowisk, zaszczytów. Żyli prostym życiem w doskonałej równości. Nie było wśród nich ani wyższych, ani niższych. Oddawali wszystko, co posiadali gminie i brali z tego tylko tyle, ile im było potrzeba. Żaden chrześcijanin nie nazywał tego, co posiadał, swoim, bo wszystko było wspólne. A czyniono to bez przymusu, dobrowolnie, ze świętą radością w sercu. Tak i my módlmy się dzisiaj, by Bóg rozjaśnił serca tych, którzy wszystko zagarniają dla siebie. Niech ożywi serca i sprawi, by właściciele fabryk ze świętą radością w sercu dzielili się tym, co mają, z robotnikami, dobrowolnie, bez żadnego przymusu i przemocy, bo dobrem trzeba zło zwyciężyć. Czyż święte zakony Kościoła od stuleci nie robią tego samego? Czyż nie przekazują wszystkich swoich dóbr do wspólnego użytkowania? I czy my nie powinniśmy postępować podobnie?

...Uczniowie Jezusa za Jego wskazaniem oddawali ubogim cały swój majątek. Czyż nie robili tego po to, by wskazać nam drogę? Dzielili między siebie nawet zwykłą, codzienną żywność w uczcie miłości, zwanej *agape*. Chrześcijańskie gminy żyły we wspólnych gospodarstwach, dzieląc się wszystkim. Pobożni esseńcyzy w świętej Palestynie...”

Noc zbliżała się do miasta, promienie słońca kładły się na ceglanych murach bastionu św. Gertrudy, w wodzie rozlewiska przy kamiennej śluzie odbijały się wieczorne obłoki, a mężczyzna z Neustadt ze szczytu wzgórza mówił ludziom zebranych na łąkach, czym mogłaby być gdańska stocznia, gdyby stała się własnością wspólnoty gdańskich robotników. Jej obraz, malowany złotem, karminem, turkusem i fioletem, był równie jasny jak obrazy Raju na holenderskich arrasach,

które ozdabiały Dwór Artusa, tak że gdyby ktoś teraz przypadkiem przechodził przez łąkę pod bastionem św. Gertrudy, odniósłby pewnie wrażenie, że Nauczyciel z Neustadt wcale nie mówi o zwyczajnej stoczni, gdańskiej fabryce statków, której tereny rozpościerały się między wyspą Holm a ogrodami dzielnicy Neu Schottland, lecz ma na myśli jakieś unoszące się nad ziemią miasto napowietrzne, zbudowane z przezroczystych brył światła, o którym na wyspie Patmos śnił św. Jan. W tej stoczni szczęśliwi ludzie, wolni, nikomu nie podlegli, jak bracia razem budowałiby na pochylniach kadłuby okrętów, a potem dzieliliby się między sobą złotymi gdańskimi guldenami, które za swoją pracę dostawaliby od niemieckich, rosyjskich i szwedzkich armatorów. W tej nowej, jasnej stoczni, która mogłaby powstać, nikt nie mógłby powiedzieć do robotnika: „Zwalniam cię z pracy. Wyrzucam na bruk”.

Maria patrzyła na ludzi, którzy siedzieli dokoła na trawie, ale nie potrafiła powiedzieć, czy tę opowieść o stoczni, podobnej do Raju z holenderskiego arrasu, brano na serio, czy raczej broniono się przed nią, doskonale wiedząc, jak bardzo jest oderwana od życia? W jakiejś chwili przypomniała sobie, co mówił profesor Walecki na zajęciach z historii w Królewskim Seminarium Nauczycielskim: „Zapamiętajcie sobie na zawsze, drogie panie, historię Ananiasza, którą spisano w *Dziejach Apostolskich*. Kiedy Ananiasz chciał ukryć przed swoją gminą chrześcijańską część swoich dochodów, żeby nie oddać ich całej wspólnoty, tylko zachować dla siebie, po ostrym potępieniu przez św. Piotra padł na ziemię martwy. Tak go ukarał sam Bóg, ucząc nas, co jest złem, a co dobrem prawdziwym”.

Z twarzy, które ją otaczały, nie mogła wyczytać niczego, wiedziała jednak, że zawsze znajdą się tacy, którzy dadzą się ponieść marzeniu i będą śnić o świecie, gdzie nie byłoby wiecznego, podłego strachu przed utratą pracy, paskudne-

go strachu, który dorosłego mężczyznę z rodziną na utrzymaniu zmienia w psa na smyczy właściciela banku czy fabryki.

Ludzie unosili głowy, by lepiej widzieć człowieka, który przemawiał ze szczytu bastionu św. Gertrudy, a Nauczyciel z Neustadt – jak go pani Heller nazwała w rozmowie z Sophie – spokojnie tłumaczył, że świat stałby się lepszy, gdyby tylko ludzie potrafili odmienić serca. Woda niosła każde jego słowo daleko w stronę Żuław, ponad rozlewiskami kamiennej śluzu, ponad koronami wierzb i zaroślami wikliny, które porastały oba brzegi Motławy, a w górze, nad bastionem św. Gertrudy krążyły mewy, jakby je ktoś teraz zesłał z wysokiego nieba, by strzegły miasta przed niewidzialnym wrogiem, niosącym całej Ziemi śmierć i ten spokój białych ptaków, krążących nad bastionem św. Gertrudy, udzielał się ludziom siedzącym na trawie.

Czuła, że ta naiwna wizja lepszego świata, podobna do bezbronno snu dziecka, które zapomniało, że żyje na Ziemi, zasługuje tylko na wzruszenie ramion, a jednak serce poddawało się...

„...Pamiętacie – pytał mężczyzna z Neustadt – co mówił Pan? Jeśli masz jeden płaszcz, rozetnij go na pół i połowę oddaj biedniejszemu od siebie. Prośmy więc Boga, by ludzie, którzy mają wiele, rozjaśnili swoje serca światłem miłości i podzielili się swoim majątkiem z bliźnimi, jak czynili to pierwsi chrześcijanie. Prośmy, by zstąpił Duch i odnowił oblicze Ziemi, bo prawowitym gospodarzem Ziemi jest ludzka wspólnota, obejmująca wszystkich, którzy Ziemię zamieszkują. To jej własnością są lasy, rzeki i morza, cała nieobjęta Ziemia, którą ludzie o martwych sercach, zagarniający wszystko dla siebie, dzielą nożem jak mięso zabitej sarny, krojąc zielone pola drutem kolczastym i przybijając wszędzie tabliczkę z czerwonym napisem „Achtung! Verboten! Halt! Nie zbliżać się! Uwaga, zły pies! Własność prywatna!”.

Maria uniosła głowę. Nigdy jeszcze nie słyszała, by ktokolwiek z takim przejęciem mówił o ludzkiej wspólnotcie zamieszkującej Ziemię. Z trawiastego bastionu św. Gertrudy mężczyzna z Neustadt mówił o wspólnotcie ludzi tak, jakby wierzył, że zbiorowe ciało ludzkości, złożone z milionów pojedynczych ludzkich istnień, jest niczym innym jak tylko mistycznym ciałem żywego Boga, bo to święte ciało ludzkiej wspólnotty, stale wystawione na śmierć, zagrożone chorobami, żyjące w ciągłym lęku przed nieistnieniem, wiecznie niepewne swojego zmartwychwstania, zasługuje tylko na cześć i szacunek. Odniosła wrażenie, że mężczyzna z Neustadt nie tyle modlił się o ludzkość, ile modlił się do ludzkości, tak jakby to ona właśnie, ludzkość, była Bogiem prawdziwym. Trochę ją to zdziwiło, a nawet zniechęciło: ten podniosły ton, to celebrowanie słowa „wspólnota”, ten niemal religijny zaśpiew w głosie, gdy mówił o ludzkiej solidarności w obliczu śmierci, która stale zagraża wszystkim, jakby Bóg religii był w jego oczach zaledwie symbolem świętości ludzkiego społeczeństwa, uparcie walczącego o przetrwanie na Ziemi.

Kiedy skończył mówić, Maria podniosła się z trawy, chciała już wracać do domu, bo zrobiło się dość późno, ale Sophie przytrzymała ją za rękę, by jeszcze zaczekała. Po chwili zobaczyła, jak człowiek z Neustadt schodzi w dół po zboczu bastionu św. Gertrudy. Jego cień wydłużył się na trawie jak ciemne ostrze miecza. Gdy doszedł do torów kolejowych, biegnących obok bastionu w stronę oruńskiego dworca, otoczyły go nagle kobiety. Wyciągając do niego ręce, dotykając jego ubrania, prosząc o coś, wykrzykiwały jakieś słowa, których z daleka nie można było usłyszeć. Zauważyła tylko, że kiedy kobiety klękały na ścieżce, mężczyzna kładł im na głowie prawą dłoń i trzymał ją długo na włosach modlitewnym, pełnym czułości gestem miłosierdzia.

Sophie powiedziała do Marii, że już od wielu dni – jak o tym usłyszała od pani Heller – Nauczyciel z Neustadt

przychodzi wieczorami tutaj, przed Bramę Nizinną, staje na trawiastym wzniesieniu, które ludzie nazywają bastionem św. Gertrudy, i mówi o życiu pierwszych chrześcijan, a woda kanału unosi jego słowa w stronę Bischofsbergu i dzielnicy Ohra. Odgradzony od tłumu ciemną taflą rozlewiska, w której odbijają się chmury sunące nad miastem, mówi, jak wiele trzeba zmienić w ludziach, by świat stał się lepszy. Kiedy zjawiała się na łąkach po raz pierwszy, przysłała po prostu z ciekawości, bardziej, żeby go zobaczyć, niż posłuchać, ale teraz, gdy tak mówiła o nim Marii, ściszała głos, jakby obawiała się, że ktoś ją może podsłuchać. Tu jednak, na polach za Bramą Nizinną, skąd widać było dworzec oruński, wieże Ratusza i Marienkirche, maszty okrętów na Motławie, dymy nad kominami domów śródmieścia i grupę policjantów z posterunku przy służbie, którzy stali przy torach kolejowych wiodących w stronę Żuław i w urzędowym milczeniu przypatrywali się tłumowi zgromadzonemu pod bastionami, nikt nie słuchał tego, co mówiła. Maria patrzyła na mężczyznę z Neustadt, który jeszcze przed chwilą stał wysoko, na trawiastym zboczu bastionu św. Gertrudy i ponad wodą, która go oddzielała od tłumu, mówił do ludzi zgromadzonych na łąkach, a jego jasne, odwrócone odbicie lekko falowało na lśniącej powierzchni kanału jak złota plama rozlana na czystym lustrze, ale teraz mężczyzna w towarzystwie swoich uczniów zszedł na brukowaną jezdnię biegnącą obok bastionu, skręcił w stronę ulicy Weiden Gasse i po paru chwilach zniknął za drzewami przy kamiennej służbie.

Pożegnała się z Sophie. Ruszając w stronę Bramy Nizinnej, a potem ulicą Karren Wall w stronę Holzmarktu, gdzie tramwaje jadące do Langfuhr zaczynały bieg, usłyszała, jak w tłumie powtarzano sobie półgłosem, że we wtorek, siedemnastego, kiedy na cmentarzu przy oliwskiej Katedrze chowano handlarza mebli z Brosen, Abła Wareckiego, który zmarł na atak serca w swoim mieszkaniu po święcie Odno-

wienia, Nauczyciel z Neustadt zjawił się podobno w ostatniej chwili, podszedł do świeżo rozkopanego grobu, kazał otworzyć trumnę, na co nie chciał się długo zgodzić proboszcz Jastewitz, który sprawował ostatnią posługę, po czym dotknął ciała, a wtedy Abel Warecki otworzył oczy, uniósł głowę i przerażony tym, co zobaczył wokół siebie, zaczął pytać, dlaczego znajduje się tu, pod brzożami, na oliwskim cmentarzu, w wyściełanej białym aksamitem trumnie, z czarnym krawatem zbyt ciasno ściągniętym pod szyją, z aksamitną poduszką pod głową oraz co tutaj, na oliwskim cmentarzu, robi cała jego zapłakana rodzina – łącznie z kuzynami i kuzynkami z Marienwerder i Elbląga – która stojąc szerokim kręgiem dookoła trumny w żałościem czarnych strojach, trzyma w dłoniach wieńce z kalii i fioletowe szarfy z pobożnymi napisami.

Inni znowu powtarzali sobie półgłosem, że podobno jednym dotknięciem palca uzdrowił córkę poczmistrza Feyerbensa, która od dziecka była ślepa. Po prostu posmarował śliną jej wiecznie zaciśnięte powieki, a ona od razu otworzyła oczy i zaczęła krzyczeć, że razi ją słońce. Maria wżruszała ramionami na wszystkie te opowieści.

Przemową mężczyzny z Neustadt była tylko zirytowana. Cóż to za rzeczy opowiadał ten człowiek! Czy możliwe, że wierzył w to wszystko? Czy choćby przez chwilę mógł wierzyć, że można słowami zmiękczyć serca tych, którzy mają fabryki, stocznie, kamienice, restauracje, banki, sklepy, by swoim majątkiem podzielili się z innymi? Przecież to sny i majaczenia. Nikt nie odda tego, co ma. Nikt nie odda tego, co zagarnął. Zbyt wielka jest rozkosz mieć coś i pogardzać tymi, którzy nie mają niczego. Szła ulicą Karren Wall w stronę tramwaju i tylko kręciła głową. Ten człowiek jest taki sam jak wszyscy, tylko udaje, że niczym anioł sfrunął z nieba na Ziemię z pergaminowym dekretem w dłoni, na którym złotymi literami zostało wypisane: „Niech zstąpi Duch Twój

i odnowi oblicze Ziemi”. Cóż za głupstwa! Żadne oblicze Ziemi nigdy się nie odnowi. Ludzie zawsze będą wydzierać sobie rzeczy, stanowiska i pieniądze. A jednak mówiąc sobie to wszystko, wciąż czuła pod sercem dobre, rozjaśniające światło, które swoimi słowami obudził w niej na małą chwilę.

Wróciła do Górnego Langfuhr gdy już się ściemniło na dobre. Dom ojca, stojący na końcu Jäschkentaler Weg, tam gdzie zaczyna się Las Gutenberga i duże wierzby pochylają się nad stawem, z daleka wyglądał na całkiem opuszczony. W oknach nie paliło się żadne światło. Za zamkniętą bramą i ogrodzeniem z desek stał ciemny budynek stolarni, do którego – wiedziała to – nikt postronny nie powinien zaglądać.

Wielka Aleja

Tymczasem robota szła swoim torem. Ojciec wstawał teraz przed szóstą, mył się przy studni, golił brzytwą, wciągał spodnie, koszulę i szedł do warsztatu. Przez szpary w drewnianej ścianie stolarni przenikały promienie wczesnego słońca, było chłodno i rześko, szlifierka, na której ostrzył dłuta, sypała iskrami na zakurzoną podłogę, cierpkie uderzenia siekiery odłupywały drzazgę od kolejnego pnia. Czasu było niewiele. Zrobić z dębowych belek siedem krzyży i to na 22 maja! We wtorek przed dniem świętego Korneliusza pierwsza konstrukcja była gotowa. Została ułożona na wznak pośrodku pokrytego wiórami dziedzińca, ojciec chciał ją ustawić pionowo, by sprawdzić, czy dobrze wyważona, ale odeszła mu ochota, gdy spojrzął na resztki szkła z wybitych okien, zgarnięte w kącie przy bramie. Gdyby podnieść połączone belki krzyża i wysoki słup ustawić pionowo, nad dachem domu przy Jäschkentaler Weg uniosłyby się dębowe ramiona, z pewnością widoczne z daleka, co mogłoby przyciągnąć ludzi z pochodniami. Kiedy z miasta przyszedł Jost van der Maan, razem unieśli drewnianą konstrukcję i podparli koźłem zbitym z desek, tak że leżała teraz ukośnie nad ziemią jak drewniany ptak, próbujący rozpostartych skrzydeł do lotu.

Ojciec przesunął dłonią po gładkim, dobrze wyheblowanym drewnie, które miało wymierzać sprawiedliwość wrogom państwa. Teraz trzeba było skrzyżowane belki pokryć mocnym pokostem, by zabezpieczyć drzewo przed deszczem i śniegiem. Zgodnie z życzeniem Prokuratorii, wpisanym do aneksu rządowego zamówienia, u zbiegu pionowego słupa i poziomej belki ojciec dłutem wyciął godło cesarstwa – czarnego orła w koronie – by każdy, kto w przyszłości stanie pod krzyżem, miał świadomość, że sprawiedliwość może wymierzać tylko sam cesarz.

Ale zanim drewniane konstrukcje były gotowe, posłaniec przyjeżdżał dwukrotnie pod dom przy Jäschkentaler Weg z wezwaniem, by Maria stawiała się na trzecim piętrze gmachu Prokuratorii. Gdy w poniedziałek zjawiała się o wyznaczonej godzinie, asystent Werden przyjął ją w pokoju dużo obszerniejszym niż jego własny, z olejnymi pejzażami Długiego Pobrzeża i Motławy na ścianach, który to pokój – jak zdążyła odczytać na mosiężnej tabliczce przykręconej do drzwi – był biurem samego naczelnika Vorgasta. „Będzie nam tutaj wygodniej – powiedział asystent Werden, nalewając do filiżanek herbatę z porcelanowego czajnika. – Naczelnik Vorgast od rana jest na inspekcji w Dirschau i wróci dopiero po południu. To dzięki jego uprzejmości mogę przyjąć panią w miejscu, które trochę odbiega od urzędowej rutyny”. Za oknem widać było zielone drzewa Bischofsbergu i białe mury twierdzy, nad którą powiewała chorągiew cesarska. – „Więc jak postępują prace?” – Od początku wiedziała, że nie chodzi o żadne prace, ale odpowiedziała uprzejmie, co ojciec już zrobił i co planuje dalej. Asystent Werden zdawał się słuchać wszystkiego z żywym zaciekawieniem, a gdy w jakiejś chwili przerwała, sięgając po filiżankę, pochylił się ku niej z poufałym uśmiechem: „Słyszałem, że są trudności”. Skinęła głową, bo nie widziała powodu, by cokolwiek ukrywać. – „Ktoś wybił nam szyby. Były też groźby...”. „Czy to

znaczy – asystent Werden obracał w palcach zaostrowany ołówek – że potrzeba państwu pomocy ze strony policji?”. „Och, nie – zaprzeczyła ruchem dłoni. – To by tylko pogorszyło sprawę. Jeśli ludzie zobaczą policjanta przed domem...”. „Rozumiem – asystent Werden odłożył ołówek na blat biurka. Ludzie często kierują się niczym nieusprawiedliwioną zawiścią”. Popatrzyła na niego bez uśmiechu: „Nie sądzę, by chodziło tylko o zawiść”. „Tak pani myśli?”.

Za drugim razem rozmowa z asystentem Werdenem przybrała zupełnie inny obrót. Kiedy Maria weszła do jego pokoju, wyszedł zza biurka z ręką wyciągniętą na powitanie, ubrany w cywilny płaszcz z rogowymi guzikami, tak jakby właśnie gdzieś się wybierał. „Przepraszam – powiedziała podając mu dłoń w nicianej rękawiczce – pewnie pomyliłam godzinę”. „Ależ skądże – żywo zaprzeczył. – Tyle tylko, że robotnicy z magistratu muszą naprawić tutaj posadzkę, więc...”. Było to kłamstwo tak jawne, że nawet nie zareagowała, on tymczasem podszedł do drzwi: „O urzędowych sprawach można czasem porozmawiać w nieurzędowym miejscu”. Zeszli na parter, minęli płócienne parasole kwiaciarni pani Holstein, skręcili za słupem ogłoszeniowym z afiszem operetki Salosiego, po czym po schodkach z żelazną poręczą weszli do kawiarni Mayersa, w której o tej porze nie było prawie nikogo, więc można było rozmawiać swobodnie. Asystent Werden zamówił dwie kawy, ciastka wiedeńskie z wiśniami oraz butelkę francuskiego wina. Gdy usiedli przy okrągłym stoliku, zapytał: „Czym się pani zajmuje?”. Odpowiedziała zgodnie z prawdą, że praca, którą dostała u Aschenbachów, skończyła się przed miesiącem, bo Aschenbachowie wyjechali do Posen. „Pomagam ojcu”. „A wcześniej?”. „Wcześniej zajmowałam się chłopcem państwa Aschenbachów”. „Ach, więc należy pani do kobiet, które mają anielską cierpliwość!” – roześmiał się nagle. „Czy gdyby był ładniejszy – pomyślała przez moment – zachowywałabym się inaczej?”. To pytanie,

które później powtórzyła pannie Horstmayer, nie sprawiło jej przyjemności, zbyt dobrze rozumiała jego sens. Nie należał do mężczyzn zachwycających, ale miał coś ujmującego w twarzy, oczywiście jeśli nie pochylał się zbyt blisko. Położył swoją dłoń na jej palcach, ale i tym razem nie cofnęła ręki, choć wiedziała, że powinna to zrobić. „Wie pani – mówił tonem poufałym – mam coś, co mogłoby panią zainteresować. Naczelnik Vorgast – nazwisko przełożonego wymówił miękko – zwierzył mi się, że jest wolna posada dla kogoś, kto ma doświadczenie w opiece nad dziećmi, a raczej nad chłopcami w wieku...”. „I pan oczywiście pomyślał o mnie” – skubnęła srebrnym widelczykiem wiedeńskie ciastko. „I ja – roześmiał się znowu, rozpromieniony – oczywiście pomyślałem o pani”. „Ale co pan ma na myśli?” Poprawił mankiety białej koszuli wystające z rękawów surduta, mimochodem sprawdzając, czy spinki leżą dobrze. – „O, na razie nic konkretnego...”. Rozstali się uprzejmie, ale na pożegnanie ujął ją za łokieć, na co dotychczas sobie nie pozwalał, ona zaś i tym razem nie uwolniła ręki z uścisku, czekając, aż sam rozluźni palce.

Kiedy wracała do domu pod drzewami Neue Promenade, ktoś wykrzyczał za nią parę obelżywych słów, aż musiała go odpędzić parasolką. Cóż, do diabła, chcą od niej ci ludzie? Przecież ojciec – przekonywała siebie – jest stolarzem, dostał zamówienie rządowe, na jakie czekają wszyscy stolarze w mieście, a z umowy wywiązuje się jak najlepiej potrafi. Zresztą człowiek, który ją zaczepił, starszy mężczyzna w brudnym kapeluszu i podartym płaszczu, wyglądał na podchmielonego, więc mogła zlekceważyć zaczepki, chociaż parę osób idących ulicą usłyszało niedobre słowa, jakie w jej stronę wykrzyczał. Najważniejsze – mówiła sobie – że dzięki zamówieniom rządowym, które takim staraniem załatwiła w Prokuraturii, ojciec może spokojnie myśleć o przyszłości, a ludzie, jak to ludzie, zazdroszczą każdemu. Po spłacie długów

właścicielom tartaków z Schidlitz i Brosen, ulokował część zaliczki na dobry procent w filii banku Hersena przy Wieży Więziennej, gdzie przyjęto go nader uprzejmie, a nawet zaproponowano procent wyższy niż się spodziewał...

21 maja przed dom przy Jäschkentaler Weg zajechały konne furgony, otoczone oddziałem policji pod dowództwem porucznika Jastewitza, który obstawił drogę biegnącą z Pietzkendorf w dół, ku centrum Langfuhr, by zapobiec możliwym niepokojom. O dziesiątej, gdy cień Lasu Gutenberga przesunął się w stronę Silberhammer, załadowano siedem drewnianych konstrukcji na okute blachą wozy, przykryto wszystko brezentem, by nie drażnić oczu ludzi postronnych i wolno zjechało pochyłą, piaszczystą drogą w stronę miasta. Ojciec wywiązał się z kontraktu wzorowo, wszystko było gotowe na jeden dzień przed wyznaczoną datą, co – jak odnotował asystent Werden w swoim raporcie dla władz Prokuratorii – dobrze rokowało na przyszłość.

Otoczony konnymi policjantami konwój wjechał do Langfuhr, potem skręcił przy fontannie w stronę obsadzonej starymi lipami Wielkiej Alei. Ludzie przystawali na chodnikach, w milczeniu patrząc na ciężkie wozy z ukrytym ładunkiem, których koła zgrzytały po bruku, ale obok domu Uphagena, od strony małego parku, zza drzew doleciały gwizdy i ktoś rzucił nawet kamieniem, który spadł na jezdnię przed pierwszym furgonem, płosząc konia porucznika Jastewitza. Policjanci wyjęli z kabur pistolety, ale nikt nie wystrzelił, bo nie było rozkazu. W zupełnej ciszy konwój ruszył dalej pod lipowymi koronami Wielkiej Alei do śródmieścia Gdańska, gdzie na dziedzińcu komendy policji przy Karren Wall, za żelazną bramą wartowni, czekali już urzędnicy z Prokuratorii, by przejąć ładunek i po koniecznej naradzie z komisarzem Bielskowskim, który przybył na miejsce około godziny dwunastej w towarzystwie radcy Benecke i sekretarza Amielsa, zadecydować o jego dalszym przeznaczeniu.

Kiedy tydzień później, w niedzielne popołudnie, Maria pojechała do Zoppot, żeby koło trzeciej spotkać się na molo z panną Horstmayer – umawiały się na to spotkanie od tygodnia – z okna pociągu, który przejeżdżał po kolejowym wiadukcie nad Ostseestrasse w Oliwie, zobaczyła ciemne wzgórze Karlsberg, wznoszące się nad Katedrą. Na szczycie wzgórza stały obok siebie trzy drewniane konstrukcje w kształcie rzymskiej litery T, jakby je ktoś wyrysował czarnym atramentem na białym niebie.

Parę dni później zaś w domu przy Jäschkentaler Weg zjawił się znowu posłaniec w granatowym uniformie Prokuratorii. Podał list w zapieczętowanej kopercie, lecz tym razem wcale nie poprosił o pokwitowanie. Nie zaczął też na odpowiedź, tylko wsiadł do powozu i odjechał, przykładając palce do urzędowej czapki z błyszczącym daszkiem.

Maria otworzyła kopertę. Wysunęła się z niej kartka z paroma zdaniem podpisana przez jakąś panią Hedwig Sonnenberg, która zapraszała ją na spotkanie do willi Evans. Chodziło – jak to zostało uprzejmie sformułowane – o sprawy związane z opieką nad chłopcem, którego imienia w liście nie wymieniono, musiała więc to być, jak się domyśliła, sprawa, o jakiej asystent Werden wspomniał podczas rozmowy w kawiarni Mayersa. Cóż, byłoby chyba nierozsądne zlekceważyć zaproszenie, za którym mogły pójść warte rozważenia propozycje, bo o pracę w mieście było trudno, a pieniądze ojca i tak za jakiś czas musiały się skończyć. Postanowiła więc, że o wskazanej godzinie stawi się w willi Evans.

Willa Evans

Do willi Evans pojechała koło ósmej, gdy już się ściemniało, a ulic nie oświetlały jeszcze latarnie, które zapalano dopiero przed dziesiątą. Wieczór był pełen spokoju i ciszy, która nadciągała zielonym cieniem od strony Lasu Gutenberga, chłodna i przejrzysta. Pokojówka, która przyjęła ją w drzwiach, nie wyglądała na zdziwioną. Nie zapytała nawet o nazwisko, tylko poprowadziła ją przez salon na taras otoczony pergolą z dzikim winem, na którym, przy żelaznym stoliku siedziało parę osób. Starsza dama w sukni z połyskliwej organdy, z kameą pod szyją i włosami upiętymi w kok, skinęła na nią dłonią. „Proszę, niech pani usiądzie” – wskazała krzesło. Gdy Maria usiadła, mogła przyrzeć się ludziom, siedzącym przy stole. Był wśród nich asystent Werden, pogodny i rozluźniony, w czarnym wizytowym ubraniu z goździkiem w klapie, jakby nigdy w życiu nie pracował w żadnej Prokuratorii. Przy stole siedział też starszy mężczyzna w piaskowym ubraniu ze srebrną dewizką, o wyglądzie emerytowanego oficera, może nawet wysokiej rangi, który teraz zapalał cygaro od świecy, stojącej między koszykiem z pieczywem a szklaną paterą z owocami. Nie wiedzieć czemu, pomyślała, że znalazła się przed jakąś komisją, choć zachowanie osób przy stole, swobodne i uprzej-

me, nie miało nic wspólnego z żadnymi urzędowymi procedurami. Rozmowa, którą rozpoczęła starsza dama, biegła kapryśnymi liniami, zmieniając tematy i wątki. Pytano ją o rzeczy rozmaite, przerywając odpowiedzi żartami. Początkowo wyglądało na to, że ludzie siedzący przy stole chcą wiedzieć, jak sobie radziła z chłopcem Aschenbachów, a przedtem z synem naczelnika Hochfelda, którego uczyła nie tylko francuskiego i geografii, lecz także matematyki, ale pytania, jakie jej zadawano, odbiegały czasem daleko od tej sprawy, na przykład, gdy starszy mężczyzna o wyglądzie emerytowanego oficera chciał się dowiedzieć, co Maria myśli o malarzu Rembrandcie, aktualnej polityce Francji, sytuacji biedoty zamieszkującej północną dzielnicę miasta, czy uważa, że protestantyzm jest lepszy od katolicyzmu i czy sądzi, że wszyscy ludzie są równi. Odpowiadała oszczędnie, trzymając się schematów, wyczuła, że nie powinna się wdawać w żadne przepastne dywagacje, ożywiła się tylko, gdy pani Sonnenberg – dama w sukni z połyskliwej organdy – zaczęła mówić do niej po francusku. Odpowiedziała płynnie, choć z wyczuwalnym północnym akcentem, którego Francuzi nie lubią, co wszystkich rozbawiło. Kątem oka dostrzegła błyszczące z zadowolenia oczy asystenta Werdena, który zachowywał się zupełnie inaczej niż w biurze, wyraźnie okazując nadmierny szacunek mężczyźnie o wyglądzie emerytowanego oficera, ten zaś chwilami klepał go poufale po ramieniu, zachęcając do żartów, których zresztą nie bardzo słuchał. Dopiero koło jedenastej, gdy na tarasie zrobiło się chłodniej i goście przeszli do salonu, rozsiadając się w pluszowych fotelach, pani Sonnenberg powiedziała, że starszy mężczyzna jest przyjacielem domu, lubi grywać w szachy, kolekcjonuje ryciny Chodowieckiego i nazywa się Andreas Gerstenweg, ona sama zaś zajmuje się prowadzeniem domu prokuratora Hammelsa. Na dźwięk tego nazwiska Maria drgnęła, jakby się przesłyszała. Dobrze wiedziała, kim jest prokurator Hammels, ale pani Sonnenberg ujęła ją pod rękę i mile

ścisząc głos, powiedziała, że będzie się im – jej i Marii – na pewno dobrze razem pracowało. „Ale gdzie?” – wymknęło się Marii. – „Jak to gdzie, panno Ferbelin? Chcielibyśmy, by zajęła się pani Helnutem, synem prokuratora Hammelsa. Co pani na to?”

Wszystko stało się tak nagle, że nie mogła zebrać myśli. Poprosiła o trochę czasu do namysłu, bo przecież sprawa, o której mowa, pewnie wiele może zmienić się w jej życiu, a poza tym nie jest pewna, czy podoła obowiązkom, jakie miałyby ją czekać, więc musi rozważyć wszystkie za i przeciw, na co zgodzono się chętnie.

Prokurator Edward Wolfgang Hammels, zarządca wschodniej prowincji cesarstwa, naczelnik Prokuratorii i wojskowy komendant miasta, najważniejsza osoba w Gdańsku i ona – jako domowa nauczycielka jego syna, przewodniczka po krainach wiedzy i dobrego wychowania... Musiała zapytać ojca, jak powinna postąpić. Dopiero gdy wracała powozem do domu ulicą Jäschkentaler Weg, zdała sobie sprawę, jak dużo wiedzieli o niej mili, nieznanomi ludzie, z którymi rozmawiała w willi Evans. Nie było dla nich tajemnicą nawet to, z kim przyjaźniła się w gimnazjum Pestalozziego, a przecież od czasu, kiedy jako młoda nauczycielka z Królewskiego Seminarium Nauczycielskiego była tam na praktykach, minęło parę ładnych lat. Miała wrażenie, że ludzie, którzy prowadzili z nią uprzejmą rozmowę, mają w swoim posiadaniu gruby album ze wszystkimi fotografiami z całego jej życia i teraz, wieczorami, w świetle lampy z porcelanowym kloszem, oglądają sobie zdjęcie po zdjęciu, komentując jej dawne fryzury i stroje. Wiedzieli nawet, że ostatnio spotyka się z panną Horstmayer na polach pod bastionami, gdzie – jak to określił starszy mężczyzna o wyglądzie emerytowanego oficera – wygłasza swoje kazania ten człowiek z Nadrenii, który wnosi do miasta pewien niepokój. „Nie wiemy o nim zbyt wiele. Nie byłoby, rzecz jasna, nic w tym złego, gdyby

się pani do tych ludzi zbliżyła, oczywiście zachowując konieczną w takich razach ostrożność...”. Nie były to słowa przyjemne, ale przecież gdyby rzeczywiście dostała posadę w domu prokuratora Hammelsa, bardzo by to wzmocniło pozycję ojca. A matka? Kiedy przed północą rozmawiały o spotkaniu w willi Evans, matka spytała ściszym głosem: „Więc wypytywali cię o wszystko?”. „O wszystko”. „I dużo wiedzieli?”. „Bardzo dużo”. „Wygląda na to, że to poważna sprawa. Chyba byłoby nierozsądne, gdybyś odmówiła”.

Po namyśle napisała list do pani Sonnenberg, że ofertę przyjmuje i swoje obowiązki postara się wypełniać jak najlepiej, ale nie chciała mieszkać w domu prokuratora Hammelsa. Wiele razy mijała ten dom na spacerach, zawsze z niepokojem. Stał pod lasem Gutenberga, niedaleko willi właściciela gdańskiej stoczni, Schichaua, dwupiętrowy, z galerijką na dachu, dwoma spiczastymi wieżyczkami, pięknym stawem w ogrodzie, gdzie pływały japońskie ryby o czerwonych skrzelałach, a przy wejściu na podjazd w małej wartowni wiecznie dyżurowało dwóch policjantów w pikielhaubach. Wołała mieszkać nadal w domu ojca koło stolarni, na co zgodzono się chętnie. Zresztą, jak ją zapewniono, może też – o ile zajdzie taka potrzeba – nocować w pokoju gościnnym na piętrze, który zawsze będzie przygotowany na jej obecność.

Pierwszy dzień pracy w domu prokuratora Hammelsa zapamiętała na zawsze. Był piątek, dwudziestego pierwszego czerwca. Gdy zjawiała się o jedenastej, jak było umówione, powitała ją w sieni sama pani Sonnenberg – ale jakże odmieniona! W granatowym uniformie z białymi szelkami skrzyżowanymi na plecach i koronkowym kołnierzykiem, rumiana, uczesana gładko, z równiutkim przedziałkiem pośrodku głowy i porcelanowym uśmiechem, od razu wzięła ją pod rękę i miłym, zachęcającym gestem zaprosiła do środka. Gdy poszły na górę po schodach z rzeźbioną poręczą, na półpiętrze, przy oknie z karminowo-niebieskim witrażem, minął je wy-

soki mężczyzna w domowym stroju, przystojny, mocno zbudowany, trochę już siwiejący na skroniach, w którego ruchach czuło się jakąś ociężałość, mogącą być – jak Maria sobie pomyślała – skutkiem jakiejś przewlekłej choroby albo długotrwałego zmęczenia. Pani Sonnenberg chciała mu od razu przedstawić Marię, ale on przeszedł obok nich obojętnie z plikiem kartek w rękę i tylko mruknął coś pod nosem, co mogło być równie dobrze powitaniem jak pożegnaniem. Był to sam prokurator Edward Wolfgang Hammels, sprawujący od listopada funkcję zarządcy wschodniej prowincji cesarstwa, kiedy to uroczyście, po nominacji, którą otrzymał w Poczdamie z rąk samego cesarza, sznelcugiem Królewieckim przybył do Gdańska, by podjąć niecierpiące zwłoki obowiązki służbowe. Teraz schodził do swojego gabinetu na parterze, przy którego drzwiach cierpliwie czekał na niego jakiś służbiście wyprostowany urzędnik w granatowym mundurze Prokuratorii ze skórzaną teczką w dłoni.

Maria знаła twarz prokuratora Hammelsa z fotografii w gazetach, pełną powagi i mocy, więc wcale się nie zdziwiła, że minął ją na schodach jak duch ojca Hamleta, zaprzątnięty sprawami wagi państwowej.

W pokoju na piętrze było jasno i chłodno. Oszklone drzwi na balkon otwarto szeroko. Rozpościerał się z nich widok na słoneczny ogród, gdzie wśród krzewów różanecznika biła w górę biała fontanna, zraszając klomby i strzyżone trawniki. Za ogrodem był brzoźowy zagajnik, za nim wznosiła się ciemna ściana Lasu Gutenberga. Syn prokuratora Hammelsa, jasnowłosy chłopiec w granatowym ubraniu z białymi guzikami, siedział przy stole zarzuconym książkami. Bawił się właśnie blaszanym modelem transatlantyku „Columbus”, gwizdem naśladowując szum oceanicznego wiatru. Gdy weszła, spojrzął na nią nieuważnie, jakby wziął ją za kogoś z personelu, kto ma jakąś pilną sprawę do załatwienia, ale zna swoje miejsce w domowej hierarchii. Pani Sonnenberg

przedstawiła mu Marię, na co odpowiedział grzecznie, na moment przerywając zabawę: „Nazywam się Helmut. Jestem synem prokuratora Hammelsa”. Gdy Maria podała mu rękę, wstał z krzesła i mocnym uściskiem odwzajemnił uścisk, ale zrobił to tak, jakby myślami był gdzie indziej. Miał ładne, orzechowe oczy o błękitnawych białkach i różową, delikatną cerę z brzoskwiowym puszkciem na policzkach, której nie lubi słońce. Pani Sonnenberg rozejrzała się po pokoju, by upewnić się, czy wszystko leży na miejscu, po czym wyszła, mówiąc: „Zostawiam was samych, żebyście się lepiej poznali”.

Maria usiadła na krześle, a chłopiec wrócił do swojej zabawy, jakby jej nie zauważał. Po chwili podniósł oczy znad blaszanego transatlantyku „Columbus”: „Teraz pani powinna powiedzieć: Poznajmy się lepiej, Helmut. Powiedz na początek, kim chciałbyś być”. Maria uśmiechnęła się, bo równie swobodne maniery dobrze pamiętała z domu Aschenbachów, gdzie mały Axel zachowywał się podobnie. Poprawiła włosy palcami: „No, więc powiedz, kim chciałbyś być”. Chłopiec patrzył na nią spokojnie: „Chciałbym być komendantem policji – po czym, widząc jej nieufne spojrzenie, roześmiał się rozbrajająco. – Żartuję. Chciałbym być uczonym – odłożył model transatlantyku na stół. – Ale takim uczonym – zmrużył oczy – który potrafi wytłumaczyć, po co wszystko istnieje”. „Chyba takich uczonych nie ma na świecie” – wygładziła palcami suknię na kolanach. „Wiem – skrzywił się – takich uczonych nie ma”. Potem przez chwilę milczał. „Widziała pani mojego ojca?”. Kiwnęła głową. Pogroził jej palcem: „Niech się pani do niego nie zbliża. Odkąd umarła matka, nie lubi kobiet”. „Nie powinieneś się o to martwić. Jestem tu po to, by cię uczyć matematyki i francuskiego”. Uśmiechnął się kwaśno: „Tak się zawsze mówi. Ale ja bym wolał, żeby pani trzymała się od niego z daleka”. Trochę ją to zniecierpliviło: „Daj spokój. Już powiedziałam, po co tu

jestem”, ale sama przed sobą musiała przyznać, że kiedy prokurator Hammels przechodził obok niej po schodach, poczuła niepokój, który nie wróżył niczego dobrego. „Niech pani pamięta – Helmut przypatrywał się jej zmrużonymi oczami – nie chcę tu żadnych kłopotów. Oni panią zatrudnili po to, żeby pani z nim spała”. Aż się zachnęła na te słowa: „Cóż ty sobie wyobrażasz! Nie pozwalam ci tak do mnie mówić”. Pokiwał głową z politowaniem: „A kim właściwie pani jest, panno nie wiadomo kto? Pani jest kobietą do wynajęcia, którą w każdej chwili mogę zwolnić. Musi się pani dobrze sprawować, jeśli nie chce pani stracić posady”. Tego już było za wiele: „Masz nigdy do mnie nie mówić w ten sposób!” – powiedziała stanowczo, nadrabiając twardością głosu niepewność, co od razu skwitował ironicznym uśmiezkiem. „Pani jest kobietą do wynajęcia, którą można zastąpić w każdej chwili. Sto takich jak pani czeka na pani miejsce”. „Nie jesteś zbyt uprzejmy” – pokręciła głową. „Pani mnie jeszcze nie zna – oczy mu pociemniały. – Jak sobie podetnę żyły, to pani pójdzie siedzieć, rozumie pani?”. Dopiero teraz zrozumiała, jak trudne czeka ją zadanie. Chłopek nie mógł dojsć do siebie po śmierci matki, więc wygadywał wszystkie te głupstwa. Musiała mieć wiele cierpliwości, by przełamać lody. Nagle zepchnął ze stołu wszystkie książki, które posypały się na podłogę: „Niech pani stąd wyjdzie! Nie chcę pani widzieć na oczy! No, już! Precz!”. Krzyczał, zachłystując się płaczem. Chciała do niego podbiec, ale sięgnął po mosiężny nóż do papieru: „Niech pani nie próbuje! – warknął ostrzegawczo, pochylając ku niej ostrze. – Niech się pani stąd wynosi!”.

Na jego krzyk w drzwiach zjawiała się pani Sonnenberg. Wyprowadziła Marię na korytarz: „To od śmierci pani Luizy. – mówiła ściszym głosem. – Musi być pani cierpliwa. Zresztą on zaraz się uspokoi”. Zamknęła starannie drzwi, zza których dobiegał urywany szloch. Maria nie mogła dojsć do

siebie, ale starała się nie okazywać wzruszenia, bo mogło to – jak pomyślała – zaszkodzić jej w oczach chlebobawców. Musiała być zrównoważona, czuła, lecz i stanowcza. „Czy już mu się to zdarzało?”. Pani Sonnenberg zmarszczyła brwi: „Pani poprzedniczki dość szybko rezygnowały”. „Ach, tak” – mruknęła do siebie, przypominając sobie rozmowę z asystentem Werdenem w kawiarni Mayersa. Teraz wiedziała, że w każdej chwili może zdarzyć się wszystko. Musiała być uważna, czujna i ostrożna. W końcu bardziej chodziło jej o stolarza Johanna Ferbelina, którego przyszłość po zrealizowaniu zamówienia rządowego rysowała się niepewnie, niż o nią samą, a wynagrodzenie, jakie jej zaproponowano w domu prokuratora Hammelsa, rzeczywiście przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Nic dziwnego, że asystent Werden mówił o anielskiej cierpliwości, którą powinna w sobie odnaleźć.

Wróciła do pokoju po kilku minutach. Chłopiec już nie płakał. Bawił się modelem transatlantyku, jakby nic się nie stało. „Pani myśli, że ja tak na serio – popatrzył na nią z niechęcią. – Ja potrafię odegrać wszystko. Kiedy dorosnę, będę prokuratorem prowincji. Muszę umieć różne rzeczy”. „Nie było to przyjemne” – usiadła na krześle pod oknem. „A kto pani powiedział, że tu będzie przyjemnie? Za takie pieniądze chciałaby się pani wylegiwać? Musi pani zasłużyć”. „Zachowujesz się dziwnie” – powiedziała łagodnie. „Nie do pani należy komentowanie moich zachowań – wybuchnął. – Czy pani wie, że jest wstętna?”. Postanowiła, że da mu się wygadać, więc nie odpowiedziała na zaczepkę. – „Niech pani zobaczy, jak pani wygląda”. Ale mówiąc to nie sięgnął po lusterko, tylko otworzył atlas anatomiczny na różowo-fioletowej planszy. „Kobiety są obrzydliwe. Mają w sobie wszystkie te świństwa” – pokazał palcem rycinę z medycznymi podpisami, na której było widać dół kobiecego brzucha. „Chyba masz rację – uśmiechnęła się. – Kobiety są obrzydli-

we. Ale mężczyźni też”. Kiedy to powiedziała, podniósł oczy z szelmowskim uśmiechem: „No pewnie, że są obrzydliwi. Dokładnie tak samo jak one. Nigdy nie będę miał żony” – zakończył stanowczo. „Jasne – potwierdziła, nie przestając się uśmiechać. – Żona to nic dobrego”. Zaczął się śmiać. „Tak pani naprawdę myśli?”. „Tak myślę” – otarła mu czoło chustką. – „Więc nie jest pani tak głupia, jak myślałem. Chrześcijańscy pustelnicy mieli rację, kiedy obywali się bez kobiet. A pani – w jego głosie znowu pojawiły się zaczepne tony – potrafi obyć się bez mężczyzn?”. „To jest zbyt prywatne pytanie, panie Hammels”. „Sprytne – rozpiął kołnierzyk pod szyją. – Umie się pani wykręcić, ale ja myślę, że pani nie umie się obyć bez mężczyzn. Kiedy koło pani przechodzą, to pani drży, prawda?”. „No, czasem drzę” – przyznała, nie tracąc dobrego humoru. „I do łóżka pani z nimi chodzi?”. Uniósł obie dłonie w modlitewnym geście: „A cóż to ty, panie Hammels, tak się uparteś na to łóżko? Nie ma ważniejszych spraw?”. Przez chwilę milczał: „Są”. „A jakie?” – zapytała, żeby podtrzymać rozmowę. „Pani mnie nie traktuje poważnie, ale myślę, że da się panią polubić. Będzie się pani do mnie zawsze zwracać per panie Hammels?”. „A chcesz?”. „Chcę. Niech tak zostanie. Już niedługo będę przecież prokuratorem prowincji. Muszę nabrać powagi”. „Na pewno. Ale teraz pokaż mi swoje zeszyty”. „No, tak – powiedział rozczarowany – koniec zawsze musi być nieskończenie banalny”.

Ale zeszyty pokazał. Tak zawarła z nim prowizoryczne przymierze, które mogło w każdej chwili zostać zerwane.

Uzdrowienie

Johann Ferbelin zapłacił jednak wysoką cenę za wysiłek, jaki włożył w zbudowanie siedmiu drewnianych konstrukcji w tak szybkim tempie. Siedem dni po tym, jak osłonięte brezentem furgony odjechały z ukrytym ładunkiem z dziedzińca przy stolarni do budynku komendy policji przy Karren Wall, potknął się na progu stolarni i upadł tak nieszczęśliwie, że dopiero po paru minutach odzyskał przytomność. W stolarni nie było nikogo, leżał na boku, nie mogąc wydać z siebie głosu, ale przeraził się dopiero wtedy, gdy zobaczył, jak mrówki wspinają się na jego bezwładną dłoń, maszerując po przegubie w stronę łokcia, a on nie czuje ani swędzenia, ani ukłuć. Z policzkiem przyciśniętym do zakurzonej podłogi patrzył, jak przechodzą tuż obok otwartego oka, niemal zaczepiając o rzęsy. Mógł je odpędzić od twarzy tylko mocniejszymi dmuchnięciami. Popchnięte falą oddechu przewracały się na grzbiet, po czym, przebierając nóżkami, wstawały, by iść znowu dalej tuż obok oka w swoim upartym marszu po zakurzonej powierzchni desek podłogi w stronę nieruchomej dłoni, na której odnajdywały okruchy chleba i ślady cukru do herbaty. Ciało ogarniał chłód, jakby krew zamarzała pod skórą. W smudze

słonecznych promieni, przenikającej przez zakurzone okno, brzęczały muchy.

Nikt w domu nie zwracał uwagi na jego nieobecność, bo wszyscy wiedzieli, że o tej porze zwykle pracował w stolarni. Słyszał teraz głosy dobiegające zza ściany, śmiechy i krzyki, kroki na drewnianym pomoście koło bramy, szum wody nalewanej do dzbanka, dzwonienie wiadra przy studni, ale wszystko to było niewyobrażalnie dalekie. Nie był w stanie nawet poruszyć palcami. Uwięziony w kleszczach sztywniejących mięśni, próbował się modlić, ale nic z tego nie wyszło. Przerażenie było zbyt wielkie. Przez parę minut mówił sobie, że to stan tylko chwilowy, że za moment podkuli kolana, podeprze się na łokciu i wstanie na nogi. Spróbował to zrobić, ale poczuł tylko, jak wzdłuż kręgosłupa ścieka zimny pot.

Maria znalazła go o trzeciej. Gdy weszła do stolarni z kubkiem gorącej kawy, którą zaparzyła mu tak, jak lubił, zobaczyła przy stole skulone na podłodze ciało, leżące bezwładnie w żółtej kałuży moczu wśród wiórów i pociętych kawałków drewna. Nawet nie krzyknęła. Postawiła kubek na blacie, pochyliła się nad nim, wzięła go pod pachy, uniosła, ale leciał jej przez ręce jak worek pełen kamieni. Razem z matką i Jostem, którego zawołały ze stajni, wciągnęły go do sypialni, rozebrały do naga, położyły na świeżym prześcieradle i uważnie wytarły mokrą gąbką, wypatrując na skórze zranień i skaleczeń. Skóra na ramionach i piersiach była zimna, gładka, bez żadnych zadrapań, tylko trochę mocniej zaróżowiona na prawym biodrze, którym pewnie uderzył, przewracając się na podłogę. Na jego widok matka zalała się łzami, przeklinając dzień, w którym Maria przyniosła do domu papier z podpisem naczelnika Vorgasta, bo przecież – nie miała wątpliwości – od tego zaczęło się wszystko. Przeklinała też cesarza, którego duży portret, zalany herbatą, widniał na pierwszej stronie gazety rozłożonej na kuchennym stole,

tak jakby to on sam, pan i władca cesarstwa, wielki Wilhelm, ściągnął wszystkie nieszczęścia na rodzinę Johanna Ferbelina, biednego stolarza z Langfuhr, który nikomu nigdy nie zrobił nic złego, a teraz musiał cierpieć za nie wiadomo czyje grzechy. „Boże drogi – wzdychała, patrząc z wyrzutem na Marię – że też musiałaś przynieść do domu ten przeklęty papier! Niech piekło pochłonie tego twojego asystenta Werdena, który niby ci tak pomagał! Co ja teraz zrobię z twoim biednym ojcem?” – lamentowała w kuchni, rzucając okiem na drzwi, za którymi na spiętrzonych poduszkach leżał stolarz Ferbelin, wpatrzony w sufit, niemy i głuchy jak pień świętego dębu.

Ale Maria powiedziała sobie, że zrobi wszystko, by go z tego wyciągnąć. W końcu mieli teraz pieniądze i to niemałe, można więc było sobie pozwolić na sprowadzenie prawdziwie dobrych doktorów, a nie konowałów z Górnego Langfuhr, z których pomocy zwykle korzystano. Doktor Wielocki z Akademii Lekarskiej, docent na oddziale chirurgii, gdzie jak mówiono, dokonywał cudów, przyjechał powozem w piątek, ale kiedy wszedł do pokoju, w którym ojciec leżał pod wilgotnym od potu prześcieradłem, nie potrzebował wiele czasu, by skonstatować: „To wylew, szanowne panie. Moja sztuka w tym miejscu się kończy. Może gdyby nie upadł...”. Maria chwyciła go za rękę: „Niech pan coś zrobi! Zapłacę!”. Niechętnie uwolnił się z uścisku. – „Mózg uszkodzony. Ojciec pani może tak leżeć latami. Widzi pani, są takie sytuacje, że... nic nie można...”. Maria zachłusnęła się łzami, grożąc mu pięścią. „To taki z pana lekarz! – krzyczała. – Czego was tam ucza?”. „Proszę panią – zniecierpliwził się – gdybym mógł... Ale wygląda na to, że wszystko... Bardzo żałuję”. Wziął narzędzia ze stołu, włożył do skórzanej walizeczki, wszedł do powozu i odjechał do miasta. Podobnie zachowali się profesor Almayer i doktor Wirth, który przyjechał z samej kliniki Hygea w Zoppot.

W sobotę zadzwoniła panna Horstmayer: „Słyszałam o ojcu...”. „Ach, Sophie, nic nie mów, bo już nie wiem...”. – Maria zamilkła ze słuchawką w dłoni. Ale panna Horstmayer nie obraziła się: „Zgodzisz się, żeby zobaczył go Nauczyciel z Neustadt?” – Marii wydało się to tak niepojęte, że aż się do siebie uśmiechnęła. – „A zechce?”. „Kto wie – panna Horstmayer ściszyła głos w słuchawce – może zechce. Jak będę coś wiedziała, zadzwonię”.

We wtorek koło południa, ktoś zapukał do drzwi domu przy Jäschkentaler Weg. Maria kroiliła właśnie mięso, które upiekła na obiad, uważnie czubkiem noża rozkładając świeże plastry na porcelanowym półmisku i przystrajając wszystko posiekaną pietruszką. Gdy otworzyła drzwi, stał przed nią młody, może trzydziestoletni mężczyzna, w ciemnym ubraniu, trochę podobny – jak pomyślała – do Nauczyciela z Neustadt, ale – jak o tym później opowiadała panie Horstmayer – jakby szczuplejszy od niego i młodszy. Kurtka z drewnianymi guzikami wisiała na nim jak ubranie ze starszego brata. Całe zresztą ciało mężczyzny, szczupłe i kruche, miało w sobie coś chłopięcego, choć dawno już przestał być chłopcem. Był wysoki, miał ciemne oczy pod gęstymi brwiami, nos trochę za duży, lekko zagięty, gładkie, starannie ogolone policzki z ciemnym śladem zarostu, usta wąskie, wysunięty podbródek, kształtną głowę na chudej szyi, ostrą grdykę przesuwającą się pod skórą, kiedy przelykał ślinę – wszystko to sprawiało, że wyglądał na młodszego niż był w rzeczywistości.

W pierwszej chwili wydał jej się zupełnie bezbronny i zagubiony, dopiero później zdała sobie sprawę, że to stoi przed nią on sam, Nauczyciel z Neustadt, we własnej osobie, a nie ktoś do niego podobny. Gdy razem z panną Horstmayer chodziła na łąkę pod bastionami, widziała go tylko z daleka, jak stał wysoko na trawiastym szczycie bastionu św. Gertrudy, taflą wody wypełniającej fosę oddzielony od ludzi siedzą-

cych na łące. Wyglądał wtedy – musiała to przyznać – na kogoś dużo potężniejszego. Jego spokojne, władcze gesty sprawiały, że kiedy przemawiał do tłumu, cała sylwetka nabierała mocy. Teraz stał przed nią w słońcu, które od strony Lasu Gutenberga rzucało cień stolarni na zasypany wiórami dziedziniec, ale kiedy na niego patrzyła, miała wrażenie, że widzi przed sobą bardziej jego odbicie w wodzie kanału, jasne jak złota plama rozlana na czystym lustrze, niż jego samego, męczyznę z krwi i kości.

„To dom Ferbelinów?” – zapytał od niechcienia, a kiedy kiwnęła głową, wszedł do sieni, po czym spokojnie wkroczył do kuchni i odgarniając dłonią gęste włosy znad czoła, usiadł przy stole. Uśmiechnął się do matki, na co odpowiedziała mu uśmiechem, jakby się znali od lat, chociaż widziała go po raz pierwszy. Dopiero teraz Maria spostrzegła, że ma zarzucaną na ramię skórzaną torbę na długim pasie. Matka natychmiast podsunęła mu talerz z mięsem, szklankę wina i świeżo ukrojoną kromkę chleba posypanego grubą solą, ale nawet na to nie spojrzał. Znad stołu, na którym oparł łokcie, przez dłuższą chwilę patrzył przez okno na zasypany wiórami dziedziniec stolarni, gdzie przy studni stało kilku jego uczniów, z którymi przyjechał wozem zaprzężonym w dwa konie, a którzy teraz – Maria tak pomyślała – wyglądali jak zupełnie obcy, zajęci swoimi sprawami ludzie.

Chciała mu od razu opowiedzieć o tym, co stało się z ojcem, ale powstrzymał ją ruchem dłoni. Przez parę chwil w milczeniu rozglądał się po kuchni, potem położył na stole skórzaną torbę, w której coś brzęknęło. Gdyby nie jego kruche ramiona i delikatne dłonie, na których kładło się słoneczne światło, pewnie pomyślałaby, że jest nieuprzejmy, a może nawet grubiański, ale on tylko – nie mogła sformułować tego inaczej – był ledwie obecny duchem, jakby ciało nie do końca było mu posłuszne. Spostrzegła, że przy niezwykłej zręczności palców, z jaką rozwiązał rzemienie przy

skórzanej torbie, poruszał się niezgrabnie. Miał chude ręce i nogi, trochę jakby za luźne w stawach, co sprawiało, że przy chodzeniu kulił ramiona, żeby zachować równowagę, a kiedy siadał przy stole, musiał oprzeć łokcie na blacie. Przygarbiony, z lekko wysuniętą do przodu głową, co jakiś czas odgarniał z czoła włosy o ciemnym połysku, które wciąż spadały mu na oczy, jak chłopcu, który nie przepada za fryzjerem.

Dopiero teraz spojrzął na Marię, chociaż powitała go w drzwiach i wprowadziła do kuchni. Bez słowa stała przed nim po drugiej stronie stołu. „Pani ma na imię Sofia?” – zapytał, ale zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. Chciała od razu sprostować, że nazywa się Maria, Maria Ferbelin, że pewnie ją pomylił z Sophie Horstmayer, którą być może – pomyślała o tym z nagłą niechęcią – zna bliżej, ale tylko zaprzeczyła lekkim ruchem głowy. Zresztą w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. „Pani urodziła się w listopadzie?” – dorzucił po chwili, wyjmując ze skórzanej torby dziwne przedmioty z lśniącego metalu, o których przeznaczeniu nie miała pojęcia. Nawet nie potrafiła rozpoznać dokładnie ich kształtów, bo światło słoneczne, wpadające do kuchni przez okno, odbijało się od wypolerowanych powierzchni. Przez chwilę wydały jej się podobne do igieł dawnych kompasów, jakie widuje się na starych żaglowcach, albo wielkich cyrkli astronomicznych, których nikt już nie używa, ale może były to dawne instrumenty medyczne, wyciągnięte z jakiejś starej apteki, czy raczej – to podejrzenie jeszcze bardziej ją zniechęciło – przedmioty służące do jakiegoś religijnego kultu.

Paroma ruchami dłoni poprawił ich ułożenie na stole, pewnie przekonany, że ważna jest kolejność, w jakiej leżą obok siebie i czy ostrymi końcami zwrócone są w stronę miejsca, gdzie przebywa chory. Maria poszła do pokoju na końcu korytarza, by sprawdzić, co się dzieje z ojcem, a może nawet – taką nadzieję miała przez mgnienie – powiedzieć

mu, że zaraz będzie miał ważnego gościa, ale gdy pochyliła się nad nim, by sprawdzić, jak się czuje, zobaczyła, że leżąc na wznak, ma oczy zamknięte i prawie nie oddycha. Na ramionach i piersiach w paru miejscach pojawiły się sinawe plamy, które wyglądały jak ślady po uderzeniach. Gdy wróciła do kuchni, Nauczyciel z Neustadt wciąż siedział przy stole. Przez moment przełękała się, że kiedy wejdzie do pokoju na końcu korytarza, może pomyśleć, że pewnie uderzyła ojca za to, że nie może się podnieść z łóżka, więc aby zatrzeć niedobre wrażenie, chciała powiedzieć, że urodziła się 21 listopada, dokładnie w tej samej gospodzie nad jeziorem Wannsee, przy której zabili się poeta Kleist i kobieta nazwiskiem Vogel, bo matka zatrzymała się tam na noc, gdy parę miesięcy po ślubie jechała z ojcem do rodziny w Berlinie i właśnie nadszedł czas rozwiązania, ale Nauczyciel z Neustadt dał znak, żeby milczała.

„Nikt z nas nie wie, kiedy urodziliśmy się naprawdę – mruknął, poprawiając ułożenie metalowych przedmiotów na stole, które teraz wydały jej się podobne do starych narzędzi chirurgicznych, tak były ostre ich końce i krawędzie. – I nikt z nas nie wie, jak mamy naprawdę na imię. Trzeba kogoś bardzo długo znać, by wiedzieć, jak się naprawdę wabi”.

Poszli do pokoju na końcu korytarza, gdzie na spiętrzonych poduszkach w łóżku z dębowych desek leżał stolarz Johann Ferbelin. Pokój był duży, niski, cichy, z belkami na suficie, najbardziej oddalony od pozostałych pomieszczeń domu. Przez niewielkie okna w drewnianych ścianach przenikały tu ukośne smugi słonecznych promieni, rozlewając się ciepłymi plamami na deskach podłogi. Gdy stanęła przy łóżku ojca, ogarnęło ją poczucie winy tak silne, że nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Wyrzucała sobie, że ściągnęła na dom nieszczęście, że gdyby tamtego dnia nie przyniosła tego przekłętego papieru z podpisem naczelnika Vorgasta, sprawy

mogły by się potoczyć inaczej, chociaż nie tak dawno była dumna, że udało jej się tak szybko załatwić zamówienie dla ojca. Pomyślała, że to wszystko przez asystenta Wardena, że gdyby nie on... Zaskoczona siłą złych uczuć, które nagle nią owładnęły, zapragnęła jego śmierci, cóż jednak – zacisnęła pięści – jakiś urzędnik Prokuraturii, nawet taki jak asystent Werden, mógł mieć wspólnego z tym, co przydarzyło się ojcu w stolarni? W kątach pokoju pod sufitem było ciemnawo. Z głębi domu nie dobiegał żaden odgłos. Matka z Jostem pewnie czekali przy długim stole w kuchni na dalszy obrót zdarzeń.

Nauczyciel z Neustadt zaczął coś mówić o jakiejś Sofii, która – jak to ujął – urodziła się po to, by światło zwyciężyło ciemność, ale Maria wcale nie zdziwiła się tym, co powiedział, bo na łąkach pod bastionem św. Gertrudy słyszała słowa jeszcze dziwniejsze. Po chwili podszedł do drzwi, którymi weszli do pokoju ojca i zamknął je na zasuwę: – „Nikt nie powinien przeszkadzać. Niech siedzą i czekają”. To też przyjęła bez zdziwienia, bo wszyscy doktorzy, jakich sprowadzała do ojca, woleli być przy chorych sami, by nic ich nie rozpraszało. Kto tam zresztą lubi, by mu patrzeć na ręce w takich chwilach. Nauczyciel z Neustadt tymczasem podszedł do ojca, przez chwilę mu się przyglądał, po czym ściągnął z niego kołdrę, która zsunęła się na podłogę, odsłaniając nagie ciało. Chciała go powstrzymać, bo w pokoju nie było zbyt ciepło, ale odsunął ją ręką. Stał przy łóżku i patrzył na ojca. Potem pochylił się i palcem wskazującym dotknął wypukłej żyły na jego szyi, pewnie by sprawdzić, czy puls bije mocno, położył rękę na czole, przesunął palcem po skroniach, ale ojciec nawet nie drgnął pod tymi dotknięciami i oczy miał wciąż zamknięte. Chociaż Maria wcześniej rozebrała go z matką i umyła mokrą gąbką, teraz odwróciła głowę, żeby nie widzieć jego żalostnej nagości. Ciało ojca nie było już młode, włosy w dole brzucha posiwiały, a skóra na

biodrze, w miejscu uderzenia, zrobiła się sina. Widok ten zasługiwał na litość, którą nie każde serce potrafiłoby udźwignąć.

Nauczyciel z Neustadt klęknął na podłodze i przez dłuższą chwilę klęczał tak z zamkniętymi oczami, ale wcale nie wyglądało na to, że się modli. Kiedy oczy otworzył, skinął ręką, by uklęknęła przy nim. Trochę ją to zniechęciło, bo dobrze pamiętała, co ludzie na łąkach pod bastionami mówili o uzdrowieniu Abła Wareckiego, miała więc nadzieję, że od razu zajmie się ojcem, ale on nadal klęczał z zamkniętymi oczami dwa kroki od łóżka i nawet nie spojrzął na ojca, który teraz wyglądał tak, jakby już nie żył.

Ocknęła się z zamyślenia dopiero, gdy poczuła, że objął ją ramieniem. Było w tym geście dobre, męskie współczucie, jakim obdarza się kogoś pogrążonego w żałobie. Przez moment chciała nawet oprzeć mu głowę na ramieniu, tak ją ujął ten zwykły, ludzki gest.

Słońce wpadało przez zakurzone okno kolumną światła, załamując się tęczowymi refleksami w szybkach kredensu. W pokoju panowała cisza tak wielka, jakby dom z wolna zapadał się na dno morza. Klęcząc obok niego, nie mogła oderwać oczu od pająka, który tuż przy okiennej szybie powoli opuszczał się na swojej nici spod belki pod sufitem, bezradnie przebierając w powietrzu cienkimi odnóżami. Między szybami okna na strzępkach waty leżały martwe muchy.

Czując lzy pod powiekami, zamknęła oczy, ale ciałem wstrząsnęło suche łkanie, którego nie była w stanie powstrzymać. Gdyby nie ten przeklęty papier z podpisem Vorgasta, ojciec byłby dzisiaj zdrowy i jak co dzień pracowałby o tej porze w stolarni, a teraz leży na łóżku i prawie nie oddycha. Nauczyciel z Neustadt mocniej przycisnął ją do siebie ramieniem i tak klęczeli razem na drewnianej, cieplej od słońca podłodze jak brat i siostra, dotknięci wspólnym bólem. „Nie trzeba płakać” – powiedział po chwili, gładząc ją łagodnie po

ramieniu jak matka głaszcze dziecko, które boi się ciemności, ale ona pod wpływem tego uspokajającego dotknięcia tylko zanosła się jeszcze gwałtowniejszym, suchym szlochem. „Nie trzeba płakać – powtórzył. – Ojciec tylko śpi”. Ostatkiem sił powstrzymała się, by na te uspokajające słowa nie odpowiedzieć wulgarnymi przekleństwami, co na pewno przeraziłoby matkę. Spłoszona własnym bezradnym gniewem, klęczała blisko tego obcego mężczyzny, instynktownie szukając w nim pomocy, a on czubkami palców delikatnie gładził ją po włosach, by się uspokoiła. Poczula niezrozumiały lęk, że klęcząc tak obok siebie, patrzą oboje w to samo miejsce, nie na ojca, tylko na pająka opuszczającego się na nitce, który nagle zakołysał się, zerwał się ze swojej uwięzi, spadł na podłogę, potoczył się jak kulka rtęci i zniknął w szparze między deskami, jakby się chciał ukryć przed ich wzrokiem. To dopełniło miary. Nie mogła powstrzymać gwałtownego płaczu, ale płakała bezgłośnie, samymi wstrząśnieniami ciała, przygryzając wargi do bólu, żeby ojciec nie usłyszał niczego.

Teraz miała ochotę schować się ze wstydu w szparę w podłodze jak ten pająk, który zniknął bez śladu, skuliła ramiona, by zajmować jak najmniej miejsca na Ziemi, na co on znowu delikatnie pogłaskał ją po ramieniu. Zobaczyła nad sobą sufit z pajęczynami w rogach i wiszącą, mosiężną lampę, której skręcone rozgałęzienia przypominały zagięte odnóża pająka. Zabrakło jej powietrza, poczuła, że się dusi, sięgnęła ręką do kołnierzyka, ale on zdążył już rozpiąć jej guzik pod szyją, by mogła głębiej odetchnąć. Łkanie, które wstrząsało ciałem, nie było już tak szarpiące. Ostrożnie gładził ją po policzku, a kiedy prawą dłoń przyłożył jej do piersi, zaczęła oddychać swobodniej, jakby samo dotknięcie uwolniło ją od jakiegoś duszącego ciężaru.

Odetchnęła głębiej, a on trzymał dłoń przyłożoną do jej piersi i nie otwierał przymkniętych oczu. Ogarnęła ją jakaś

niedobra, silniejsza od niej czułość zmieszana z podziwem i gorzką, trochę pogardliwą litością. Nagle zdała sobie sprawę, że ten szczupły, podobny do chłopca mężczyzna, tak potężny, kiedy mówił do tłumów zebranych na łące pod bastionami, w rzeczywistości jest zupełnie bezbronny, jakby go od ludzi oddzielała niewidoczna ściana ze szkła. Walczyły w niej niechęć i nagła, niespodziewana wola wsparcia go, wzmocnienia. Miała wrażenie, że ciepło, jakie czuje w swoich piersiach, rozszerza się na cały pokój i maleńkimi płomyczkami przebiega po ścianach. Dom zaczął płonąć łagodnym ogniem, który niczego nie spopielał, tylko rozjaśniał światło ukryte w rzeczach.

Ta fala żywego ciepła, która rodziła się pod sercem i szła przez pokój jak obłok ciepłego oddechu przez mroźne powietrze, może – tak sobie przez moment pomyślała – dotarła nawet do ojca, który leżał na łóżku dwa kroki od niej, nieruchomy, bez oznak życia. Ogarnęła ją zwykła, niska próżność, że mężczyzna, którego widywała na szczycie bastionu, ten mężczyzna, którego tłumy zgromadzone na łąkach słuchały z podziwem, jest teraz tak blisko. Miała pewność, że za wszystkimi oznakami męskiego triumfu kryje się słabość i lęk, że wszyscy mężczyźni są od niej słabsi, że lgną do niej, by napić się z jej ciała wody życia, bo wyczuwają, gdzie jest prawdziwe źródło. Poczwała, że tak naprawdę to ona jest stroną silniejszą, to ona ma więcej mocy, z której on tylko korzysta.

Rozgrzana dotykiem jego dłoni przyłożonej do piersi, poczuła w sobie siłę, której dawno w sobie nie czuła i która na pewno – tak pomyślała – samym dotknięciem mogłaby przywrócić ojca do życia.

Ślady światła, które przepływało z męskiej dłoni przyłożonej do jej piersi, unosiły się w powietrzu i osiadały na rzeczach. Kiedy zobaczyła, jak Nauczyciel z Neustadt podchodzi do okna, odgarniając palcami włosy z czoła, nie mogła

powstrzymać się od uśmiechu. Podeszła do łóżka, gestem podpatrzonym u Nauczyciela położyła na piersiach ojca otwartą dłoń i przytrzymała dłużej, czując – to było wrażenie nieodparte – jak coś przepływa z niej do tego nieruchomego, chorego ciała, które chłonęło z niej życie niczym sucha gąbka wodę. Złota strużka słonecznego blasku płynęła przez palce i rozlewała się w piersiach ojca, a Nauczyciel z Neustadt stał pod oknem, zapinając sobie guziki koszuli pod szyją, bardziej bezbronny niż kiedykolwiek. Wiedziała, że to oni dwaj – chory ojciec, zawieszony na krawędzi życia i ten mężczyzna, który potrafił prowadzić za sobą tłumy, a teraz stoi pod oknem, niezgrabnie dopinając guziki koszuli – potrzebują pomocy, nie ona, bo życie jest w niej, nie w nich.

Gdy wrócili do kuchni, matka chwyciła ją za rękę. „Co z ojcem?”. Maria sięgnęła po okrągły bochenek leżący na białym obrusie, ułamała mocnymi szarpnięciami dwa kawałki białego mięszu z chrupiącą skórką, jeden podała Nauczycielowi z Neustadt, drugi zaczęła jeść sama. Nawet nie potrzebowali noża, który leżał między nimi na stole jak narzędzie Kainowej zbrodni. Brakowało tylko czerwonego jabłka. Z błyszczącymi oczami jedli łączywie świeże pieczywo, popijając winem i oblizując okruchy z palców. Po przełknięciu każdego kęsa jego grdyka śmiesznie przeskakiwała pod skórą szyi, co ją bawiło i wzruszało. „Z ojcem wszystko dobrze” – powiedziała, ale nawet nie spojrzała na matkę, która, widząc, z jaką żarłocznością jedzą, przypatrywała im się podejrzliwie z płócienną szmatką w mokrych dłoniach. „Wyzdrowieje?”. „Nie martw się. Wyzdrowieje. Podziękuj naszemu gościowi”. Matka schyliła się, by ucałować Nauczyciela w rękę, ale on nie pozwolił. Usiadł za stołem, oparł łokcie na blacie i z równą żarłocznością co Maria jadł teraz mięso z porcelanowego półmiska, rozrywając włókna palcami. Maria roześmiała się, bo wyglądało to bardziej nieprzyzwoicie, niż... Podsuwała mu krojone pomidory posypane solą, ogór-

ki w słodkiej śmietanie, kartofle posypane koperkiem, tak ją rozbawiła ta ich wspólna żarłoczność. Sama jadła soczystą gruszkę, mocno wbijając zęby w żółtawy mięsz, który krwa-
wił lepkiem, złotym sokiem. Ale na siebie nie patrzyli. Sie-
dzielili na dwóch przeciwległych krańcach stołu, nic do siebie
nie mówiąc i wszystko jedli palcami, jakby w jednej chwili ze
świata zniknęły wszystkie noże i widelce. Na dziedzińcu stol-
arni koło studni wciąż stali uczniowie. Teraz podeszli do
okna i pochyleni, z twarzami przysuniętymi do framugi, za-
glądali do kuchni przez zakurzone szyby jak wielkie ptaki
porośnięte ciemnymi piórami, rzucając długie, ruchome cie-
nie na żółte deski kuchennej podłogi.

Kiedy po trzech dniach od wizyty Nauczyciela z Neu-
stadt Maria weszła rano do pokoju ojca, przeraziła się tym,
co zobaczyła. Łóżko ojca było puste. Zmierzwione przeście-
radło zwieszało się z krawędzi. Spojrzała w głąb pokoju i ser-
ce jej zamarło. Ojciec siedział na krześle przy oknie w palcie
narzuconym na gołe ciało i jadł czerwone jabłko, krojąc je
ciemnym, ogrodniczym nożykiem. Wyglądał na zupełnie
zdrowego. „Długo spałem?” – spojrzał na nią nieuważnie.
„Długo” – mruknęła, czując, jak zimny lęk ustępuje z serca.

Rozmowa z prokuratorem Hammelsem

W sobotę o dziesiątej, parę minut po tym, jak się obudziła w pokoju na poddaszu, gdzie nocowała po raz pierwszy dostała zaproszenie, a raczej wezwanie do gabinetu prokuratora Hammelsa. Przekazała je ustnie pani Sonnenberg, która bez pukania weszła do sypialni, choć było jeszcze dość wcześnie, po czym rozsuwając zasłony w oknach, powiedziała, że prokurator ma zwyczaj co jakiś czas rozmawiać o postępach syna z nauczycielkami, które u siebie zatrudnia, a że właśnie na taką rozmowę nadeszła pora, spodziewa się jej za pół godziny na śniadaniu.

W gabinecie na parterze Maria nie była nigdy, nigdy też jeszcze nie rozmawiała z prokuratorem Hammelsem twarzą w twarz, dlatego czasem, prowadząc lekcje z Helmutem, myślała sobie, że prokurator Hammels zatrudnia nauczycielki przede wszystkim dlatego, że nie przejmuje się zbytnio losem syna; przypuszczenie to już po paru chwilach rozmowy okazało się najzupełniej fałszywe.

Gdy weszła do gabinetu, prokurator Hammels siedział w fotelu z otwartą książką w ręku, której nie odłożył na jej widok, tylko otwarte strony nakrył – zresztą bez pośpiechu – otwartą dłonią. Były na nich – jak zauważyła – jakieś ryci-

ny, mocno barwione purpurą i fioletem, które w pierwszej chwili uznała za nieprzyzwoite, co chyba jednak nie było słuszne, bo kiedy uniósł dłoń znad kartek, zobaczyła, że zostały na nich przedstawione jakieś kwiaty czy rośliny, to prawda, że podobne do części wstydliwych kobiety i mężczyzny, ale mogły to być równie dobrze wyobrażenia amazońskich motyli czy jakichś innych owadów o szklistych, purpurowych skrzydłach, które z oczywistych względów przyciągają wzrok. To złudzenie zbiło ją z tropu, a nawet rozdrażniło, tym bardziej że kiedy usiadła po drugiej stronie stołu, spostrzegła, że wrażenie, jakie odniosła pierwszego dnia, gdy zobaczyła prokuratora Hammelsa na schodach, było całkowicie mylne. Prokurator Hammels wcale nie wyglądał na zmęczonego, przeciwnie: siedział przed nią w białej koszuli rozpiętej na piersiach, rozluźniony, swobodny, jakby rozleniwiony jeszcze snem, tylko z jego twarzą działo się coś niedobrego. Kiedy pochylał się nad stołem, by nalać herbaty do filiżanki czy podsunąć jej koszyk ze świeżymi, chrupiącymi bułeczkami, ta twarz, z lekka asymetryczna, raz wydawała się pociągająca i ciepła, raz dziwnie zniekształcona i chłodna, jakby słońce, wpadające do pokoju przez opuszczone żaluzje, wydobywało z niej jakieś cechy ukryte – nie chciała tego nazwać otwarcie – zwierzęce, a może nawet – wzbraniała się przed tym słowem – owadzie, co skwitowała pośpieszną myślą, że ulega jakiemuś niedobremu złudzeniu, więc powinna trzymać wyobraźnię na wodzy.

„Niech pani posłucha, co pisze autor tej książki – prokurator Hammels uniósł tom z rycinami, który trzymał w ręku, gdy usiadła po drugiej stronie stołu, zastawionego porcelanową zastawą. – *Zadnej porażki nie zazna ktoś, kto nie staje do walki. Porażki zaznaje tylko ten, kto do walki staje. Oto na przykład ktoś zapada na ciężką chorobę i stara się ze wszystkich sił wyzdrowieć. Postępując tak, nierozsądnie wystawia siebie na cierpienie klęski, bo gdy zostanie pokonany przez chorobę, bę-*

dzie czuł się przez nią złamany. Kto z chorobą nie walczy, tylko się jej poddaje, nigdy nie zazna upokorzenia. Czy pani – zwrócił się do Marii – jest zdania, że są to myśli rozsądne? – „Myślę, że nadmierny strach przed błędami, które możemy popełnić, niszczy nas od dziecka” – odpowiedziała niechętnie, przypominając sobie chorobę ojca, chociaż sprawiło jej przyjemność, że prokurator Hammels zwrócił się do niej z pytaniem, na które nie było łatwej odpowiedzi. – Pańska żona umarła niedawno? – Mimo że pytanie, które postawiła, było niespodziewane, a nawet zabrzmiało dość obcesowo, nie przestał mieszać srebrną łyżeczką herbaty w filiżance. – „Niedawno”. „Bo widzi pan, pański syn...”. „O tym mówić nie będziemy” – uciął zdecydowanie, chociaż, jej zdaniem, nie było sprawy ważniejszej. „Pański syn... – powtórzyła – powinien zapomnieć o matce”. „Proszę panią – oczy prokuratora Hammelsa nabrały chłodnej barwy – czy pani zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? Dziecko ma zapomnieć o matce?”. „Pana żona nie żyje”. „No i co z tego? – uderzył pięścią w stół, ale po chwili otwartą dłońią pogładził błyszczący blat, jakby chciał przeprosić za uderzenie. – To jego matka. I nie ma znaczenia, czy żyje, czy nie”. „Pan go stawia w niedobrej sytuacji”. „A co pani myśli? – powiedział przez zaciśnięte zęby, jakby chciał w sobie stłumić głęboko skrywany ból. – Powinien ją zabić drugi raz? Tego pani chce?”. „Powinien o niej zapomnieć – powtórzyła z naciskiem. – Jeśli tego nie zrobi, przepadnie. Jak...”. „Jak ja, chciała pani powiedzieć?”. – Te słowa wyprowadziły ją z równowagi. Poczowała przed sobą mur. On tymczasem nie spuszczał z niej oka. – „Pani zdaje się w naszej rozmowie przekracza swoje kompetencje”. – Pokręciła głową, jakby miała przed sobą krnąbrnego ucznia. – „Jeśli pańskiego syna nie wyciągniemy z tego, będzie z nim źle. Czy pan wie, co on do mnie powiedział podczas pierwszej naszej rozmowy?”. – Popatrzył na nią bez zainteresowania: „Co?”. „Że zostałam tu zatrudniona po to, żeby pan ze

mną spał”. – Wybuchnął śmiechem. – „On rzeczywiście to powiedział?”. – Śmiał się tak, że aż przymknął oczy, co ją ubodło do żywego. – „Nie ma się z czego śmiać – powiedziała, nie kryjąc niechęci. – Paroletni chłopiec nie powinien mówić takich rzeczy”. „Dlaczego? – uśmiech nie schodził mu z twarzy. – Jest mądrzejszy niż myślałem”. – Kiedy to usłyszała, fala gorąca oblała jej policzki. – „Więc to prawda?”. „Droga panno Ferbelin – odprężył się, mrużąc oczy – przywiązuje pani nadmierną wagę do słów”. „Więc to prawda?” – zapytała raz jeszcze. – „Och – nie przestawał się uśmiechać, chociaż w oczach pojawiły się niedobre błyski – pani jest tu po to, by uczyć mojego syna francuskiego, matematyki i geografii. Jego wychowanie niech pani zostawi mnie. Czy pani wie – powiedział nieuważnie po chwili milczenia – że jedno moje słowo, a może pani zostać aresztowana za usiłowanie zabójstwa mojego syna?”. „Przecież to nonsens!” – wyrwało jej się, aż przestraszyła się własnej śmiałości. – „Nazywa pani moje słowa nonsensem? Czy się pani przypadkiem nie zapomina?”. „Przepraszam – zacisnęła zęby, kładąc dłonie na kolanach, jak uczennica zdająca egzamin przed komisją, ale w środku aż się gotowało. – Nie to miałam na myśli”. „A zresztą – powiedział ze smutkiem – nigdy się pani nie dowie, dlaczego pani została tutaj zatrudniona. Przyzna pani, że sama pani jest tym faktem zdziwiona”. To prawda, musiała to w duchu przyznać. – „Ale – przeciągnął palcem po filizance z brunatnym śladem herbaty na złotym brzeżku – to nie ma już znaczenia”. „Pan bardzo kochał swoją żonę?” – odbiła cios ostro, licząc, że go zrani. – „Proszę panią – powiedział zimno – ja nie toleruję tego rodzaju pytań”. Tym razem to ona się uśmiechnęła, tak jakby ukradła mu uśmiech z twarzy i przykleiła do własnej.

„Ale o czym my mówimy! – prokurator Hammels nagle rozpromienił się i sięgnąwszy po butelkę ze złotą nalepką, która stała na blacie okrągłego stołu obok wazonu z kwiatami

mi, nalał białego wina do kieliszków. – Czyż doprawdy nie ma tematów przyjemniejszych? Ot, na przykład ten obraz. Niech pani zechce spojrzeć...”. – Odwróciła głowę. Na ścianie między dwoma skrzydłami mahoniowej biblioteki wisało prostokątne płótno w złotych ramach. Rozpoznała natychmiast: była to bardzo wierna kopia obrazu Friedricha *Wędrowiec nad morzem mgieł*. – Myśli pani, że to kopia?”. „Tak myślę”. „Otóż myli się pani. To oryginał. Kopię mają w muzeum w Greifswaldzie. Ale ci nasi poczciwi muzealnicy – skrzywił się ironicznie – są przekonani, że posiadają oryginał, ja zaś nie mam najmniejszego zamiaru wyprowadzać ich z błędu. Powiem pani szczerze – mnie się ten obraz nie za bardzo podoba, ale lubię sobie na niego czasami popatrzeć znad moich urzędowych papierów, bo on skłania do rozmyślań. Przyzna pani, że to dziwny zwyczaj malować ludzi odwróconych tyłem. Co pani o tym sądzi?”.

Na obrazie widać było odwróconego tyłem mężczyznę w czarnym surducie, który stał na szczycie góry, patrzył przed siebie na zamglony górski pejzaż, ale nie można było zobaczyć ani jego twarzy, ani tego, na co mężczyzna patrzy, bo miejsce, w którym jego wzrok był utkwiony, zasłaniała jego ciemna sylwetka.

Pomyślała, że prawdziwi sędziowie, którzy wydadzą wyrok w jej sprawie, ukryci są gdzieś wysoko, nad ścianami mahoniowej biblioteki i przez małe okienka pod sufitem obserwują teraz jej gesty, notując w protokole każde słowo, jakie zostanie przez nią wypowiedziane, więc starała się skupić, ale im bardziej starała się skupić, tym bardziej umykał jej sens tego, co chciała powiedzieć. Miała wrażenie, że mężczyzna, który siedział po drugiej stronie stołu z kieliszkiem białego wina w palcach, zastawiał na nią jakąś pułapkę. Obraz Friedricha dobrze знаła, widziała go setki razy w albumach malarstwa, ale teraz kontury przedstawionego na nim górskiego pejzażu wygięły się jak w powiększającym szkle.

Powiedziała, że kto patrzy na ten obraz, powinien wejść w skórę odwróconego tyłem mężczyzny, ulokować się – przez chwilę szukała właściwego słowa – na dnie jego źrenicy, dopiero wtedy stanie się jawne to, co ukryte. Słyszając te słowa, prokurator Hammels uśmiechnął się, bo to, co powiedziała, było jak na jego smak zbyt uczone. Powiedział więc z lekkim skrzywieniem warg: „Chciałbym kiedyś zobaczyć, co on widzi naprawdę, kiedy tak stoi na tej górze”, na co ona przytaknęła, chociaż wcale nie była pewna, czy wartość obrazu od tego zależy.

Dopiero teraz spostrzegła, że mężczyzna, przedstawiony na obrazie, jest podobny do prokuratora Hammelsa i może dlatego prokurator Hammels tak przejmuje się tym, co zostało na obrazie przedstawione. Po prostu nagle zobaczyła, że mężczyzna ma twarz Hammelsa, co było niedorzecznością, bo jakże mogła zobaczyć twarz człowieka odwróconego do niej tyłem? A jednak mogłaby przysiąc, że zobaczyła tę twarz i że była to twarz Hammelsa. Przez moment miała nawet ochotę roześmiać się obraźliwie, tak ją to odkrycie zbiło z tropu, ale myśl, że patrzy na oryginał, nie na kopię, sprawiła jej jakąś złą przyjemność, jakiej dotąd nigdy nie zaznała. Patrzyła na obraz bez emocji, jak na diament w pierścionku, o którym nikt nie wie, że jest prawdziwym diamentem, myśląc z lekceważeniem o wystrychniętych na dudka muzealnikach z Greifswaldu, wierzących, że posiadają skarb, którego wcale nie posiadają. Człowiek w czarnym surducie stał na szczycie góry i widział coś, czego nikt z ludzi nie mógł zobaczyć, więc – skazany na samotność – na pewno nie mógł być szczęśliwy.

„Moje podejrzenie jest takie – powiedziała twardo – że on nie widzi nic. Jest zbyt zmęczony po tym, jak wspiął się na szczyt, by widzieć cokolwiek. Stoi na górze i czuje tylko w skroniach szybkie uderzenia swojego znużonego serca”. „Tak pani myśli? – prokurator Hammels wyglądał na rozba-

wionego. – Że tematem obrazu jest wielkie zmęczenie? Wie pani, że i ja też tak czasami myślę. A pani Sonnenberg – roześmiał się głośno – mówi, że winą tego człowieka jest to, że wlał za wysoko. Ona uważa, że tematem obrazu są duszności odczuwane przez kogoś, kto zupełnie niepotrzebnie wdrapał się na szczyt góry i nie ma czym oddychać”. Uśmiechnęła się, czując, że mogłaby nawet tego człowieka polubić, chociaż – od razu siebie skarciła – nie były to chyba myśli rozsądne.

Śniadanie było skończone. Gdy podeszła do drzwi, kładąc dłoń na klamce, prokurator Hammels podniósł się zza stołu: „Panno Ferbelin!” – powiedział głośno. Odwróciła głowę w smudze słonecznego światła: „Tak, słucham pana”. „Podnoszę pani pensję”.

Dwie kobiety

We środę, w dniu św. Ferencjusza, Maria wyszła do ogrodu, by po lekcjach z Helmutem trochę odetchnąć świeżym powietrzem wśród drzew. Chłopiec, jak zwykle w tym dniu tygodnia, pojechał z panią Sonnenberg do Zoppot na hipodrom, by uczyć się z porucznikiem Hertzem konnej jazdy na swojej ulubionej klaczy Heloiza. Przypadkiem, idąc wzdłuż domu żwirowaną ścieżką, usłyszała, jak służba – Karol Herten i pokojówka Erna Mommelhaus – rozmawiają o prokuratorze Hammels, swoim chlebodawcy, a że mówili rzeczy zastanawiające, a nawet oburzające, które – o ile by wyszły na jaw – mogłyby – pomyślała o tym bez satysfakcji – postawić prokuratora Hammelsa w niedobrym świetle, więc przystanęła za pergolą z dzikim winem dobrze słysząc wszystko, chociaż słowa czasem ginęły w szumie wody, brzęku mytych naczyń czy postukiwaniu młotka, które dobiegało z głębi kuchni.

Wedle tego, co mówił służący Herten, prokurator Hammels miał zwyczaj parę razy w miesiącu odwiedzać willę Evans, którą Maria poznała przy okazji pamiętnego „prze-słuchania” z udziałem pani Sonnenberg, ale nie zaglądał tam wcale po to, by konferować o sprawach wagi państwowej, tylko po to, by spotykać się – jak Herten to przedstawiał

w dość obraźliwym tonie – z kobietami niedobrego autoramentu, które przywoził mu na miejsce powozem niejaki Haberstadt. Kobiety te ponoć nie wiedziały dokąd jada, ale uwiedzione staroświeckim wdziękiem owego Haberstadta, a także – nie należy tego przemilczać – obietnicą znacznych sum, zjawiały się tam w dość jaskrawych strojach, które z pewnością nie licowały z godnością dam, z jakimi prokurator miał do czynienia w salach hotelu „Deutscher Hof” przy Targu Węglowym, gdzie co jakiś czas bywał na uroczystych rautach z udziałem oficerów, korpusu dyplomatycznego, gdańskich notabli i wyższych urzędników Prokuratorii.

Erna Mommelhaus nie mogła tego słuchać. „Co też pan mówi, mój panie Herten! To niedorzeczność!” – podnosiła głos, co Hertena mocno irytowało. Pewny, że nikt nie słyszy ich rozmowy, używał chwilami słów wulgarnych, by podkreślić fakty uwłaczające godności pryncypała, czego doprawdy trudno było słuchać. Erna powołując się na znajomość z jakąś panną Eberholtz, pokojówką z willi Evans, zapewniała, że wszystkie wiadomości o tabunach kobiet, które miał podobno ściągać Haberstadt, są mocno przesadzone, że owszem, prokurator bywa od czasu do czasu w willi Evans, nie znaczy to jednak wcale, że otacza się mnóstwem kobiet, jak mówią o nim osoby nieprzychylne, lecz widuje się czasami z jedną tylko kobietą, która co prawda przybywa do willi Evans w różnych strojach, ale nie przestaje być tą samą, elegancką damą z lepszego towarzystwa. Jej imienia Erna Mommelhaus nie potrafiła co prawda wymienić, wahając się między Elzą, Elwirą, Elizabeth, niemniej nie świadczyło to wcale o jakichś zachowaniach prokuratora Hammelsa szczególnie nagannych, za które – jak się wyraziła – powinien obrywać, i to jeszcze od ludzi niższego stanu.

Herten wzruszał tylko ramionami na takie gadanie, przekonany, że wszystkie łagodzące okoliczności Erna kolekcjonuje tylko dlatego, że czuje miętę do swego chlebobdawcy, chce

go więc widzieć w lepszym świetle, niż on sam na to zasługuje. Na potwierdzenie swoich słów wyjął z kieszeni jakiś pognieciony list i zaczął go czytać w przypadkowym miejscu. Trochę ściszył głos, ale Maria ukryta za pergolą z dzikim winem nadal słyszała wszystko. Początkowo czuła się zażenowana, że wchodzi w prywatne sprawy swojego chlebodawcy, ale potem, by lepiej wszystko słyszeć, przysunęła się bliżej do uchylonego okna, zza którego dobiegał głos Hertena, tym razem uroczysty, lekko uniesiony, jak to zwykle bywa w przypadku ludzi prostych, kiedy czytają urzędowe pisma. List, czytany przez Hertena, nie był; rzecz jasna, żadnym pismem urzędowym, tylko dotyczył różnych spraw codziennych, być może jakichś interesów, jakie jego nadawca miał z Herteniem, ale część najciekawsza dotyczyła – Maria nie miała wątpliwości – prokuratora Hammelsa i jego wizyt w willi Evans.

„Pan H. – pisał nadawca listu do służącego Hertena – odwiedził naszą willę wczoraj koło godziny szóstej i przebywał tam do godziny dziesiątej dwadzieścia. Tym razem nie towarzyszyła mu kobieta, która zapowiedziała przez telefon, że nie może przyjść. Pan H. jak zwykle zajął pokój na górze, ten największy z łóżkiem na dwie osoby, ale przez cały czas nie robił nic, tylko pił wino. Do willi koło ósmej dziesięć przybył pan Haberstadt, który bywał u nas wiele razy z panią Sonnenberg i generałem Gerstenweg. Tym razem przybył sam, z plikiem papierowych teczek pod pachą. Obaj panowie – pan H. i pan Haberstadt – rozmawiali ze sobą dość długo w pokoju na piętrze, ale o czym rozmawiali, nie udało się mimo starań ustalić. Koło dziewiątej zeszli do salonu – Maria domyśliła się, że chodzi o salon, w którym była „przesłuchiwana” przez panią Sonnenberg – i rozmawiali jakiś czas nie krępując się moją obecnością. Usługiwałem im jak zwykle, podając na kolację zimne dania, wino i kawę, więc mogłem się przysłuchiwać rozmowie, bo dotyczyła spraw ogólnych. Ponieważ jestem – jak wiesz, Herten – człowiekiem prostym, ożywiłem się tylko,

gdy mowa o kobietach, ożywiłem się więc, kiedy pan H. zaczął mówić o kobietach i – jak to ujął – naturze mężczyzn, ale trochę się rozczarowałem, bo mówił ogólnie, nie odnosząc swoich uwag do żadnych konkretnych osób. To, co mówił, nie było proste, niemniej spróbuję odtworzyć tok jego rozumowania, bo może mieć to znaczenie dla przyszłości.

Otóż koło dziewiątej w jakiejś chwili pan H. powiedział do Haberstadta, który siedział z nim przy stole, popijając czerwone wino, że miłość cielesna i miłość duchowa nie dają się ze sobą pogodzić i zaczął rozwijać ten temat w dość – przyznam – ponurym nastroju. Kiedy ogarnia nas namiętność czysto fizyczna – mówił do Haberstadta – miłość duchowa słabnie i znika. Kiedy zaś ogarniają nas fale miłości duchowej, męskie instrumenty – jak się wyraził z właściwą sobie brutalnością – więdną, zgaszone wzniosłymi porywami uczucia. «Więc, mój drogi Haberstadt, tak to już jest, że prawdziwie kochamy kobietę tylko wtedy, kiedy jej nie kochamy. Miłość duchowa żywi się zawsze wspomnieniem, to znaczy nieobecnością przedmiotu kochania. Najbardziej kochamy kobietę wtedy, kiedy do niej tęsknimy, a nie wtedy, kiedy ją mamy przy sobie zupełnie gołą w łóżku. Kiedy mamy przy sobie jej ciało, nasza miłość przygasa, zduszona przez pożądanie. Cielesna dosłowność stosunku płciowego, jego aspekt czysto techniczny, który sprawia, że obcowanie miłosne ma w sobie – pan H. użył takiego określenia – coś z chirurgicznej operacji dokonywanej na ciele kobiety, straszna widzialność kobiecego mięsa łączącego się za pomocą narządów płciowych z mięsem męskim – wszystko to gasi w nas miłość duchową, która nie może znieść takich widoków. Gołe ciało ukochanej kobiety wcale nie łączy nas z jej sercem. Głębokie uczucia kochanków pojawiają się przed i po, nigdy zaś w trakcie, choć wmawiamy sobie, że poprzez czułe i gwałtowne pieszczoty – z lekkim gryzieniem w ucho! – dusza łączy się z duszą. Obustronne porowy

uczucia są tylko przygotowaniem ciała do chirurgicznej operacji jak, za przeproszeniem, narkoza. W trakcie aktu ważne są tylko gładka skóra, elastyczność mięśni, mocny uścisk, gwałtowny ruch, słodka przemoc, ślina i zapach. Miłość duchowa tego wszystkiego nie lubi. Kobieta zaspokaja swoje pożądanie przy pomocy ciała mężczyzny, mężczyzna zaspokaja swoje pożądanie przy pomocy ciała kobiety. Oboje zachowują się w łóżku jak para chirurgów, którzy operują sobie nawzajem narządy płciowe przy pomocy wrażliwych instrumentów, co dla prawdziwej miłości duchowej jest po prostu nie do zniesienia.

Jaki stąd wniosek, mój drogi Haberstadt? Wniosek stąd taki oto, że trubadurzy prowansalscy mieli rację, chociaż dzisiejszy świat się z nich śmieje. Mężczyzna powinien mieć dwie kobiety. Jedną do miłości duchowej, drugą do miłości fizycznej. Najlepiej, żeby były do siebie podobne jak bliźniaczki i nie wiedziały o swoim istnieniu. Jak te odbicia w lustrze».

„A poza tym – pisał nadawca listu do służącego Hertena – czyś ty, Herten, nie zauważył, jak bardzo do kobiety, która bywa u nas, w willi Evans, jest podobna ta nowa nauczycielka, którą u was ostatnio zatrudniono?...”.

Słyszając te słowa, Maria odsunęła się od okna. Gorąco paliło policzki. Szybko odeszła od pergoli z dzikim winem w chłodny cień między drzewami. Na żwirowanej ścieżce wyszły prosto na nią dwa pawie i z rozpaczliwym krzykiem kąsały się dziobami, rozstawiając szeroko swoje naprężone, drżące, tęczowe ogony. Wartownicy z karabinami, którzy szli wzdłuż ogrodzenia z żelaznych prętów, na widok walczących ptaków, wybuchnęli śmiechem, wykonując przy tym dłonią nieprzyzwoite gesty, ale kiedy zobaczyli Marię na ścieżce, znowu przybrali surowe, urzędowe miny i poprawiając karabiny na ramieniu, odeszli w stronę wartowni przy bramie. Maria popatrzyła za nimi z niechęcią.

Wieczorne rozmowy z panem H.

Po paru tygodniach od dnia, w którym Maria po raz pierwszy zeszła na śniadanie do gabinetu na parterze, prokurator Hammels zaczął zapraszać ją do mahoniowej biblioteki wieczorami, rzecz jasna, nie każdego dnia, tylko wtedy, kiedy zdarzało jej się nocować w willi pod Lasem Gutenberga. Maria zaś schodziła na dół dość chętnie, nie tylko z czystej ciekawości, bo wiedziała, jak niewielu ludzi może liczyć na taki przywilej, lecz i dlatego, że atmosfera żartu, lekkiego szyderstwa i ironicznego namysłu, w której prokurator Hammels wyraźnie gustował, raczej jej odpowiadała, choć nie zawsze to, o czym rozmawiali, zgadzało się do końca – musiała to przyznać – z surowymi wymaganiami przyzwoitości. Gdy zjawiała się w gabinecie koło dziewiątej, prokurator Hammels, swobodnie rozparty w fotelu, w koszuli rozpiętej pod szyją, lubił przyglądać się jej niemal z czułością, nie pozwalał sobie jednak na żadne gesty, które mogłyby rzucić na niego cień podejrzeń. Czuliła się mile rozczarowana spostrzegając, że jest jeszcze bardzo przystojnym mężczyzną, poza tym trochę liczyła, że może dowie się czegoś o sprawach, o których tylko on jeden mógł wiedzieć. Prokurator Hammels jednak unikał tema-

tów, które zatraçały o politykę, co przyjęła ze zrozumieniem. Po prostu wyglądało na to, że chciał przy niej odpocząć po ciężkim dniu, więc rozmowę prowadził leniwie, bez pośpiechu, kapryśnymi liniami, robiąc co jakiś czas dłuższe pauzy, kiedy na przykład zamyślał się w fotelu z przykniętymi oczami, jakby zupełnie zapomniał o jej obecności i dopiero po dłuższej chwili unosił powieki, prawdziwie zdziwiony, że widzi ją znowu przed sobą. Czasem dotykał jej rąk, ale w jego dotyku nie było nawet cienia zmysłowej żarliwości, tylko uprzejmość i – jak to odczuwała – wielkie pragnienie spokoju, a skoro widać było, że służy mu jej obecność, chętnie zjawiała się wieczorami w mahoniowej bibliotece, by przy kieliszku dobrego wina porozmawiać o tym i owym.

Oczywiście trudno to wszystko było nazwać przyjaźnią, bo prokurator Hammels nigdy nie dopuszczał jej zbyt blisko do swoich tajemnic. Czasem rozmawiał z nią niemal jak z dobrą przyjaciółką, nigdy jednak nie przekraczał niewidzialnej granicy, którą sam sobie wyznaczył już na pierwszym spotkaniu. A jednak to, co działo się między nią a nim podczas ich rozmów, miało dla Marii podniecającą barwę, bo wciąż miała w pamięci to, co służący Herten powiedział w kuchni o kobiecie z willi Evans. Rozmawiając z prokuratorem Hammelsem nie umiała się uwolnić od obrazu jego męskiego ciała splecionego z ciałem tamtej kobiety i ta gra majaków wyobraźni, wzmocniona świadomością, że tamta kobieta – jak twierdził służący Herten – jest bardzo do niej podobna, sprawiała jej silną, gorzką przyjemność, jakby cudzy dotyk, zamieniony w niepokojące obrazy, był doznaniem znacznie silniejszym niż obejmowanie nagiego ciała, bo to, co zamienione w fakt wyobraźni, wnika w duszę znacznie głębiej niż dotyk realnej skóry, który, rzecz jasna, cieszy do upojenia, ale ma w sobie zawsze szorstką brutalność bezpośredniego kontaktu, którą złagodzić może tylko to, co marzone i śnione.

W trakcie rozmowy bujała więc na krawędzi realności i cielesnego majaczenia, któremu dodawało słodczy poczucie zupełnego bezpieczeństwa, czuła bowiem, że prokurator Hammels nie zamierza korzystać ze swojej przewagi, jaką mu dają pieniądze i pozycja w społecznej hierarchii, by domagać się od niej czegoś więcej niż tylko miłego towarzystwa. Była więc wolna, wiedziała, że drażni jego zmysły, nie na tyle jednak, by mogło z tego wyniknąć coś dla niej groźnego, więc z przyjemnością siedziała w fotelu, patrząc na jego twarz, która wieczorami – poszarzała ze zmęczenia – miała w sobie więcej łagodności niż za dnia, chociaż w kącikach ust kryły się zapowiedzi gniewu, który mógł wybuchnąć w każdej chwili.

Prokurator Hammels lubił z nią rozmawiać o ludzkiej duszy, nigdy jednak nie posuwał się do tego, by mówić o konkretnych osobach, które znał. Snuł raczej ogólne dywagacje nad tym, jak ludzie żyją na tym świecie i jak sobie radzą z istnieniem, czego bynajmniej nie uważał za łatwe. Nigdy też nie wspominał o swojej zmarłej żonie. Tego terenu strzegł anioł z mieczem ognistym. Z samej tonacji rozmów, jakie prowadzili wieczorami, wyciągnęła wniosek, że ten mężczyzna, mający w swoim ręku całą władzę nad wschodnią prowincją cesarstwa, po stracie osoby najbliższej szuka ratunku w odmęcie urzędowych zajęć, zapomnienia zaś w ramionach kobiety, o której z ironią mówił do panny Mommelhaus służący Herten. Trochę ją czasem irytowało, że zgodziła się odgrywać rolę kogoś w rodzaju powiernicy czy może nawet siostry, ale dość szybko pojęła, że może mu swoją obecnością tylko pomóc. Wyczuła – co ją ucieszyło – że prokurator Hammels nie lubi sprawować władzy twardymi metodami, woli raczej zręczność intrygi, spryt zastawiania wnyków na tych, którzy wchodzą mu w drogę, ceni sobie szachowy talent wprowadzania przeciwników w błąd, jakby sam widok krwi był mu głęboko nienawistny, choć chwilami, gdy mówił

o dawnych zdarzeniach z historii cesarstwa – wyrokach śmierci, zdradach i politycznych morderstwach – oczy mu ciemniały. Lubił opowiadać zabawne historie z życia nieudanych małżeństw, nie wymieniając, rzecz jasna, nikogo z nazwiska, z czego wynioskowała, że miał małżeństwo udane, bo rodzaj dowcipu, który go cieszył, mógł żywić się tylko dobrym wspomnieniem własnego szczęścia. O kobietach nie miał najlepszego zdania, nie było jednak pewne, czy wypowiadając surowe opinie na temat kobiecej natury, trochę nie pozuje, by sprowokować ją do żywszej reakcji, o synu zaś rozmawiać nie chciał, co jasno postawił od razu na pierwszym spotkaniu.

Lubił też po kilku kieliszkach dobrego wina snuć dywagacje wokół zawitych kwestii ocierających się o teologię, chociaż nie cierpiał filozoficznego mędrkowania, a samych filozofów i teologów uważał za zawodowych oszustów, którzy – jak to ujmował brutalnie – żyją z grzebania w padlinie słów. Interesowała go – jak mówił – idea zbawienia, jednak nie jako forma religijnej nadziei, lecz raczej jako ciekawy koncept ludzkiego umysłu, bez którego ludzie nie są w stanie żyć na Ziemi i którego sensy były – jak to określał – w najwyższym stopniu nieprzeniknione. Chwilami uważał, że ludzkość majaczy o zbawieniu z braku lepszych pojęć, bo tak naprawdę marzy o czymś dużo pospolitszym, gdyż nawet śniąc o Niebie, nie potrafimy oderwać się od Ziemi. Z lekceważeniem mówił o obrazach Nieba, jakie można oglądać na kościelnych malowidłach, mimochodem dorzucając, że trudno mu zrozumieć samo pojęcie niebiańskiego szczęścia, choć tak wielu ludzi z uporem godnym lepszej sprawy lubi sobie wmawiać, że celem naszego ziemskiego żywota jest się do Nieba dostać.

Obietnica nieśmiertelności nie cieszyła go wcale, a same słowa „istnieć wiecznie” od dziecka wpędzały go – jak wyznawał – w przerażenie. Istnieć po śmierci przez miliardy

lat bez choćby jednej chwili przerwy wydawało mu się raczej karą niż nagrodą. Myślał tak być może dlatego, że życie i zmęczenie uważał za jedno, jeśli zaś życie i zmęczenie to jedno, przedłużanie zmęczenia w nieskończoność i to na dodatek w formie tak mało pociągającej jak życie pośmiertne, nie było w jego odczuciu czymś, o co warto się starać.

Jeśli szczęście niebiańskie – rozmyślał głośno, przypatrując się Marii znad uniesionego w palcach kieliszka – miałoby rzeczywiście polegać na tym, że przez miliardy lat będziemy w upojeniu wpatrywać się w promienną twarz Boga, trudno uwolnić się od podejrzeń, że stan taki byłby dla nas niewiarygodnie monotony, chociaż teologowie zapewniają nas, że w nieustającym, trwającym miliardy lat, bezpośrednim kontakcie z Boskim Światłem doznamy niekończącej się nigdy rozkoszy. Wieczny niebiański orgazm, który miał nas czekać po śmierci, nie budził jego zaufania. Skoro w Niebie nie istnieje czas i wszystko trwa tam w bezczasowym zastygnięciu, trudno uznać taką perspektywę za szczególnie kuszącą.

Dużo bardziej interesowała go idea zbawienia ziemskiego, którą odnajdywał w pismach ludzi brutalnych, których nazywał filozofami historii, choć oni sami robili wszystko, by w swoich rozważaniach okazać wielką subtelność, a nawet delikatność myśli, a przy tym obsesyjnie zajmowali się jednym: obiecywali ludziom lepszą przyszłość, rysując jej niewiarygodnie naiwne obrazy, których – jak wyznawał – nie mógł oglądać bez uczucia palącego wstydu, nawet jeśli były przedstawiane w duchu najgłębszej powagi. Trochę bał się tych ludzi, bo – na co, jak uważał, nie było sposobu – potrafili rozpałać ogień w ludzkich głowach, w swoich zaś obietnicach nie znali żadnego umiarkowania, przekraczając granice wszelkiej przyzwoitości. Jedni obiecywali, że kiedyś powstanie świat, w którym wszyscy będą mieli pracę, a sama praca będzie przyjemnością. Inni świat, w którym sens życia

będzie jawny jak szczupak na talerzu. Jeszcze inni wmawiali ludziom, że kiedyś powstanie świat bez chorób, w którym wszyscy będą zdrowi i będą mieli co jeść. Byli też tacy, którzy upierali się, że Niebo będzie miejscem ich nieustannej kopulacji z kobietami, które Bóg da im w nagrodę za śmierć męczeńską.

Różne idee zbawienia, które odnajdywał u filozofów historii, lubił zapisywać w notesie, numerując je dla porządku cyframi rzymskimi i arabskimi. Miały one – jak zauważał – zawsze barwę karnawału, nawet jeśli były formułowane w języku apokaliptycznych przepowiedni. Ich tandetność – nie mógł się oprzeć takiemu wrażeniu – była porażająca. Wszystkie marzenia o lepszym życiu, które rodziły się w ludzkich głowach, były tak żałosne, że gdy się im przyglądał, zbierało mu się na płacz. Ludzkość jako całość, choć złożona z ludzi dorosłych, przypominała mu wielkie dziecko, śniące o porcelanowym kubku pełnym poziomek. Nawet siwowłosi mędrzy, którzy mówili o zbawieniu z najgłębszą powagą, w istocie pokazywali ludzkości karmelek Wiecznego Szczęścia, który należało – jak przekonywali – zdobyć cierpliwym staraniem jako nagrodę pocieszenia za dobre sprawowanie. Jeśli będziesz się sprawować dobrze za życia – powtarzali w nieskończoność, jak matka powtarza niegrzeczному dziecku – po śmierci dostaniesz cukierek Zbawienia. Idea zbawienia, której ludzkość trzymała się kurczowo od tysięcy lat, miała – jak uważał – w sobie zawsze niewysłowioną słodycz, chociaż zwykle łączyła się z konieczną dozą przelanej krwi, a przy tym nikt nie wiedział dobrze, na czym zbawienie ma właściwie polegać. Mimo to wszyscy bardzo pragnęli zostać zbawieni i to bez względu na to, czy wierzyli w Boga czy nie, bo nawet ci, którzy uważali, że życie kończy się ostatecznie ziemską śmiercią, liczyli, że i oni dostąpią swojego małego zbawienia, na przykład, gdy uda im się złagodzić dotkliwy ból kiszek.

On sam – jak twierdził, chociaż nie miał w tym punkcie zupełnej pewności – trzymał się od jakiegokolwiek idei zbawienia z daleka. Świat jako całość – wyznawał to otwarcie – budził jego przerażenie. Samo istnienie gatunku ludzkiego na ziemi uważał za niepojęty cud i to nie tylko dlatego, że ludzki gatunek powstał na Ziemi w sposób, którego nikt nie potrafił wyjaśnić, ale przede wszystkim dlatego, że ten gatunek, w porównaniu z innymi gatunkami niewiarygodnie kruchy i słaby, tak długo potrafił utrzymać się przy życiu. Bo przecież – unosił kieliszek – ileż to gatunków w ciągu tysięcy lat nie potrafiło się utrzymać przy życiu i znikło z powierzchni Ziemi, jak oddech znika z zimnej szyby. Uważał, że prawdziwym cudem jest wyjść na ulicę i zobaczyć dokoła siebie żywych ludzi, bo bezlitosna logika nakazuje, że żadnego żywego człowieka już dawno nie powinno być na Ziemi. Wystarczy przecież jeden zimniejszy powiew wiatru – kołysał ręką, by pokazać niebezpieczny ruch chłodnego powietrza – a człowiek zdycha jak polna mysz na mrozie.

I na dodatek martwiło go jeszcze jedno. Jeśli życie na Ziemi jest, ogólnie rzecz biorąc, dość marne, wygląda na to – ta obawa psuła mu humor – że i w Niebie czeka nas wieczny pobyt, pozbawiony wszelkiej radości. W dzieciństwie bardzo się starał pokochać Boga Ojca. Chciał w ten sposób zrobić przyjemność własnemu ojcu. Ale mimo starań zupełnie mu to nie wychodziło. Boga się bał, jak go nauczył proboszcz w Ansbach, ale nie potrafił Go polubić. Jakże więc miał się cieszyć po śmierci zbawieniem, które miało polegać na wiecznym obcowaniu z kimś, kogo polubić nie był w stanie?

Bezradosne Niebo – Maria kiedyś tak sobie pomyślała – to był chyba główny kłopot prokuratora Hammelsa. Wieczna nagroda w jego oczach nie była żadną nagrodą, o którą warto się bić. Miał pretensje do księży, że nie wytężyli swojej wyobraźni na tyle, by przekonać go, że Wieczne Szczęście bę-

dzie miało naprawdę smak. Kiedy patrzył na obraz Boscha *Ogród rozkoszy*, nie potrafił ukryć rozczarowania. Wrażenie jałowości było przybijające. Więc tak marnie – i kiczowato – ma wyglądać ta Wieczna Nagroda, o którą mamy się uparcie starać przez całe życie? Pozostawało zatem szukać szczęścia tylko tu, na Ziemi. Ale przyjmując takie założenia, do prawdy nie bardzo było wiadomo, jak w takich warunkach kierować państwem. Ponieważ straszne pytanie „po co?” wisiało nad wszystkim, co prokurator Hammels robił i nad czym rozmyślał.

„Bo zastanówmy się, co to jest państwo i po co właściwie ono istnieje?” – rozpromieniał się, wracając do swojego ulubionego tematu, co Maria przyjmowała z wyrozumiałym uśmiechem, pełna zresztą uznania dla paradoksów i żartów, jakimi zabawiał ją wieczorami. – Najprościej można powiedzieć tak: Każde państwo jest czymś w rodzaju Arki Noego, w której ludzkość zamyka się codziennie w obronie przed zalewającym nas ze wszystkich stron potopem śmierci. Ale po co właściwie ludzkość ma przetrwać potop śmierci – unosił brwi, jakby dziwił się, że można postawić takie pytanie – nie bardzo wiadomo. Podobno jest w nas instynkt samozachowawczy, którego powinniśmy słuchać jak psy podwórzowe słuchają właściciela, ale przecież dokładnie taki sam instynkt samozachowawczy mają skorupiaki, glisty i dżdżownice, które równie mocno jak my chcą przetrwać codzienny potop śmierci”.

Po tych słowach prokurator Hammels wybuchł głośnym śmiechem, tak bardzo rozbawiała go ta myśl, którą trudno było uznać za przyjemną. Cóż by to zresztą było – kołysał kieliszkiem w palcach – gdyby tak ludzkość pewnego dnia rozpoczęła generalny strajk seksualny, bezczelnie odrzucając boży nakaz „mnóżcie się, zaludniajcie ziemię”, to znaczy po prostu zupełnie przestała się rozmnażać? „Bo – do diabła, panno Ferbelin! – wykrzykiwał, unosząc kieliszek – niech mi

pani powie, po co właściwie na Ziemi jest tyle ludzi, a będzie podobno jeszcze więcej? Nie wystarczy tyle, ile jest? A tu rodzą się i rodzą bez przerwy nowe miliardy, jak te, za prośbą, mszyce! Może Bóg ma za duże Niebo i te gigantyczne ilości ludzi, które ludzkość produkuje bez opamiętania, chce tam upchnąć, żeby w Niebie nie było pustych pokojów? I dlatego domaga się od nas, byśmy nieprzytomnie płodzili następne, do niczego niepotrzebne pokolenia, które tylko wyżerają, co się da, niszcząc przy tym Ziemię swoimi odchodami?”.

W żyłach prokuratora Hammelsa krążyło dobre, rozgrzewające wino, więc pozwalał sobie na żarty ryzykowne. Jego pomysły Maria kwitowała ironicznym unoszeniem brwi i uprzejmymi kiwnięciami głową, bo przecież nie była tutaj – doskonale sobie z tego zdawała sprawę – po to, by spierać się o jakąś słuszność, lecz po to, by swoją obecnością łagodzić ciężar życia, z którym niełatwo sobie poradzić, nawet jeśli się żyje w luksusach. „Celem państwa – prokurator Hammels tymczasem kontynuował swoje rozważania, podnosząc kieliszek do ust – jest to, by ludzie żyli i skutecznie podtrzymywali gatunek przy życiu. Tylko właściwie po co – bawił się słowami, jak dziecko bawi się nadzianą na patyk dżdżownicą – po co, niech mi pani powie, podtrzymywać gatunek przy życiu? Przecież każdy gatunek ma swoją granicę przetrwania i zniknie na pewno z powierzchni Ziemi, zatem i ludzki gatunek też kiedyś na pewno zniknie. Tymczasem głównym celem wszystkiego, co robimy, jest to, żeby gatunek ludzki trwał na Ziemi możliwie jak najdłużej. No bo czy ludzkość ma jakiś cel ważniejszy? To właśnie dlatego ludzie wymyślili państwo, cywilizację, buty, gazety, szpitale, spodnie, kościoły, klozety, książki, ulice, teatry, telefony, sklepy mięsne, kuchnie, tramwaje, wanny, samochody, księgarnie, apteki, muzea i dzieła sztuki... Więc – pytał, demonstrując teatralnymi gestami swoje bezgraniczne rozczarowanie – to

tak właśnie wygląda ten najważniejszy cel naszego istnienia? Podtrzymywać istnienie czegoś tak nieskończenie marnego jak ludzkość, która na dodatek zniknie nieuchronnie?”. Kiedy to wszystko mówił, nie krył odrazy dla takiej perspektywy, jakby stanowczo żądał, by życie ludzkie było czymś dużo więcej. Tylko czym właściwie miałoby ono być, by sprostać jego oczekiwaniom?

„Żebyśmy – wzdychał – chociaż byli gatunkiem najdoskonalszym. Ale są od nas na Ziemi gatunki dużo lepsze. Na przykład pszczoły. To tylko my, ludzie, wmawiamy sobie, że jesteśmy, pozał się Boże, koroną stworzenia. Ludzie płodzą dzieci ze strachu, bo wiedzą, że jeśli nie będą mieć dzieci, zostaną na Ziemi zupełnie sami, więc ta maszyneria płodzenia sama się napędza. Ale po co ona się napędza, nie wiadomo. Nawet Bóg nie daje na to pytanie odpowiedzi, tylko w Biblii woła do nas, żebyśmy się mnożyli nieprzytomnie jak te króliki. Tylko po co? A cóż się takiego właściwie stanie, jeśli nasz wspaniały gatunek wyginie? Świat się może od tego zawali? A może Ziemia właśnie odetchnie z ulgą, kiedy przestaną po niej chodzić ludzie? Panno Ferbelin – patrzył na nią smutno, jakby podejrzewał, że nauczycielka jego syna niezbyt rozumie naturę jego zmartwień – tak mówiąc szczerze, to ja bym wolał być Królem Pszczoł. Pszczoły są od nas dużo lepsze i już dawno powinny objąć władzę nad całą Ziemią.

Dawni ludzie – zamyślał się, patrząc w pusty kieliszek – wierzyli, że istnieje Ktoś, komu bardzo zależy na tym, żeby ludzkość na Ziemi istniała, ale dzisiaj – podejrzewał, że tak się właśnie rzeczy mają w obecnym świecie – nikomu, ani Bogu, ani Naturze, wcale nie zależy na tym, by ludzki gatunek istniał. W gruncie rzeczy na tym, by ludzkość istniała, nie zależy nikomu poza samą ludzkością, która, oczywiście, żarliwie chce żyć, a skoro chce żyć, wmawia sobie, że ma prawo żyć, ale skorupiaki, pluskwy i dżdżownice chcą żyć dokładnie tak samo żarliwie jak ona, więc i one mają

– kołysał pustym kieliszkiem – dokładnie takie samo prawo do życia.

Jedyny zatem sens – po tej przemowie przechodził do wniosków, nie zapominając napełnić kieliszka – to żyć tak, by nie mieć czasu na rozpacz”. Gdy słysząc te słowa, Maria patrzyła na niego z powątpiewaniem, kiwał głową jak starzec, któremu nie chce się tłumaczyć rzeczy oczywistych. „Tak, panno Ferbelin, walka z ludźmi o władzę daje tak silne złudzenie intensywności życia, że nie mamy czasu na rozpacz. A to jest wielka rzecz: nie mieć czasu na rozpacz. Żądza władzy, strach przed utratą władzy, wściekła radość dominowania nad innymi, duma, że ludzkie stado patrzy na nas z respektem, lęk przed ośmieszeniem – te upajające uczucia o niezwyklej mocy skutecznie przesłaniają poczucie zupełnej jałowości naszego istnienia na Ziemi. Kto żyje w kłębowisku ambicji, zawiści, podstępów, intryg, zemsty, pożądania, zapomina zupełnie o pustce życia. Walka o władzę i strach przed utratą władzy działają jak najmocniejszy alkohol. Niech mi pani wierzy, nie ma nic lepszego. Żyć tak, by zagrażać innym i być ciągle w stanie zagrożenia. Niszczyć innych, poniżać ich, bronić, ocalać, ubóstwiać, uszczęśliwiać i stale narażać samego siebie na zniszczenie i poniżenie. Wspinąć się wysoko tylko po to, by wiedzieć, że w każdej chwili można spaść na dno. Kiedy człowiek żarłocznie walczy o władzę albo panicznie broni władzy, którą już zdobył, nie ma czasu na rozmyślanie nad sensem życia, bo sens życia – wyciągnął przed siebie dłoń i zacisnął pięść – sam rodzi mu się pod palcami.

Kto pragnie władzy, kto się boi władzy, kto nienawidzi władzy, kto walczy z tyranią władzy, kto wściekle dąży do władzy, kto czuje się prześladowany przez władzę, ten nie ma czasu na rozpacz. Prawdziwe to błogosławieństwo. W naszym świecie ożywczy strach przed państwem skutecznie zastępuje strach przed Bogiem, do którego to strachu już od

dawna nie jesteśmy zdolni. Kiedy ludzie drżą przed państwem, które może ich zniszczyć, mają mocne poczucie sensu życia, chociaż naiwnie marzą o słodkim życiu na swobodzie, zapominając, że to właśnie swoboda wyplukuje z serca wszelki sens, dając w zamian błyskotki, którymi nie da się zasypać poczucia jałowości wszystkiego.

Trzeba, panno Ferbelin, żyć tak, żeby nie mieć czasu na rozpacz. Kto się boi o własne życie, o własne stanowisko, o rodzinę, o pieniądze, o karierę, o zdrowie, nie ma czasu na lęki, które nas obezwładniają. Bo prawdziwie niebezpieczny nie jest strach. Prawdziwie niebezpieczny jest lęk. Mocny strach zabija wszystkie lęki. A miłość? Panno Ferbelin, miłość osłabia. Czyni nas bezbronnymi. Obnażonymi. Wrażliwymi. Współczującymi. Wystawionymi na cios. Kruchymi. Nie wiemy, dlaczego tak jest, ale tylko złe uczucia rozpalają w nas siłę życia. Zazdrość, nienawiść, pogarda, zawiść, lęk przed poniżeniem, mściwość, pragnienie rewanżu, żarłoczność – wszystko to są prawdziwe motory życia. I niech się pani nie nabiera na słodkie gadanie moralistów, którzy rozczulają się nad uczuciami dobrego serca, bo uczucia dobrego serca spychają nas tylko w żalosną słabość”.

„Tylko, panno Ferbelin – dorzucił po chwili, nagle gasnąc po tej pokrętej przemowie jak zdmuchnięta świeca – niech mi pani powie, po co właściwie trzymać się pazurami życia? Przecież żaden mądry człowiek nie powie: «Życie jest wszystkim!». Mądry człowiek wie, że życie nie jest wszystkim i dlatego czeka na śmierć godnie, to znaczy bez dzwonięcia zębami. Bo wszystko zostanie pożarte przez śmierć. Kto wie, może nawet sam Pan Bóg zostanie przez nią pożarty, jak się tylko wystarczająco zestarzeje. Śmierć pożre wszystko, całą Ziemię i kosmos, i nie będzie zupełnie niczego, tak jak na początku świata nie było niczego. Chrześcijanie mówią: na początku było Słowo. Ale to są żalosne pocieszenia. Na początku było Nic i na końcu będzie Nic”.

Wypowiadając te słowa, prokurator Hammels opierał podbródek na dłoni i w zamyśleniu wpatrywał się w obraz Friedricha, jakby go olśniła ta straszna i wspaniała wizja zupełnej nicości, z której wszystko się wyłoniło i do której wszystko kiedyś nieuchronnie powróci, a potem nagle krzychał w stronę człowieka w czarnym surducie, stojącego na szczycie góry nad morzem mgieł: „Ty, co tam tak stoisz, powiedz no mi wreszcie, co ty tam widzisz z tej swojej góry! No, odwróć się, pokaż swoją twarz i powiedz, co tam zobaczyłeś! Mów, czy naprawdę warto wchodzić na tę przeklętą górę, żeby zobaczyć to, co ty tam teraz widzisz?”. A że człowiek na obrazie nie odwracał się, zajęty kontemplowaniem górskiego krajobrazu, prokurator Hammels wygrażał mu uniesioną pięścią, z lekka chwiejąc się za stołem: „Widzi go pani, panno Ferbelin, jaki ważny? Odwrócił się do nas, za przeproszeniem, tyłkiem i milczy jak ten bawarski cham. Nie wstyd ci? – unosił kieliszek w stronę obrazu. – A jeśli – posępniał nagle, zmęczony okrzykami, które przestawały go bawić – a jeśli on tak stoi odwrócony do nas tyłem dlatego, że nie chce, byśmy zobaczyli jego twarz? Może on stojąc tam, na tej górze, po prostu płacze? Jak pani myśli, panno Ferbelin?”. Po czym znowu wybuchał śmiechem, błaznując i rozlewając wino na mahoniowym stole.

Maria patrzyła na to wszystko ze smutkiem, myśląc sobie, co też to może stać się z duszą mężczyzny, gdy mężczyzna utraci kobietę i jest zdany tylko na siebie. Przecież wszystko, co mówił prokurator Hammels, było wymierzone w nią samą, Marię Ferbelin, istotę stworzoną, jak wszystkie kobiety, do rodzenia, mnożenia się, płodzenia, ale że czuła pod tymi ekstrawagancjami niezaleczony ból straty, próbowała rozładować sytuację żartem. On jednak zaczynając od żartów, znowu posępniał: „Słuchaj no, droga panno – kiwał na nią palcem. – Ja ci nie pozwolę, byś się splamiła jakimś romansiem z mężczyzną lub kimś jeszcze gorszym. Pamiętaj,

ty jesteś nauczycielką mojego syna. Musisz być czysta jak ta świeżo umyta porcelanowa wanna. Nosisz się tak pięknie, głowę masz jak klejnot, profil tak ładny – rozczulał się nagle – usta, o których każdy mężczyzna by marzył, uszy delikatne jak płatki róży – zaczął nucić, jakby śpiewał *Pieśń nad pieśniami*. – Ty słońcem byś była każdemu mężczyźnie, a ja cię dotknąć nie mogę, bo mnie od ciebie odgradza szklana szyba pod karą śmiertelnego grzechu. Ty musisz być wyniosła, pociągająca, bolesna, nietykalna, czuła, silna, słaba, zraniona, lękliwa, spłoszona, gwałtowna, odpychająca, raniąca, groźna, kojąca, mroczna, radosna, pracowita i leniwa – sypał sprzecznymi przymiotnikami jak monetami z rozprutej portmonetki – bo tylko wtedy będziesz mogła to wszystko utrzymać w równowadze, której ja osiągnąć nie mogę. O, ludzie – krzyczał w stronę obrazu – gdyby ten człowiek nie był zupełnie sam, pewnie by więcej zobaczył, ale skąd ja mu wezmę syrenę, walkirię, która gotowa byłaby wejść razem z nim na tę głupią górę, z której nie widać nic, chociaż wszyscy sobie wmawiają, że można stamtąd zobaczyć wszystko?”

Maria trochę odsuwała się od niego, gdy nieostrożnie unosił butelkę i napełniając kieliszek, oblewał sobie winem palce. Cóż w tym wszystkim mogło być zabawnego? Ot, po prostu samotny mężczyzna, który po ciężkim dniu lewituje nad światem w chmurze alkoholu, a jednak jakoś mu współczuła, choć nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z pytań, które stawiał. A jednak wcale się tym nie martwiła, bo przecież spostrzegła dość szybko, że część z tego, co mówił, odgrywał przed nią niczym w teatrze, spod przymkniętych powiek obserwując, jak ona przyjmuje jego słowa i gesty i czy potrafi odróżnić to, co w nich jest odegrane, zmyślane, udawane, od tego, co jest najprawdziwszą, najgłębiej przeżywą prawdą.

Pies

Tamtego dnia Maria przysła na lekcje przed samą dzieśiątą, ale w pokoju na piętrze chłopca nie zastała. Wyrzała przez okno, czy nie bawi się nad stawem, przy krzewach różanecznika, w miejscu, które tak lubił, ale i tam go nie było. Zeszła na parter, by wypytać panią Sonneberg, co się właściwie stało, ale w kuchni, do której zajrzała przez oszklone drzwi od strony korytarza, nie zobaczyła ani pani Sonnenberg, ani służącego Hertena. Zapukała do gabinetu prokuratora Hammelsa, ale i tu także nie było nikogo. Dom wyglądał na pusty, chociaż na płycie kuchennej stały gorące garnki, ogień płał pod paleniskiem, a pokrywki podskakiwały pod naciskiem dymiącej pary.

Dopiero gdy wyszła przed dom, usłyszała płacz czy jęśliwy krzyk, gasnący i wybuchający na nowo, podobny do kobiecego łkania, ale tak przenikliwy i bolesny, aż chciało się zatkać uszy palcami, by go nie słyszeć. Dźwięk ten dobiegał zza rogu willi, od strony oficyny, gdzie pod brzozowym lasem zbudowano niedawno niskie budynki z czerwonym dachem – pomalowany na biało dom dla służby, wozownię i garaż – otaczając wewnętrzny dziedziniec.

Minęła klon rosnący przy murze, skręciła pod pergolą z dzikim winem, a gdy weszła na wysypany drobnym żwirem wewnętrzny dziedziniec, otoczony zabudowaniami oficyny, gdzie cień spadzistego dachu willi ściemniał barwę ziemi i murów, przed otwartymi wrotami garażu ujrzała grupę ludzi, którzy patrzyli na coś, co leżało przed maską samochodu. Czarny daimler z niklowanymi okuciami wyglądał tak, jakby nagle zatrzymał się, szybko wyjeżdżając z garażu. Ślady gwałtownego hamowania były odcisnięte w żwirze. Obok samochodu stali służący Herten, pani Sonnenberg, prokurator Hammels i jego syn Helmut. Gdy prokurator Hammels spostrzegł, że Maria wyszła zza rogu willi i idzie ku nim przez podwórze, niecierpliwie machnął ręką: „Niech pani stąd idzie! Helmut zaraz przyjdzie na górę!”.

Nie było to przyjemne, więc dotknięta wycofała się do willi, ale nie poszła na górę do pokoju, tylko zatrzymała się na półpiętrze, przy oknie z witrażem, skąd widać było wysypany żwirem dziedziniec przy oficynie. Nikt, kto spojrzełby teraz z dziedzińca w jej stronę, na pewno by jej nie dostrzegł za kolorowymi szkiełkami oprawionymi w ołów. Z czołem przytkniętym do czerwonych szybek witraża patrzyła na to, co działo się przed garażem, usiłując dociec, dlaczego prokurator Hammels zareagował na jej widok tak nerwowo.

Przez szparę w uchylonym oknie usłyszała głosy dobiegające z dziedzińca. „Herten – prokurator Hammels zwrócił się do służącego, który stał pod ścianą oficyny, przygryzając trzymane w palcach źdźbło trawy – przynieś no mi brauninga”. Słowa te zabrzmiały dziwnie, bo przecież przed garażem nie działo się nic, co wymagałoby użycia broni. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ludzie zebrani przy wjeździe do garażu stoją wokół psa leżącego na ziemi tuż przed maską daimlera. Pies miał zmiażdżone obie przednie łapy, nie mógł się podnieść, na oponie jednego z kół samochodu widać było

krw, więc pewnie ktoś – jak sobie pomyślała – może właśnie sam Herten, wyjeżdżając zbyt szybko z garażu, przejechał przebiegające przez dziedziniec zwierzę, które teraz leżało na ziemi, chwilami wydając z siebie żałosny, przenikliwy skowyt, podobny do kobiecego łkania czy wrzasku poparzonego dziecka.

Helmut stał obok ojca i patrzył na zwierzę tak przerażony, jakby to właśnie on odpowiadał za to, co się stało, chociaż zwierzę pewnie wbiegło pod koła samo, nieopatrznie spuszczone ze smyczy. Pies wyglądał na szkockiego wyżła, leżał na boku, miał rudą aksamitną sierść, na której teraz lśniły czarne plamy krwi. Pani Sonnenberg pochyliła się nad nim i delikatnie pogłaskała po rudym grzbiecie, jakby samym dotknięciem chciała ukoić nieznośny ból, co niczego, rzecz jasna, nie mogło już zmienić. Co parę chwil rzucały nim drgawki.

Po chwili zjawił się Herten, niosąc w prawej dłoni ciemny przedmiot o matowym połysku. Gdy podał go prokuratorowi Hammelsowi, ten najpierw sprawdził, czy w magazynku brauninga są naboje, gdy zaś upewnił się, że wszystko jest w porządku, odbezpieczył broń, spokojnym ruchem ręki nakazał, by wszyscy odsunęli się parę kroków od psa, po czym skierował lufę w stronę psiej głowy. Pies patrzył na niego wilgotnymi oczami, drżąc z bólu i lęku. Helmut odsunął się o dwa kroki, zatykając palcami uszy, żeby nie słyszeć wystrzału. Widać było, że nie chce patrzeć na to, co ojciec robi za chwilę, choć godzi się z tym, co ojciec postanowił, bo rzeczywiście łapy wyżła były tak zmiażdżone, że nie mogło być mowy o ich wyleczeniu. Prokurator Hammels celował w wypukłe miejsce między uszami, chciał, by wszystko trwało jak najkrócej, ale w chwili, gdy już miał nacisnąć spust, opuścił lufę pistoletu, przez moment nad czymś się zastanawiał, po czym podał brauninga chłopcu. „Zastrzel go” – powiedział niezbyt głośno. Helmut popatrzył na niego zdziwiony, jakby nie miał pewności, czy dobrze usłyszał, ale

prokurator Hammels wetknął mu brauninga do ręki: „No, na co czekasz?”.

Pani Sonnenberg chciała coś powiedzieć, ale prokurator Hammels niecierpliwym gestem nakazał, by milczała. Herten stał obojętnie pod ścianą, garażu parę kroków od samochodu, samą swoją pozą okazując, że sprawy już do niego nie należą, bo ze swej strony zrobił wszystko, co powinien. Chłopiec popatrzył na ojca przerażony, prokurator Hammels jednak tylko kiwnięciem głowy potwierdził swoje polecenie. Jego twarz przybrała zacięty, karcący wyraz. Helmut wziął od niego brauninga, ale trzymał go tak, jakby nie wiedział, co z nim zrobić, więc prokurator Hammels powtórzył raz jeszcze: „No, na co czekasz? Niech się nie męczy”.

Helmut spozjrzał na panią Sonnenberg, ale pani Sonnenberg tylko spuściła wzrok, bo skoro pracowała u prokuratora Hammelsa, jasne było, że obowiązuje ją posłuszeństwo. Maria widząc tę scenę, poczuła nieprzyjemne ukłucie pod sercem, tak to wszystko było okropne. Prokurator wyglądał na rozgniewanego, bo sprawa – jak uważał – była prosta. Wystarczy jeden ruch ręką i po wszystkim. Helmut stał jednak bezradnie z brauningiem w dłoni, spoglądając to na panią Sonnenberg, to na Hertena, ci jednak zachowywali się tak, jakby cała sprawa przestała ich dotyczyć, chociaż widać było, że pani Sonnenberg wewnątrz drży z oburzenia, tłumiąc w sobie gniew, który malował się na jej zaróżowionej twarzy.

Pies poruszył się gwałtownie, podkułił tylne łapy, próbował wstać z ziemi, wtedy chłopiec, sam nie wiedząc, co robi, w odpowiedzi na ten niespodziewany, gwałtowny ruch zwierzęcia, przestraszony nacisnął na spust. Broń szarpnęła rękę, aż przygryzł wargi z bólu. Echo wystrzału klasnęło, odbite od ścian willi. Prokurator Hammels wyjął mu pistolet z palców i schował go do tylnej kieszeni spodni, po czym rzucił

do Hertena: „Posprzątaj to”. „A ty – powiedział do syna – idź teraz na lekcję do panny Ferbelin”.

Maria czegoś tu nie rozumiała. Trudno jej było pojąć, czy rzeczywiście była świadkiem zimnej bezwzględności nieczułego ojca, czy też kryło się za tym coś jeszcze, czego nie potrafiła przeniknąć. Prokurator Hammels wyglądał na rozdrażnionego, wcale jednak nie było pewne, czy powodem było rzeczywiście zachowanie chłopca. Z paru gestów ojca wywnioskowała, że sprawę okaleczonego psa załatwił jakby mimochodem, pośpiesznie, myśląc o sprawach dużo ważniejszych, które nad nim pewnie wisały, tak że to, co można było wziąć za zimną premedytację, mogło mieć w sobie jakiś gorzki rdzeń, który tylko po części miał związek ze sprawą syna. Sam chłopiec stał jak ogluszony nad zabitym psem, którego głowę kula rozerwała obok prawego ucha, kalecząc powiekę i oko. Pani Sonnenberg schyliła się i swoją chusteczką wytarła mu buty, ochlapane kroplami krwi. Herten wyciągnął z garażu płachtę brezentu i zawinął w nią bezwładne zwierzę, którego głowa, z uszami mokrymi od krwi, kołysała się na wiotkiej szyi.

Gdy chłopiec wszedł do pokoju na piętrze, Maria powiedziała, że może dzisiaj nie zaczną od lekcji matematyki, tylko poczytają sobie podręcznik do geografii, co przyjął – przynajmniej na to wyglądało – z zupełną obojętnością. Otworzyła książkę na stronie, na której widniał złoty trójkąt Sycylii i zaczęła czytać linijka po linijce fragment o mieście Palermo i wulkanie Etna, starając się nadać swojemu głosowi łagodną barwę, jakby chciała bardziej może uspokoić samą siebie niż chłopca, tak ją to wszystko rozstroiło. Helmut usiadł na swoim fotelu pod oknem, popatrzył przez szybę na ogród i krzewy różanecznika, ale był nieuważny, pewnie nawet nie słuchał tego, co czytała. Miała nadzieję, że samym brzmieniem głosu może trochę go uspokoi po tym, co się stało, więc czytała nie za głośno, powoli odmierzając kolejne zda-

nia. O tym, co widziała przed garażem, nie chciała z nim rozmawiać, chociaż nie miała pewności, czy rzeczywiście milczenie będzie najlepszym lekarstwem.

On sam też nie wspominał nawet słowem o tym, co się stało. Siedział na fotelu bez ruchu, jakby wsłuchiwał się w bicie własnego serca i zdawał się zupełnie ignorować jej obecność. Gdy przerywała na moment czytanie dla złapania oddechu, budził się z odrętwienia z dziwnym wyrazem oczu, w których nie było nawet śladu łzy. Palcami wybijał jakiś nerwowy rytm na kolanie, nie odrywając oczu od stawu z fontanną, na którego powierzchni migotały ostre odbłyски słońca.

Próbowała wypatrzeć, co się z nim dzieje, ale przysunął fotel do stołu, bez pośpiechu poukładał na blacie jedną książkę po drugiej, jakby to było teraz do czegoś potrzebne. Dopiero gdy uchyliła okno, zza którego dobiegł z ogrodu przenikliwy krzyk pawia, spacerującego wśród krzaków różanecznika, powiedział na wpół do niej, na wpół do siebie: „Ojciec mówi, że cierpienia zwierząt są okropniejsze niż cierpienia ludzi. Bo jak się człowiek męczy, to za swoje grzechy. A zwierzęta? Za jakie grzechy one tak cierpią? Księża mówi, że zwierzęta nie mają prawa do zbawienia, nawet jeśli cierpią tak strasznie jak sam Jezus na krzyżu. Że zbawienie jest zarezerwowane tylko dla ludzi. Czy pani myśli, że to sprawiedliwe?”. Wypowiadał to spokojnym ścisłym głosem, nie podnosząc na nią oczu, ale kiedy sięgnął po podręcznik matematyki, zauważyła, że drżą mu ręce. Nie powiedziała mu, że z witrażowego okna widziała wszystko na wewnętrznym dziedzińcu, a i on sam nie miał zamiaru jej mówić o tym, co się tam zdarzyło. Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy. Fotel stał przy oknie tak, że chłopiec nie widział, jak służący Hertzen wkłada zawinięty w szary brezent pakunek do bagażnika samochodu, po czym wyjeżdża za bramę, którą przed nim otwierają strażnicy w pikielhaubach.

Pewnie wywoził psie ścierwo do lasu, by je zakopać gdzieś wśród drzew.

„Kiedy byłem mały – chłopiec odezwał się po chwili – urządzałem pogrzeby zwierząt. Nie wyobrażałem sobie, że pies czy kot może nie mieć swojego własnego grobu z krzyżykiem. Jak pani myśli – spojrział na nią – czy Jezus przyszedł na świat także po to, by zbawić zwierzęta? I czy w niebie będziemy mieli swoje koty i psy, które nam umarły na Ziemi? Kiedy zdechła nasza kotka Astrea, zakopałem ją w drewnianym pudełku po hawańskich cygarach ojca, o tam – pokazał ręką brzozowy zagajnik – za tamtymi brzozami, a potem odmówiłem jeszcze *wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie*. Czy pani uważa, że to było głupie?”. Maria nic na to nie odpowiedziała. Sama w dzieciństwie urządzała podobne pogrzeby, ale kiedy się z tego wyrasta, nikt już nie myśli o takich rzeczach.

Pod wieczór zeszła do gabinetu na parterze sama, nie czekając na żadne zaproszenie. Prokurator Hammels przyjął ją bez zdziwienia. Pisał coś przy biurku na białej kartce z urzędowym nadrukiem w górnym rogu strony, więc nawet na nią nie patrząc, wskazał jej fotel, by usiadła. Biła od niego męska siła, na twarzy malowało się jakieś twarde postanowienie, nie był to już swobodny mistrz paradoksów z kieliszkiem czerwonego wina w palcach i w białej koszuli rozpiętej pod szyją, z którym lubiła rozmawiać w mahoniowej bibliotece o tajemnicach męskiej i kobiecej duszy. Pomyślała, że ktoś taki z pewnością potrafi zapewnić kobiecie poczucie bezpieczeństwa, ale teraz w jego obecności wcale nie poczuła się bezpieczna. Siedząc na fotelu pod lampą, czekała cierpliwie, aż prokurator Hammels skończy list, w którym – jak zauważyła – podkreślił parę zdań czerwonym atramentem, przydając im znaczenia samym stanowczym ruchem pióra, mocno dociśniętego do papieru. Kiedy złożył podpis u dołu strony i kartkę wsunął do koperty z nadrukiem czarnego orła

w koronie, powiedziała, tłumiąc gniew: „Nie powinien pan tego robić”. „Czego? – spojrzał na nią nieuważnie, przybijając pieczęć na kopercie. „Z tym psem”. „Ach, z psem – wyglądał na roztargnionego. – To nieważna sprawa. Zwierzę się męczyło. Trzeba to było skrócić”. „Może. Ale nie z udziałem Helmuta”. Popatrzył na nią niechętnie swoimi jasnoniebieskimi oczami. „Więc pani widziała?”. „Widziałam. To nie było rozsądne”. „Nie ma pani racji – sięgnął do pudełka po cygaro, obejrzał zwitek tytoniu ze złotą banderolą, ale go nie zapalił, tylko odłożył na stół obok marmurowego kałamارza. – Chłopiec powinien wiedzieć, co go czeka”. „Takich rzeczy nie robi się z dzieckiem”. „Panno Ferbelin – mruknął, znudzony jej słowami. – Helmut nie jest żadnym dzieckiem. Zapewniam panią, że pewne rzeczy rozumie lepiej niż pani”. Pokręciła głową, jakby chciała opędzić się od jego słów. „Helmut to jeszcze dziecko, chociaż, to prawda, rozumie więcej niż inni. Ale teraz on nie może dojść do siebie po tym wszystkim”. Przyjrzał jej się, nie kryjąc irytacji. „Mówił coś?”. „Nie. Nic”. „A widzi pani – puknął palcami w stół. – Wie, że się nie sprawdził, więc milczy”. „Nie sprawdził się? Dziwnie to pan formułuje”. „Powinna pani wiedzieć – przygładził włosy na skroniach, lekko pochylając ku niej głowę – że on mnie kiedyś zastąpi. Musi umieć działać zdecydowanie”. „Teraz on jest roztrzęsiony”. „Panno Ferbelin – skrzywił się lekceważąco – za drugim razem pójdzie mu lepiej. Czy pani wie, co go czeka, kiedy zajmie moje miejsce?”. „Chce mnie pan przekonać, że powinien być zdolny do wszystkiego?”. „Jeżeli nie będzie – jak to pani ujęła – zdolny do wszystkiego, zginie jak ten pies, którego dzisiaj zastrzelił. Czy pani domyśla się, co jest w liście, który przed chwilą podpisałem?”. „Skąd mam wiedzieć, o czym pan pisze listy i do kogo. To nie moja sprawa”. „Słusznie. Ale gdyby pani poznała treść tego listu, pojęłaby pani, co czeka mojego syna, kiedy zajmie moje miejsce. Jak pani myśli

– zmrzył oczy, przypatrując się jej twarzy pogrążonej w cieniu – ilu jest ludzi w tym mieście, którzy życzą mi śmierci?”. „Każdy ma jakieś kłopoty” – odpowiedziała nieporadnie, czując że wchodzi na niebezpieczny grunt. – „Ładnie to pani ujęła. Kłopoty. Czy pani wie, ile w swoim życiu podpisałem wyroków śmierci, nawet kiedy tego nie chciałem? A pani mi tu wyjeżdża z jakimś psem. Jeśli Helmut nie będzie gotowy na wszystko, przepadnie. Pani lekcje geografii i dobrego wychowania w niczym mu nie pomogą, kiedy będzie musiał podejmować decyzje, które ja teraz podejmuję”. „To po co pan w to wlaź?”. Aż się cofnął w głąb fotela, słysząc to pytanie. Ciemny rumieniec przepłynął po policzkach. „Czy pani się przypadkiem nie zapomina? Ktoś musi to wszystko trzymać w jakim takim porządku. Jak nie ja – dodał tonem już trochę łagodniejszym – to ktoś inny”.

Biło teraz od niego coś niedobrego, jakaś chłodna niechęć do wszystkich, którzy mu podlegali, co niedbale maskował układnymi gestami wysokiego urzędnika cesarstwa. Nagle zapragnęła być jak najdalej od tego miejsca, schować się gdzieś przed światem, którego niedobry duch unosił się w pokoju jak ciemny dym cygar. Nic dziwnego – pomyślała z ironią, rzucając okiem na obraz Friedricha, wiszący między skrzydłami mahoniowej biblioteki – że człowiek w czarnym surducie stoi nad morzem mgieł tyłem do tego gabinetu. Gdyby teraz mogła zrezygnować z pracy u prokuratora Hammelsa, zrobiłaby to natychmiast, ale myśl o ojcu powstrzymała ją przed ostatecznym krokiem, którego pewnie później by żałowała. Uciec stąd. Tylko dokąd, jeśli – teraz nie miała złudzeń – wszędzie jest tak samo. Widok prokuratora Hammelsa, który podaje ciemnego brauninga synowi na dziedzińcu przed garażem, tkwił pod sercem jak drzazga.

Nazajutrz po lekcjach z Helmutem pojechała do Gdańska. Było już ciemno. Na Pfefferstadt, Breitgasse, Paradiesgasse latarnie mżyły niebieskawym światłem we mgle, która

napływała od strony Motławy. Bruk był lśniący i wilgotny. Szła ulicami przeklinając co parę chwil wszystko, co jej się dzisiaj przytrafiło, w nadziei, że spacer przyniesie choć trochę ulgi. Ciągłe powracały obrazy z minionego dnia. Dziwny chłód, który dostrzegła w oczach prokuratora Hammelsa dowodził, że dzieją się wokół niego rzeczy, o których nie miała pojęcia, a sprawa z synem jest pewnie tylko drobnym odpryskiem czegoś, co gromadziło się nad jego głową od dawna. Cała ta gadanina o twardości, której wysłuchiwała w mahoniowym gabinecie, nie była tylko akademicką rozmówką o wadach i zaletach charakteru. Jakieś siły zmagają się w ciemności nad willą stojącą pod Lasem Gutenberga, a to zachowanie prokuratora Hammelsa dowodziło, że niebezpieczeństwo nie jest bynajmniej urojone. Cóż, taki jest pewnie świat. Siła musi się bronić przed siłą, chociaż większość ludzi chętnie – nie mogła się powstrzymać od grymasu lekceważenia – wyobraża sobie, że niedzielny spacer po kwitnącym parku koło oliwskiej Katedry jest prawdziwym życiem.

Kiedy tak szła pod światłami latarni w stronę Zielonego Mostu, zajrzała przez wystawowe szyby do kawiarni Martensa na Jopengasse. Wnętrze było ciemne, wyłożone mahoniem, mosiądzem i porcelaną, solidne, podobne do mesy któregoś z żaglowców kompanii Lloyda. W środku było prawie pusto. Weszła do sali, szybki szklanych drzwi ładnie zadzwoniły, gdy nacisnęła na klamkę. Złote litery na szkle miały gotycki krój, jak czcionki Biblii Gutenberga. Usiadła w kącie przy okrągłym stoliku z marmurowym blatem, na którym stał kryształowy wazonik z papierową różą. Zamówiła kawę. Wysoki kelner, jasny, mocny, przystojny, w czarnym kitlu, przyniósł chińską filiżankę na malowanym spodku i postawił ją przed nią eleganckim ruchem wytresowanego zwierzęcia, które ma pewność, że podoba się kobietom. Drugi kelner, równie zręczny, tyle że bardziej masywny, z rudymi, ostrzyżonymi na jeża włosami, obsługiwał parę siedzącą przy

stoliku pod oknem, głośno zachęcając gości, by zamówili szarlotkę z lodami waniliowymi i płonącym sosem. Piła kawę z przyjemnością, czując na języku gorzki aromat, który przypominał zapachy dzieciństwa. W kawiarni było ciepło i senne, można tu było sobie porozmyślać o dobrych rzeczach bez konieczności powracania do paskudnych spraw świata. Postukując palcami o blat, jadła łyżeczką ciastko z bitą śmietaną, na którym świeciła świeża truskawka. Wszystko było tu dobre i miłe, jak haftowana pościel w najlepszym hotelu. Obrusy białe, nakrochmalone, światło o złotawej barwie prószące spod zielonych kloszy, mosiężne części lady wypolerowane kredą do błysku, na ścianach holenderskie kafelki ze scenami wiejskimi malowanymi kobaltową farbą. Za ladą wysoki barman w białym fraku przecierał kieliszki, sprawdzając pod światło, czy nie ma na nich pyłku. Pomyślała, jak dobrze, że nie ma tu muzyków, którzy mogliby zakłócić tę dobrą ciszę, która przywodziła jej na myśl spokojną powierzchnię morza w jakiejś piaszczystej zatoce na Helu.

Po chwili dostrzegła, że parę kroków przed nią, za słupem z masywnego dębu, który podpierał bawarskie sklepienie kawiarni z krzyżujących się czarnych belek, siedzi młody mężczyzna w płaszczu z postawionym kołnierzem. Nie zwróciła na niego uwagi, zajęta mieszaniami kawy srebrną łyżeczką, ale gdy poruszył się, rozpoznała w nim coś znajomego, co ją ucieszyło, chociaż właściwie nie umiała powiedzieć co, bo nie miała dzisiaj żadnego powodu do radości. Za oknem kawiarni przechodzili ludzie, czasem ktoś coś krzyknął, ktoś się roześmiał, ktoś inny śpiewał podchmielonym głosem jakąś nieprzyzwoitą piosenkę o rybaku i dziewczynie z Rozevia, licząc pewnie na to, że w pobliżu nie ma policjanta z szablą przy pasie. Mężczyzna siedział przy pustym stole, nie widziała jego twarzy, tylko miękki profil policzka i włosy przysłaniające ucho. Gdy w jakiejś chwili przechodził koło niego kelner z jasnymi włosami, mężczyzna powiedział do

niego, że czeka już chyba za długo na kawę, ale w jego głosie nie było żadnej niecierpliwości, zaczepki czy niechęci. Po prostu uprzejmie przypomniał o swojej obecności, ale kelner przeszedł obok niego tak, jakby go nie zauważył. Maria w pierwszej chwili pomyślała, że może mężczyzny w płaszczu wcale tu nie ma, że złudzenie jego obecności wzięła za rzeczywistość i aż się uśmiechnęła do tej myśli, bo to złudzenie było bardzo realne. Mężczyzna jeszcze raz uprzejmie zwrócił uwagę, że – jak mu się zdaje – czeka zbyt długo na kawę. Tym razem kelner zatrzymał się w pół kroku, ale nie podszedł do niego, tylko znacząco spojrzął na drugiego kelnera. Obaj zbliżyli się do stolika. „Wydź stąd” – powiedział jasnowłosy do mężczyzny. „Dlaczego?”. „Nie obsługujemy takich jak ty”. Mężczyzna wyjął z kieszeni złotego guldena i położył na blacie stolika. „Mam pieniądze”. „Zabieraj swoje pieniądze – powiedział jasnowłosy – i wynoś się stąd”. „Dlaczego?” – zapytał raz jeszcze mężczyzna, ale w jego głosie – czego Maria nie mogła pojąć – nie było nawet cienia zniecierpliwienia. „Nie podoba mi się twój nos” – rudy pochylił się, zaglądając mu w oczy, jakby chciał z bliska sprawdzić ich barwę. Ale mężczyzna nie ruszał się z miejsca.

Marii serce zaczęło bić mocniej, bo uświadomiła sobie, że mężczyzna siedzący za dębowym słupem to Nauczyciel z Neustadt, ten sam, który wieczorami przemawiał z bastionu św. Gertrudy, a pewnego dnia zjawił się w jej domu przy Jäschkentaler Weg. Czego oni od niego chcą? – pomyślała, ściskając mocniej w dłoni rączkę parasolki. W tej samej chwili kelnerzy chwycili mężczyznę za poły płaszcza i zaczęli go wlec w stronę drzwi. Maria podbiegła do nich. „Zostawcie go! Czyście oszaleli? On jest ze mną!” – krzyknęła, ale jasnowłosy tylko odepchnął ją ramieniem, aż się zachwiała. Tego już było za wiele. Rzuciła się na nich, dźgając w ramiona i plecy ostrym końcem parasolki, a kiedy rudy wyrwał jej parasolkę z rąk, przejechała mu paznokciami po twarzy,

zostawiając czerwone ślady na policzku i skroni. Chciał ją uderzyć, ale mężczyzna w płaszczu zdołał się podnieść z podłogi i zasłonić ją swoim ciałem. Pięść kelnera trafiła go w szyję, tuż za uchem. Maria krzyczała jak nieprzytomna: „Co on wam zrobił? Czego od niego chcecie? Przyszedł się napić kawy, a wy go traktujecie jak psa!”. Biła ich pięściami, aż się jej przekrzywił kapelusz. Ale oni byli silniejsi i osłaniając się łokciami od jej ciosów, wypchnęli ich oboje za drzwi, na ulicę.

Na ulicy Maria musiała oprzeć się o latarnię, tak ją to wszystko wzburzyło. Nauczyciel z Neustadt podtrzymał ją za ramię, bo chwiała się trochę na nogach, zwijając poszarpaną parasolkę, którą zdołała wyszarpnąć z rąk rudego. Patrząc na siebie, wybuchnęli śmiechem, chociaż nie mieli żadnego powodu do śmiechu. Poprawiając sobie na głowie kapelusz ze spletaną woalką, mówiła szybko o tym, jak go zobaczyła siedzącego przy stole i długo nie mogła rozpoznać, bo światło lamp odbite w lustrach sprawiało... Myślała wtedy o swoich sprawach, więc nie miała głowy do czegokolwiek, ale on na jej słowa tylko się uśmiechnął, wiedząc dobrze, że to wszystko ze zdenerwowania. Szli szybko ulicą Jopengasse w stronę Motławy, byle dalej od przeklętej kawiarni Martensa, w której – zarzekała się – nigdy jej noga nie postanie. Powiedziała, że jest dzisiaj w złym nastroju, bo przydarzyło się jej coś bardzo niedobrego, on zaś nie dopytywał się o nic, za co była mu wdzięczna. „Jak się czuje ojciec?” – nagle zapytał. „To pan pamięta?” – aż przystanąła ze zdziwienia. „No, jakże bym nie miał pamiętać. Johann Ferbelin, stolarz z Jäschkentaler Weg? Dom nad stawem, pod lasem, prawda? Więc jak się ojciec miewa?”. „Na razie czuje się dobrze”. Spojrzał na nią z ukosa. „A pani? Co pani robi?”. – „Ach, nie warto mówić. Pracuję u człowieka, o którego sprawach wolałabym milczeć”. „Więc jest aż tak źle?”. Tylko machnęła ręką. „Czasem chodzę na łąkę pod bastionami, żeby posłu-

chać, co pan mówi do ludzi. To trochę pomaga”. „Tak? – uniósł brwi. – Przychodzi tylu ludzi, że trudno pamiętać wszystkich”. „To prawda. I słuchają pana chętnie. A pan? Co pan robi przez całe dni? Pracuje pan gdzieś?”. Tym razem to on machnął ręką. „Coś tam robię, jak wszyscy”. Szedł szybko, z rękami w kieszeniach długiego płaszcza, kruchy, niespokojny, zamyślony.

„Dlaczego pan im nie oddał?” – powiedziała po paru chwilach, przypominając sobie, że rzeczywiście, kiedy go uderzyli ci dwaj z kawiarni, nie odpowiedział ciosem na cios. „Bał się pan?”. Uśmiechnął się. „Nie bałem się. Po prostu nie wolno mi uderzyć nikogo”. Nie zrozumiała. „Jak to nikogo?”. „Po prostu nikogo”. „To głupie – skwitowała rzeczowo – tacy jak oni tylko na to czekają. Jak trafią na kogoś takiego jak pan, to się tylko cieszą. Naprawdę pan nikomu nie odda – dziwiła się – nawet jeśli ktoś pana uderzy?”. „Cóż, tak sobie postanowiłem. Jeśli ja oddam, on mi odda, wtedy ja będę musiał mu oddać, wtedy on mi odda i tak bez końca. Musi być ktoś, kto to przerwie”.

To, co mówił, było niedorzeczne, a jednak wcale jej nie zniechęcało. Bezbronne dobro, którego blask od niego promieniował, miało dziwną barwę, trąciło szaleństwem, chociaż wcale nie wyglądał na szaleńca, raczej na potencjalną ofiarę, która sama pcha się pod nóż.

Wyobraziła sobie miasto, w którym wszyscy byłiby tacy jak on. Cóż by to było za piękne miasto! O takim mieście on sam zresztą mówił na łąkach pod bastionami. Miasto dobrych ludzi. Ale zaraz przyszła jej do głowy chłodna myśl. Ciekawe – powiedziała sobie – ile by dni takie miasto przetrwało na Ziemi. Przecież od razu poszłoby pod wodę, jak ta arka Noego z przebitym dnem. A zresztą – pomyślała z gniewem – czy ten Noe, którego tak wszyscy podziwiają, był naprawdę człowiekiem z miasta dobrych ludzi? Przecież kiedy płynął po wodach potopu z tysiącami zwierząt na pokła-

dzie arki, musiał zabijać jedno zwierzęta, żeby wyżywić inne. Z nożem w ręku chodził między drewnianymi klatkami, zagłądał po kolei do każdej, podchodził do sarny, podcinał jej gardło, a wszystko po to, żeby piękna, głodna pantera, którą trzymał w sąsiedniej klatce, mogła przeżyć potop. A Nauczyciel z Neustadt? – ta myśl ją zaskoczyła. – Gdyby Nauczyciel z Neustadt był na miejscu Noego, czy robiłby ze zwierzętami to samo? Czy zabijałby jedno zwierzęta po to, żeby inne mogły przeżyć? Czy może umiałby ominąć święte Prawo, wedle którego wszystko, co żyje, musi zabijać, żeby żyć?

„A gdyby pan miał dziecko, czy uderzyłby pan człowieka, który by temu dziecku zagrażał?” – zapytała nagle ze złym przyciskiem w głosie, bo trochę już ją zniescierpliwiała ta jego bezwarunkowa, trudna do pojęcia łagodność. „Nie wiem” – odpowiedział. „To wykręt – roześmiała się. – Więc jak: uderzyłby pan czy nie uderzył? Albo gdyby ktoś chciał zabić kobietę, którą by pan kochał, zabiłby go pan, żeby ją obronić?”. „Pani mnie trochę męczy” – odpowiedział z uśmiechem. „Przecież pan mówi głupstwa w tych swoich przemowach, które pan wygłasza z bastionu św. Gertrudy. Na tym świecie nie da się żyć tak, jak pan uczy”.

„Możliwe – spoważniał – ale ktoś powinien mówić to, co ja mówię”. „No, pewnie – przyznała – ale gdyby nie moja parasolka, leżałby pan teraz na chodniku przed kawiarnią, posiniaczony i zakrwawiony”. „To prawda – przyznał łagodnie. – Zjawiła się pani jak archanioł Rafael z mieczem i purpurową chorągwią Pana zastępów. Brakowało tylko anielskich trąb”. Była dumna z tego, co zrobiła w kawiarni, chociaż wiedziała, że było to przecież śmieszne. Gdyby prokurator Hammels zobaczył, jak dźgała parasolką dwóch kelnerów w eleganckim lokalu przy ulicy Jopengasse, broniąc jakiegoś, prawie jej nieznanego mężczyzny, o którym w mieście różnie mówiono i który jeszcze na dodatek miał na sobie dość marny płaszcz i był w dość nędżnych butach, zaśmiewałby się pewnie do łez.

Doszli do Motławy. Herb miasta na ceglany murze gotyckiej bramy wydał się jej pełen łagodności i spokojnego piękna. Tak go w tej chwili ujrzała. Złota korona z białymi krzyżami świeciła jasnym blaskiem, jakby była zapowiedzią długich lat panowania w mieście szczęścia i dobra, ale czerwona tarczę, na której widniał piękny królewski znak, z obu stron podtrzymywały w pazurach dwa dzikie lwy z wyszczerzonymi kłami w rozwartych paszczach. One też zostały uratowane przez Noego, ciekawe tylko – znowu pomyślała z gorączką – jakie zwierzęta musiały zapłacić swoim życiem, żeby takie piękne lwy mogły żyć. Rzeka, nad którą stanęli, była prawie czarna, tylko kilka świateł płonęło po drugiej stronie wody na statku zacumowanym przy spichrzach. „Muszę już iść” – powiedział Nauczyciel z Neustadt. „A gdzie pan mieszka?” – zatrzymała się przy barierce drewnianego pomostu, parę kroków od łodzi rybackich, pełnych sieci, sznurów, żelaznych ości i drewnianych skrzyń. „Lepiej będzie dla pani, jeśli nie będzie pani wiedzieć. Zresztą niech się pani nie martwi. Pewnie się jeszcze spotkamy”. „Tak pan myśli?”. „Gdzieś kiedyś?”. „Gdzieś kiedyś”. Poszedł w stronę Zielonego Mostu, po którym właśnie przejeżdżał z brzękiem i dzwonieniem prawie pusty biało-niebieski tramwaj numer 7, jadący w stronę Stągwi Mlecznych i Langgarten. Sypnęły iskry z drutów. Po chwili wagony zniknęły w ciemnościach między spichrzami. Maria postąpiła chwilę przy nabrzeżu, patrząc za odchodzącym mężczyzną w długim płaszczu, który szedł pod latarniami, po czym odwróciła się i pogodna, rozluźniona, mocna, poszła przez Frauengasse w stronę Marienkirche i dalej, pod przedprożami Heilige-Geist-Gasse, na Kohlen, gdzie zaczynały swoją trasę tramwaje, które o tej porze wracały z Gdańska do zajezdni w Langfuhr.

Traser

Gdy po kilku dniach Maria spotkała Sophie Horstmayer w kawiarni Rastawieckiego przy Hundegasse, gdzie czasem umawiały się na ciastko z serem, Sophie miała już dużo więcej wiadomości o człowieku, którego Maria spotkała w kawiarni Martensa i którego sporo ludzi w Gdańsku nazywało Nauczycielem z Neustadt. Wedle tego, co usłyszała na mieście, człowiek ten – tak przedstawiały się najświeższe nowiny – naprawdę nazywa się Kurt Niemand i od jakiegoś czasu pracuje jako robotnik w stoczniowej traserni. Mąż pani Heller, Ludwik, spotkał go parę razy przy drugiej pochylni, tam, gdzie pod rusztowaniem z sosnowych desek stoi kadłub krążownika „Radhorst”, jak z paroma robotnikami szedł w stronę budynku traserni, gdzie na blachach i odlewach hutniczych wykreślano białe linie szablonów, szykując stalowe sekcje okrętów do dalszej obróbki.

Dopiero, kiedy doszło do konfliktu z inżynierem Erdmannem, zaczęto mówić o traserze z Neustadt więcej, ale nawet wtedy mało komu przychodziło do głowy, że skupiony na swojej pracy, robotnik kreślący białe linie na rudawych płatach stalowej blachy i wysoki mężczyzna w długim, roz-

piątym płaszczu, którego wieczorami można było zobaczyć na szczycie bastionu św. Gertrudy, to ta sama osoba.

Wedle tego, co mówiła Sophie – Inżynier Erdmann był kierownikiem traserni, w której Kurt Niemand pracował. Absolwent Technische Hochschule, ostrzyżony na jeża, z jasnym wąsem, zawsze w długiej marynarce z ciemnego kortu, przewiązany skórzanym pasem z estońską klamrą, w wyglansowanych butach z cholewami, spokojny, opanowany, kierował trasernią energicznie, a że talenty organizatorskie miał niewątpliwe, co przyznawali nawet jego wrogowie, cieszył się respektem wśród swoich przełożonych, choć podobnymi uczuciami nie zawsze darzyli go robotnicy, którzy mu podlegali.

Inżynier Erdmann bowiem – Sophie powiedział o tym mąż pani Heller – uważał robotników za piasek, który można przesypywać szuflą z miejsca na miejsce. Miał ich za miliony ziaren, z których każde można zastąpić innym ziarnem. Co innego pan Schichau. Nazwisko właściciela stoczni, Johanna Wilhelma Schichaua, wymawiał z głębokim szacunkiem a nawet z prawdziwym oddaniem. Was są miliony – zdawał się mówić swoim chłodnym spojrzeniem do robotników, którzy w kierowanej przez niego traserni wykreślali białą farbą szablony na płatach rudej blachy. – Każdego z was można wymienić na innego, a pan Schichau? Pan Schichau jest jeden na całej Ziemi. On jest opoką, na której stoi gdańska stocznia. Wy myślicie tylko o jednym: jak najmniej pracować i jak najwięcej zarabiać. On nie zna snu, bo stocznia kieruje dzień i noc.

Parę tygodni wcześniej – mówiono o tym w całej stoczni – inżynier Erdmann wpadł na pomysł, który spotkał się z uznaniem nie tylko bezpośrednich przełożonych. Każdy, kto chciał dostać pracę w Kaiserliche Werft Danzig, musiał przejść przez serię prób. Kiedyś o zatrudnieniu na dźwigach i pochylniach decydowała kolejność zgłoszeń w biurze przy-

jęć, nieśmiertelna zasada, kto pierwszy, ten lepszy, teraz o wszystkim miała rozstrzygnąć starannie sprawdzona jakość osoby, starającej się o posadę. Przed bramą stoczni przy placu Hanzaplatz tłoczyły się setki chętnych, którzy już o świecie ścigali z odległych dzielnic miasta, ale tylko niewielu mogło liczyć na przyjęcie do pracy. Inżynier Erdmann wprowadził zatem zasadę przesiewania materiału ludzkiego przez gęste sito, przekonując swoich przełożonych, że prawo do pracy powinni mieć tylko najlepsi, dorodni i silni.

W budynkach dyrekcji stoczni przy Werftgasse wydzielono więc dużą salę ozdobioną portretem cesarza, w której kandydaci na stoczniowych robotników, na specjalnych formularzach rozwiązywali łamigłówki logiczne, układali na stołach skomplikowane wzory z kolorowych figur geometrycznych i dziecięcych klocków, które miały świadczyć o ich inteligencji, odpowiadali na pytania lekarza i komisarza policji, dzięki czemu władze stoczni mogły zorientować się w ich rzeczywistych zaletach, niezbędnych – jak inżynier Erdmann podkreślał – do pracy na pochylniach, suwnicach i dźwigach.

Bezrobocie, które miasto uważało za plagę, inżynier Erdmann uważał za błogosławieństwo. Rozpaczliwie szukających pracy robotników traktował jak materiał, w którym można przebierać jak w ulęgałkach. Należało wyłowić z tego ludzkiego śmiecia, które mnożyło się bez opamiętania w robotniczych dzielnicach Ohra, Schidlitz, Neu Schottland i Bro-sen prawdziwe diamenty, reszta niech idzie do diabła. Policja trzymała w ryzach to brudne morze głów, łydek i ramion, w które rybak Erdmann zapuszczał swoją sieć.

Część prac w stoczni wymagała nie tylko bystrości i zręczności, lecz także siły fizycznej, trzeba więc było sprawdzić, czy czekający przed bramą chętni taką siłę posiadają. Na przykład robotnicy, których specjalnością było wbijanie rozżarzonych nitów w otwory wywiercone w grubej blasze, musieli posiadać stalowe mięśnie, by z łatwością unosić nad

głowę wielkie młoty na długim trzonku, którymi uderzano w gorące żelazo, by połączyć ze sobą odpowiednie sekcje okrętu. Inżynier Erdmann zatem do zestawu sprawdzianów wprowadził sprawdzian dodatkowy, który każdego dnia ścigał do sali z portretem cesarza na ścianie wielu majstrów, inżynierów i inspektorów. Robotnikom chętnym do pracy w stoczni wręczano skórzane rękawice nabijane żelaznymi ćwiekami, po czym rozebrani do pasa mieszkańcy robotniczych osiedli, starający się o zatrudnienie na pochylniach, stawali naprzeciwko siebie w specjalnie wytyczonym ogrodzeniu wysypanym trocinami i walczyli ze sobą do pierwszej krwi. Pracę w stoczni dostawał ten, kto pokonał konkurenta, zwalając go z nóg na pokrytą trocinami podłogę. Co prawda niektórzy inspektorzy cesarscy protestowali, uważając nową metodę naboru siły roboczej za barbarzyńską, ale w końcu uznano, że nowy tryb przesiewania ziarna ma niewątpliwe zalety, które przeważają nad wadami.

Najtrudniejszy sprawdzian czekał jednak tych, którzy mieli pracować na wysokości. Przed gmachem dyrekcji przy Werftgasse ustawiono namydlony słup z sosny masztowej wysokości piętnastu metrów, na jego szczycie umieszczono półkę, na niej zaś leżał formularz umowy o zatrudnienie. Robotnicy, którzy chcieli pracować na dźwigach i suwnicach, powinni wykazać się – jak przekonywał dyrekcję inżynier Erdmann – odpornością na lęk wysokości i małpią zręcznością ciała, kto bowiem ma pracować w kabinie dźwigowego, która wisi kilkadziesiąt metrów nad ziemią, powinien posiadać umiejętności dużo większe od przeciętnych. Kandydaci na suwnicowych i dźwigowych wspinali się więc po słupie, rozpaczliwie wbijając paznokcie w namydlone drewno, wielu z nich jednak w połowie drogi ześlizgiwało się w dół, odpadając na tym etapie, choć pomyślnie przeszli resztę prób. Kto wspiął się na szczyt namydlonego słupa i zjął stamtąd formularz umowy o pracę, dostawał angaż, kto ześlizgnął się

w dół, wylatywał za bramę wśród śmiechu kolegów, wpadając w czarną otchłań bezrobocia.

Pod koniec miesiąca ze stolicy cesarstwa zaczęły napływać do Kaiserische Werf Danzig telegraficzne ponaglenia, by przyspieszyć prace przy budowie krążownika „Radhorst”, którego nitowany kadłub dzień po dniu wynurzał się zza sosnowych rusztowań na drugiej pochylni. Trzeba było wydłużyć dzień roboczy do czternastu godzin, by zdążyć na czas. Sam inżynier Erdmann nie widział niczego złego w tym, że ludzie zaczynają pracę w ciemnościach świtu, a kończą w ciemnościach nocy. Tylko dzięki zamówieniom rządowym – tłumaczył swoim podwładnym podczas przerwy śniadaniowej w budynku traserni – stocznia może przetrwać najgorszy czas, trzeba więc dołożyć wszelkich starań, by umowy zostały dotrzymane. Dopiero po kilku dniach usłyszał przypadkiem, co mówiono w szatniach i umywalniach, kiedy nie było go w pobliżu. Przez uchylone drzwi do magazynu nitów zobaczył robotnika Kurta Niemanda, siedzącego na skrzynce, który mówił do kolegów z traserni, że z pewnością stocznia powinna się wywiązać z podpisanych zobowiązań, ale nie chodzi tylko o zobowiązania. Budowa krążownika „Radhorst” przyniesie miliony złotych guldenów zysku, pozostaje jednak pytanie, ile z tych guldenów trafi do kieszeni robotnika.

Ci, którzy mieli pracę, woleli jednak siedzieć cicho. „Życie z podkulonym ogonem to nie jest życie – mawiał na to Kurt Niemand wycierając ręce po skończonej robocie. – Nie wiercie ludziom, którzy mówią, że Bóg lubi tych, którzy przed nim klęczą. To nieprawda. Bóg lubi tych, którzy stoją przed Nim z podniesioną głową i patrzą mu prosto w oczy. Ci, którzy was uczą, byście swój los znosili w pokorze, z pochylonym karkiem, stoją po niedobrej stronie świata”.

„Jeśli będziesz mi buntował ludzi – powiedział któregoś dnia inżynier Erdmann do trasera Niemanda – zwolnię cię z pracy”.

Gdy Maria z Sophie Horstmayer dowiedziały się, że Nauczyciel z Neustadt stracił pracę w stoczniowej traserni, zaczęły jeździć na Hundegasse, gdzie Kurt Niemand od jakiegoś czasu mieszkał w wynajętym pokoju na pierwszym piętrze, w kamienicy pod trzydziestką, u wdowy po poruczniku Hochfeld, który zginął śmiercią bohaterską na froncie włoskim. W wiklinowym koszu przywoziły mu chleb, owoce, wędliny. Początkowo nie chciał przyjmować niczego, zapewniając, że jakoś sobie poradzi, bo już nie w takich bywał kłopotach, ale w końcu dał się przekonać. Pamiętał dobrze swoją wizytę w domu przy Jäschkentaler Weg i przygodę w kawiarni Martensa, więc znów zapytał o zdrowie ojca Marii, stolarza Johanna Ferbelin, na którego – roześmiał się ładnie, mrużąc oczy – lekarze z Akademii Lekarskiej w Langfuhr wydali przedwczesny wyrok śmierci. Maria zaczęła się z nim spotykać we wschodniej dzielnicy, na placu Wilhelma i przy starej zajezdni. Chodziła w kapeluszu z gęstą woalką, tak że trudno ją było rozpoznać na ulicy, nie nosiła swoich ulubionych, haftowanych sukien z cekinami i ozdobnych parasolek z perłowym łańcuszkiem, omijała znajomych, jeśli ich spotkała w śródmieściu czy przy hali targowej, więc pewnie nikt nie domyślał się nawet, gdzie i co robi popołudniami.

Sam Nauczyciel z Neustadt był – takie odniosła wrażenie – trochę nieobecny we wszystkim, co mówił i robił. Spokojny, pogodny, chwilami przysiadł na stopniach przedproży, zamyślając się nad czymś, jakby nie słyszał tego, co do niego mówiła, ale nawet gdy milczeli – spostrzegła to z przyjemnością – czuli się ze sobą dobrze. Przed południem w willi pod Lasem Gutenberga odbywała lekcje z Helmutem, drugą część dnia miała dla siebie, więc chętnie jeździła do Gdańska, w okolice, gdzie mogła być pewna, że nikt nic o niej nie wie. Wieczorami, kiedy się ściemniało, siadali na stopniach nabrzeża koło Szafarni, przy nowym moście, gdzie cumowały barki z Marienwerder i rozmawiali o tym, co zdarzyło się

w mieście. Na spacery chodzili nad rozlewiska koło kamiennej śluzy, unikając dużych ulic, gdzie ktoś mógłby go rozpoznać. Zaczęło ich łączyć coś w rodzaju przyjaźni, ale któregoś dnia powiedział, że musi na jakiś czas zniknąć, bo w stoczni robi się niespokojnie, a w policyjnych raportach – jak słyszał – zaczyna być wymieniane jego nazwisko. Kiedy w któryś piątek koło szóstej wybrała się na Hundegasse, drzwi pokoju, w którym mieszkał, zastała zamknięte. Wdowa Hochfeld, gdy tylko ją zobaczyła na schodach, powiedziała, że ten, który tu spał, nie pokazuje się od paru dni, więc pewnie wyjechał gdzieś na dłużej albo umarł.

Uczniowie, z którymi się czasem spotykała u Sophie, nazywali go między sobą Mistrzem, więc i ona trochę dla żartu, trochę w poczuciu, że tak o nim mówić należy, najpierw w sercu, a potem słowami, zaczęła go nazywać Mistrzem. Nie mogła się jednak od nikogo dowiedzieć, gdzie Mistrz się ukrywa. Może i sami uczniowie tego nie wiedzieli, bo podobno co jakiś czas lubił oddalić się w jakieś miejsce odludne, choćby na Bohnsacker Insel, do starego domu w sosnowych lasach nad Martwą Wisłą, gdzie – jak mówiono – rozmyślał nad tym, co go czeka jeszcze na Ziemi.

Wysoki dom

Pod koniec tygodnia Maria dostała wiadomość, że ktoś chce się z nią spotkać. List, który przyniósł listonosz Korelski, był podpisany tylko inicjałem, zresztą dość niewyraźnym, więc pomyślała, że pewnie chce z nią znowu odbyć rozmowę asystent Werden, czego – co wydało jej się oczywiście – nie należało lekceważyć. Nadawca prosił, by stawiała się – właśnie takim urzędowym językiem rzecz przedstawiał – na rogu jednej z przecznic ulicy Weidengasse, gdzie będzie na nią czekać ktoś, kto poprowadzi ją dalej. Skoro asystent Werden miał do niej jakąś sprawę, która – jak na to wyglądało – wymagała koniecznej dyskrecji, postanowiła, że we środę koło trzeciej pójdzie we wskazane miejsce i poczeka na znak.

We środę pogoda się pogorszyła. Nad Gdańskiem zawiązała ciężka, brudna chmura, zasłaniając słońce, tak że już koło południa na ulicach zrobiło się zupełnie ciemno i ludzie musieli chodzić z latarkami. Maria pojechała na miejsce tramwajem, który zakręcał za żelaznym mostem i dojeżdżał do budynków starej zajezdni. Zaczął padać drobny, siąpiący deszcz, więc rozłożyła parasol. Gdy jednak stanęła na rogu przecznicy, nikt na nią nie czekał. Ludzi na ulicy Weidengas-

se było niewiele, ale kiedy przechodzili obok niej, miała wrażenie, że uważnie zaglądają jej w twarz, tak jakby brali ją za uliczną dziewczynę, która mimo paskudnej pogody czeka na klientów. Całe szczęście, że włożyła kapelusz z gęstą, czarną woalką.

Zresztą dzielnica, w której się znalazła... Było tutaj największe w całym mieście stłoczenie domów. Wszędzie pomiędzy ściany kamienic, obwieszonych poobijanymi balkonami, wciskały się dobudówki, wiaty, baraki, szopy, zrujnowane garaże, brudne gołębniki oblepione ptasimi odchodami, magazyny z materiałami budowlanymi, fabryczki wiecznie dymiące żółtym dymem z ceglanego komina, wytwórnice szyldów, stempli i zabawek, a nawet warsztaty, w których półlegalnie produkowano prochowe fajerwerki i ręcznie zdobione bombki choinkowe z dmuchanego szkła. Gdzieś tutaj mieszkała panna Horstmayer, ale Maria nie mogła sobie przypomnieć, gdzie znajduje się jej dom, chociaż była tam parę razy, zresztą najczęściej nocą, gdy wilgotna ciemność przesłaniała wszystko. Każda kamienica, poczerniała od sadzy, ozdobiona szarymi od deszczu sztukateriami, miała tu kilka wejść, nie było jednak wiadomo dokąd one prowadzą. Obok bramy głównej, która zwykle była zamknięta na żelazną zasuwę, do środka prowadziły czarne drzwi z poobijanymi desek, które nie zawsze miały klamkę.

Kiedy tak stała na rogu ulicy, chmura znad śródmieścia przesunęła się nad Bischofsberg i nagle zaświeciło słońce – tak ostre, że aż musiała zmrużyć oczy. Na niebie rozsunęła się brama, przez którą lunęły jasne promienie, oświetlając wieżę Ratusza po drugiej stronie rzeki i ciemny gmach Marienkirche. W tej samej chwili – Maria nie mogła uznać tego za przypadek – ktoś szarpnął ją za suknię. Odwracając się, ujrzała dziewczynkę w brudnej chustce na głowie, w płaszczyku z czarnego, wyświechtanego materiału z błyszczącymi guzikami, które wisiały na naderwanych nitkach.

Dziewczynka miała na chudych nogach zielone kalosze i nic sobie nie robiła ze śliskiej, żółtawej kałuży, która rozlewała się na chodniku, znikając z bulgotem w kamiennym odpływie. „Chodź!” – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu i weszła przez czarne drzwi do najbliższej bramy. Maria dopiero wtedy spostrzegła, że dziewczynka potyka się na wypukłych kamieniach bruku, ale mimo że kuleje na lewą nogę, idzie szybciej niż ona, pomagając sobie ptasimi ruchami rąk, jakby łokciami gwałtownie wiosłowała w powietrzu. Szła za nią, rozglądając się po zakamarkach, wkrótce jednak straciła orientację, dokąd idą, bo dziewczynka otwierała przed nią kolejne odrapane drzwi z ułamanymi klamkami, mówiąc coś, czego nie można było zrozumieć. Potem ciągnęła ją na żelazne galerie nad podwórkami, na których wisiała poszarzała od deszczu bielizna, ostrożnie przeprowadzała przez zbudowane z desek kładki nad błotnistym rynsztokiem, wprowadzała między ceglane ściany magazynów, nie przestając przy tym cicho mówić do siebie w niezrozumiałym języku. Gdy doszły do domu o popękanych ścianach z wysoko sklepionym korytarzem, który kończył się wejściem na drewniane schody z chybotliwą poręczą, roześmiała się, odsłaniając ostre, żółte zęby, odwróciła na pięcie i nagle, z pochyloną głową i zaciśniętymi piąstkami, skulona jak do skoku w otchłań, znikła w dziurze wybitej w ścianie, na której widać było smoliste ślady ognia.

Maria rozumiała, że dalej powinna iść sama, kiedy jednak spojrzała na ginący w ciemności szczyt schodów, dom, w którym się znalazła, wydał jej się wyższy niż wszystkie domy, jakie dotąd widziała w mieście. Zdziwiła się, że taki dom może stać w tak marnej dzielnicy. Weszła na schody i wspinając się po skrzypiących stopniach na kolejne piętra, czekała na jakiś znak, który pozwoliłby jej odnaleźć właściwą drogę, ale na klatce schodowej nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc, a na dodatek na żadnych drzwiach nie widziała

tabliczki z nazwiskiem lokatora i numerem mieszkania, bo wszystkie drzwi były pomalowane czarną farbą i na futrynie miały tylko białe znaki wyrysowane kredą, których nie można było odczytać. Pomyślała, że dom jest pusty, może przeznaczony do rozbiórki, bo na starym tynku od podłogi do sufitu biegly zygzakowate pęknięcia, a w paru miejscach ściany zostały podparte belkami, albo że ludzie, którzy tutaj mieszkają, wolą nie zdradzać, kim są, by nie ułatwić roboty policji, która pewnie co jakiś czas tutaj zagląda. Przechodząc po podestach z grubych desek, przerzuconych nad balustradami z żelaznych prętów, nie wiedziała, na które piętro już weszła. Gdy w końcu dla złapania tchu zatrzymała się na półpiętrze pod żółtą, upstrzoną przez muchy żarówką, najbliższe drzwi otworzyły się, wyrzała z nich ostro wymalowana kobieta z różowymi papilotami na potarganej głowie, ubrana w jaskrawy szlafrok w seledynowe kwiaty i ręką, w której trzymała żarzącego się papierosa, wskazała drzwi naprzeciwko. Maria podeszła do drzwi, zapukała, a że nikt na jej pukanie nie odpowiadał, cofnęła się, by zejść z powrotem na dół, ale kobieta w różowych papilotach tylko kiwnęła głową, by weszła do środka.

Pchnęła drzwi, które otworzyły się szeroko. Korytarz mieszkania, w którym się znalazła, był niepodobny do pomieszczeń i przejść, które minęła wchodząc na górę. Wszystko tu było jasne, czyste, pomalowane na biało, z lekkim odcieniem żółci, tak że wewnątrz wydawało się wyższe niż było w rzeczywistości. Przy ścianie stał rower polakierowany na srebrno, migocząc metalowymi promieniami szprych, obok stały drewniane narty z włoskim napisem na brązowym drewnie i dziecięce sanki ze skórzaną uprzężą. Pod sufitem na miedzianych nitkach wisiał blaszany model transatlantyku „Columbus”, dokładnie taki sam, jakim lubił się bawić syn prokuratora Hammelsa, tylko były na nim ślady ognia, jakby go ktoś niedawno wciągnął z pożaru. Na ścianie na wprost

wejścia ujrzała duży brunatno-złoty portret cesarza w czarnych, zniszczonych ramach, ale cesarz przedstawiony na obrazie – co przejęło ją lękiem – miał oczy zamknięte, chociaż był ubrany w galowy mundur gwardii pruskiej i siedział na złotym tronie z orderami na piersiach, potężny i groźny. Przechodząc pod portretem, poczuła się nieswojo, jakby wchodziła na cudzy teren bez pozwolenia. Podeszła do drzwi z mlecznego szkła, które świeciły na końcu korytarza. W mieszkaniu było cicho i chłodno. Przez moment się zawahała, położyła rękę na klamce i weszła do pokoju.

W pierwszej chwili chciała się cofnąć. Pomyślała, że znalazła się w jakimś pomieszczeniu szpitalnym, więc nie chciała naruszać spokoju chorych, bo światło było tu białe, rozproszone, chłodne, o takiej samej barwie jak światło lamp w starych budynkach Akademii Lekarskiej. W wąskim i długim pokoju z białymi ścianami, w którym nie było okna, tylko z góry świecił wysoki sufit z mlecznego szkła, na żelaznym łóżku leżał Mistrz. Biała pościel o zimnym, niebieskawym odcieniu, którą był przykryty, wyglądała jak śnieżna zaspą. Mistrz leżał na wznak, z głową na wysokiej poduszce. Gdy przekroczyła próg, popatrzył na nią nieuważnie spod przymkniętych powiek i ręką, leżącą na prześcieradle, dał znak, by podeszła bliżej. Sięgnęła pod szyję i nie widząc żadnego powodu do wstydu, zaczęła rozpinać guziki sukni, ściągnęła suknię przez głowę, po czym rzuciła ją na krzesło, które stało pośrodku pokoju. Zbliżyła się do łóżka, uniosła kołdrę i położyła się na prześcieradle obok Mistrza. Leżeli obok siebie nic nie mówiąc, tylko Mistrz zaczął się bawić kosmykiem jej włosów. Wszystko, co robiła od chwili, gdy weszła do tego pokoju, wydało jej się tak nedorzeczne, że z trudem powstrzymywała śmiech. Przez cały czas, jadąc tutaj, udawała przed sobą, że nie wie, dokąd jedzie, teraz uświadomiła sobie, że każdym włóknem ciała przeczuwała, dokąd ją droga prowadzi. Żadna kuleją-

ca dziewczynka, brudna Ariadna z piwnicznej ciemności, która ją prowadziła przez zakamarki podwórek i podziemnych przejść, nie była tu do niczego potrzebna. Kiedy o niej pomyślała, zdała sobie sprawę, że ta mała przewodniczka w płaszczyku z wyświechtanego materiału, która ciągnęła ją tutaj ponad studniami podwórek przez galerie i podesty, a potem znikła w smolistej od sadzy dziurze wybitej w ścianie, była bardzo podobna do niej samej z lat dzieciństwa. Poczuli się tak, jakby weszła do głębi lustra, trafiając na samą siebie sprzed lat. Miała wtedy takie same ręce, dłonie, szyję, nawet twarz, nie miała tylko żółtych, szpiczastych zębów i nie pociągała lewą nogą jak tamta. Mistrz objął ją ramieniem i nie otwierając przymkniętych oczu, pocałował tuż za uchem, tam gdzie pod skórą pulsowała tętnica. Podsunęła szyję pod pocałunek tak, jakby podstawiła gardło pod nóż.

Potem splekli się ciasno ramionami, ale żarliwość, którą w sobie wzniecali, nie miała w sobie złego ognia, tylko łagodną słodycz, niepodobną do niczego, co Maria dotąd doznała. Gdy słońce zaczęło przygasać i szklany sufit zabarwił się czerwienią zmierzchu, zmęczona, rozleniwiona, senna leżała obok niego na pogniecionej poduszce, z kropelkami potu między piersiami, nie bardzo zdając sobie sprawę, ile czasu minęło. Czuli się tak, jakby znali się od dawna, tylko po dłuższej, dalekiej podróży, która ich na jakiś czas rozdzieliła, spotkali się znowu, ale nie było to uczucie, które mogłaby nazwać miłością. Była to raczej przyjaźń ciał, zawarta nagle, bez żadnego przymusu namiętności, chęć bycia blisko, której nie płoszyły niepotrzebne odruchy serca, radość skóry niewychodząca poza radość ciała cieszącego się bliskością innego ciała. Leżąc z policzkiem przyciśniętym do jego ramienia, miała wrażenie, że stapia się z nim, jakby była ulepiona z rozgrzanego wosku. I wciąż – co nie miało przecież żadnego sensu – była dziwnie pewna, że to właśnie ona

jest stroną silniejszą. Dotykając jego ciała ciepłą dłonią, czuła jak coś żywego, świetlistego przepływa od niej do niego, a potem powraca do niej, jakby własna moc, którą mu dawała, teraz wracała do niej falą czułości.

Pod ścianą stał okrągły stół, nakryty szydełkowaną serwetą. W górze, po suficie z mlecznego szkła, zabarwionego czerwonym blaskiem zmierzchu, chodziły gołębie, których cienie przesuwały się za szybą mglistymi plamami, jak meduzy unoszące się w mętnej toni morza. Widziała je nad sobą. Mistrz leżał obok niej z rękami splecionymi pod głową i miał oczy przymknięte. „Tak bym się napiła czerwonego wina” – mruknęła, przeciągając się sennie, ale na stole stała tylko kryształowa szklanka z wodą. Nawet nie otwierając oczu, wyciągnął rękę w stronę stołu i poruszył palcami. Gdy spojrziała na stół, woda w szklance zaczęła ciemnieć, jakby w pokoju z wolna przygasało światło. Najpierw przy samym dnie szklanki pojawiły się czerwone smużki, podobne do rozplywających się kropel krwi, które po paru chwilach zasnuły całą wodę, tak że stała się ciemnorubinowa. Maria aż klasnęła w ręce z podziwu, tak ją rozbawiła łatwość tego przemienienia wody w wino, którego przyczyną był tylko niedbały ruch palców. Przypomniały jej się sztuczki, które w dzieciństwie lubiła oglądać w cyrku Hasenvellera, gdzie włoski magik Donatello przemieniał wodę z kryształowej karafki w rubinowy płyn, który kłowni z dużymi, przyklejonymi nosami, wypijali łąpczywie z wielkich kielichów, udając, że są kompletnie pijani, a potem skocznie tańczyli w podartych frakach po zasypanej żółtymi trocinami arenie, cienkim głosem wyśpiewując pieśni weselne z Tyrolu, na co publiczność biła z całych sił brawo, tak podobało się wszystkim to, co robili. Ale to, co zobaczyła teraz, było, jak sobie przez moment pomyślała, najpewniej złudzeniem przedwieczornej pory, gdy cienie zmieniają tożsamość rzeczy, więc w taką porę nie za bardzo należy ufać oczom.

„Więc potrafisz zamieniać wodę w wino?” – popatrzyła na niego zachwycona, ale on wciąż nie otwierał oczu, senny i nieuważny. – „Czasami mi się udaje – odpowiedział po chwili – ale to nie jest dobry cud”. „Jak to niedobry? – żywo zaprzeczyła. – Przecież w Kanie Galilejskiej...”. „W Kanie Galilejskiej to nie był dobry cud. Nie sztuka zamieniać wodę w wino. Dużo piękniej jest zamieniać wino w wodę”. „A to niby dlaczego?”. „Bo nikt na taki cud nie czeka”. „Co ty mówisz! – powiedziała rozbawiona – wszyscy zachwycają się tym, co się stało w Kanie Galilejskiej...”. „Wiem. Bo wszyscy wolą wino od wody”. Wstała z łóżka, podeszła do stołu. „Dobre – powiedziała, unosząc do ust szklankę. – Pachnie słońcem”. Wytarła palcami usta lepkie od wina, znowu wróciła do łóżka i położyła mu głowę na ramieniu.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła, bawiąc się jego uchem. „Masz takie ładne rzęsy”. „Tylko rzęsy?” – znowu się roześmiał. „No, nie tylko – pchnęła go palcem. – A kiedy dowiedziałeś się, że umiesz to robić?”. „Co?”. „No, że umiesz jedno przemieniać w drugie?”. „Kiedy byłem chłopcem”. „I co?”. Kiedyś подарowano mi ptaka ulepionego z gliny. Wziąłem go do ręki i pomyślałem, jak by to było pięknie, gdyby ten ptak mógł latać. I wystarczyło, że tak sobie pomyślałem, a pod palcami poczułem bicie ptasiego serca”. „To wspaniale – zmrużyła oczy w zachwycie. – Tak śmierć zamieniać w życie”. Pokręcił głową. „A mnie to przeraziło. Bardzo się bałem”. „Czego?”. „Że skoro śmierć potrafię zamienić w życie, w każdej chwili mogę też życie zamienić w śmierć”. „Ludzie mówią, że na cmentarzu w Oliwie przywróciłeś do życia Abrama Wareckiego”. „Słyszałem, że tak mówią”. „I rzeczywiście przywróciłeś?”. „Nie wiem. Może było mu pisane obudzić się w grobie. Takie rzeczy się czasem zdarzają. Ja mu tylko przypomniałem, że może to zrobić”.

Gdy przychodziła do wysokiego domu, by spotkać się z nim w pokoju ze szklanym sufitem, zawsze jakby na nią

czekał, choć nie zapowiadała swego przyjścia, ale razem wychodzili na miasto tylko nocą. Kiedy ciemności nadciągały od strony morza, prowadził ją przez płataninę przejść, podwórek, bram i piwnic, aż wychodzili spośród domów na samo nabrzeże Motławy, w której gładkich wodach odbijało się światło księżyca i czarne zarysy starych spichrzów. Mówił, że unika słońca, bo nie lubi, gdy ludzie, którzy przychodzą pod bastion św. Gertrudy, rozpoznają go potem na ulicy. Jak tylko go gdzieś zobaczą, od razu go otaczają i chcą dotykać rękami. Dlatego na trawiastym szczycie bastionu św. Gertrudy zjawiał się nagle, by nikt nie wiedział, skąd przychodzi. Z uczniami, którzy pracowali w stoczni, spotykał się w opuszczonej kaplicy menonitów nad brzegiem kanału Raduni, gdzie zwykle we czwartek koło szóstej razem jedli wieczerzę, a potem rozchodzili się do swoich domów w ciszy. Kiedyś, gdy schodził z bastionu św. Gertrudy, otoczył go tłum kobiet, które z płaczem chwyciły go za ubranie, a któraś nawet oderwała mu kawałek kurtki, rozpruwając przy okazji rękaw. Wszystkie chciały mieć na zawsze przy sobie jakiś ślad jego żywej obecności, widzialny i dotykalny. Uczniowie znaleźli na to sposób, który jednak wystarczał tylko na chwilę. W którąś niedzielę Matthias, Zacharias czy Paulus – dobrze nie pamiętał który – przyniósł na łąkę pod bastionami białą koszulę ze śladami krwi, uniósł ją wysoko jak chorągiew, po czym rzucił w tłum, który w jednej chwili rozszarpał ją na strzępy, łapczywie chowając białe skrawki pod płaszcze i kurtki. Gdy Mistrz przechodził ulicą, ludzie chwytali go za ręce, szarpali za rękawy, obrywali mu guziki, sięgali w stronę twarzy, próbowali zdobyć choćby jeden włos, aż uczniowie musieli go osłaniać swoimi ciałami, tak jak strażnicy z gwardii miejskiej swoimi ciałami odgradzali od tłumy prokuratora Ham-melsa, który też czasem pojawiał się na mieście. Wielu wierzyło, że wystarczy tylko Mistrza dotknąć, a nastąpi uzdrowienie.

Nocą było inaczej. Chodzili pustymi ulicami, patrząc na gwiazdy, które spadały do rzeki, jak szron z potrąconej przez łasicę gałęzi czarnego świerka. Zresztą unikali bardziej uczęszczanych miejsc, bo nawet po północy kręcili się tam ludzie. Woleli iść brzegiem Motławy w stronę wyspy Holm, gdzie za elektrownią, budynkiem rzeźni i młynami Neckera stało tylko parę rybackich domów i trudno było o tej porze natknąć się na kogoś, bo nawet w gospodzie przy zakręcie portowego kanału światła były wygaszone. Szła dwa kroki przed nim, unosząc suknię w palcach, gdy mijali stare dźwigi obok stacji celnej, gdzie paru urzędników w granatowych mundurach, grających w karty przy płonącej lampie, czekało na spóźnione żaglowce kompanii Lloyda, które miały przyplłynąć do miasta o świcie.

Tylko raz podczas takiej nocnej wędrówki zoczyli w stronę śródmieścia, co nie było rozsądne, bo kiedy znaleźli się koło Zielonego Mostu, skąd było widać puste Długie Pobrzeże, Krantor i wieżę Domu Przyrodników, nagle rozpoznał go starszy mężczyzna, który siedział na schodach kamienicy bursztynnika Jareckiego, owinięty w końską derkę. „Panie! – wykrzyknął zrywając się z kamiennych stopni, zarośnięty, brudny, z krzywą laską w dłoni. – Panie, pozwól mi dotknąć twojej ręki, a będzie uzdrowione moje biedne serce!”. Bił od niego zapach alkoholu i niestrawionych resztek jedzenia. W oknach kamienicy zaczęły zapalać się światła.

Maria cofnęła się na Zielony Most, by oddalić się od natręta, ale Mistrz zeskoczył na dolny pomost nabrzeża, tam, gdzie były przycumowane do drewnianych słupów łodzie rybaków, wszedł między kadłub kutra i burtę barki załadowanej beczkami ze smołą, spuścił z pomostu stopę na czarną wodę kanału i zaczął iść po lśniącej od gwiazd powierzchni rzeki na drugą stronę. Maria zatrzymała się na moście, tak serce ścisnęło jej się z przerażenia, ale on tylko uspokajająco kiwnął do niej dłonią, żeby się nie martwiła. Widziała, jak

idzie po wodzie spokojnie tam, gdzie była największa głębia, w rozpiętym płaszczu z postawionym kołnierzem. Patrzyła na niego z dłońmi zaciśniętymi na poręczy mostu, bojąc się, że w każdej chwili woda zapadnie mu się pod stopami i pochłonie go, ale lśniąca powierzchnia rzeki, po której spokojnie kroczył, niosła go pewnie. Starszy mężczyzna z laską, kiedy to zobaczył, zaczął krzyczeć coś z brzegu, a potem żegnając się zabobonnie, wycofał się do bramy, jakby pośrodku rzeki, w której odbijały się nieliczne światła Długiego Pobrzeża, ujrzał chodzącego po wodzie Diabła. Mistrz tymczasem szedł bez pośpiechu przez Motławę ku Wyspie Spichrzów, gdzie na dolnym pomoście nabrzeża piętrzyły się paki i skrzynie, przygotowane do załadunku na barki i żagłowce przewoźników zboża. Maria przeszła szybko po moście na drugą stronę rzeki, zbiegła po żelaznych schodach na pomost koło budynku Sparkasse, tak ją przejął lękiem i zachwyił widok szczupłego, wysokiego mężczyzny w rozpiętym płaszczu, który odgarniając włosy spadające na czoło, kroczył spokojnie po wodzie Motławy, jakby szedł po tafli czarnego lustra, nie zostawiając na powierzchni rzeki nawet najmniejszej zmarszczki wzburzonej dotknięciem buta.

Gdy chwycił się liny i wspiął na nabrzeże Wyspy Spichrzów, objęła go mocno. „Co ty wyprawiasz? – szeptała, całując czoło i powieki. – Umrę przez ciebie z przerażenia. Obiecuj mi, że już nigdy tego nie zrobisz. Przyrzekasz?”. „Przyrzekam – pogłaskał ją uspokajająco po włosach. – Ale nie przesadzaj. W końcu to nic takiego, Po prostu przeszedłem na drugą stronę”. Gwałtownie zaprzeczyła ruchem głowy, jakby słuchała nieposłusznego dziecka. Przecież to wszystko mogło się skończyć bardzo źle.

Wzdłuż torów kolejowych, gdzie brukowana jezdnia skręcała obok młyna Henelsa, poszli w stronę Krowiego Mostu, którego nie oświetlały żadne latarnie. Dobry Boże – po paru minutach, gdy minęli spichrze, pokręciła tylko głową – czego

ona właściwie się przestraszyła? Przecież w paru miejscach na Motławie stoją tratwy flisaków z Marienwerder, Thorn i Sandomierza, duże płaszczyzny zbite z sosnowych bali, pokryte cienką warstwą wody, więc teraz, w ciemnościach nocy, on przeszedł na drugą stronę rzeki po jednej z takich pokrytych wodą tratw, które zatrzymały się przy filarach Zielonego Mostu! Że też tego nie zauważyła!

Pomyślała, że Nauczyciel z Neustadt tylko dla niepoznaki mieszka w marnej dzielnicy na wysokim piętrze ciemnego domu i ubiera się nader skromnie jak pierwszy z brzegu stoczniowy robotnik. Pewnie robi to wszystko po to, by swoim wyglądem nie przyciągać niczyjej uwagi jak nocna ćma, która o zmierzchu jest prawie niewidoczna, a tak naprawdę jest kimś, nieprzeniknionym i obcym. Idąc obok niego, nie widziała w ciemnościach jego twarzy, chociaż szedł tak blisko, że dotykał rękawem płaszcz jej rękawa. Jego rozpięty płaszcz, wzburzany powiewami wiatru od strony rzeki, łopotał jak pofałdowana szata narzucona na ramiona kamiennego posągu.

Przypomniała sobie, jak któregoś dnia skaleczył się nożem przy krojeniu chleba. Zdziwiony, przez chwilę patrzył na czerwone krople, które wypłynęły z rozciętego miejsca, potem dotknął skaleczenia śliną, a rozcięta skóra zasklepiła się natychmiast, nie pozostawiając najmniejszej blizny, ale zrobił to nieuważnie, jakby nie przywiązywał żadnej wagi do tego, co się stało. Dotykając jego ciała miała wrażenie, że dotyka ciepłego od słońca kamienia, którego nic nie jest w stanie skruszyć. W nocy, kiedy przechodził przez pokój, otaczała go niewyraźna poświata, może to zresztą tylko blask księżyca, przenikający przez sufit z mlecznego szkła, rozjaśniał ciało, ale choć umiał – jak jej się wydawało – uleczyć w kilka chwil skaleczenie na swojej dłoni, widać było, że ból odczuwa jak wszyscy, więc wcale nie był tak bezpieczny, jak w pierwszej chwili pomyślała. Któregoś dnia uderzył ramieniem o futrynę

drzwi i kiedy podciągnął rękaw, by obejrzeć, co się stało, pod skórą rozlał się siniak, co dowodziło, że nie przed wszystkim potrafi się obronić.

Codziennie rano wychodziła z domu przy Jäschkentaler Weg, by przed ósmą zjawić się w willi prokuratora Hammelsa. W pokoju na piętrze do godziny trzeciej miała lekcje z Helmutem. Wieczory i czasem noce spędzała w ciemnym, wysokim domu, do którego trudno było dotrzeć przez płataninę bram, piwnic i podwórek. Matce powiedziała, że nocuje u Sophie Horstmayer, co matka przyjęła bez zdziwienia, bo sama, gdy była młodsza, nocowała niejedną raz u którejś z koleżanek w Dolnym Mieście. Nawet gdyby ją ktoś śledził, wyglądało, że jeździ na Weidengasse, by spotkać się z przyjaciółką i trochę u niej pomieszkać, co nie mogło nasuwać żadnych podejrzeń. Przestała też chodzić na łąki pod bastionami, gdzie co jakiś czas zbierali się ludzie, by posłuchać Nauczyciela z Neustadt. Na cóż miała słuchać tego, co mówił z trawiastego szczytu bastionu św. Gertrudy, skoro miała go przy sobie. Wychodzili z domu o północy i włóczyli się po pustych ulicach Gdańska, bezpieczni, pewni, że nikt ich nie rozpozna – on w płaszczu z postawionym kołnierzem, ona w kapeluszu z czarną woalką. Szła obok niego, trzymając go pod rękę, jakby nie łączyło ich nic ponad przyjaźń.

Kiedyś, podczas nocnego spaceru, powiedział, że musi wystrzegać się kobiet. Zabrzmiało to dziwnie. Parę razy – dorzucił po chwili, gdy się uśmiechnęła – usłyszał od uczniów, że wiele kobiet szuka do niego dostępu nie tylko po to, by obdarować je światłem uzdrawiającej energii, jak to robił, kładąc im ręce na głowach. „One chcą mieć ze mną dziecko, pchają się nieprzytomnie, gotowe nawet mnie przekupić, byłbym tylko zechciał wziąć je w ramiona i obdarować córką czy synem”. W mieście rozeszła się wieść, że dziecko, które spłodziłby z kobietą, byłoby doskonałe, nigdy by nie chorowało i posiadałoby nadzwyczajne zdolności, o których marzy

każda matka. „Muszę się od nich trzymać z daleka – powiedział, gdy przechodzili po moście koło Stągwi Mlecznych – bo nie wolno mi mieć dzieci”. „A ja?” – zdziwiła się, że dotąd o tym nie pomyślała. Stał przy barierce mostu i popatrzył w wodę. „Ty nigdy nie będziesz miała dziecka. Zbyt dobrze wiesz, jak straszną rzeczą jest wydać człowieka na świat”. „Ale ja chciałabym mieć z tobą dziecko!” – upierała się, przyciskając policzek do jego ramienia. „Nic z tego – rzucił kamyk do wody. – Nie jest to nam pisane. Nie wolno mi mieć ani córki ani syna. A ty...”. „Co ja?”. „Ty, myślę, nie powinnaś znać swojej przyszłości”. „A znasz ją?”. „Trochę znam, ale nie mam pewności, czy wiem wszystko”.

Na moście, jak zwykle o tej porze, było pusto. Szybko zeszli na deski Długiego Pobrzeża, skręcając w ulicę Frauengasse, bo od strony Zielonej Bramy nadchodził patrol policji z latarkami, więc lepiej było nie wchodzić im w drogę. Gdy doszli pod czarny mur Marienkirche, zapytała go: „Skąd ty właściwie jesteś?”. „Ludzie mówią, że przybyłem z Nadrenii”. „Ale gdzie się urodziłeś?”. „Gdzieś nad rzeką, w szopie pełnej zwierząt”. „Pamiętasz ojca?”. „Wiem, że był kimś potężnym, ale nigdy nie widziałem jego twarzy. Kiedy myślę o ojcu, widzę tylko jego cień. Matki też nie pamiętam. Niektórzy mówią – roześmiał się – że nie urodziła mnie kobieta”. „A kto?”. „Przyniósł mnie z nieba ptak. Biała gołąbica”. „To musiał być mądry ptak, bo dzięki niemu jestem taka szczęśliwa”. „Nie mam pewności, czy był mądry. Pamiętam tylko, że bardzo mnie bolało, kiedy trzymał mnie w szponach za kark, gdy niósł mnie na Ziemię. Wolałem pozostać tam, gdzie byłem”. „A gdzie byłeś?”. „Nie wiem. Ale tam było mi dobrze. Ciepło, wilgotno, jasno”. „Chcesz tam wrócić?”. „Pewnie wrócę”. „Weź mnie ze sobą”. „Może kiedyś”. „Weź mnie ze sobą – chwyciła go za rękę. – Nie zostawiaj mnie tutaj”. Nagle ogarnął ją strach, że coś się stanie i utraci go na zawsze, więc mocno uwiesiła się jego ramienia, żeby

nie odfrunął jak ta biała gołębicą, o której mówił. Dopiero teraz po raz pierwszy pomyślała, że wszystko to może się skończyć źle, aż serce skurczyło się w piersiach. „Powiedz, że nigdy mnie nie zostawisz” – prosiła nie wypuszczając jego ramienia z uścisku. Nie bronił się przed jej natarczywością, tylko wierzchem dłoni pogładził ją po policzku: „Za jakiś czas odejdę”. „Więc pójdę z tobą, dokądkolwiek pójdziesz. Nigdy nie będziesz sam”. „Ja zawsze będę sam. Zresztą zbliża się czas...”. Zatrzymała się w pół kroku: „O czym ty mówisz?” – potrząsnęła nim. Dotąd wierzyła, że to, co jest, będzie trwało zawsze, a teraz nagle odsłoniło się przed nią jakieś ciemne przejście, prowadzące nie wiadomo dokąd, którego widok napełnił ją przerażeniem. Była gotowa zrobić wszystko, byle by tylko zatrzymać go przy sobie, nawet gdyby to miało być coś bardzo okropnego. Uderzyła go pięścią w ramię. „Nie waż się nawet tak myśleć!”. Przyjął uderzenie z wyrozumiałym uśmiechem. „Są rzeczy silniejsze od nas, więc cieszymy się tym, co jest”.

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Pobiegli w stronę rzeki pod przedprożami ulicy Heilige-Geist-Gasse, tam, gdzie ulica kończyła się gotycką bramą. Kiedy biegł, włosy spadały mu na czoło, odgarniał je dłonią, tak jak pierwszego dnia, kiedy stanął przed drzwiami domu przy Jäschkentaler Weg. Wyglądał znowu jak chłopiec, który ukradł jabłka z sadu i ucieka przed pogonią, pewny, że nikt mu nie odbierze zdobyczy. Biegła obok niego, jakby nigdy nic złego nie mogło się zdarzyć. Noc była czysta, bez chmur, niebo wysokie, ale w czarnej wodzie rzeki, do której dobiegli, nie odbijała się nawet jedna gwiazda.

Szklany deszcz

Którejś środy Maria pojechała do śródmieścia, żeby kupić kawałek jedwabiu na bluzkę, którą matka chciała sobie uszyć od dawna. Dzień był jasny, spokojny, szła więc ulicami w dobrym nastroju, patrząc na ozdobione czerwonym pluszem wystawy, na których pięknie ułożono buty z Hamburga, towary kolonialne, parasolki i kapelusze od Maroniego, ale gdy zbliżając się do dworca, minęła gmach Ratusza na Pferstadt, wielki huk wstrząsnął powietrzem, zadrżały szyby w oknach, aż jej – jak wieczorem opowiadała matce – serce stanęło w piersiach. Z jasnego nieba, które zakołysało się nad głową, na jezdnię i chodniki posypał się deszcz migoczących w słońcu odłamków szkła, raniąc kilka osób, które szły przed nią. Całe szczęście – jak o tym mówiła później – że zdążyła wejść pod żelazny daszek przed kawiarnią Rostkowskich, po którym zadzwoniło spadające szkło, bo wirujące ostre kawałki wciąż spadały z nieba, rozbijając się z brzękiem na płytach chodnika. Rozpryskujące się szkło zasypywało jezdnię, było rubinowoczerwone, turkusowe, żółte, zielone, fioletowe, błękitne. Po drugiej stronie ulicy – spostrzegła to po paru chwilach – kilku mężczyzn zasłaniając głowę rękami, chowało się przed spadającym deszczem szklanych

odłamków pod gzymsy bram i balkonów, chustką tamując krew na skaleczonych policzkach, szyjach i karkach. Jakiś starszy mężczyzna w rozpiętym, jasnym płaszczu, wciągnął za sobą pod żelazny daszek kawiarni starszą kobietę w sukni z czarnych koronek, której prawa dłoń była cała we krwi. Maria własną chustką obwiązała jej skaleczenie, ale kobieta krzyczała nieprzytomnie, nie mogąc oderwać oczu od swojej białej parasolki opryskanej czerwonymi plamami. W wysokich oknach domów po drugiej stronie ulicy pojawili się ludzie, którzy z rękami wyciągniętymi w stronę dworca pokazywali coś sobie ponad dachami domów, czego sprzed kawiarni Rostkowskich nie można było zobaczyć. Ktoś zemdlał osuwając się pod drzewem na trawnik.

Potem nagle zrobiło się cicho, tylko z bram i załomów ulicy Pfefferstadt dobiegały stłumione krzyki i płacz. Parę osób podbiegło do kobiety leżącej na trawniku, której czerwony szal, zaczepiony o gałąź krzaka, wił się w powiewach wiatru jak płomień. Maria na zawsze zapamiętała tę wijącą się smugę czerwieni nad białą twarzą. Pod podeszwami butów zazgrzytało potłuczone szkło. Z przecznicy, która prowadziła w stronę dworca, wybiegł młody mężczyzna w koszuli poplamionej krwią i wskazując ręką za siebie, krzyczał do ludzi, którzy stali w oknach: „Dworzec!... Dworzec!...”. Maria otrzepała suknię z pyłu, odrzuciła na bok pociętą ostrymi kawałkami parasolkę i po trzeszczącym szkle doszła do rogu przecznicy.

To, co zobaczyła za rogiem, przeraziło ją. Gdański dworzec nie był już gdańskim dworcem. W gmachu hali dworcowej, w której tyle razy czekała na pociąg do Zoppot, ziała czarna wyrwa po eksplozji. W półkolistym oknie, w którym dotąd można było podziwiać witraż przedstawiający *Sąd Ostateczny* Memlinga, nie było już kolorowych szkieł, które wybił podmuch. Z witraża zostały tylko pocięte żelazne pręty i ostre kawałki potłuczonych szyb. Cała sylwetka budynku

dworcowego była zniekształcona, jakby ktoś uderzył w nią wielką pięścią. Na szczycie trójkątnej, ceglanej fasady nie było już miedzianego koła ze skrzydłami, symbolu cesarskich kolei, które stoczyło się w dół po krawędzi dachu i ugrzęzło na placu przed dworcem wśród cegieł zagradzających dojście na perony.

Najgorszy był widok zakrwawionych ciał, które w najdziwniejszych pozach leżały na zasypanym gruzem i kawałkami szkła placu jak rozprute worki z mięsem. Niektóre jeszcze drgały. Od strony szpitala kolejowego, w kurzu i dymie, nadbiegali sanitariusze z noszami i lekarze w białych fartuchach, by przynieść rannym ulgę w cierpieniach, ale oficer w mundurze policji, najpewniej dowódca straży dworcowej, której funkcjonariusze, dopinając płaszcze, kroczyli z wartowni przez zwaliska gruzu w stronę budynku dworcowego, ruchem ręki ponaglał, by natychmiast opuścić miejsce, bo w każdej chwili znowu może stać się coś niedobrego. „Nie zbliżać się!” – wołał do gapiów, którzy – spragnieni widoku, o jakim mogliby potem opowiadać przez całe życie – nadbiegali grupkami od strony stoczni, a że jego wołanie nie dawało żadnego skutku, odpiął kaburę i kilka razy wystrzelił w powietrze, odstraszając ich na chwilę. Za chwilę jednak następni, nie zwracając uwagi na jego władcze gesty, przeskakiwali przez tory tramwajowe i biegli w stronę dworca przez rumowisko na placu, byle by tylko dostać się jak najbliżej miejsca wybuchu. Dach dworca, wyrzuszony od północnej strony, ział w poszarpanej wyrwie stalową kratownicą, z której osypywały się dachówki i kawałki blachy. Zegar na dworcowej wieży zatrzymał się na godzinie szesnastej siedem. Wielkie wskazówki były wygięte podmuchem eksplozji. „Nie zbliżać się! Nie podchodzić! Stać!” – krzyczał oficer z rewolwerem w ręku do mężczyzn w stocznioowych uniformach, którzy gromadzili się przy budynku kas, głośno komentując to, co działo się przed dworcem.

Na słupie jednej z lamp, po lewej stronie budynku kas, Maria zobaczyła strzęp zaczepiony na żeliwnym ornamencie. Była to oderwana do łokcia ręka, która wisiała na oddartym rękawie, kołysząc się w podmuchach wiatru. Dym, wypełniający halę dworcową, raz po raz przesłaniał czarnymi kłębamися wieżę dworca. Całe szczęście, że zza budynków szpitala kolejowego wyjechał konny oddział straży miejskiej, której funkcjonariusze zeskoczyli z siodel i zaczęli rozciągać długie sznury między latarniami, by spustoszone przez eksplozję miejsce odgrodzić od reszty miasta, skąd mniejszymi i większymi grupami ściągali mieszkańcy, by zobaczyć, co się właściwie stało.

Maria podbiegła do sznura, przy którym stał oficer policji: „Umiem opatrywać rannych. Mogę pomóc”. Machnął ręką, by przeszła dalej. Gdy przez zasypany gruzem plac szła w stronę zniszczonego budynku dworca, ranni wyciągali do niej ręce. Pomogła lekarzowi ze szpitala przy Neugarten zatamować krew kobiecie, której kawałek szkła rozciął szyję za uchem. Potem podwiązała bandażem złamaną rękę oficera marynarki z Kriegsmarine, który leżał nieprzytomny na płytach chodnika w mundurze spalonym na piersiach, ale po chwili mężczyzna przestał oddychać, więc tylko nakryła mu twarz białym płótnem. Miała ręce we krwi i poplamioną suknię, ale widziała, że lekarze odnoszą się do niej z szacunkiem, widząc, że zna się na rzeczy. Sanitariusze podawali jej z podręcznych toreb bandaże, nożyce, tampony, płachty gazy i płótna, które zręcznie darła na pasy, potrzebne do przewiązywania ran. Cóż, nauka ratowania życia, którą w Królewskim Seminarium Nauczycielskim prowadził młody doktor Morozowski, nareszcie na coś się przydała. Prosiła sanitariuszy, by przytrzymywali rannych, którzy rzucali się z bólu, wyjąc i przeklinając, co uniemożliwiało wszelką pomoc. Mała dziewczynka z twarzą rozciętą kawałkiem szkła od kącika ust do kącika prawego oka, ułożona na wielkich noszach,

skowyczała jak pies, zaciskając pięści na torebce z żółtej skóry, w której trzymała swoje skarby. Trzeba było tamponami zatamować czerwone strumyki spływające po szyi na różową bluzkę.

Czuła się jak sanitariuszka na froncie wielkiej wojny, ale z kim była ta wojna, nie wiedziała. Jeśli ktoś rzeczywiście spowodował eksplozję na dworcu, raniąc i zabijając tak wielu ludzi, to kto i po co? Ze szpitala kolejowego pośpiesznie wyjeżdżały kryte furgony ze znakiem czerwonego krzyża, na które ładowano rannych, ale ilu ich było, nikt nie wiedział. W okolicznych domach okna pękały w szwach od gapiów, którzy wychyleni poza parapety chłonili niecodzienny widok jak gąbka chłonie rozlaną krew. Młodzi mężczyźni stawali na dachach. Wspinali się na latarnie. Niektórzy wskazywali ją palcami, coś mówiąc i wołając. Pochylona nad rannymi, czuła na sobie setki spojrzeń. Przy sznurze rozpiętym między latarniami tłoczyli się ludzie, natrętnie zapewniając oficera, że tylko oni, nikt inny, byli naocznymi świadkami eksplozji, na co on zapisywał ich nazwiska w notesie, bo – jak go nauczono – każda informacja, z pozoru najbardziej błaha, mogła okazać się istotna dla śledztwa.

Gdy rannych umieszczono w wysokich salach szpitala kolejowego, którego budynki stały dwieście metrów od dworca, a zabitych ułożono równymi rzędami na płachtach brezentu obok budynku kas, na miejsce przybył sam Friedrich Eberhorn, komendant gdańskiej policji, który w chwili eksplozji przebywał w gmachu przy ulicy Karrenwall na naradzie wyższych oficerów, więc mógł zjawić się natychmiast jako pierwszy z przedstawicieli władz. Fotografowie z „Danziger Beobachter” i „Nowin Gdańskich” już czekali na niego przy sznurze z lustrzankami na statywach, by uwiecznić tę chwilę, uprzedzeni przez biuro komendy stosownymi telefonami do redakcji. Teren wokół dworca otoczyli funkcjonariusze z ko-

szar na Bischofsbergu, nie dopuszczając nikogo niepożądanego do naruszonych eksplozją ścian dworca.

Maria wytarła ręce w białe płótno i zeszła z placu. Z daleka widziała, jak komendant Eberhorn, ubrany w długi szynel, w czapce ze złoceniami, przy szabli, z kaburą przy pasie, wkracza na ogrodzony teren przed dworcem w otoczeniu adiutantów, którzy zapisują w swoich notesach każde jego słowo. Po chwili odwrócił się, spojrzął na tłum stłoczony za sznurem, wszedł na kupę gruzu i donośnym głosem wygłosił jedno ze swoich przemówień, w którym zapewniał wszystkich mieszkańców, że dołoży niezbędnych starań, by wyjaśnić wszelkie okoliczności zdarzenia i doprowadzić winowajców przed sąd. Dodał też parę podniosłych zdań o nieśmiertelnym mieście, które nigdy nie podda się złu i zawsze trwać będzie przy cesarzu, ci zaś, którzy dążą do tego, by oderwać Gdańsk od świętej całości państwa, żeby go zmienić w – pożał się, Boże – niepodległe, wolne miasto, zostaną potraktowani tak, jak na to zasługują, czego on sam dopilnuje osobiście. Odpowiedziały mu oklaski kilkudziesięciu mężczyzn w robotniczych uniformach zgromadzonych przy budynku kas. Ktoś nawet krzyknął, że tylko komendant Eberhorn potrafi ocalić miasto przed anarchią, na co on – wyraźnie zadowolony, że doceniono jego starania – odpowiedział cierpkim gestem dłoni w skórzanym rękawiczce.

Pomagając rannym, Maria przez cały czas trzymała nerwy na wodzy, dopiero kiedy weszła do tramwaju jadącego przed dworcem w stronę Wrzeszcza, zaczęła drżeć. Pasażerowie odsunęli się od niej, widząc na sukni czerwone plamy, co wcale jej nie zdziwiło, bo takie plamy nie świadczą najlepiej o człowieku. Jakaś kobieta w kapeluszu ozdobionym kwiatami z jedwabiu, rozparta na ławce obok drzwi, krzyknęła nawet, że należy wezwać policję, by zrobić porządek z takimi, którzy swoim niestosownym wyglądem zakłócają spokój w miejscach publicznych, tym bardziej że w tramwaju znaj-

dują się nieletnie dzieci. Maria nic na to nie odpowiedziała. Patrzyła przez okno na drzewa Grosse Allee, które przesuwały się za szybą i nie przestawała drzeć. Gdy konduktor ze skórzaną torbą na piersiach i niklowanymi szczypcami, którymi szczękał, dziurkując bilety wsiadających pasażerów, zaprowadził ją na przód wozu i posadził na ławce za motorniczym, pytając, co się stało, odpowiedziała, że dworzec w Gdańsku został przez kogoś wysadzony w powietrze i wielu ludzi zginęło. To wystarczyło, by w jednej chwili zmieniło się wszystko. Ktoś chciał jej nawet wetknąć do ręki zwitek banknotów, by dorożką mogła jak najprędzej wrócić do domu.

Do domu przy Jäschkentaler Weg dotarła koło siódmej, wprawiając matkę w przerażenie. Od razu nagrzano wody w łazience. Weszła do wanny i długo leżała w wodzie, czując jak z wolna znikają obrazy, które widziała na placu przed dworcem, a które później miały jeszcze wiele razy powracać w snach. Jej suknia z zakrzepłymi plamami czerwieni pływała w kuchennej balii jak zakrwawione ciało topielicy.

Nazajutrz miasto huczało od nowin. W redakcji „Danzi-ger Blatt” na drugim piętrze kamienicy Steffensa – Maria dowiedziała się o tym od panny Horstmayer, której kuzyn pracował w dziale linotypów – telefony dzwoniły bez przerwy, tak że redaktorzy – Kopless z działu politycznego i Warnewitz z kroniki dnia – nie nadążali z zapisywaniem wiadomości. Jakiś obywatel ziemski, Hertenstein, cedząc słowa przez zęby, powiadamiał redakcję, że w południe widział na dworcu Cygana, który zostawił owinięty papierem pakunek w przechowalni bagażu, a potem go nie odebrał, co dowodzi, że nie miał dobrych zamiarów. Zresztą – dodawał – człowiek ten wyglądał na Serba, co sprawę czyni dużo poważniejszą, każdy więc, kto chciałby zlekceważyć doniesienie, nie dba o dobro ojczyzny. Urzędnik pocztowy Kostaneki wzburzonym głosem zapewniał z kolei, że widział dwóch mężczyzn wyznania mojżeszowego, jak wspólnie wnieśli na

peron walizę z nalepką „Monte Carlo”, która w sposób widoczny była za duża jak na ich potrzeby, stąd wniosek, że zamach jest dziełem spisku żydowskiego, który zawsze zagrażał spokojowi cesarza i państwa. Ktoś, kto przedstawiał się jako emerytowany oficer policji Hugo Ramelstein, wykrzykując do słuchawki, zwracał uwagę na niepokojącą obecność w mieście przyjezdnych Polaków z Torunia a nawet Warszawy, zalecając, by na dworcu rewidować każdego, kto z Polski przyjeżdża, a nawet odsyłać go tam, skąd przybył. Mówiono o światowej organizacji siejącej terror, która swoimi mackami sięgnęła Gdańska, bo dotąd – jak to ujmowano – bomby wybuchaly wszędzie na świecie, tylko nie w Gdańsku, a teraz przyszła kolej na Gdańsk. Od dziś nikt nie może czuć się w mieście bezpieczny. Nawet idąc do sklepu, należy uważać na nieznanomych i meldować policji o każdej budzącej podejrzenia osobie. Jakaś pani Kurtzmayer łamiącym się głosem zapewniała, że gotowa jest oddać wszystkie swoje oszczędności na pomnik ku czci niewinnie poległych, którzy zginęli za cesarza, zupełnie jak jej mąż, major Kurtzmayer, który poległ w katastrofie lotniczej pod Lipskiem razem z generałem Hartlingiem, za co został odznaczony Krzyżem Żelaznym.

Były też telefony innego rodzaju. Oto ściszym głosem ktoś mówił do słuchawki, że do zamachu przyznaje się jakaś tajna organizacja, która zapowiada, że będzie kontynuować walkę aż od zwycięstwa, bo naród kaszubski, przez wieki gnębiony i prześladowany przez Polaków i Niemców, ma prawo do własnego niepodległego państwa jak wszystkie inne narody świata. Ktoś inny podawał się za przedstawiciela Stowarzyszenia Proletariat, które będzie – jak zapewniał podniesionym głosem – wszelkimi środkami bronić robotników z gdańskiej stoczni przed bezwzględny wyzyskiem kapitału. Jeszcze inny zapewniał, że ataki na budynki użyteczności publicznej nie ustaną, dopóki Gdańsk nie stanie się prawdzi-

wie wolnym miastem, to znaczy wreszcie uwolni się od niszczącej zależności od Polski i Niemiec. Nocą na murach w pobliżu budynku Rady Miasta strażnik Hesse, który miał służbę z sierżantem Weyherem, zobaczył namalowane czerwoną farbą świeże napisy „Wolność dla narodu kaszubskiego”, „Wolne Miasto”. „Wszystko to są dowody szaleństwa, które nie opuszcza ludzkiego rozumu – radca Benecke tylko śmiał się głośno, kiedy mu Maria o tym wszystkim opowiadała. – Ludzie, żeby sobie dodać znaczenia, wyobrażają sobie, że przerażają całe cesarstwo, udając groźnych tytanów zniszczenia, ale to brednie, którymi nie warto sobie zawracać głowy”. „Więc kto to zrobił – pytała Maria – jeśli nie ci, którzy się do tego przyznają?”. „Droga pani – radca Benecke unosił wyrozumiale brwi – to zadanie nie dla nas, lecz dla policji, która rzeczywistych sprawców wcześniej czy później odnajdzie. Może być pani spokojna. A poza tym nie ma żadnej pewności, czy rzeczywiście był jakiś zamach na nasz szacowny dworzec. W budynku mogła wybuchnąć przecież jakaś instalacja. Wszystko to, droga pani, trzeba dokładnie sprawdzić”.

Dobre rady Haberstadta

We wtorek była tak zmęczona po całym dniu lekcji, że postanowiła przenocować w willi prokuratora Hammelsa, co dotąd robiła rzadko. Pokojówka, którą powiadomiła o swoim zamiarze, rozłożyła na łóżku świeżą pościel, po czym uchyliła okno, by wpuścić więcej świeżego powietrza. Był już wieczór. Maria wzięła z półki jakąś książkę z rycinami Dürrera, przerzuciła parę stron, ale nie miała ochoty na lekturę. Koło jedenastej położyła się i starała się zasnąć, sen jednak nie przychodził. Ciągle nie mogła przestać myśleć o tym, co zobaczyła na dworcu. Nawet nakrywając głowę kołdrą, słyszała w pokoju jakieś stłumione odgłosy, które przypominały brzęczenie pszczelego roju, co ją bardzo rozpraszało i drażniło. Ten delikatny, owadzi dźwięk, unosił się w powietrzu jak mgiełka i nie było wiadomo, skąd dobiega. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju nasłuchując. Najpierw przymknęła okno, ale stłumione dźwięki wcale nie przycichły, tylko przeciwnie, stały się jakby głośniejsze. Dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że to odgłosy jakiejś rozmowy i że dobiegają one gdzieś spod podłogi.

Nie potrafiła rozpoznać, kto mówi. Zresztą dźwięki dobiegające spod podłogi to narastały, to cichły, w zależności

od tego, czy wiatr szumiał mocniej czy słabiej w przewodach wentylacyjnych. Musiało minąć parę minut, by uświadomiła sobie, że głos, który słyszy, to głos prokuratora Hammelsa. Drugiego głosu nie umiała rozpoznać. Wiatr to przygasał, to nasilał się, mącąc dobiegające z dołu dźwięki. Na dachu postukiwała obluźniona miedziana blacha, kołysana silniejszymi powiewami.

„No i co tam za wiadomości przynosisz mi, Haberstadt? Pewnie niedobre jak zwykle?” – dobiegł do niej w jakiejś chwili wyraźniejszy głos prokuratora Hammelsa. „Cóż, ja przynoszę zawsze wiadomości prawdziwe” – odpowiedział mu drugi głos, pełen spokojnej powagi, którego, jak na to wyglądało, nic nie byłoby w stanie wybić z rytmu. „Wiesz już, kto to zrobił... z tym dworcem?”. „Moi ludzie mówią – Haberstadt zawahał się – że za tym stoi Eberhorn”. Prokurator Hammels milczał przez chwilę. „Jesteś pewien?”. „Cóż, w naszym fachu nic pewne nie jest. Ale wiele wskazuje, że to on”. „Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz, Haberstadt? To poważne oskarżenie”. „Wiem, ale mówię to, co powinno zostać powiedziane. On w Berlinie już od dawna rozpущcza wieści, że pan, ekscelencjo, nie panuje nad sytuacją”. „A przez kogo on te wieści rozpущcza, też wiesz?”. „Wiem, wasza dostojność. Generał Gesternweg ma tam swoich krewnych”. „I mówisz, oni to robią?”. „Tak twierdzą moi informatorzy”. „A kto jeszcze to robi?”. „No cóż. Oficerowie z komendy policji, którzy do Berlina jeżdżą na odprawy. Oni chcą, żeby prokuratorem prowincji wschodniej został Eberhorn”. „No, a co ty sądzisz o takim pomysle”. „Ja? Ja robię to, co do mnie należy”. „O, z pewnością, ale co ty sądzisz o tym, żeby prokuratorem wschodniej prowincji został Eberhorn?”. „Mnie dobrze jest, jak jest”. Prokurator Hammels roześmiał się: „To się nazywa prawdziwa szczerosc. Wiesz, czego od ciebie oczekuję? Oczekuję od ciebie rad. Więc co mi radzisz?”. „Po pierwsze: uderzyć wprost w komendanta Eberhorna

dzisiaj byłoby nierozsądne. A zjednać go już się nie da. Ja radzę, żeby ukarać tych, co wysadzili dworzec”. „Ludzi Eberhorna?”. „A kto powiedział, że ludzi Eberhorna?”. Słysząc było jak prokurator nalewa wina do kieliszków. Haberstadt odczekał chwilę. „Ludzi Eberhorna ruszać dzisiaj nie trzeba. Mogą się jeszcze przydać”. „Twoja rada wydaje mi się rozsądna. A dalej?”. „Dalej trzeba się przyjrzeć temu człowiekowi z Nadrenii”. A cóż ma do tego człowiek z Nadrenii?”. „On nam spadł z nieba”. Prokurator Hammels odstawił kieliszek na stół. „Słyszałem, że to religijny fanatyk”. „Powiem tak. Ja go najpierw lekceważyłem. Ot, myślę jakiś religijny narwaniec, co ludziom w głowie przewraca. O naprawie świata mówi. Grzechy wytyka. Do uczciwości nawołuje. Modli się. W niebo patrzy. I przy każdej okazji powtarza: zło dobrem zwyciężaj. Myślę sobie, bardzo dobrze. Czyż może być dla nas coś lepszego, niż takie gadanie?”. „Ale to nie wszystko, chcesz powiedzieć?”. Ja go najpierw lekceważyłem, ale potem wziąłem pod szkło powiększające. I co widzę? On na wielkich zgromadzeniach na tych łąkach pod bastionami przy Bramie Nizinnej zachowuje się wzorowo, do łagodności wszystkich wzywa, ale na mniejszych spotkaniach dziwne rzeczy mówi”. „Na przykład mówi tak: Kościół trzeba naprawić, bo księża naukę Jezusa zaniedbują. A potem jeszcze dodaje: Ja Katedrę w Oliwie zburzę i w trzy dni odbuduję. Co pewnie znaczy: ludzi Kościoła, naszego gdańskiego arcybiskupa na przykład, należy szybko od władzy odsunąć i kogoś dużo lepszego na jego miejsce postawić”. „Nie przesadzasz, no, Haberstadt?”. „Ja tak sobie myślę, że ten człowiek z Nadrenii to jest niebezpieczny człowiek, bo masa ludzi go słucha. On teraz łagodzi nastroje. Do modlitwy wzywa i spokoju. Przemoc głośno potępia. Ale w mniejszych zgromadzeniach powiada: to skandal, że ludzie muszą pracować po osiem godzin dziennie, całe swoje siły oddając bogatym. Ludzie pracować powinni po pięć godzin dziennie. I on

twierdzi, że w całym cesarstwie powinni tak pracować. Taką on zmianę postuluje. I jeszcze dodaje, że wszyscy ludzie bogaci powinni połowę swoich dochodów biedniejszym od siebie oddawać. Całą połowę albo i więcej”. Prokurator Hammels zamyślił się. „Jesteś pewien, że on tak mówi?”. „Ja rzadko jestem czegoś pewien, ale tu jestem pewien. I na dodatek on te myśli rozpowszechnia wśród robotników z gdańskiej stoczni. Jak mnie o tym sam Schichau mówił niedawno, to go o mały włos apopleksja nie zabiła. Ten człowiek z Nadrenii mówi, że właściciel stoczni powinien oddawać robotnikom połowę swojej pensji, bo ta jego fatalnie duża pensja pochodzi z ich ciężkiej pracy, więc między wszystkich robotników powinna być sprawiedliwie dzielona. I że pan, wasza dostojność, prokurator naszej prowincji, też ludziom biedniejszym powinien co miesiąc oddawać połowę swojej pensji, bo sam Pan Jezus, nasz Zbawiciel, uczy w Ewangelii, że jeśli masz jeden płaszcz, to go rozetnij nożycami na połowę i tę drugą połowę oddaj biedniejszym od siebie. W taki to sposób on naukę Pana naszego objaśnia, co rzecz jasna Izbę Handlową, przedsiębiorców, policję oraz giełdę naszego miasta mocno niepokoi.

On chce ekonomię naukom Jezusa podporządkować, co się może tylko źle skończyć. Bo Jezus, Pan nasz, mądry i dobry z pewnością był, ale przecież nie znał się ani na procencie, ani na dywidendzie, ani na kredycie, ani na rabacie, cóż zaś mówić o kursach walut. On mówi, że ekonomia powinna być oparta na chrześcijańskich zasadach, a przecież wiadomo, że jeśli człowiek interesu będzie się zachowywał jak prawdziwy chrześcijanin, to znaczy będzie mówił całą prawdę o swoich dochodach, zyskach, procentach i pożyczkach, to on na wolnym rynku przepadnie jak szczupak w ogniu. Tajemnica handlowa jest, jak wiadomo, fundamentem naszego porządku społecznego, a ona z chrześcijaństwem niewiele ma wspólnego, bo bez tajności w interesach

i skrywania prawdziwych intencji żaden przedsiębiorca nie będzie mógł skutecznie zastawiać pułapek na swoich konkurentów, co chyba raczej chrześcijańskie nie jest, ale to właśnie dzięki temu, że ekonomia nasza niezupełnie jest chrześcijańska, w całym naszym cesarstwie kręci się interes na pełnych obrotach ku pożytkowi wszystkich i kraj nasz się rozwija. A jakby tak ktoś w ekonomii chrześcijańskie zasady zaczął naprawdę stosować, to wiadomo, że nie tylko on by marnie skończył, lecz i jeszcze samą ekonomię doprowadził do ruiny. Więc nauki tego człowieka z Nadrenii groźne są dla porządku publicznego i nierozsądne, chociaż z pozoru wyglądają całkiem niewinnie”. „Ale przyznasz, że dość szlachetne są”. „No, pewnie, że one są szlachetne, ale na giełdzie szlachetność tylko czasem popłaca”. „Być może. Ale o co ty byś chciał go oskarżyć? Przecież to są wszystko tylko słowa, nic więcej”. „No, na to wygląda, że to są tylko słowa. Ale ja bym go oskarżył nie tylko o słowa, lecz o coś dużo poważniejszego. Ja bym go oskarżył o zamiar zbrodniczy i jako zbrodniarza ukarał, bo w pewnym sensie on zbrodniarzem jest. Przecież on powiedział głośno do ludzi: zburzę Katedrę w Oliwie i w trzy dni ją odbuduję. A skoro on chciał Katedrę zburzyć, to nic dziwnego, że jego ludzie dworzec wysadzili”. „Szalone ty rzeczy mówisz, Haberstadt. Na niewinnego człowieka cień rzucasz”. „A kto to jest niewinny człowiek w dzisiejszych czasach? Pan, wasza dostojność? A może ja? Wina w nas siedzi jak drzazga pod paznokciem. Tak uczy Pismo. A jak ktoś mówi, że chce zburzyć gmach świątyni tak ważnej dla mieszkańców miasta naszego jak Katedra w Oliwie, to sprawa robi się poważna i niebezpieczna. A on powiedział otwarcie, że Katedrę chce zburzyć. Zamiar swój ujawnił i to nawet publicznie, więc cesarzowi trzeba o tym donieść. Niech cesarz zobaczy prawdziwe oblicze zła w naszym mieście. Nie jakieś tam drobne nadużycia, jak to komendant Eberhorn przedstawia, ale prawdziwe

oblicze zła. A jak się cesarz o tym dowie, że w Gdańsku jest ktoś taki, co chce Katedry burzyć i dworce kolejowe wysadza, to trzeba mu donieść, że zło już zostało ukarane. I ukarać je trzeba publicznie, jawnie i przykładowie. Żeby cały świat zobaczył, że prokurator Hammels panuje nad sytuacją we wschodniej prowincji”. „Więc moja rada jest taka: trzeba człowieka z Nadrenii postawić przed sądem, sprawiedliwie osądzić i wymierzyć karę najodpowiedniejszą, czyli najwyższą. Publicznie, jawnie, przykładowie. Żeby cały świat się dowiedział”. „Straszne ty mi rzeczy podpowiadasz, Haberstadt, jakich ja bardzo nie lubię”. „Cóż, brzemień władzy żelazne jest, nic na to poradzić nie można. Ale ja dodam jeszcze jedno. Otóż sporo ludzi w naszym mieście wierzy, że ten człowiek przyszedł do nas z Nadrenii po to, żeby zrobić z Gdańska wolne miasto, to znaczy oderwać je na zawsze od naszego świętego cesarstwa i od Polski, i zrobić z niego niepodległe państwo, ani polskie, ani niemieckie, tylko gdańskie. Taką niezależną republikę gdańską założyć. Czy ten człowiek z Nadrenii ma taki zamiar, to teraz jest zupełnie nieważne. Teraz ważne jest to, że tak ludzie o nim myślą. A skoro tak o nim myślą, to jest poważna sprawa.

Ja w swoim życiu widziałem różnych politycznych agitatorów. I ja się ich zupełnie nie boję. Bo agitatorzy politykę potrafią tylko robić. On zaś politykę z religią umiejętnie łączy. A jak on jeszcze pójdzie któregoś dnia do gdańskiej stoczni i na stoczniowej bramie obraz Matki Bożej zawiesi, to on robotników od Schichaua taką siłą natchnie, że będziemy mieli prawdziwe kłopoty. Oni wierzą, że to sam Bóg tak do nich mówi jego ustami, a nie jakiś polityczny buntownik, co receptę na naprawę świata wymyślił gdzieś na jakiejś tam brudnej mansardzie. A wtedy zaczynają się sprawy poważne i mądra władza powinna w to wkroczyć. Bo co by się stało, gdyby nagle ludzie w całym naszym świętym cesarstwie zaczęli pracować tylko po pięć godzin dziennie? No, rzecz

jasna, wszystko by się zawaliło. Pan zatem powinien teraz stanowczo wystąpić jako obrońca świata naszego, a może i nawet całej Europy. I zło przykładowie ukarać”. „Wszystko to pięknie, Haberstadt, ale ja w tym człowieku żadnej winy nie widzę”. „Cóż, wina to jest sprawa perspektywy. Jak się perspektywę zmieni, to i wina się znajdzie”. „No, ja bym wolał żeby dobro i zło od zmiany perspektywy nie zależało”. „Każdy by chciał. Ja też. Ale na Ziemi jest, jak jest. Perspektywę zmienisz, winę znajdziesz”. „A decyzję trzeba podjąć natychmiast, bo Eberhorn tylko czeka na zwłokę waszej dostojności. Jeśli się spóźnimy, przepadniemy z kretešem. I pan, i ja. Eberhorn rozpowiada wszędzie, że to Kaszubi dworzec w Gdańsku wysadzili, żeby światu pokazać, że o swoją niepodległość walczą, bo chcą państwo Wolna Republika Kaszubska założyć, jak Baskowie czy Katalończycy swoje. Jego ludzie już od dawna chodzą po mieście i rozpowszechniają fałszywe wiadomości, że Kaszubi powstanie szykują, kosy ostrzą i noże, i na Gdańsk idą, a pan nie potrafi nic z tym zrobić. Takie to głupstwa rozpowiadają, ale część ludzi w Gdańsku już się porządnie wystraszyła. Jak pan, wasza dostojność, będzie zwlekał, to on tę kartę kaszubską w Berlinie przed naszym cesarzem wygra. A wtedy...”.

Wszystko to było nikczemne i przeraźliwie logiczne. Cała drżała z oburzenia i wstydu. Chciała zobaczyć twarz tego Haberstadta, ale kiedy wyszedł z willi i podszedł do daimlera, który czekał na niego na żwirowanym podejździe, z okna pokoju na piętrze ujrzała niczym niewyróżniającego się biuralistę w szarym prochowcu z teczką pod pachą. Pomyślała nawet, że ten człowiek ma w tej teczce bułki z serem, zawinięte w pergamin, co mu je do pracy zapakowała żona, z którą on sam co niedziela chodzi na uroczystą mszę do oliwskiej Katedry i może do komunii świętej nawet przystępuje, żeby wszyscy widzieli, jak on pięknie klęczy przed ołtarzem i modli się za kraj i za cesarza.

Na mieście tymczasem w różnych miejscach pojawili się ludzie, którzy głośno mówili o tym, co dzieje się na południu prowincji. Wieści rozchodziły się po wszystkich dzielnicach szybko, a po jakimś czasie ludzie, spotykając się na ulicach, zaklinali się, że nocą widzieli na horyzoncie za Jasieniem i Żukowem ognie płonących domostw, nad którymi wznosiła się łuna. W restauracjach Friesego i Naumanna powtarzano sobie, że Kaszubi organizują oddziały po kilka tysięcy ludzi, nasadzają kosy na sztorc i napadają na dwory właścicieli ziemskich, nie zważając, czy to Niemcy, czy Polacy. A na murach wypisują „Wolność dla Kaszub” i rabują transporty gotówki, by kupić broń w Danii i Norwegii. Że czarna fala zbliża się do Gdańska, sięga już Bissau, Leesen, Kokoschken i lada dzień uderzy na przedmieścia. Byli tacy, którzy w tawernie Mauersbergera koło Stągwi Mlecznych przysięgali, że Kaszubi piłami rzną komisarzy rządowych i podpalają magistraty, wyrzucają na bruk księgi hipoteczne i rejestry długów, by zniszczyć każdy ślad podległości polskiemu i niemieckiemu państwu. Że chcą być niezależni i od Niemiec, i od Polski. Nocą z głębi lasów – jak mówiono w kantynie oficerskiej przy Hochstriess – dobiegał ponoć śpiew mężczyzn, którzy wykrzykiwali, że jeśli zwyciężą, przywrócą dawne nazwy stawom i jeziorom. Mówiono, że podpalane są młyny i budynki na śluzach, kolejowe wiadukty i małe dworce. Czarne świerki ukrywały ruch oddziałów, które rozlewały się po całej prowincji, grożąc dawnym zamkom krzyżackim, w których teraz urzędowali starostowie powiatów. Ktoś w robotniczej jadłodajni w Neufahrwasser przekonywał, że w kaszubskich oddziałach są ochotnicy z kraju Basków, z Flamandii, z Wandei, z Katalonii, z mniejszości węgierskiej na Słowacji, bo wszystkich łączy wspólna sprawa. Że trzeba się bić, bo wielkie państwa kroją swoimi granicami jak nożem na kawałki żywe ciało małych narodów, że moloch wielkich państw pożera małe narody, miele je na miazgę w diabelskich młynach

i wypływa zmienione nie do poznania. Ale radca Benecke, który zachodził do restauracji Friesego na Długim Pobrzeżu, gdzie Maria zaglądała czasem, tylko wzruszał ramionami na całe to gadanie: „Cóż oni plotą za głupstwa! Nie ma bardziej pokojowego narodu niż Kaszubi. Gdzież im tam wzniecać jakieś awantury. Więc na cóż to słuchać tych bredni, które ktoś rozsiewa, by nas z Kaszubami poróżnić?

Ale miasto zaczęło się bać. Komendant Eberhorn postawił w stan gotowości kawalerię z odwodów elbląskich i jednostkę policji na Bischofsbergu, co z aprobatą odnotowały wszystkie gazety. Na ulicę wyszły patrole. Sam pojawił się na placu przed spalonym dworcem, gdzie zapewniał ludzi, którzy zbiegli się z sąsiednich ulic, że wojsko i policja panują nad sytuacją i kaszubskie oddziały idące z południa na Gdańsk zostaną zatrzymane. W Langfuhr pojawili się ludzie, którzy głośno wykrzykiwali na ulicach, że prokurator Hammels nie jest w stanie obronić miasta, powinien więc ustąpić. Wołano, że aby uratować miasto, trzeba wprowadzić stan wojenny i że tylko komendant Eberhorn może coś w tej sprawie zrobić. Tylko on, nikt inny.

Maria od razu pojechała do wysokiego domu, gdzie w pokoju z sufitem z mlecznego szkła spotkała się z Mistrzem. Powtórzyła mu wszystko, co usłyszała w willi prokuratora Hammelsa i bardzo naciskała, żeby choć na jakiś czas powstrzymał się od wychodzenia z domu i w żadnym razie nie pokazywał się na bastionie św. Gertrudy, choć z pewnością będą tam na niego czekać jak zawsze tłumy. Zgodził się pozostać jakiś czas w ukryciu, chociaż nie miał pewności, czy postępuje słusznie, ona jednak nalegała, by porzucił nierozsądne myśli, które, jak uważała, na pewno nie doprowadziłyby do niczego dobrego.

Strajk

We czwartek Maria miała lekcje z Helmutem od dziewiątej. Chłopiec był uważny, starannie wykonywał wszystkie jej polecenia, pisał ładnym pismem, co ją ucieszyło, bo nareszcie mogła sobie powiedzieć, że jednak mimo kłopotów mądrze zrobiła pozostając jego nauczycielką, choć od paru dni nie wszystko jej się w willi prokuratora Hammelsa podobało.

Pracowała z chłopcem w spokoju do południa. Koło dwunastej zaczęły ją jednak rozpraszać odgłosy dobiegające z parteru. Ktoś zajeżdżał przed willę samochodem, ostro hamując na zwirowanym podjeździe, słychać było kroki wielu osób, trzaskanie drzwiami, ktoś wydawał rozkazy podniesionym głosem, dał się słyszeć nawet szczęk broni i brzęk wynoszonych blaszanych skrzyń. Pół godziny później do pokoju na piętrze weszła pani Sonnenberg. „Panno Ferbelin – stanęła w drzwiach – może pani na dzisiaj lekcje zakończyć”. „Ale co się stało?”. – Maria odłożyła podręcznik geometrii na stół. – „Nic – odpowiedziała pani Sonnenberg. – Po prostu ma pani wolne. Oczywiście – dodała wyglądając suknię na biodrach – może być pani spokojna, nie wpłynie to w żaden sposób na wysokość pani wynagrodzenia. Może pani jechać do domu”.

Kiedy Maria wsiadała do powozu, zauważyła, że pod lasem, za brzożami, które rosły przy willi prokuratora Hammel-
sa, jest więcej żołnierzy z oddziału wartowniczego niż zazwy-
czaj. Szwadron huzarów z koszar Mackensena zajmował
właśnie pozycję w zagajniku za ogrodzeniem z zaostrzonych
prętów, nie afiszując się zresztą swoją obecnością, tak że trud-
no było policzyć, ilu ich jest naprawdę wśród drzew i krzaków.

Gdy dojechała do domu, ojciec rozmawiał w kuchni
z Jostem, który właśnie przybiegł z miasta, podniecony, nie-
spokojny, bo to, o czym mówił, nie było łatwe do opowie-
dzenia.

Stocznia – mówił Jost – stanęła o szóstej rano. Robotnicy
zgrupowali się przed budynkiem zarządu, gdzie urzędował
dyrektor Hebda i na frontowej ścianie, dobrze widocznej od
strony torów kolejowych, biegnących z Gdańska do Zoppot,
rozpięli wielki transparent zeszyty z pięciu prześcieradeł, na
którym czerwoną farbą wypisali „Żądamy pięciogodzinnego
dnia pracy”. Wszystkie bramy wjazdowe zostały od razu zam-
knięte, a nawet usypano przy nich coś w rodzaju barykad ze
skrzynek, kawałków żelaza, desek, beczek po nafcie, tak żeby
nikt nie mógł wjechać na teren stoczni. Traserzy i dźwigowi
zeszli ze swoich miejsc pracy, porzucając pochylnie i suwnice,
tylko tam, gdzie biegle rury gazowni, postawiono warty, by nie
stało się coś niedobrego. Przy głównej bramie tłum robotni-
ków zbudował ołtarz, który przyozdobiono kawałkami błysz-
czącej blachy i świeżą jedliną, ale najważniejsze było to – Jost
swoje słowa podkreślał radosnymi gestami – że koło ósmej do
strajkujących przybył sam proboszcz Weimann z parafii św.
Józefa, w uroczystym ornacie ze złoceniami, po czym od razu
odprawił mszę pod gołym niebem dla robotników zgromadzo-
nych przy bramie. Prawie wszyscy stoczniovcy – Jost wykrzy-
kiwał nad stołem – przyjmują komunię, a pieśni religijne śpie-
wają tak głośno, że słycać je aż koło dworca, tak że ludzie,
którzy wysiadają z pociągów, wiedzą o wszystkim, co się dzie-

je. A na dachu budynku stoczniowego szpitala, tam, gdzie teraz siedzą robotnicy, ktoś wymalował w nocy dużymi literami biały napis „Wolne Miasto Gdańsk”.

Słuchając tego, co mówił Jost, Maria myślała o jednym: żeby Mistrzowi nie wpadło do głowy pojawić się teraz na mieście. Gdyby został rozpoznany przez kogoś na ulicy, pewnie natychmiast zatrzymaliby go funkcjonariusze w cywilu z komendy przy ulicy Karrenwall, którzy pewnie już dostali stosowne rozkazy i dokonują pierwszych aresztowań. Chciała zjechać natychmiast do śródmieścia, by powstrzymać go przed nierozważnym krokiem, ale Jost powiedział, żeby nawet nie próbowała, bo wszystkie dojścia do śródmieścia zostały zamknięte. Wszędzie stoi wojsko. Pozostaje tylko jedno: czekać.

W całym mieście nie działały telefony, bo oddział policji z Bischofsbergu zajął centralę na Rohnstrasse i zablokował wszystkie połączenia, zrywając łączność nawet ze szpitalami przy Neugarten i Straussgasse, co zostało przyjęte źle nawet przez część urzędników Prokuraturii. Tramwaje nie jeździły. Ale wiadomości i tak się rozchodziły po okolicy. Ludzie, znając układ ulic, podwórek, ogrodów, parków i cmentarzy przelizgiwali się przez policyjne kordony z nowinami dla bliskich i znajomych z odległych dzielnic. Mieszkańcy Neu Schottland i okolic Grosse Allee przechodzili z wiklinowymi koszami przez tory kolejowe, łączące Gdańsk z Zoppot i Saspe, niosąc strajkującym robotnikom ze stoczni Schichaua chleb, mleko i owoce, bo oddziały policji i wojska na razie trzymały się z dala od stoczniowego muru, zatrzymane rozkazem prokuratora Hammelsa na poligonie w Nenkau, skąd w każdej chwili można było przerzucić wozy pancerne kartuską koleją na boczną dworca w Langfuhr. Cała brama stoczni przy placu Hanzaplatz została obwieszona kwiatami, a na jej prętach robotnicy zawiesili, ozdobiony tulipanami i goździkami, cudowny obraz Matki Boskiej Greifswaldzkiej w złotych ramach na znak, że

Bóg czuwa nad miastem i nie pozwoli skrzywdzić swoich dzieci, które upomniały się o słuszne prawa. Gdzie się tylko dało, na płotach, murach, słupach naklejano kartki z wypisanym czerwoną farbą słowem „Braterstwo”.

Podobno, jak mówili ludzie z Langfuhr, pod wieczór do willi prokuratora Hammelsa pod Lasem Gutenberga przybył sam Friedrich Schichau, właściciel stoczni. Widziano, jak przejeżdżał ulicami pancernym wozem z eskortą. Jost mówił, że nietrudno się domyślić, o czym musieli rozmawiać, bo wiadomo było, że na jednej ze stoczniowych pochylni od paru miesięcy stoi kadłub krążownika „Radhorst”, przygotowywany do wodowania, oczko w głowie cesarza Wilhelma, chluba i duma Kriegsmarine, przy którego budowie z powodu strajku ustały wszelkie prace, co uderza nie tylko w interesy rodziny Schichau, ale także w skarb państwa, bo każda godzina przestoju w pracy – jak robotnikom stojącym na czele strajku tłumaczył dyrektor Hebda – pociąga za sobą utratę tysięcy guldenów, co lokalny bunt robotniczej załogi zmienia w sprawę wagi państwowej, tym bardziej że w budowie krążownika bierze udział wiele firm z całego cesarstwa, których dochody zależą od ukończenia robót w przewidzianym terminie. Sprawa zatem – prokurator Hammels wiedział to z całą pewnością – powinna być rozwiązana jak najprędzej. Stolica czeka na szybkie i trafne decyzje.

Następnego dnia, jak zwykle koło ósmej, Maria udała się do willi prokuratora Hammelsa uznając, że wydarzenia, o których ojcu mówił Jost, nie powinny wpłynąć na tok nauki chłopca. Chociaż przy drzwiach do sieni ujrzała dwóch dodatkowych wartowników z koszar przy Reitergasse, wpuszczono ją bez żadnych utrudnień, weszła więc na górę i rozpoczęła lekcje z Helmutem, zaczynając od geografii, by od razu nadrobić, niewielkie zresztą, zaległości z poprzednich dni. Koło południa, tak jak wczoraj, zaczęły ją jednak znowu rozpraszać odgłosy dobiegające z parteru. Znowu ktoś wbie-

gał i wybiegał z korytarza, szczękała broń, wydawano rozkazy donośnym, oficerskim głosem, ktoś wchodził i schodził po schodach, stukając obcasami. Nie słyszała tylko głosu prokuratora Hammelsa. Głos ten zabrzmiał dopiero koło pierwszej. Nie mogła zrozumieć, co prokurator Hammels mówi, a raczej krzyczy, ale z tego, co usłyszała, można było wnioskować, że jest doprowadzony do furii. Gdy Helmut usłyszał podniesiony głos ojca, odsunął od siebie zeszyty, rzucił pióro na stół, wybiegł z pokoju i zbiegł po schodach na parter. Najpierw prokurator Hammels krzyknął do syna, żeby wracał na górę do lekcji z panną Ferbelin, ale potem zamknęli się w mahoniowym gabinecie i przez jakiś czas nie wpuszczali nikogo. Helmut wrócił do pokoju na górze po półgodzinie. Uspokojony, rozluźniony, rozsiadł się wygodnie w fotelu pod oknem, gdzie lubił czytać książki ze swojej biblioteki, poprawił mankiety koszuli, wystające spod rękawów kurtki i nawet się uśmiechnął do Marii, ale uśmiech, jaki pojawił się na jego twarzy, nie miał w sobie dobrej barwy, więc udała, że zupełnie nie obchodzi ją to, czego chłopiec dowiedział się od ojca, bo – jak już dawno wyczuła – nie było chyba lepszego sposobu, by skłonić go do mówienia. Nie zwracając na jego zachowanie uwagi, zajęła się więc wpisywaniem do swojego zeszytu tematów lekcji, które zamierzała odbyć z nim w przyszłym tygodniu, ale aż się paliła z niecierpliwości, co chłopiec powie, bo w tej chwili to on właśnie był najlepszym źródłem informacji o tym, co dzieje się w mieście. Z okna zobaczyła, jak za ogrodzeniem z żelaznych prętów żołnierze z oddziału wartowniczego, którego skład wzmocniono wczoraj plutonem piechoty z koszar przy Reitergasse, okopują się na zboczach wzgórz w brzozywym zagajniku, ustawiając za osłoną z worków z piaskiem dodatkowy karabin maszynowy na statywie, z czego można było wnioskować, że sytuacja w mieście raczej nie rozwija się tak, jak tego pragnął prokurator Hammels.

„Dlaczego pani udaje – syn prokuratora Hammelsa powiedział do niej po dłuższej chwili milczenia – że nie obchodzi pani to, co usłyszałem od ojca?”. „Niczego nie udaję. Jestem tu tylko po to, by uczyć ciebie matematyki, geografii i francuskiego. Polityka mnie nie interesuje.”. „Tere, fere. Nie nabierze mnie pani – rozpiął guzik pod szyją, nie spuszczaając z niej oka. – Czuło się, że rozpiera go chłopięca duma, że został dopuszczony przez ojca do tajemnic, do których, jak pewnie myślał, dostęp mają tylko nieliczni dorośli. „Poza tym – Maria uniosła wzrok znad zeszytu – takim chłopcom jak ty, nie zdradza się prawdziwych tajemnic, od których zależy porządek w państwie”. „Więc myśli pani, że ojciec mnie okłamał?”. „Tego nie powiedziałam – odłożyła pióro na stół. – Po prostu myślę, że nie powiedział ci wszystkiego”. „Dlaczego pani nie zwraca się do mnie per „panie Hammels”, tak jak było umówione?”. „Dobrze, panie Hammels, będę się do pana zwracać, tak jak pan chce – powiedziała z lekką irytacją. Przez dłuższą chwilę przypatrywał się jej z niechętną ironią. „Ojciec – na chwilę zawiesił głos, jakby chciał przydać wagi swoim słowom – powiedział, że sprawa stoczni jest już zakończona”. Ponieważ nic na to nie powiedziała, dorzucił niedbale: „Strajku już nie ma”. „Tak? – uniosła brwi. – To dlaczego wrócił taki wzburzony, skoro wszystko zakończone? Przecież słyszałam, w jakim był stanie”. „Nic pani nie słyszała – skrzywił się, zniecierpliwiony. – Po prostu nie wszystko poszło po myśli ojca, ale sprawy już nie ma”. Zmrużyła oczy, co uznał za dowód rosnącej ciekawości, którą, jak pewnie uważał, tylko on mógł zaspokoić. „Chce pani wiedzieć, co dzisiaj działo się w mieście?”. Popatrzył w okno na żołnierzy, który okopywali się w brzoźowym zagajniku za ogrodzeniem willi, rozstawiając pod drzewami skrzynki z amunicją, po czym zaczął mówić o tym, co powiedział mu ojciec.

Oto około dziewiątej rano zdarzyła się – jak to określił – rzecz niesłychana w dziejach cesarstwa. Do stoczni przybył sam zarządca wschodniej prowincji, prokurator Hammels, we własnej osobie, co dotąd było nie do pomyślenia, bo nigdy jeszcze w historii funkcjonariusz władz tak wysokiej rangi nie podjął bezpośrednich rozmów z robotnikami, którzy ogłosili strajk. Prokurator Hammels zachowywał się uprzejmie, podawał wszystkim rękę, a kiedy poproszono go, by polecił oddziałom policji, by odsunęły się od głównej bramy stoczniowej, wydał rozkaz, który został po paru minutach wykonany i kordon funkcjonariuszy policji cofnął się z Hanzaplatz w kierunku dworca, co jeszcze bardziej zjednało mu sympatię robotników. Gdy zaprowadzono go do gmachu zarządu przy Werftgasse, rozpoczęły się rozmowy, a że komitet strajkowy, którym kierowali ludzie z traserni, Hesse i Rosowinsky, wspierani przez adwokata Tellera, zachowywał się rozsądnie, po godzinie doszło do wstępnego porozumienia, co pozwalało żywić nadzieję, że wszystko, mimo oczywistych w takich razach trudności, idzie w dobrym kierunku. Prokurator Hammels podkreślał, że sprawa wykracza poza kontekst lokalny, bo dalsze zawieszenie prac nad przygotowaniem do wodowania kadłuba krążownika „Radhorst” zagraża w pojęciu rządu pryncypiom narodowej obronności, na co robotnicy odpowiedzieli, że są gotowi wrócić natychmiast do pracy na tym okręcie, ale zakończą cały strajk dopiero wtedy, kiedy ich najważniejsze żądania zostaną spełnione. W końcu nasze państwo – jak to sformułował z właściwą sobie dosadnością traser Rosowinsky, syn kowala z Nadrenii – jest na tyle bogate, że może sobie pozwolić na pięciogodzinny dzień pracy, bo w imię jakiej to właściwie idei ludzie mają sobie wypruwać żyły, pracując po osiem godzin dziennie. Prokurator zgodził się na takie wstępne rozwiązanie, oświadczył też, że jeszcze dziś powoła komisję, w której składzie obok urzędników Prokuratorii znajdą

się prawnicy z Technische Hochschule i ludzie właściciela stoczni Schichaua, by doprowadzić rozmowy do pomyślnego końca. Kiedy prokurator Hammels opuszczał stocznę koło jedenastej w towarzystwie swoich asystentów i dyrektora Hebdy, tłum robotników odprowadził go do obwieszanej kwiatami bramy z obrazem Matki Boskiej Greifswaldzkiej i nawet bito mu brawo na pożegnanie, co dotąd nigdy jeszcze podczas strajków się nie zdarzało. Wyglądało więc na to, że przynajmniej część spraw została załatwiona.

Ze stoczni prokurator Hammels pojechał do gmachu Prokuratorii; gdzie miał rozmawiać z wysłannikiem rządu, panem van den Haas, który przybył z Berlina do Gdańska rano, sznelcugiem królewieckim ze specjalnymi – jak później mówiono – uprawnieniami. Spotkał się z nim o jedenastej dwadzieścia, konferował przez kilkanaście minut w Sali Burmistrza, aż do chwili, gdy rozmowę obu wyższych urzędników, która biegła w kierunku rozsądnych rozstrzygnięć, przerwał któryś z asystentów, informując, że niedobre rzeczy dzieją się w stoczni.

Wkrótce bowiem po wyjeździe ze stoczni prokuratora Hammelsa stoczniowcy podzielili się na dwie grupy, pomiędzy którymi wybuchł gwałtowny spór. Jedni chcieli siedzieć za murami stoczni do skutku, czekając na korzystne dla siebie decyzje zarządu prowincji i właściciela stoczni, inni jednak – nie udało się ustalić, kto podsunął im tę myśl – postanowili wyjść na ulice Gdańska, by wywrzeć silniejszy nacisk na władze i samego Schichaua. Gdy czoło pochodu wyszło przed bramę stoczni, husarzy Mackensena, których ustawiono na Hansaplatz, by nie dopuścić do ulicznych zamieszek, otworzyli ogień, zabijając kilkunastu robotników. Nie osłabiło to jednak wcale determinacji tłumu. Zakrwawione ciało jednego z zabitych ułożono na drzwiach wyjętych z futryny i poniesiono ulicą obok dworca. Rzeka ludzi ruszyła w stronę gmachu Prokuratorii, przekonana, że pro-

kurator Hammels celowo wprowadził ich w błąd, więc musi ponieść karę.

Asystent, który przerwał niedobrymi wiadomościami rozmowę prokuratora Hammelsa z panem van den Haas, doradzał, by obaj panowie opuścili natychmiast budynek Prokuratorii, co też uczyniono niezwłocznie. Gdy konwój samochodów z prokuratorem Hammelsem w drugim wozie przez Schidlitz, Zigankenberga i Jäschkentalerweg dotarł do willi pod Lasem Gutenberga, przed gmachem Prokuratorii doszło do ulicznych starć. Zaczęło się od tego, że ludzie stojący na czele strajku, którzy weszli do sal na parterze budynku, żądając spotkania z prokuratorem Hammelsem, zostali – co rozwścieczyło demonstrantów zgromadzonych na ulicy – natychmiast aresztowani przez funkcjonariuszy w cywilu z Karrenwall, którzy na polecenie komendanta Eberhorna przejęli władzę nad gmachem, uniemożliwiając wykonywanie obowiązków służbowych funkcjonariuszom ochrony podlegającym władzy prokuratora Hammelsa. Poleciały kamienie w okna. Ktoś nawet rzucił butelką z benzyną. W obliczu tych wydarzeń do akcji wkroczyły oddziały policji z koszar na Bischofsbergu pod osobistym dowództwem Eberhorna, zabijając czterdziestu ośmiu robotników. Po walkach w pobliżu gmachu Prokuratorii, które stłumiono dość szybko, kilkuset robotników stoczniowych trafiło do więzienia przy Kriminal Gericht, gdzie ludzie komendanta Eberhorna, oficerowie policji z komendy na Okopowej, uzbrojeni w pałki, urządzili im „szpalery”, przepędzając więziennym korytarzem aresztowanych z biciem po głowie, ramionach i plecach. Koło południa w śródmieściu zapanował znów spokój, robotnicy wrócili do pracy na pochylniach, a służby porządkowe wzięły się do zmiatania potłuczonego szkła i zmywania krwi z brukowanej jezdni przed gmachem Prokuratorii.

„I co pani na to?” – syn prokuratora Hammelsa przyglądał jej się z mieszaniną ciekawości i lekceważenia. „To dobrze, że w mieście przywrócono spokój” – powiedziała, cho-

ciaż wszystko się w niej gotowało z oburzenia i wstydu. „A ja – założył nogę na nogę, gestem najpewniej podpatrzonym u ojca – uważam, że ojciec się pomylił”. „Pomylił się?”. „Tak, pomylił się. Wie pani, co powinien zrobić?”. „Uważasz, że powinien wydać rozkaz strzelania do robotników zamiast wdawać się w jakieś rozmowy?”. „Panno Ferbelin – pokiwał głową wyrozumiale, trochę zniecierpliwiony tym, że musi jej wszystko tłumaczyć jak dziecku – czy pani ma mnie za głupca?”. „Więc co twoim zdaniem powinien zrobić?”. Uniósł podbródek, jakby szykował się do wygłoszenia jakiegoś ważnego oświadczenia. – „Należało prowadzić rozmowy z komitetem strajkowym, a równocześnie aresztować całe rodziny jego członków”.

Kiedy to usłyszała, poczuła niedobry dreszcz na plecach, ale powstrzymała się od wyraźniejszej reakcji. „Aresztować rodziny, uważasz?” – powiedziała powoli, wsłuchując się w każde słowo, jakie przed chwilą zostało przez niego wypowiedziane. Tymczasem w jego oczach zabłyśły iskierki wybaczącej ironii. „Ja wiem, że panią pewnie razi takie postawienie sprawy, ale może pani być pewna, że zapobiegłoby to najgorszemu”. „To uważasz, że należałoby aresztować całe rodziny? – powtórzyła powoli, jakby chciała się upewnić, czy dobrze usłyszała. – I dzieci też?”. Uśmiechnął się wyrozumiale. „Ależ przede wszystkim dzieci. Dorośli na ich punkcie są bardzo wrażliwi. Na przykład mój ojciec” – powiedział z mieszaniną czułości, lekceważenia i dumy. „Myślisz – popatrzyła mu w oczy – że twoja matka pochwalałaby taki pomysł?”. Aż się rzucił na fotelu: „Jeśli pani jeszcze raz ośmieli się wspomnieć o mojej matce!...” – wykrzyknął, uderzając pięścią w poręcz. Potem milczał przez dłuższą chwilę, czekając, aż mu się serce uspokoi w piersiach, tak rozwścieczyło go to pytanie. „A zresztą – machnęła ręką z rezygnacją – pani i tak niczego nie rozumie”. Popatrzyła w okno: „Rozumiem więcej, niż myślisz”.

„Jak mówię, że pani niczego nie rozumie, to znaczy, że pani niczego nie rozumie!” – powiedział twardo, jakby chciał się na niej za coś zemścić. Zniosła to ze spokojem, chociaż w sercu kłębiły się gwałtowne uczucia. „Tak, panno Ferbelin – pokiwał głową – nauczycielko geografii i francuskiego, ojciec się pomylił, bo należało od razu aresztować całe rodziny ludzi stojących na czele strajku”. „Prawo na to nie pozwala”. „Ach, co mi tu pani opowiada o prawie. Przecież nie mam na myśli żadnego formalnego aresztowania. Po prostu jacyś nieznani cywile weszliby do mieszkań tych zbuntowanych robotników i wywieźli całe ich rodziny w jakieś ustronne miejsce”. „Przecież to by tylko rozjuszyło całą stocznnię” – stwierdziła zimno. „Tak pani myśli? Bo ja myślę, że przeciwnie. I wie pani, co ojciec powinien jeszcze zrobić? Powinien natychmiast po tym wszystkim ogłosić w gazetach rozkaz ścigania nieznanymi sprawców, którzy ośmielili się podnieść rękę na rodziny strajkujących, a nawet wyznaczyć nagrodę dla tych, którzy przyczynią się do ich schwytania. Miasto powinno wiedzieć, że władza strzeże bezpieczeństwa wszystkich obywateli”. „A oni, ci nieznani sprawcy, co mieliby robić z tymi rodzinami?”. „Oni? – zdziwił się jej naiwnością. – Ależ oni nic by z nimi nie robili, tylko trzymaliby je pod kluczem”. „A jak długo mieliby ich trzymać?”. Na to pytanie aż mu się oczy zaświeciły. „O, długo, bardzo długo, tak żeby ci ludzie z komitetu strajkowego boleśnie odczuli ich brak. Żeby im się po nocach śniły te ich dzieci, które gdzieś zniknęły, jakby je jakiś straszny demon porwał do Hadesu. Żeby oni mocno, bardzo mocno, odczuli, co to znaczy kogoś stracić”.

Nagle zobaczyła, że oczy zachodzą mu łzami, ale od razu sięgnął po chusteczkę, odetchnął głębiej i znowu był taki, jak przed chwilą, chłodny i uważny. „Bo widzi pani – kontynuował pouczającym tonem – chodzi o to, by wszyscy robotnicy ze stoczni pana Schichaua mieli świadomość, że ich samych

nikt nie zamierza aresztować, bo i po co, ale ich rodziny mogą w każdej chwili zniknąć bez śladu, może nawet na zawsze”.

A swoją drogą – skrzywił się – ten Eberhorn to idiota. On robi wszystko, by zaszkodzić mojemu ojcu, no, ale zabijając ludzi na ulicy i urządzić bicie robotników na korytarzu więziennym przez oficerów policji to już dowód kompletnej głupoty. To jest jednak człowiek o mentalności rzeźnika”. „Ale myślisz – przyglądała mu się uważnie – że on może ojcu zaszkodzić?”. Tylko prychnął wargami: „Panno Ferbelin, mojemu ojcu nikt nie jest w stanie zaszkodzić. Tylko czasami – zamyślił się – ojciec mógłby bardziej słuchać moich rad”. „A nie słucha?”. „Nie w stopniu wystarczającym. Ale kiedy będę prokuratorem prowincji, będę korzystał z jego doświadczeń”. „Już i tak wiele umiesz” – powiedziała kwaśno. „A pani znowu swoje – wzruszył ramionami. – Za bardzo się pani kieruje babskimi sentymentami”. „Sentymenty nie są niczym złym”. „O, na pewno. Tylko jestem bardzo ciekaw – wyprostował się, jakby właśnie zasiadł na sędziowskim tronie – jakby się pani zachowała dalej na miejscu mojego ojca. No, niech pani powie, co by pani na jego miejscu zrobiła?”. „Próbowałabym rozmawiać”. „Tak? A o czym?”. „Próbowałabym dojść do jakiegoś porozumienia z robotnikami”. „Porozumienia? Jakiego? Przecież, droga panno Ferbelin, czy pani wie, co by się stało, gdyby stocznia z ośmiogodzinnego dnia pracy przeszła na pięciogodzinny? Właśnie do tego nie można dopuścić, bo stocznia by po prostu zbankrutowała, czego ta banda głupich robociarzy nie jest w stanie zrozumieć. Przecież oni po prostu straciliby pracę, która ich teraz podobno tak męczy. Więc o jakim porozumieniu pani w ogóle mówi?”. Spojrzał na nią tak, jakby miał już na sobie mundur wyższego urzędnika Prokuraturii z mosiężnymi guzikami i srebrną lamówką na kołnierzu, który chciał nosić w przyszłości. Sięgnął do pudełka z landrynkami, które stało na parapecie, wyjął bursztynowy cukierek, ale odłożył go z powrotem. Wytarł lepkie palce chusteczką.

„Wszyscy ludzie są leniwi, dlatego chcą pracować jak najmniej i dostawać jak najwięcej pieniędzy – mruknął pogardliwie. – Dlatego ojciec musi czuwać, żeby to wszystko się nie zawaliło”. Dłuższą chwilę patrzył przez okno na żołnierzy, którzy teraz zaczęli się powoli wycofywać z brzoźowego lasku po drugiej stronie żelaznego ogrodzenia willi, zdejmując karabin maszynowy ze statywu i przenosząc na wozy skrzynki z amunicją. „Widzi pani – kiwnął głową w ich stronę – już po wszystkim. Zwijają się do koszar. A teraz – dał jej do zrozumienia, że już go zmęczyła rozmowa – a teraz pani stąd wyjdzie! No, już!”.

Wstała. Miała już tego dosyć. „Jeśli jeszcze raz tak się zachowasz wobec mnie, przestanę być twoja nauczycielką”. „Też coś! – szydził. – Ty panno nie wiadomo kto, żadną moją nauczycielką być nie przestaniesz. Za bardzo podoba ci się pensja, którą wypłaca ci mój ojciec. A poza tym teraz, kiedy u nas jesteś, na byle przyjęciu możesz z pychą powiedzieć do swoich przyjaciółek: «Pracuję u prokuratora Hammelsa», a wszyscy od razu zielenieją z zazdrości, nawet jeśli mojego ojca nienawidzą. I ty jeszcze ośmielasz się przeciwko mnie mówić różne głupstwa mojemu ojcu, że ja do ciebie powiedziałem to czy tamto... No, idź – wyciągnął rękę w stronę drzwi – idź i poskarż się na mnie mojemu ojcu!”.

Zachłysnął się płaczem, ale ona – dotknięta do żywego – nie podeszła do niego, by go uspokoić. Wychodząc na korytarz, trzasnęła drzwiami i zbiegła po schodach na parter. Przez chwilę pomyślała, że powinna o tym wszystkim powiedzieć prokuratorowi Hammelsowi, bo miarka się przebrała, ale po chwili zdała sobie sprawę, że nie miałoby to żadnego sensu, bo w głosie syna parę razy wyraźnie usłyszała niedobre echo głosu ojca, a poza tym wiedziała, że byłby to duży błąd, gdyby teraz zdecydowała się porzucić to miejsce, gdzie zbiegały się nici tak wielu ważnych spraw, w które bez żadnej własnej woli została wplątana.

Aresztowanie w ogrodzie

W stoczni panował spokój, ale był to spokój pozorny. Stalowy kadłub „Radhorsta” wyrastał coraz wyżej nadbudówkami ponad rusztowania otaczające pochylnię, ludzie, którzy stali na czele strajku, siedzieli w celach więzienia przy Neugarten, ale wiadomo było, że w ukryciu, wciąż nierozpoznany przez policję, działa drugi komitet, tajny, który w każdej chwili – władze stoczni nie miały złudzeń – może dać o sobie znać bardziej zdecydowanym działaniem. Na murach hal i warsztatów ciągle rozlepiano kartki z czerwonym napisem „Braterstwo”. Ktoś rozrzucał pachnące świeżą farbą drukarską ulotki w tramwajach. Stocznia znów mogła stanąć, co niepokoiło rodzinę Schichau i wyższych urzędników Kriegsmarine, którzy ze swoich gabinetów w stolicy cesarstwa śledzili z niepokojem rozwój zdarzeń, obawiając się o losy kontraktów na budowę ważnego okrętu. Pod koniec tygodnia Kościół gdański w osobie arcybiskupa Gertza na prośbę prokuratora Hammelsa zwrócił się do wszystkich zwaśnionych stron z propozycją spotkania, by doprowadzić do możliwie szybkiego zakończenia sporów. Sekretarz arcybiskupa gdańskiego, kanonik Arno Dąbrowski, zaproponował, by do spotkania doszło na terenie neutralnym. Uczestnicy rozmów mieli spotkać się

w Pałacu Opatów, siedzibie arcybiskupa w oliwskim parku, bo – jak mówił prokurator Hamnels na naradzie wyższych oficerów wojska i policji – choć mieszkańców miasta dzielą różnice, nie wolno nam zapominać, że istnieje jeszcze coś takiego jak dobro wspólne, o które powinniśmy zabiegać. Parę dni później, dzięki osobistym staraniom księdza Weimanna, cieszącego się – jak mówiono – zaufaniem robotników, z kurią biskupią skontaktowali się ludzie z tajnego komitetu strajkowego, którzy rozmowy zamierzali wykorzystać do przypomnienia żądań, a także do postawienia na nowo sprawy uwolnienia swoich towarzyszy, których wciąż trzymano w więzieniu przy Neugarten. Arcybiskup Gertz na prośbę prokuratora Hamnellsa nalegał jednak, by w rozmowach wziął także udział człowiek, który – jak podkreślano – odegrał istotną rolę w niedawnych wydarzeniach na terenie stoczni, chociaż nie brał w nich bezpośredniego udziału, a że znaczna część mieszkańców Gdańska szanuje go i ceni, jako „Nauczyciela z Neustadt”, jego obecność w Pałacu Opatów z pewnością dodałaby rozmowom znaczenia.

Gdy Maria przeczytała o tym wszystkim na pierwszej stronie „Danziger Beobachter”, od razu pojechała na Dolne Miasto, tak wzburzyły ją te wiadomości. „Nie waź się tam iść!” – powiedziała do Mistrza, który już wiedział o propozycjach arcybiskupa Gertza i przygotowaniach do rozmów, które trwały od jakiegoś czasu. Uczniowie nie mieli jednego zdania w tej sprawie. Peter uważał, że mimo niepewności co do zamiarów prokuratora prowincji należy wziąć udział w rozmowach, by w ten sposób zaznaczyć swoją obecność w tak ważnym dla miasta momencie, co mogło mieć znaczenie dla przyszłości. Matthias wahał się, ale nie protestował stanowczo. Tylko Johann głośno wyraził swój sprzeciw, twierdząc, że pułapka jest tak jawna, że tylko szaleniectwo udawałoby, że jej nie widzi. Chcą wywabić Nauczyciela z ukrycia, by dopełnić zemsty za to, co niedawno stało się w mieście. Sam Nauczy-

ciel nie mówił nic. We czwartek o świcie oddalił się, by wszystko rozważyć w spokoju, chociaż Maria chciała być przy nim przez cały czas. Gdy powrócił do miasta o zmierzchu, na wieczery w opuszczonej kaplicy menonitów nad Kanałem Raduni powiedział, że mimo obaw postanowił udać się do Pałacu Opatów, nawet gdyby miało go to wiele kosztować, bo otrzymał znak, na który czekał od dawna.

Oto gdy szedł brzegiem plaży na Wyspie Sobieszewskiej, biały ptak usiadł mu na ramieniu, a potem, wbrew wiatrowi wiejącemu z zachodu, odleciał w stronę Gdańska, jakby wskazywał drogę, choć wszystkie inne ptaki leciały z wiatrem, w stronę mierzei, na wschód. Część uczniów starała się go odwieść od pochopnego – jak mówili – zamiaru, ale pozostał przy swoim. Maria zaklinała go, by nie wychodził z ukrycia, bo podstęp jest tak wyraźny, że widzi go nawet dziecko, ale pogładził ją tylko po włosach. Gotowa była zatrzymać go siłą, ale ogarnęła ją rozpacz, bo wyglądało na to, że wszystkie najgorsze sny się sprawdzają. Gdy Mistrz powiedział o swojej decyzji, przystąpił do niego Peter mówiąc, że w takim razie oni, jego uczniowie, pójdą z nim. „Wasza obecność nie jest konieczna – odpowiedział na to Nauczyciel. – Pójdę sam”. Ale oni nie ustąpili i w dniu, który był wyznaczony, pojechali razem z nim do klasztoru w Oliwie.

Dzień już pociemniał, wielka chmura, zwiastująca noc nasuwała się nad miasto od zachodu, gasząc ostatnią czerwień słońca nad wzgórzem Karlsberg, gdy Nauczyciel i uczniowie weszli do parku przez bramę koło szpitala św. Łazarza. Godzina była późna, w parkowych alejach nie widać było już ludzi. Szli pod koronami strzyżonych drzew wzdłuż długiego stawu, rozglądając się niespokojnie, ale w parku panował spokój tak wielki, że słychać było szelest grabowych liści, którymi kołysał wiatr, wiejący chwilami od strony morenowych wzgórz. Tylko Johann nie przestawał nerwowo nasłuchiwać. Od strony kaplicy świętego Jakuba

dobiegł dźwięk wieczornego dzwonu, bo zbliżała się pora modlitwy. Szum ludzkich głosów ucichł na ulicach. Miasto szykowało się do snu. Zapalały się światła w oknach domów. Mistrz szedł przodem, za nim Johann, Markus, Peter, Matthias, Boromeus. Gdy minęli palmiarnię i doszli do miejsca, gdzie dwa stawy łączą się szumiącą kaskadą, skąd było już widać jasne okna Pałacu Opatów, prześwitujące przez gałęzie drzew, z obu stron otoczyli ich cywile z bronią, którzy wynurzyli się z zarośli przy wodospadzie, świecąc latarkami. Dowodził nimi człowiek o wyglądzie oficera, ubrany w garnitur i czarny kapelusz.

Maria była w parku pół godziny przed nimi, więc kiedy ich zobaczyła przy bramie, w odległości kilkudziesięciu kroków poszła za nimi, kryjąc się za drzewami. Zatrzymała się po drugiej stronie stawu, przy zaroślach bzu i zza liści widziała wszystko. Kiedy uczniowie zostali otoczeni, Peter wyjął z kieszeni broń i uniósł ją ku twarzy mężczyzny o wyglądzie oficera, na co Mistrz powiedział: „Schowaj. To nie ma sensu”. Po krótkiej szamotaninie uczniowie rozbiegli się, znikając w ciemnościach. Nikt ich zresztą nie ścigał, bo ludzie, którymi kierował mężczyzna o wyglądzie oficera, mieli ważniejszą sprawę do załatwienia. Chodziło o Mistrza. „To na pewno on? – zapytał mężczyzna, kiedy aresztowanego skuto kajdankami. – „Tak, to on – odpowiedział jakiś blondyn w skórzanej kurtce, oświetlając twarz Mistrza latarką. – Widziałem go na bastionie św. Gertrudy”. Sprawdzili, czy kajdanki dobrze trzymają się na rękach Mistrza, wyprowadzili go z parku, wsadzili do samochodu, który czekał przed główną bramą, po czym szybko odjechali.

Maria została w parku sama. Nigdy jeszcze nie czuła tak wielkiego przerażenia.

Ale samochód z Mistrzem nie pojechał do miasta. Skrzył za bramą parku w prawo, w stronę Starego Rynku, objechał dzielnicę od strony Domu Zarazy i po paru minutach

zatrzymał się na dziedzińcu przed gotyckim gmachem gdańskiej kurii, gdzie mieściła się siedziba arcybiskupa Gertza. Było już ciemno, poszarpane chmury płynęły z zachodu, na czarnym niebie nie świeciła żadna gwiazda. Gmach Katedry, wznoszący się po drugiej stronie placu, zdawał się zapadać w głębię mroku niczym tonący w morzu kadłub krążownika. Nauczyciela z Neustadt wyprowadzono z auta i po przejściu przez gotycki korytarz, postawiono przed obliczem arcybiskupa Gertza w dość ciemnej sali refektarza, której sufit ozdabiały krwawo-złote malowidła van den Blocka, przedstawiające *Sąd Ostateczny*, na których roilo się od aniołów, szatanów i purpurowych ogni piekielnych. Kryształowy żyrandol, odbijający się w mętym lustrze, zawieszonym na ścianie, dawał niewiele blasku. Arcybiskup Gertz nie krył oburzenia, że policja – był przekonany, że ma do czynienia z policjantami z komendy przy Karrenwall w cywilu – nadużyła jego zaufania, wykorzystując jego osobę do zastawienia pułapki, co – jak powiedział wzburzony – naruszało nie tylko jego osobistą godność, lecz i godność samego urzędu. Zgodnie z umową, za której dotrzymanie władze ręczyły, rozmowy między zwaśnionymi stronami miały pełną gwarancję bezpieczeństwa, tymczasem, jak widać – potrząsnął dłonią z pierścieniem – nie dotrzymano przyrzeczeń, za co ktoś musi ponieść karę. „Złożę u przełożonych doniesienie na pana – powiedział do mężczyzny wyglądającego na oficera. – To złamanie umowy”. „Być może – odpowiedział zimno mężczyzna, który nie zdjął nawet kapelusza – ale teraz zmieniono rozkazy. Człowiek, który stoi przed waszą ekscelencją – wskazał na Mistrza – oskarżony jest o publiczne bluźnierstwo oraz obrazę uczuć religijnych. Złamał prawo, bo bluźnierstwo i obraza uczuć religijnych są przestępstwem w rozumieniu obowiązującego prawa. Ponieważ jednak sędzia świecki może mieć kłopoty z ustaleniem rozmiarów zbrodni, dlatego ośmieliliśmy się niepokoić waszą ekscelencję prośbą

o wydanie werdyktu w tej sprawie. Prosiłbym zatem o wyraźne stwierdzenie, czy wypowiedzi zatrzymanego noszą znamiona bluźnierstwa i publicznej obrazy uczuć religijnych. Prawo świeckie jest w tej materii pełne wahań, bo definicje bluźnierstwa nie są, niestety, specjalnością urzędników sądowych. Zwracam się zatem oficjalnie do waszej ekscelencji w imieniu zarządcy prowincji, prokuratora Hammelsa, który prowadzi śledztwo w tej sprawie, o wydanie wiążącej opinii, dzięki której władza świecka mogłaby uniknąć niepotrzebnych, a brzemiennych w skutki błędów”. Podał biskupowi stosowne pismo, ozdobione pieczęciami paru urzędów, co arcybiskupa Gertza wprowadziło w niemiłe zdziwienie, bo wyglądało na to, że treść dokumentu została starannie przygotowana już dużo wcześniej. „Chodzi zatem – kontynuował mężczyzna – o wyraźne stwierdzenie, czy zdaniem księdza arcybiskupa, który jest głową Kościoła gdańskiego, a na dodatek – jak wiadomo – cenionym doktorem prawa kanonicznego, mamy w przypadku tego tu oto człowieka do czynienia z rażącym bluźnierstwem i publiczną obrazą uczuć religijnych. Ten człowiek w obecności wielu osób oświadczył, że zburzy Katedrę oliwską i w trzy dni ją odbuduje. Czy, zdaniem księdza arcybiskupa, słowa te noszą znamiona bluźnierstwa i obrazy uczuć religijnych?”.

Dopiero teraz arcybiskup spojrział na Nauczyciela z Neustadt, który stał z opuszczoną głową trzy kroki przed nim. „Czy to ty powiedziałeś, że zburzysz Katedrę i w trzy dni odbudujesz?”. Arcybiskup Gertz słyszał wiele razy o „niepokojących wypowiedziach” człowieka z Neustadt, które napały go troską, teraz mógł się przekonać osobiście, czy to, co mówiono, było prawdą. Ale Nauczyciel z Neustadt nic na to nie odpowiedział, tylko uniósł przed siebie obie dłonie, pokazując przeguby skute kajdankami. Arcybiskup Gertz trochę się zirytował tym gestem, ale nie było pewne, czy dlatego, że aresztowany pokazał mu kajdanki na swoich

przegubach, czy raczej dlatego, że nie odpowiadał na jego pytania. „Zawołajcie sekretarza – zwrócił się do towarzyszących mu księży. – Trzeba spisać przebieg rozmowy”. Gdy rozłożono papiery na biurku, powtórzył pytanie, po czym rzucił do sekretarza: „Proszę zapisać: pytany nie udziela odpowiedzi”. Potem obrócił się w stronę Nauczyciela z Neustadt. „Jak się naprawdę nazywasz?”. Nauczyciel z Neustadt wstrząśnięciem głowy odrzucił włosy z czoła. „Przyjechałem z Nadrenii”. „Czy to prawda, co mówią ludzie, że słyszysz, jak mówi do ciebie Bóg?”. „Czasem słyszę głos, który mówi mi, co powinienem robić. Ale nie wiem, czyj to głos”. „Katedrę jednak chciałeś zburzyć. Powiedziałeś to głośno w obecności wielu ludzi”. „Może powiedziałem, ale nie należy tego rozumieć dosłownie. To przenośnia. Oznacza tylko tyle, że Kościół wymaga naprawy”. „Więc uważasz, że księży zniekształcają naukę Jezusa?”. „Kościół już dawno przestał być Kościołem. To wielkie przedsięwzięcie, które obraca dużymi pieniędzmi. Hańbą jest biskup, który nosi na piersiach krzyż ze złota, jeśli w jego diecezji jest choćby jedno niedożywione dziecko”. Tego już było za wiele, bo właśnie na piersi arcybiskupa Gertza kołysał się krzyż ze złota. „To chcesz, żeby pracownicy winnicy pańskiej żyli jak nędzarze? Przecież wtedy wielu wiernych odwróciłoby się od Kościoła. Ludzie kochają swoich pasterzy, więc wspierają ich swymi datkami. To dowód zaufania i miłości”. „Chrystus chodził boso po ziemi izraelskiej”. „No, pewnie, że chodził – arcybiskup Gertz wzruszył ramionami – bo tam jest inny klimat. A ty chcesz, żeby biskupi u nas też chodzili boso po ulicach? Przecież to szaleństwo. Nikt już nie chodzi boso. Te czasy minęły”. „Chrystus nie miał przy sobie grosza”. „Pewnie, że nie miał, ale apostołowie mieli skarbnika, tak jak ja mam diecezjalnego kanclerza”. „Kościół nie stoi po stronie biednych”. „Kościół jest powszechny i stoi po stronie wszystkich”. „To są wykręty”. „A to są obelgi, które naruszają pra-

wo. Kościół stoi po stronie biednych i bogatych. Jest matką wszystkich ludzi”. „Kościół już dawno przestał być matką wszystkich ludzi. Stoi na straży niesprawiedliwego świata”. „Kościół mówi tylko: nie wolno zmieniać świata niegodnymi metodami. Nie zakazuje jego ulepszania”. „Kościół wiele razy odwoływał się do przemocy, by zmienić świat zgodnie ze swoimi życzeniami. A teraz stoi po stronie tych, którzy aresztowali mnie. I aresztują całą resztę”. „Kościół gdański nie ma z tymi aresztowaniami nic wspólnego. Złożę oficjalny protest na ręce najwyższych władz”. „I co z tego? Wy będziecie składać oficjalny protest, a oni będą siedzieć”.

„Dosyć – przerwał tę wymianę zdań nieco już zniecierpliwiony mężczyzna o wyglądzie oficera. – Nie jesteśmy tutaj po to, by toczyć jakieś dysputy. Czy wasza ekscelencja gotowy jest przyznać, że publiczne wypowiedzi tego oto człowieka noszą znamiona przestępstwa i godzą w religię?” Arcybiskup zawahał się, ale mężczyzna podał mu gotowy tekst oświadczenia, w którym stwierdzano, że aresztowany dopuścił się zarzucanych mu czynów, które w świetle nauki Kościoła noszą wyraźne znamiona bluźnierstwa i obrazy uczuć religijnych, a zatem godzą w prawo obowiązujące w cesarstwie. Pod tekstem było wykropkowane miejsce na podpis. Mężczyzna wyjął wieczne pióro z kieszonki marynarki, odkręcił nakrętkę, spojrzał pod światło na złotą stalówkę, upewniając się, czy nie ma na niej jakiegoś włoska, strząsnął na bibułę kroplę atramentu i podał pióro arcybiskupowi Gertzowi. „Sprawa wydaje się chyba prosta – podsumował rozmowę, którą uważał za skończoną. – Albo mamy do czynienia z bluźnierstwem, albo nie. Trzecia możliwość nie istnieje. Jeśli wasza ekscelencja uważa, że w zdaniu „zburzę Katedrę oliwską” nie ma niczego złego, proszę to wyraźnie napisać, a potem ogłosić z ambony, kiedy wasza ekscelencja przed głównym ołtarzem w Marienkirche będzie odprawiać uroczystą mszę w intencji ofiar niedawnego zbrodniczego zama-

chu na dworcu gdańskim. Oto pióro”. Arcybiskup wziął do ręki kartkę i długo wodził oczami po linijkach tekstu. „Niewątpliwie zdanie, o którym mowa, o ile rzeczywiście zostało wypowiedziane świadomie...” – powiedział cichym głosem, pochylił się nad kartką, uniósł pióro, potem rzucił okiem na Nauczyciela z Neustadt, który stał trzy kroki przed nim w kajdankach na przegubach, znowu pochylił się nad kartką, wygładził papier dłonią, przeczytał tekst raz jeszcze, odsunął kartkę od siebie, otarł chustką czoło, schował chustkę do kieszeni, przysunął kartkę do siebie, po czym powoli z wielką ostrożnością, by nie kapnąć atramentem na urzędowy papier, złożył swój podpis w stosownym miejscu, zakręcił pióro i odłożył na biurko. Mężczyzna, nie wdając się w żadne podziękowania, szybko wziął ze stołu podpisane pismo, złożył je we czworo, schował do wewnętrznej kieszeni marynarki, dość uprzejmie skłonił na pożegnanie głowę, kiwnął na swoich towarzyszy w cywilu, by wyprowadzili aresztowanego z pokoju. Wyszli szybko przed budynek kurii, popychając przed sobą Mistrza, wsadzili go do czarnego daimlera i odjechali. Arcybiskup Gertz podszedł do okna, odsunął firankę i patrzył za nimi, aż zniknęli za kasztanowcami, które zasłaniały zakręt Klosterstrasse. Maria, która stała po drugiej stronie ulicy, przez chwilę widziała za szybą jego poważną, zasmuconą twarz.

Dopiero po dłuższym czasie uświadomiła sobie, że mężczyzna o wyglądzie oficera, którego ujrzała w parku, tam, gdzie dwa stawy łączą się kaskadą, był podobny do Haberstadta. Ten sam rysunek głowy, gesty, figura, ta sama stanowczość w ruchach, którą kiedyś dostrzegła u człowieka wychodzącego z willi prokuratora Hammelsa po pamiętnej rozmowie w mahoniowym gabinecie, ale czy to był rzeczywiście Haberstadt, nie dowiedziała się nigdy.

Biczowanie

Parę dni później odezwał się do niej asystent Werden, co wcale jej nie ucieszyło, ale wiedziała, że bliższa znajomość z pracownikiem Prokuraturii, choćby tylko średniego szczebla, mogła mieć znaczenie dla przyszłych zatrudnień ojca, które wciąż, niestety, były raczej niepewne, więc przyjęła jego uprzejme zaproszenie. Poza tym liczyła, że Werden może wie coś bliższego o sprawie Mistrza. W kawiarni Astrea na Długim Pobrzeżu spotkali się o siódmej. Pogodny i rozluźniony, nie dotykał tylko jednej sprawy: jak się jej pracuje w willi prokuratora Hammelsa, jakby go ostrzeżono, że od tego tematu powinien się trzymać z daleka. Pod koniec rozmowy, gdy za szybami kawiarni zaczęły zapalać się uliczne latarnie, złożył jej dość niejasną propozycję, o której nie wiedziała, co myśleć, by zechciała mu towarzyszyć na jakimś uroczystym spotkaniu czy – jak to ujął – czymś w rodzaju spotkania, które miało się odbyć za jakiś czas w gmachu Prokuraturii, gdzie – o czym wspomniał mimochodem – można się było spodziewać obecności paru ważniejszych osób. Nie określił jednak bliżej ani charakteru spotkania, ani nie wymienił nazwisk osób, które miałyby się na nim pojawić, zasłaniając się dość lekkomyślnym słowem „niespodzian-

ka”. Obiecywał też, co dodał z dość dziwnym wyrazem twarzy, moc „niezapomnianych wrażeń”. „Koniecznie musi to pani zobaczyć” – mówił, stwarzając wrażenie, że dopuszcza ją do jakichś ważnych tajemnic, do których dostęp mają tylko nieliczni, co przyjęła pobłaźliwie jako kolejny dowód jego nieudolności w zalotach. „Jak mam być ubrana?” – zapytała, żeby podtrzymać rozmowę. „Raczej skromnie. Na ciemno”.

Możliwość zbliżenia się do gmachu Prokuratorii poza godzinami urzędowania, gdzie mogła poznać paru ważnych ludzi, którzy – jak się domyśliła – mieli zjawić się tam z jakiegoś nieznanego powodu wieczorem, uznała za szansę na dowiedzenie się czegoś więcej o Nauczycielu z Neustadt, o którego losach nie miała żadnych pewnych wiadomości. Widziała zza drzew zatrzymanie w oliwskim parku, ale nie wiedziała, co stało się później. Teraz pomyślała, że rozmawiając z ludźmi, którzy mają się zjawić w gmachu Prokuratorii, może dowie się czegoś więcej, dlatego zaproszenie ostatecznie przyjęła.

W piątek koło ósmej, tak jak było umówione, asystent Werden czekał na nią przy Krestmarkt, obok willi Amerśów, pod drzewami, na postoju dorożek, skąd nie było już daleko do gmachu Prokuratorii. Gdy zjawiła się w skromnej, lecz eleganckiej sukni z czarnego jedwabiu, w kapeluszu z woalką i naszyjniku z pereł, nie krył swojego zachwytu. Kiedy zajechali przed Prokuratorię, spostrzegła, że na brukowanym podjeździe przed kamiennymi schodami gmachu z cesarskim orłem na fasadach stało już wiele powozów i samochodów. Świeżo umyte karoserie lśniły w świetle latarni. Godzina była wieczorna, szybko się ściemniało, od strony bastionu św. Gertrudy nad miasto nadciągała noc, chmury szły od strony morza, panował chłód, więc narzuciła na ramiona szal haftowany srebrną nicią. Na placu przed Prokuratorią ciemno ubrani ludzie, których widziała wokół siebie,

wysiadali z samochodów, starając się nie trząskać drzwiami, szli w ciszy małymi grupkami w stronę wejścia do budynku. Po obu stronach szeroko otwartych jasno oświetlonych drzwi stali portierzy w uniformach z mosiężnymi guzikami. Ponury gmach urzędu, do którego tyle razy chodziła w sprawach ojca, w ciemnościach nocy wyglądał niemal jak oświetlony kryształowymi kandelabrami westybul dobrego hotelu, brakowało tylko palm w drewnianych donicach i czerwonego dywanu na schodach, choć ubrania przybywających – nie mogła się oprzeć zdziwieniu – miały w sobie coś żalobnego. W strojach pań dominował czarny aksamit, ciemny jedwab, koronki, perły i srebro. Nigdzie nie dostrzegła szkarłatnych, złotych, łososiowych czy niebieskich toalet, w jakich lubiły się pokazywać damy na rautach w hotelu „Deutscher Hof”, gdzie bywał co jakiś czas prokurator Hammels. Przed wejściem nie było też głośniejszych rozmów i śmiechów. Ludzie mówili do siebie półgłosem, z ostrożną uprzejmością, jakby nie chcieli zburzyć przedwieczornej ciszy, która powoli zstępowała na miasto. Obok pań w eleganckich strojach dostrzegła sporo osób w strojach skromnych, a nawet – co ją zdumiało – pospolitych kurtkach z marnego sukna i uniformach robotniczych, jakby spotkanie, w którym niebawem miała uczestniczyć, miało połączyć w jednej sali ludzi z różnych stanów. Przy wejściu okazywano stosowne zaproszenia. Były to prostokątne, kremowe kartoniki z paroma zdaniami wydrukowanymi kursywą, bardzo podobne – odniosła takie wrażenie – do małej, starannie wydrukowanej klepsydry.

Ileokroć przechodziła do gmachu Prokuratorii w sprawach ojca, szła zwykle po schodach na górę, pod ułożoną na ścianie mozaiką czarnego orła w koronie ze złotym napisem „Justitia” na wijącej się wstędze, teraz jednak goście, do których dołączyła, skręcali w prawo niskim korytarzem, po czym ze schyloną głową, przez niewielkie, żelazne drzwi wchodzili do sklepionej, przestronnej sali, w której dotąd

nigdy nie była, a która wyglądała jak sala starego urzędu pocztowego. W półmroku, pod światłami lampek naftowych, przy długich stołach siedzieli tutaj wychudli urzędnicy, którzy mechanicznymi uderzeniami pieczęci stemplowali setki podań, listów i kwestionariuszy, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że tuż obok nich, głównym przejściem między stolami, płynie lśniąca rzeka gości w uroczystych frakach, surdutach, robotniczych kurtkach, sukiennych płaszczach i kreacjach z połyskliwego jedwabiu. Kątem oka Maria dostrzegła w płynącym przez salę tłumie właściciela stoczni Schichaua, dyrektora Hebdę z żoną i córkami, dalej Gerarda Morawieckiego, dyrektora elektrowni na wyspie Bleihof, Johanna Malewitza, właściciela gdańskiej rzeźni, Kurta Widerskiego, prezesa kompanii piwnej z browaru w Langfuhr, Hertzla i Moritza, właścicieli elewatorów zbożowych przy twierdzy Weichselmünde. Było też paru ludzi z zarządu giełdy i banków, większości gości jednak nie znała. Gdy mijała pracujących przy stołach urzędników, wychudli mężczyźni stemplujący urzędowe papiery poruszali się sennie, z wysiłkiem, jak nieme ryby, krążące w mętnej wodzie za szybą akwarium.

Goście w milczeniu przeszli przez salę pocztową, potem po kamiennych schodach zeszli w dół. Maria weszła teraz do wielkiej piwnicy z półkolistym sklepieniem, szarej i mrocznej, którą rozjaśniało słabe fioletowo-niebieskie światło paru łukowych lamp w drucianych osłonach, dość wysoko przytwierdzonych do ścian. W piwnicy nie było żadnych stołów, krzeseł, ozdób. Pewnie wykorzystywano ją zwykle – tak pomyślała – jako podziemną strzelnicę dla funkcjonariuszy policji albo gwardii miejskiej, bo na jednej ze ścian widać było odpryski po uderzeniach kul i ślady po papierowych tarczach naklejanych na drewniane palety. Pod ciemnym sufitem, który podpierało kilka granitowych filarów, ciągnął się szereg okienek zasłoniętych żelaznymi płytami z zasuwą,

zamkniętych teraz na głucho. Dawało to wrażenie braku powietrza, choć w piwnicy panował rześwy chłód. Tylko przy samych drzwiach, przez które weszła, stał stół zbity z desek zarzucony jakimis̄ czarnymi, lśniącymi przedmiotami, które na pierwszy rzut oka wyglądały jak fanty na loterię. Kiedy jednak podeszła bliżej, spostrzegła, że to maski z lakierowanego na czarno papieru, podobne do takich, jakie nosi się w karnawale weneckim. Asystent Werden wybrał jedną z masek i założył ją sobie na twarz, Maria zrobiła to samo. Wkrótce wszyscy goście, którzy zapełnili podziemną salę, mieli twarze zasłonięte maskami, tak że Maria mogła tylko niektórych z nich rozpoznać po charakterystycznej gestykulacji, po chwili zaś nie była w stanie rozpoznać już nikogo. Tłum, który ją otaczał, wyglądał jak jedna osoba pomnożona przez sto. Dopiero po chwili spostrzegła, że w głębi sali, pod filarami, stanęło kilku mężczyzn w garniturach, bez masek, z dokładnie wygolonymi twarzami – jak się domyśliła – funkcjonariuszy w cywilu, którzy czuwali nad porządkiem w gmachu.

Gdy goście w czarnych maskach wypełnili salę, jeden z funkcjonariuszy wstąpił na kamienne podniesienie wznoszące się pod ścianą ze śladami papierowych tarcz, wyjął z kieszeni marynarki zmiętą kartkę, rozprostował ją dłonią, po czym zaczął czytać to, co było na niej napisane. Już po pierwszych słowach, jakie Maria usłyszała, serce zaczęło bić jej mocno, bo choć stała dość daleko od kolumn i nie wszystkie słowa rozumiała, dotarło do niej, że mężczyzna wygłasza jakieś uroczyste powitanie, kierując swoją przemowę do zebranych głosem, w którym nie było nawet cienia radości, co na raucie – nawet tak osobliwym jak wieczorny raut urzędników w piwnicach Prokuratorii – nie było zwyczajne. W pierwszej chwili wzięła go za ekstrawaganckiego wodzireja, odzianego dla żartu w pogrzebowy garnitur. „W głębokim bólu – mówił tymczasem podniesionym głosem mężczyzna stojący na podniesieniu – witam pogrążone w żalu rodziny

ofiar niedawnego zbrodniczego zamachu na dworcu w Gdańsku, które pozostaną na zawsze w naszej pamięci”. Maria mimowolnie rozejrzała się dokoła, ale otaczały ją tylko czarne, lśniące maski zasłaniające twarze, podobne do chitynowych łusek na grzbietach owadów. Martwe, zastygłe rysy nie wyrażały żadnych uczuć, tylko w skośnych otworach lśniły żywe oczy. Wyglądało to tak, jakby ktoś zatroszczył się o to, by ludzie, którzy przyszedli tutaj wspólnie przeżywać bolesną stratę bliskich i znajomych, zabitych w zamachu, mogli za lśniącą łuską ukryć swoje emocje przed cudzym wzrokiem, bo jeśli nawet po policzkach płynęły im łzy żalu i rozpacz, nikt tych bolesnych łez nie mógł zobaczyć. Mężczyzna twarzą, prostymi słowami mówił o poległych męczennikach, których śmierć i rany powinny natchnąć wszystkich do walki z wrogami porządku publicznego, by z tej krwi, która została niewinnie przelana na gdańskim dworcu, wzniósł się nad całym cesarstwem płomień oburzenia, który doprowadzi do moralnej odnowy społeczeństwa... Cesarz i władze prowincji łączą się w bólu z rozpaczą rodzin i krewnych, którzy mają prawo do elementarnej sprawiedliwości i uroczystego pogrzebu na koszt państwa, ofiary zatem zgodnie z decyzją władz najwyższych spoczną na wieki w Alei Zasłużonych na cmentarzu Silberhammer w Langfuhr, gdzie pod koniec tygodnia arcybiskup gdański Gertz odprawi uroczystą mszę z udziałem przedstawicieli rządu... Cześć ich pamięci!”.

Na sali dał się słyszeć szloch paru wzruszonych kobiet, które najpewniej straciły w zamachu męża, syna czy córkę. Jakiś człowiek w cylindrze podtrzymywał siwowłosą damę, która zachłystywała się płaczem. Gdy mężczyzna bez maski, odczytujący z kamiennego podniesienia słowa ze zmiętej kartki, zaczął wymieniać nazwiska ofiar, przy każdym nazwisku salę przeszywał jęk. Okazało się, że wśród ofiar wybuchu na dworcu był młody katolicki ksiądz z parafii św. Józefa, co wzburzyło zebranych. Żywe, obolałe ciało tłumu,

wypełniającego podziemną salę na żałobnej uroczystości w piwnicach gmachu Prokuratorii, raz jeszcze przeżywało palący ból straty.

Trwało to parę minut. Maria nie mogła się pozbierać, bo przed oczami stanęły jej znowu sceny, które widziała na dworcu parę minut po eksplozji. Dopiero po chwili zauważyła, że z bocznych drzwi w ścianie wyprowadzono okrytego więziennym kocem, wysokiego mężczyznę w czarnym worku naciągniętym na głowę, którego ręce były skute błyszczącymi kajdankami. Kiedy ściągnięto z niego koc, okazało się, że mężczyzna jest prawie nagi, tylko biodra przesłania mu przepaska z brudnego płótna. Na gołych plecach, w okolicy łopatek, szyi i nerek, widać było podbiegłe krwią ślady po uderzeniach. Funkcjonariusze skórzanymi paskami, które przypominały końską uprząż, przywiązali go do jednego z filarów tak, że brzuchem i piersiami przylegał do kamiennego słupa. Lampy w drucianych osłonach nie dawały wystarczającego światła, więc nie można było mu się lepiej przyjrzeć.

Potem gościom rozdano kije, rzemienie i różgi. Maria też dostała do ręki kij mocno okręcony rzemieniem, ale gdy spojrzała na innych, zobaczyła, że z kijami w dłoniach na coś czekają. Znowu stanęło jej przed oczami to, co zobaczyła na dworcu, kiedy opatrywała po wybuchu okaleczone ciała i co później brudną smugą powracało w snach. Domyśliła się, że mężczyzna, którego przywiązano do kamiennego słupa, jest pewnie jednym ze sprawców zamachu. Patrząc na niego, poczuła odrazę do teatru zemsty, który, jak przeczuwała, za chwilę miał się tutaj rozpocząć, ale przez moment ogarnął ją prawdziwy gniew na człowieka, który – jak mówił teraz funkcjonariusz z kamiennego podniesienia – miał na sumieniu śmierć i rany tak wielu niewinnych ludzi. Przypomniała sobie, co Haberstadt powiedział do prokuratora Hammelsa: że trzeba oskarżyć o zamach ludzi „tego człowieka z Nadrenii”, więc teraz pewnie znaleźli kogoś, kto miał odegrać taką rolę.

Dotychczas, szukając sprawców zamachu, dość chaotycznie zatrzymywano robotników stoczniowych, kolejarzy pracujących na gdańskim dworcu, dokerów z przystani przy Weichselmünde, a nawet paru studentów z Technische Hochschule, przy których znaleziono jakieś ulotki, ale czy rzeczywiście mieli oni cokolwiek wspólnego z zamachem? Człowiek przywiązany do kamiennego słupa, na którego patrzyła, mógł być zupełnie niewinny. Z punktu widzenia Haberstadta nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Walczyły w niej sprzeczne uczucia. Spostrzegła, że na kijach, które rozdano ludziom, były wypisane białą farbą jakieś cyfry. Funkcjonariusz tymczasem zaczął wyczytywać z przygotowanej listy numery – jak zrozumiała – osób wylosowanych. Ci, których numery zostały wyczytane, przeciskali się przez tłum, po czym stawali w pewnej odległości od kamiennego słupa, do którego skórzaną uprzężą był przywiązany mężczyzna. Gdy funkcjonariusz wyczytał numer widoczny na jej kiju, pomyślała, że się przesłyszała, ale asystent Werden, który ciągle jej towarzyszył, wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę kamiennej kolumny, szepcząc z dumą, jakby spełniał jakąś ważną, złożoną jej dawno temu obietnicę: „Czas najwyższy wyrównać rachunki za te straszne rzeczy, które widziała pani na dworcu”.

Wywołano dwanaście osób. Była jedną z nich. Kiedy funkcjonariusz skinął przyzwalająco dłonią, ludzie ci rzucili się w kierunku nagiego więźnia i zaczęli dźgać jego ciało kijami, jakby krótkimi, bolesnymi ciosami, chcieli rozdrażnić bezsilne zwierzę, przywiązane łańcuchem do słupa. Maria, żeby nie odstawać od reszty, też dotknęła poranionego ciała końcem kija, ale starała się to zrobić jak najostrożniej, by nie sprawić bólu, gdy jednak w miejscu, które dotknęła, wypłynęła kropla krwi, zauważyła z przerażeniem, że na końcu kija jest przytwierdzona igła. Całe szczęście, że w tym samym momencie została odsunięta łokciem przez młodą ko-

bietę z zasłoniętą twarzą, która płacząc z rozpaczy po kimś, kto zginął na dworcu, a którego imię wykrzykiwała cały czas między atakami szloch, rwała się do kamiennego słupa, gwałtownymi pchnięciami wbijając błyskającą na końcu kija igłę w plecy i ramiona spętanego więźnia, doskakując do niego, jak ptak żarłocznie wydziobujący ziarno z ziemi. Inni robili to samo, krzycząc i przeklinając. Mężczyzna przywiązany do kamiennego słupa wił się z bólu. Siwowłosa dama, podtrzymywana przez starszego pana w cylindrze, trzymała w ręku figurkę z wosku, z którą tutaj przyszła i ukośnymi pchnięciami wbijała w jej głowę cienką, zakrzywioną krawiecką igłę, mamrocząc coś szeptem.

Widząc to wszystko, ludzie wypełniający salę, ruszyli w kierunku związanego więźnia. Maria nigdy jeszcze nie widziała ludzi tak rozjątrzonych. Wszyscy oni, ukrzyżowani swoim cierpieniem po śmierci najbliższych, chcieli dosięgnąć igłami nagiego ciała, z którego spływały czerwone strumyki krwi. Rozwścieczone głosy zlały się w wyjący szum, w którym z trudem można było rozróżnić pojedyncze słowa. Ludzie rzucali najgorsze przekleństwa, wykrzykiwali imię Boże, życzyli nagiemu człowiekowi najgorszego konania, domagali się, by podle zdechł na szubienicy. Jeden z mężczyzn – krępy, kudłaty, o wyglądzie marynarza z Kriegsmarine – wyciągnął nawet spod kurtki szeroki rzeźnicki nóż o wypolerowanym ostrzu, uniósł rękę, by wbić go w plecy więźnia, ale funkcjonariusze z ochrony zdążyli go odciągnąć od kamiennej kolumny i wyłuskać z palców ostre narzędzie. Inni swoimi ciałami odgradzili więźnia od napierającego tłumu, który – gdyby nie ta żywa zaporą – zakłułby i zdeptał go na śmierć. Ale najbardziej zaskoczyły Marię wściekle, szydercze okrzyki, które przebijały się przez gwar: „Pracować ci się nie chce, łajdaku, to zdychaj za pięciodziesięciodziennej pracy i podjudzanie ludzi do nieszczęścia!”. To krzyczeli mężczyźni w cylindrach, wygrażając więźniowi okutymi laskami z mosiężną gałką.

Funkcjonariusz, który odczytał to, co miał wypisane na zmiętej kartce, wezwał na pomoc resztę funkcjonariuszy, by nie dopuścić do samosądu, bo – jak ogłosił donośnym głosem – więzień musi osobiście odpowiedzieć za swoje zbrodnie przez sądem cesarskim, którego posiedzenie rozpocznie się niebawem. Przez jakiś czas trwało odpychanie napierającego tłumu od kamiennej kolumny. Potem człowiek z ochrony zaczął czytać listę zarzutów wobec więźnia, którego oskarżano o kierowanie organizacją przestępczą siejącą terror i podjudzanie do zbrodniczego zamachu na gdańskim dworcu. W czasie odczytywania listy zarzutów więźnia odwiązano od kamiennego słupa i okrwawionego wprowadzono na kamienne podniesienie, tak, żeby mogli go zobaczyć wszyscy. Mężczyzna z twarzą zasłoniętą workiem chwiał się na nogach, podtrzymywany z obu stron przez funkcjonariuszy, ale nie wydał z siebie żadnego głosu, cichy, stał na podniesieniu z trudem zachowując równowagę, podczas gdy dwaj jego opiekunowie – jeden chudy, żyłasty, drugi o nalanej, lśniącej od potu twarzy – wystawiali go na widok publiczny jak zwierzę w klatce. Narzucono mu na gołe ramiona koc, żeby zasłonić okaleczone ciało. Zawieszono na szyi blaszaną tabliczkę z więziennym numerem. Dopiero teraz na salę wpuszczono fotoreporterów z „Danziger Beobachter”, „Nowin Gdańskich” i paru innych gazet, którzy szybko rozstawili aparaty na statywach i przy blasku wybuchającej magnezji robili zdjęcia, które nazajutrz miały się ukazać na pierwszych stronach wydań specjalnych.

Potem najstarszy rangą funkcjonariusz dał znak fotoreporterom, by zrobili najważniejsze zdjęcie: podszedł do więźnia i ściągnął mu z głowy czarny worek. Gdy Maria zobaczyła twarz aresztowanego, zachwiała się, aż musiała oprzeć się o ścianę. Całe szczęście, że była w masce, która pozwoliła ukryć to, co czuła. Ogarnęło ją przerażenie zmieszane z rozpaczą, nienawiścią, której brudna fala zalała duszę, topiąc

wszystko, co było w niej dobre i wzniosłe. Teraz poczuła się poniżona samym widokiem ludzi, którzy w jej obecności, rozjątrzeni rozpaczają po śmierci swoich najbliższych, zadawali cierpienie człowiekowi, którego kochała, przekonani, że wymierzają mu karę surową, lecz sprawiedliwą.

Mistrz miał oczy zamknięte. Jego pełna spokoju twarz była przeniknięta bólem, który ściągnął rysy, zaostrzając je tak, że Maria rozpoznawała go z trudem. Przez chwilę wydało jej się nawet, że to nie on.

Więźnia wyprowadzono. Pomyślała, że musi jak najszybciej dostarczyć mu truciznę, żeby uchronić go przed dalszymi cierpieniami, które z pewnością nie zostaną mu oszczędzone, a które – nie miała wątpliwości – będą jeszcze straszniejsze od tych, które mu już zadano, ale był to tylko bezsilny odruch sparaliżowanego rozpaczają serca. Ludzie zaczęli wychodzić z sali, ona jednak nie mogła ruszyć się z miejsca, wciąż wpatrzona w kamienne podniesienie, na którym przed chwilą stał Mistrz. Dopiero kiedy asystent Werden wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę drzwi, zrobiła kilka kroków, z trudem zachowując równowagę, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Rzuciła na ziemię owinięty rzemieniami kij, co asystent Werden przyjął ze zdziwieniem, chciał nawet coś do niej powiedzieć, ale gwałtownym ruchem zerwała maskę z twarzy, jakby się dusiła. Nie mogła ochłonąć. Asystent Werden, widząc co się z nią dzieje, wyprowadził ją przez oszklone drzwi przed gmach Prokuratorii, pomógł wsiąść do powozu, okrył szalem, bo drżała jak poparzone dziecko. Ściszym głosem tłumaczył jej, że miał jak najlepsze intencje, co ona skwitowała skinieniem głowy, wciąż nie mogąc dojść do siebie po tym, co ujrzała w podziemnej sali. „Panie Werden – powiedziała twardo, gdy powóz, do którego wsiedli przed gmachem Prokuratorii, ruszył w stronę spalonego dworca i Olivaer Thor, mijając hotel „Deutscher Hof”. – Niech pan zapamięta na całe życie.

Bardzo nie lubię takich przedstawień”. Poczul się dotknięty, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. „Sądziłem, że pani, która własnymi rękami ratowała ofiary tego człowieka, tutaj, na tym placu...” – wskazał ręką zburzony dworzec, przesuwający się teraz po lewej stronie powozu ciemną plamą na tle nocnego nieba. „Niech pan da spokój”. Pochylił głowę, marszcząc brwi: „Rodziny ofiar domagały się dużo surowszej kary... Gdyby pani mogła usłyszeć, co mówiły. Zresztą całe miasto się domaga...”. „Niech mi tu pan nie opowiada takich rzeczy – zachnęła się. – Od tego jest sąd, nie tłum”. „Nie ma pani racji – usiłował zaprzeczyć. – Żadna kara sądowa nie zrównoważy bólu, który czują rodziny po strasznej śmierci swoich najbliższych, tak nikczemnie zabitych. Ci nieszczęśliwi ludzie mają prawo osobiście rozprawić się z...”. Z trudem uświadomiła sobie, że nie powinna wdawać się z nim w żadne rozmowy, bo mówiąc zbyt wiele, mogłaby zdradzić swoje prawdziwe uczucia. Powoli dochodziła do siebie, czując, jak staje się znów twarda i bezlitosna. „To było okropne” – powtórzyła z odcieniem pogardy w głosie, co zabrzmiało tak, jakby obciążała go winą za zorganizowanie całego tego podłego spektaklu w piwnicach Prokuraturii. „Pan wie coś więcej o tej sprawie?” – dodała obojętnym tonem, na powrót dopuszczając go do łask. „Trochę – odrzekł niepewnie, dobrze wiedząc, że obowiązuje go nakaz milczenia, ale słysząc w jej słowach wybaczący ton, znów pochylił głowę. „Śledztwo jest trudne”. „Trudne?” – spojrzała na niego z ukosa. „Ten człowiek milczy. Jego zatwardziałość jest zdumiewająca. Nie chce ujawnić nazwisk i adresów...”. „Nie chce?”. „On wie, że nie możemy posunąć się za daleko. Musi przecież stanąć przed sądem żywy”. „Posunąć się za daleko?”. „Panno Ferbelin, niech pani nie będzie naiwna. Stolica naciśka, by wyrok zapadł jak najszybciej. Trzeba się spieszyć. Póki sprawa zamachu jest gorąca i ludzie ją pamiętają”. „A ten człowiek milczy?”. „Nie odpowiada na żadne pytania. I na

dodatek wygląda tak, jakby cały czas się modlił, albo rozmawiał z kimś, kogo nie widać. Chwilami jest zupełnie nieobecny. Pani kiedyś chodziła na te jego kazania na łąkach, to wie pani, kim on jest”. Wzruszyła ramionami, czując niebezpieczeństwo, któremu powinna natychmiast zaradzić. „Chodziłam z ciekawości. Chciałam zobaczyć kogoś, o kim mówiło całe miasto, więc wybrałam się z pustej ciekawości, ale potem mi się odechciało”. „I miała pani rację, bo to oszust, który tylko namieszał ludziom w głowach”. Ten Werden – uświadomiła sobie – rzeczywiście wierzył w winę Mistrza. A miasto? Nagle przyszło jej do głowy, że całe miasto myśli o Mistrzu dokładnie tak samo jak Werden. Ludzie przerażeni tym, co stało się na dworcu, żądają natychmiastowego wykrycia sprawców, więc chętnie wierzą, że to człowiek z Neustadt, nikt inny, stał za zamachem. Poczula pogardę dla tłumów, które jeszcze nie tak dawno zbierały się na łąkach pod bastionami, by posłuchać jego nauk, a teraz odwróciły się od niego, jakby go nigdy nie znały. Sam Werden, mimo że próbowała go podejść, nie wyjawiał żadnych istotniejszych szczegółów sprawy, dając do zrozumienia, że wiąże go służbowa tajemnica.

Gdy dojechała do domu, matka zapytała ją w drzwiach: „Jak się bawiłaś?”. Była przekonana, że Maria pojechała na raut do hotelu „Deutscher Hof” w towarzystwie osób z kręgu prokuratora Hammelsa. Maria ściągnęła rękawiczki i rzuciła je na stolik pod lustrem: „Bawiłam się dobrze”. „A kto był?”. „Och, wszyscy ważni”. „A ten asystent Werden?”. „O, to bardzo miły człowiek”.

Z całego wieczoru spędzonego w piwnicach gmachu Prokuraturii był tylko jeden pożytek. Wiedziała teraz, że Mistrz od chwili aresztowania jest przetrzymywany w areszcie Prokuraturii, nie wywieziono go więc od razu do stolicy cesarstwa, czego obawiała się najbardziej. Nie należało go też szukać ani w komendzie głównej policji koło synagogi,

gdzie urzędował komendant Eberhorn, ani w więzieniu przy Kriminal Gericht, gdzie trzymano przestępców z wysokimi wyrokami. Najpewniej prokurator Hammels chciał go mieć pod ręką, by nie przejęli go funkcjonariusze z ulicy Karrenwall. Były to ważne wiadomości, których znaczenie doceniła później: wiedziała teraz, gdzie jest Mistrz i komu podlega to miejsce.

Narada

Chciała jak najszybciej spotkać się z uczniami, którzy tamtej nocy – gdy Mistrz został aresztowany – rozproszyli się po całym mieście tak, że nie wiadomo było, gdzie ich szukać. Miała żal, że porzucili go w najtrudniejszej chwili, ale też mówiła sobie, że przecież gdyby dali się aresztować razem z nim, teraz nie mogłaby liczyć na ich pomoc, więc we wtorek, od razu po lekcjach z Helmutem, pojechała na Dolne Miasto, nie czekając aż się ściemni. Choć droga była tak trudna jak zawsze, dotarła dość szybko przez płataninę podwórek i przejść do wysokiego domu, wspięła się na najwyższe piętro, lecz kiedy znalazła się przed drzwiami mieszkania z sufitem z mlecznego szkła, ze zdumieniem spostrzegła, że drzwi otwarte są na oścież. Podłogę przy drzwiach pokrywały nadpalone kawałki gazet i strzępki wilgotnego pierza. Wchodząc do korytarza zobaczyła, że pod ścianą nie ma ani polakierowanego na srebrno roweru, ani drewnianych nart, ani sanek ze skórzaną uprzężą, tylko cienie tych przedmiotów – wyraźne i dokładne – ciemniej na żółtawej ścianie, jakby je ktoś wymalował z wielką starannością na tynku w zastępstwie rzeczy, które zniknęły.

Drzwi do pokoju w głębi korytarza były uchylone. Gdy je lekko pchnęła, zobaczyła, że pokój jest pusty, tylko pośrodku stało żelazne łóżko, lecz na drucianej siatce, która wyglądała jak zardzewiały ruszt do pieczenia mięsa, w paru miejscach rozprutej, nie było materaca, białej pierzyny, prześcieradła i poduszek, co ją przejęło odrazą i lękiem. Zniknęły też wszystkie krzesła i okrągły stolik z szydełkowaną serwetą. Przy nodze łóżka leżał pokryty zieloną pleśnią okrągły bochenek czarnego chleba, ale kiedy go uniosła, wypęzły spod niego białe i szarawe robaki w ilości, która ją przeraziła, ruchliwą i tłustą. Całe mieszkanie było wyziębione jak poczekalnia dworcowa. Nawet ściany poszarzały. Pomyślała z niechęcią o ludziach, najpewniej mieszkańcach domu z niższych pięter, którzy wynieśli stąd wszystko, co się dało, nie zapominając nawet o blaszanych łyżkach z kuchni. Na gołych ścianach nie było żadnego obrazka, tylko nietykalny, wielki portret cesarza w czarnych ramach wisiał jak dawniej na swoim miejscu, groźny jak cień jakiegoś kościelnego posągu, bo cesarz przedstawiony na obrazie wciąż miał oczy zamknięte i nie ruszał się ze swojego złotego tronu. Mieszkanie wyglądało tak, jakby ktoś w nim niedawno zmarł. W powietrzu unosił się zapach palonych świec, gorącego wosku i świerkowych gałęzi, który zwykle towarzyszy uroczystościom pogrzebowym. Zimny pył, podobny do szronu, pokrywał deski podłogi.

Gdy tak stojąc w drzwiach, patrzyła na pusty pokój, ktoś za jej plecami powiedział głośno: „Nie ma go tu”. Odwracając się, ujrzała kulawą dziewczynkę w czarnym płaszczyku z wyświechtanego materiału, która stała w progu i była tak bardzo podobna do niej samej z czasów dzieciństwa, że wyglądała jak zdjęcie wyjęte z albumu rodzinnego, które nagle poruszyło się, żeby uobecnić żywą osobę, która już dawno umarła. Dziewczynka nie uśmiechała się, tylko z gniewnym wyrazem twarzy zapytała: „Szukasz ich?”. Maria

nie musiała nawet odpowiadać, tylko ruszyła za nią po schodach na górę, pod sam dach, w stronę wielkich strychów, nie odrywając oczu od jej ramion, które ptasimi ruchami rozgarniały powietrze, z trudem łapiąc równowagę, choć dziewczynka poruszała się szybciej niż ona, z niezwykłą zręcznością odnajdując przejścia wśród desek, rupieci i starych mebli.

Korytarze, które ciągnęły się w głąb budynku pod niskim sufitem, były nieoświetlone, tylko samotne świece, przyklejone do belek wystających ze ścian, tliły się gdzieś tam, dając żółty, rozproszony blask, od którego bolały oczy. Na deskach podłogi lśniły plamy zakrzepłego wosku, choć drzwi po obu stronach przejścia były zabite gwoździami, więc na pewno nikt tutaj nie mieszkał. Maria przechodziła po podestach ostrożnie, starając się nie zaglądać w czarne studnie klatek schodowych, których dno ginęło w ciemności. Mocno trzymała się skrzypiących poręczy, żeby się nie ześlizgnąć ze stopni, co dziewczynka kwitowała zimnym chichotem.

Wyglądało na to, że znalazły się w domach przeznaczonych do rozbiórki, bo popękane ściany, wyraźnie grożące zawaleniem, w wielu miejscach były podparte belkami z surowego drewna. Przeszły przez długi strych, podobny do pustego tunelu z niskim sklepieniem i przez ceglane przejście dostały się do sąsiedniego budynku. Zobaczyły przed sobą odrapane drzwi z urwaną klamką. Gdy dziewczynka pchnęła drzwi łokciem, wybuchł zza nich jazgot ludzkich głosów, podobny do gwałtownego trzepotania skrzydeł. Weszły do czyjegoś mieszkania, w którym stłoczeni na niewielkiej przestrzeni ludzie w niekompletnych ubraniach, głośno wykrzykując ceny, handlowali pasmanterią, tawotem, termometrami, ołówkami i guzikami, ważyli na żelaznej wadze gwoździe i wyslizganą do blasku szuflą przesypywali z worka do worka mutry i śruby. W głębi mieszkania widać było niknący w oddali szereg otwartych drzwi do kolejnych pokojów, ciągnący się bez końca przez

cały budynek. Mieszkania nie miały korytarzy, łazienek, ani kuchni. Ciągnęły się jedno za drugim jak paciorki różańca nawleczone na jeden sznurek. Przechodząc przez kolejne pomieszczenia Maria była świadkiem najbardziej intymnych czynności kobiet i mężczyzn, którzy – jakby jej w ogóle nie było – brali kąpiel w blaszanych wannach wypełnionych mydlinami, z opuszczonymi spodniami siadali na wyszczerbionych sedesach, odbywali stosunki płciowe pod brudną pierzyną na żelaznych, skrzypiących łózkach, sapiąc przy tym i postękując w obecności dzieci, które na odrapanych krzesłach, zajęte sobą, w skupieniu odrabiały lekcje, pisząc coś poślinionymi ołówkami na stronach wyświechtanych zeszytów.

Dom, w którym Maria się znalazła, wydawał się nieskończenie długi. Z nieba pewnie wyglądał jak wielkie ciało węgorza, podziurawione setkami okien, wyrzucone przez powódź pośrodku miasta. Dziewczynka śmiejąc się, powiedziała, że to najdłuższy dom w Europie i że nikt nie wie, ilu ludzi tu mieszka.

Jeśli kiedyś Marii przyszło do głowy, że każdy człowiek gotów upierać się, iż jest odrębną jednostką, tymczasem w rzeczywistości wszyscy jesteśmy częstkami gigantycznego ciała zbiorowego, złożonego z milionów komórek, które porasta całą Ziemię niczym żywa, ruszająca się, biała pleśń, teraz widziała falowanie i pulsowanie tej żywej istoty, która tutaj, na wysokim piętrze najdłuższego budynku w Europie, z którego okien widać było tylko ślepe, ceglane mury sąsiednich kamienic, miała formę rodzin zrosniętych ze sobą jak warstwy huby na pniu drzewa.

Życie migotało w tych pokojach niczym żywa ikra wysypiana na podłogę z rozciętego rybiego brzucha. Gdyby ktoś chciał zbawić to rozmnożone, ruszające się mięso, miałby trudności z odnalezieniem pojedynczych dusz. Zapewne wszyscy ci ludzie, których tutaj widziała, mieli jakieś imiona i nazwiska, ale nie było pewne, czy nawet sam Bóg byłby

w stanie te imiona i nazwiska spamiętać na dzień Sądu, bo wszystko, co tutaj żyło, było doskonale wymienne, wymieszane ze śmiercią i jeśli nawet ktoś umierał, nikt nie zauważał jego braku, w puste miejsce wlewała się natychmiast świeża, jeszcze ciepła masa nowych rąk i nóg. Ludzie, których mijala w kolejnych pokojach, byli kobietami i mężczyznami, ale z twarzami obwiązаныmi bandażami, w szarych, podartych ubraniach, z drucianymi okularami na nosach, zdawali się nie mieć w ogóle płci, choć, sądząc po ilości potomstwa, które kręciło się wszędzie, mnożyli się w tych przechodnich mieszkaniach bez umiarkowania. Małe dzieci w podartych koszulach bawiły się na podłodze jak stada szczeniąt i gdyby nie ich jasne głowy, można by pomyśleć, że wilczyca, która je urodziła, gdzieś tu drzemie za zasłoną z prześcieradeł. W powietrzu unosił się zapach parzonej kapusty, gorącej kielbasy i chleba świeżo wyjętego z pieca, choć paleniska pieców były zimne i puste, bo, jak na to wyglądało, nigdy w nich nie palono z braku węgla i drewna.

Kulejąca dziewczynka uderzeniami zaciśniętych piąstek rozpędzała dzieci, które zagradzały jej drogę. Niektóre domagały się pieniędzy za prawo przejścia przez pokój, a nawet żądały biletu do skasowania, na co tylko wybuchała złym śmiechem. Chłopiec z głową owiniętą bandażem, oparty ramieniem o framugę, śmiejąc się głośno, szczekał w powietrzu niklowanymi szczypcami do kasowania biletów, które najpewniej skradł konduktorowi w tramwaju. Gdy więc Maria trafiła na czarne drzwi nabite gwoździami, które dostrzegła w ciemnej niszy na końcu korytarza, pchnęła je z całych sił tak, że otworzyły się szeroko. Ujrzała przed sobą duże pomieszczenie o szerokich oknach, z których za ciemną wodą Motławy widać było prawie całe śródmieście z Ratuszem i wieżą Marienkirche.

W dużej sali z blaszanym sufitem, na pomalowanej czerwoną farbą podłodze, stały maszyny do szycia Singer, a przy

maszynach, z głowami pochylonymi nad robotą, siedzieli uczniowie Mistrza, tak jednak odmienieni, że ledwie ich rozpoznała. Wszyscy wyglądali tak, jakby od wieków zajmowali się krawiectwem, byli bladzi, wychudli, na nosie mieli drucziane okulary o wypukłych szklach i w zapamiętaniu szyli czarne kurtki mundurowe czy uniformy straży pożarnej ze srebrnym wzorem na kołnierzu, bardzo podobnym do palmowego ornamentu, jaki można zobaczyć na kapach okrywających trumny w kaplicach cmentarnych. Zresztą cała sala miała wygląd zaniedbanego zakładu pogrzebowego, chylącego się ku upadkowi, chociaż umarłych w mieście nigdy nie brakowało. Na dodatek w kącie stało kilka małych, dziecięcych trumien z niemalowanego drewna, opartych wiekiem o ścianę, na których nie zdążono jeszcze przybić krzyża z posrebrzanej blachy. Łoskot terkoczących maszyn brzmiał jak stukotanie kołatek w kościołach na Wielkanoc. Maria podeszła do Petera – siedział w drugim rzędzie maszyn – powiedziała, że przyszła, by naradzić się z nimi, co robić dalej w sprawie Mistrza, ale on nawet nie podniósł oczu znad roboty i z większym jeszcze zapamiętaniem wystukiwał igłą srebrne ścięgi na czarnym materiale. Głos Marii zginął w terkotaniu, które – takie wrażenie odniosła – nasiliło się, gdy podeszła do maszyn. Przez moment pomyślała, że uczniowie nie poznają jej. Pewnie mają ją za kogoś z dozoru, kto kontrolując podobne zakłady krawieckie w całym mieście, przyszedł do nich na inspekcję.

Dziewczynka stała za nią łapiąc okrągłym lusterkiem promienie słońca przenikające zza okna. Odbijała je tak, by oślepić krawców, oni jednak udawali, że tego nie zauważają. Pociągnęła Marię za suknię i podała jej zgnieciony, blaszany gwizdek, jakim podoficerowie w koszarach zwołują żołnierzy na zbiórkę. Maria dmuchnęła w gwizdek, a wtedy terkot maszyn nagle zgasł. W ciszy powiedziała raz jeszcze do Petera, że przyszła po to, by naradzić się, co dalej robić w sprawie Mistrza, on jednak głośno zaprzeczył, że

ma na imię Peter, po czym przedstawił się jako czeladnik Hugo Niemeyer, wymieniając przy tym nazwę ulicy, przy której – jak twierdził – mieszka obecnie, a o której Maria nigdy nie słyszała. Przechodziła między maszynami, zwracając się do każdego z nich po kolei, ale oni wstawali służbiście znad maszyn, przedstawiając się tak, jakby ją widzieli po raz pierwszy. „Co się z wami dzieje?” – krzyknęła, potrząsając Matthiasem, który niewidzącym wzrokiem patrzył na nią przez wypukłe szkła, nie wypuszczając z palców szpulki ze srebrnymi nićmi. „Nie znam żadnego Mistrza – szeptał drżąc tak, że nawet jego ręce nie były podobne do rąk, które pamiętała. – Nazywam się Bert Schimmel. Pochodzę z Rosenhaar nad Wezerą. Pracuję od dwunastu lat w warsztacie krawieckim Berndta Hermona i chwalebnie tę pracę. Mam żonę Hildę i syna Juliusa, który choruje na dusznicę, więc wymaga ciągłej opieki. Ale teraz – położył palec na ustach – musimy być ostrożni, bo oni zaraz po nas przyjdą – ściszył głos – wywozą pociągami i spalą w piecach. Mnie i całą moją rodzinę”. Potrząsnęła nim raz jeszcze. – „To ja, Maria. Popatrz na mnie. Poznajesz mnie? Nie musisz udawać kogoś, kim nie jesteś. Przyszłam z nowinami...”

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że weszła do sali z twarzą zasłoniętą woalką. Uniosła ciemny muślin. Gdy zobaczyli jej twarz, zaczęli podchodzić do niej powoli, ostrożnie, jak spłoszony drób do gospodyni sypiącej ziarno, nie do końca jednak przekonani, że to rzeczywiście ona. Przyglądali się jej uważnie, gdy jednak zobaczyła swoje odbicie w pękniętym lustrze, opartym o ścianę, zrozumiała, dlaczego mogą się bać, tak była teraz niepodobna do samej siebie. Zresztą z opuszczoną woalką wyglądała jak wdowa, co pewnie ich przeraziło. W fartuchach z czarnej satyny, nieogoleni, wychudzeni, z włosami przyprószonymi kurzem, wyglądali na dużo starszych od siebie. Kulawa dziewczynka krążyła między nimi, szturchając

ich piąstką w brzuch, co przyjmowali potulnie, bez sprzeciwu. „Jak wam nie wstyd – syczała. – Powinniście umrzeć razem z nim. A wy trzymacie się życia jak te wygłodzone psy. Wstydzę się za was”.

Dopiero, gdy zza maszyny wyszedł Peter i zamknął czarne drzwi na zasuwę, tak że nikt nie mógł wejść do sali, na ich twarzach pojawiła się ulga. „Musimy coś zrobić – powiedziała Maria. – Nie możemy go tak zostawić. Właśnie po to przyszedłam”. „Modlimy się za niego” – odrzekł Peter, wycierając dłonie w satynowy fartuch. Aż się zachnęła: „Przyszedłam do was nie po to, by wysłuchiwać takich rzeczy, tylko po to, żebyśmy razem coś postanowili. Jeśli go teraz porzucicie, nie chcę was znać”.

Kiedy opowiedziała im o tym, co z nim robiono w piwnicach gmachu Prokuraturii, ogarnęło ich przerażenie. „Musimy wyjechać z miasta – powiedział drżącym głosem Matthias. – Szukają nas na pewno wszędzie”. „Wyjechać? – Maria zacisnęła pięści. – Chcecie znowu go zostawić, tak jak tamtej nocy?”. „Przecież nic się nie da zrobić – powtórzył Johann. – Zrobią z nim, co będą chcieli”.

Milczeli, patrząc na nią niepewnie, a nawet – takie wrażenie odniosła – z niechęcią. „Tylko modlitwa... jak mówił nam Mistrz...” – powtórzył Peter. „Zło dobrem zwyciężaj, tak?” – szydziła z nich. „Tak, właśnie tak. Zło dobrem zwyciężaj” – w głosie Petera zabrzmiały twarde tony. „Świetnie – zacisnęła zęby – to powiedzcie, co w obecnej sytuacji jest tym dobrem. Siedzieć tutaj cicho w kącie, gdy oni tam go biją i poniżają, czy starać się coś zrobić dla niego?”. „Mistrz kazał mi schować broń, kiedy ją wyciągnąłem tamtej nocy, by go bronić” – przypomniał Peter. „A czy ja wam mówię, że byście do kogoś strzelali? – wybuchła. – „Więc tak sobie to obmyśliliście? „Nawet nie wiemy, gdzie go trzymają”. „Właśnie to wiemy! – krzyknęła rozjątrzona. – „Gdzie?”. „Na dole, w areszcie Prokuraturii”. „Myślałem – mruknął Peter

– że go od razu wywieźli do stolicy”. „Nie wywieźli – żywo zaprzeczyła – ale mogą to zrobić w każdej chwili”.

Im bardziej ona rozgrzewała się słowami, tym bardziej oni stygli, ale kiedy powiedziała, że wie, gdzie Mistrza trzymają, Johann dotknął jej dłoni. Powiedział, że może warto jakoś dotrzeć do naczelnika aresztu Prokuraturii Moleschotta. Co prawda ludzie mówią, że to człowiek okrutny, kary cielesne traktuje jako rzecz zwykłą i nie robi żadnej różnicy między więźniami nieletnimi i dorosłymi, co – jak to Johann ujął – może nasuwać powody do obaw, ale wszystko to chyba raczej plotki, których prawdziwości nie można sprawdzić, wiadomo przecież, że mało który naczelnik więzienia cieszy się powszechną sympatią. Jedno jest pewne: na mieście mówi się, że naczelnik Moleschott zaczął niedawno budować dom na przedmieściach Zoppot, podobno wedle projektu samego Schinkela, co znacznie przekracza wyporność jego urzędniczej kieszeni, więc zaciąga pożyczki, gdzie się da, byleby skończyć prace przed zimą, bo jeśli ich nie skończy, dom narażony na zimowe deszcze i śniegi, zacznie się rozpadać, zanim jeszcze zostanie zbudowany.

Moleschott? Marii najpierw przyszło do głowy, że w pierwszym rzędzie należy dotrzeć do któregoś z więziennych strażników, którzy mają bezpośredni kontakt z więźniami, bo tylko tak można dowiedzieć się, w jakim Mistrz jest stanie i jakiej pomocy potrzebuje najpilniej, ale teraz – po słowach Johanna – uznała, że – niech będzie – można spróbować i poprzez Moleschotta. Trzeba tylko jakoś zebrać pieniądze. Tak, duże pieniądze to było właśnie dobro, którym należało zło zwyciężać, rzecz jasna obok modlitwy, której – jak powiedziała do uczniów – nigdy nie za wiele. Zdobycie znacznej sumy, która zmiękczyłaby oficerską twardość naczelnika Moleschotta, z pewnością nie było sprawą łatwą; na mizerne fundusze uczniów raczej nie należało liczyć, może kupiec... Tak, przypomniała sobie kupca Galetzkiego, który – jak pa-

miętała – parę razy zjawił się na łąkach pod bastionem św. Gertrudy i kiedyś nawet przywiózł żywność dla biednych, którą sam rozdawał z wozu wśród ludzi siedzących na trawie, co robił pewnie dlatego, że miał jeszcze w sobie odruchy współczucia z czasów, kiedy to jako chudy subiekt z małego sklepu z pasmanterią przy ulicy Heilige-Geist-Gasse sam żył w nędzy, zanim się dorobił znacznego majątku na handlu szkłem z huty Jerofiejewa pod Dęblinem. Ten pobożny człowiek, którego przybiła niedawna śmierć żony, mógł zrobić niejedno, jeśli tylko zechciał działać, co w obecnej sytuacji, zważywszy na lęk, jaki ogarnął miasto po niedawnych wypadkach, nie było pewne. Mieszkał w Starej Oliwie, w świeżo właśnie odnowionym domu przy ulicy Klosterstrasse i jak wieść niosła, z wielkim oddaniem wspierał dom sierot przy Dreidenlindenweg oraz schronisko dla bezdomnych pod wezwaniem św. Adalberta w Emaus. Peter jednak przestrzegał, by nie liczyć na zbyt wiele, bo ludzie zwykle trzymają się z daleka od spraw, które mogą pogorszyć ich sytuację.

Tymczasem wieści, które przenikały z aresztu Prokuratorii, nie były dobre. W mieście powtarzano sobie szeptem, że Mistrza oddano pod rygor obostrzony. Nietrudno było zgadnąć, co to oznacza. Kiedy Maria przechodziła koło gmachu Prokuratorii, serce stawało jej w piersiach na myśl o tym, co zobaczyła podczas nocnego „rautu urzędników”. Jak mówiono, w toku śledztwa traktowano Mistrza ze szczególną surowością, by skłonić go do złożenia zeznań, na których podstawie można by na dworze cesarskim przedstawić niedawne wypadki jako skutek działalności grupy siejącej terror, która stawiała sobie za cel podburzanie robotników do buntu i odebranie Gdańska od świętej całości państwa.

Maria udała się do kupca Galetzkiego w niedzielę, licząc, że ją pamięta, ale ten przyjął ją nieufnie. Widział ją właściwie tylko jeden raz na łące pod bastionami, obawiał

się więc prowokacji, bo – jak przypuszczał nie bez powodu – mógł już figurować w policyjnych rejestrach, więc musiała włożyć wiele starań, by go przekonać, że ma czyste intencje. Ale gdy powiedziała, o co chodzi, oczy zabłyśły mu niedobrym blaskiem. Nienawiść do policji, na całym świecie dość powszechna, ma różne formy i odcienie, czasem jednak, kiedy podszyta jest osobistym urazem, potrafi być prawdziwym motorem działania, jak ogień nagle wybuchający spod popiołów. Gdyby chodziło o przekupienie jakiegoś urzędnika Prokuraturii w sprawie koncesji na handel miedzią czy kukurydzą na Speicher Insel, kupiec Galetzki by się zawahał, ale myśl, że swoimi pieniędzmi będzie mógł skruszyć twierdzą policyjnej moralności, za jaką uchodził naczelnik aresztu Prokuraturii, nappełniła jego serce zimną radością, dobrze bowiem pamiętał, jak kiedyś potraktowano go na posterunku przy ulicy Jopengasse, gdy jako młody, bezrobotny subiekt został zatrzymany przez policyjny patrol pod zarzutem kradzieży, z którego to zarzutu wywinął się tylko cudem, ale funkcjonariusze i tak dopuścili się wobec niego rzeczy niegodnych, skuwając mu na dodatek ręce kajdankami, o czym nigdy nie zapomniał. Teraz, po tym, co usłyszał od Marii – rozluźniony, pełen werwy, a nawet ucieszony możliwością upokorzenia kogoś, kto w jego pojęciu uosabiał to, co najciemniejsze w żelaznym molochu państwa – zdecydował się wesprzeć sprawę znaczną sumą. Pieniądże wyciągnął z banku, ułożył na stole w salonie piramidę złotych guldenów i aż mu się oczy zaświeciły, kiedy pojął, jaką dysponuje siłą, która mogłaby zmiażdżyć wszystko na swojej drodze. Mało tego, chciał guldeny wręczyć naczelnikowi więzienia osobiście, by nakarmić oczy słodkim widokiem upadku policyjnego urzędnika, co z pewnością nie było rozsądne, ale nie mógł się powstrzymać, bo na taki widok czekał całe życie, choć rzadko się przed sobą do podobnych pragnień przyznawał.

Tyłu więźniów w historii świata – mówiła sobie – udało się wykupić z więzienia, więc może i teraz da się to zrobić, tym bardziej że guldeny kupca Galetzkiego – chciała w to wierzyć – miały w sobie moc, która otwierała wszystkie drzwi. Dojście do naczelnika aresztu Prokuratorii okazało się jednak niemożliwe. Moleschott zbyt dobrze orientował się w tym, co dzieje się w mieście, każdego dnia uważnie śledząc narastanie napięcia między prokuratorem Hammelsem a komendantem Eberhornem, nie miał więc zamiaru wdawać się w niepewne sprawy, nawet gdyby miały płynąć z tego jakieś doraźne korzyści. Johann próbował dotrzeć do niego poprzez porucznika Herzoga, przyjaciela ojca z czasów nauki w Szkole Wojennej przy Neue Promenade, który pracował w kancelarii więzienia, ale szybko zdał sobie sprawę, że wszelkie starania w tym kierunku nie dadzą żadnego rezultatu.

Ważniejsze było teraz dotrzeć do któregoś ze strażników, by chociaż trochę ulżyć Mistrzowi w więziennych cierpieniach, skoro o wykupie nie można było nawet myśleć. Johannowi los sprzyjał. Kiedy któregoś dnia siedział w traktierni na rogu Weidengasse i Straussgasse, gdzie nad drzwiami wejściowymi szynkarz Hosse umieścił herb miasta z dwoma lwami po obu stronach tarczy, poprzez kłęby tytoniowego dymu spostrzegł wśród gości mężczyznę w granatowym uniformie ze srebrnymi naszykami na rękawie, który smętnie patrzył w okno, popijając kwaśne wino z winnic nadreńskich Ebersa, co mogło dowodzić, że nie wieździe mu się najlepiej. Wystarczyło popytać o niego paru ludzi zaglądających wieczorami do traktierni, by sprawy stały się jaśniejsze. Strażnik Schulze, jak wszyscy przedstawiciele ludzkiego rodzaju, miał słabość, z którą się nie obnosił w aresztanckich kancelariach i korytarzach Prokuratorii. Co jakiś czas widywano go na hipodromie w Zoppot, gdzie unikając ostentacji, stawiał dość wysokie, jak na swoją kieszeń, sumy na wyścigach, czasem

nawet wygrywając. Ostatnio jednak, gdy postawił na faworyta, klacz Walkirię, utracił znaczną część oszczędności, które pilnie składał w Sparkasse, co sprawiło go w prawdziwy niepokój. Był to człowiek dość jeszcze młody, szczupły, nerwowy, nawet po powrocie z pracy nie zdejmował urzędowego uniformu, który – jak pewnie mniemał – przydawał mu znaczenia, co czyniło go – jak można było sądzić – podatnym na perswazję.

Któregoś wieczoru Johann przysiadł się do niego przypadkiem. Rozmawiali ze sobą dość długo o rzeczach bez znaczenia. Johann chciał wy badać, jakie miejsce w więziennej hierarchii zajmuje ten człowiek, co wcale nie było łatwe. Strażnik Schulze nad szklanką wina popadał zwykle w czarną melancholię, co sprawiało, że ulegając palącej pokusie zwierzenia, skarżył się na swój los, odsłaniając mimo woli drobne szczegóły ze swojego dawniejszego i bieżącego życia. Kiedyś – było to już po północy – zaczął mówić o nikczemnościach – jak się wyraził – dyrektora jakiegoś banku w Hanowerze, wymienił nawet jego nazwę, co Johann dobrze zapamiętał. Przed kolejnymi wyścigami pożyczył więzienemu funkcjonariuszowi pewną kwotę na czas dłuższy, czym – jak się mogło zdawać – zaskarbił sobie jego wdzięczność. O tym, co dzieje się w areszcie Prokuratorii, strażnik Schulze nie chciał jednak mówić, ale nawet jemu wymknęło się czasem parę słów, które mogły mieć znaczenie, warto więc było je zanotować w księdze pamięci.

Strażnik Schulze mieszkał w domu koło zajezdni, na piątym piętrze, w dwupokojowym mieszkaniu pod samym dachem. Johann wybrał się tam w południe, gdy Schulze pełnił służbę w areszcie Prokuratorii. W stoczni Schichaua Johann pracował jako ślusarz, wystarczyło więc parę ruchów ręką uzbrojoną w metalowy klucz ze stosownymi wycięciami, a drzwi domowego gniazda strażnika Schulze stanęły przed nim otworem. Jego uwagę przyciągnął stojący pod oknem

kufer zamykany na kłódkę, która ustąpiła miękko pod sprawnymi palcami. Na dnie, pod bielizną haftowaną w westfalski wzór, znalazł coś, co go zaniepokoiło. Był to paszport na nazwisko Güntera Müllera, starannie wciśnięty w szczelinę pod deskami. Johann opuścił mieszkanie po paru minutach, zacierając starannie ślady swojej obecności.

Teraz można było działać bardziej stanowczo. Pierwsza propozycja została złożona strażnikowi Schulze w piątek koło dziewiątej. Ten udał, że nie wie o co chodzi, wyraźnie grając na podbicie ceny. W końcu właściwie niczym nie ryzykował. Poproszono go tylko, by co jakiś czas dostarczył więźniowi lepsze jedzenie i podrzucił coś, co mogło złagodzić ból i zasklepić rany, jakie po każdym przesłuchaniu nie chciały się goić. Nie było tego wiele, a proponowano mu za tę drobną przysługę znaczną kwotę i to w złotych guldenach, co było nie do pogardzenia. Johann dał mu pieniądze, uzyskując zapewnienie, że wszystko będzie, jak należy. Nie było jednak żadnego sposobu, by sprawdzić, czy strażnik Schulze dotrzymuje zobowiązań. Zapewniał, że wszystko jest w porządku, ale jak sprawy miały się naprawdę? W rozmowie z asystentem Werdenem Maria dowiedziała się przypadkiem, że stan więźnia – jak to ujął Werden – może budzić niepokój, co dowodziło, albo mogło dowodzić, że Schulze bierze pieniądze, ale nie robi nic, by nie narazić się na przykre konsekwencje, gdyby wiadomości o jego przesadnej trosce o więźnia dotarły do samego Moleschotta.

Należało go mocniej docisnąć – to wydało się oczywiste. Johann nawet pomyślał, że skoro tak się sprawy mają, można zażądać, by strażnik Schulze nie tylko zajmował się bardziej skutecznie więźniem, lecz także pomyślał o zorganizowaniu ucieczki. Niech coś wymyśli. We wtorek Maria zadzwoniła do Hanoweru. Słuchawkę podniósł jakiś starszy pracownik banku Casaroliego. Wystarczyło tylko wymienić nazwisko Güntera Müllera, a okazało się, że kasjer o tym nazwisku

jest poszukiwany przez policję cesarską pod zarzutem defraudacji. „Günter Müller zniknął dwa lata temu ze znaczną sumą z bankowej kasy”. Johann umówił się na spotkanie ze strażnikiem Schulze na hipodromie w Zoppot. Zaczekał, aż ten przegra pieniądze, które dostał niedawno, co przyprawiło go niemal natychmiast o głęboką melancholię, po czym szeptem, patrząc mu prosto w oczy, wymówił dwa słowa: „Günter Müller”, co strażnika Schulze wprawiło w przerażenie. Teraz można było mieć pewność, że funkcjonariusz aresztu Prokuratorii zrobi wszystko, co zrobić powinien.

Wieści, które przenikały z więzienia, były jednak zdumiewające. Podobno – jak rzecz przedstawiano – strażnik Schulze w przyływie niezrozumiałej furii pobił ciężko jednego z więźniów, co zdziwiło nawet innych strażników. Johann nie mógł dojść do siebie, kiedy okazało się, że więźniem tym był nie kto inny, tylko Mistrz. Należało działać natychmiast. Johann czekał na strażnika Schulze na ulicy przed jego domem. Raz jeszcze powtórzył dwa słowa, które budziły przerażenie. Strażnik Schulze nie powinien nawet przez minutę zapomnieć o tym, w jakiej znalazł się sytuacji.

Nazajutrz Johann wrócił pod dom koło zajezdni. Przed bramą tłoczyli się ludzie. Stało tam kilka samochodów. Ktoś pokazywał palcem któreś z wysokich okien. Gdy precyzyjnie się na schody i wszedł na piąte piętro, zobaczył, że drzwi do mieszkania na mansardzie są otwarte. Stało przy nich kilku mieszkańców domu, rozmawiając półgłosem. Policjant w płaszczu bronił wejścia do mieszkania. Johann stanął na palcach, by lepiej widzieć to, co dzieje się w środku. W pokoju oficer policji rozmawiał z cywilem w okularach ze złotą oprawką. Do mosiężnego zyrandola był przywiązany sznur. Na sznurze wisiał strażnik Schulze. Był w mundurowej kurtce zapiętej pod szyją i świeżo wyczyszczonych butach.

Papierowy zwitek

Maria w przypiływie rozpaczy pomyślała nawet, że powinna wręczyć pieniądze samemu prokuratorowi Hammel-sowi, ale od razu wyśmiała tę myśl jako niedorzeczną. Liczyć na to, że prokurator ulegnie jej namowom, nawet gdyby prośby swoje wzmocniła wielką sumą, byłoby zupełną naiwnością.

Dwudziestego drugiego lipca mieszkańcy Gdańska na pierwszych stronach gazet ujrzeli wydrukowane dużą czcionką postanowienie sądu z podpisem prokuratora Hammelsa, wedle którego trybunał specjalny, złożony z sędziów Morelskiego, Guterslocha i Berniniego oraz generała Gerstenwega, po długim śledztwie, nadzorowanym przez pełnomocnika rządu Ravellego, wydał w sprawie byłego robotnika ze stoczni Schichaua, Kurta Niemanda, prawomocny wyrok, od którego – co zostało podkreślone – nie przewiduje się odwołania. Zgodnie z obowiązującym prawem, za kierowanie stowarzyszeniem przestępczym oraz podjudzanie do zamachu na dworzec gdański, w którym straciło życie 149 mieszkańców miasta i wielu podróżnych z różnych stron cesarstwa, oskarżony zostaje skazany karą śmierci. Obwieszczenie ukazało się w największych gazetach wychodzących na terenie całego państwa.

Wiadomość ta nie była w stanie już zmienić niczego, a jednak – jak mówiono w mieście – nie ustało złe traktowanie Mistrza, którego nadal poddawano w więzieniu bolesnym udręczeniom, jakby nie wszystko jeszcze było przesądzone. Za dnia, kiedy była zajęta lekcjami z Helmutem, a potem pomagała ojcu w domu, trochę odrywała się od bolesnych myśli, ale wieczorami niepokój o Mistrza stawał się nie do zniesienia. Gdy leżała w ciemnościach, patrząc w okno, za którym widać było nocne niebo, łzy bezsilności wzbierały pod powiekami. Na mieście mówiono, że podobno trzyma się go w celi bez światła i skutego kajdankami głodzi, nie podając nawet wody do picia. Nie wiadomo, ile w tym było prawdy, ile panicznego zmyślenia, ale pod wpływem tych wiadomości wciąż miała przed oczami widok zakrwawionego ciała z oparzeniami i śladami uderzeń żelaznym prętem na ramionach i plecach. Ulica Karrenwall, przy której znajdował się areszt Prokuraturii, była strzeżona w sposób szczególny, jakby władze obawiały się zamieszek, które mogłyby zagrozić – jak to formułowano – bezpieczeństwu więźniów, więc przed bramą wejściową stale urzędował pluton wartowniczy, legitymując wszystkich przechodzących. Teraz Mistrza czekało tylko jedno: więzienne udręczenia i śmierć. Czuła, że gdzieś zostało postanowione, że tak być musi, ale wszystko się w niej burzyło na myśl, że to przecież także sam Mistrz zgotował sobie taki los. Nie posłuchał jej rad, kiedy powiedziała, że nie powinien iść na spotkanie w Pałacu Opatów, a teraz nie korzystał ze swojej mocy, tylko biernie poddawał się wszystkiemu, jak ćma lecąca w ogień. Przecież jeśli potrafił uzdrawiać i wskrzeszać, jak mówiono na mieście, mógł wyjść z więzienia w każdej chwili. Miał w sobie moc, która otwierała każde drzwi. Przekonywała siebie, że skoro sam godzi się na śmierć, musi być w tym jakiś sens, ale nie mogła pojąć, jaki. Wtedy przeklinała go za jego upór. Czyż sam dobrowolnie nie ściąga na siebie podłego

traktowania, którego mógł uniknąć? Śniło jej się, jak Mistrz skinieniem ręki otwiera przed sobą stalowe drzwi więzienia, które ustępują pod jego dotknięciem, wychodzi przez bramę z gmachu Prokuratury i – nietykalny – spokojnie idzie ulicą Karrenwall w stronę Złotej Bramy i nikt – żaden strażnik czy policjant – nie jest w stanie go zatrzymać. Ale on nie chciał tego uczynić. Jak samobójca, który splata samemu sobie pętlę, dobrowolnie skazywał siebie na poniżenie i śmierć.

Pomyślała o asystencie Werdenie. Ten tajemniczy młody człowiek wiele teraz dla niej znaczył. Właściwie wciąż nie wiedziała, jaką funkcję pełni w Prokuratorii, pojawiając się to w pobliżu naczelnika Vorgasta, to w pobliżu generała Gerstenwega, ale teraz nie miało to znaczenia. Nazajutrz wystrojona w różową suknię i kapelusz z fiołkami, pachnąca, z wachlarzem w dłoni, poszła do gmachu Prokuratorii. Gdy ją tylko zobaczył w drzwiach, nie potrafił ukryć radości. Porozmawiała z nim trochę o zamówieniach dla ojca – obiecał, że będzie informował o wszystkich nadchodzących ofertach – potem zapisała na wachlarzu numer jego telefonu, trochę pożartowała z jego nowego surduta ze srebrną spinką w klapie, onieśmielając go swoim ładnym, swobodnym śmiechem tak, że pod koniec rozmowy to on sam, nie ona, zaproponował, by spotkali się pod wieczór w restauracji Mosena koło Baszty Kotwiczników. Poszła tam wystrojona, swobodna, lekka. Idąc w stronę rzeki ulicą Jopengasse widziała, jak oglądają się za nią mężczyźni. W restauracji rozmawiała z asystentem Werdenem przez godzinę. Wciąż czuł się winny, że – jak się wyraził – tamtego niedobrego wieczora wprowadził ją do piwnic Prokuratorii, gdzie była świadkiem scen, które były dla niej tak przykre. „Gdybym tylko wiedział...” – tłumaczył się, spuszczać oczy, jakby prosił o wybaczenie. Rozmowę poprowadziła tak, że to ona czekała teraz na jego prośby. „Nie musi mnie pan tak przepraszać za te piwnice. Właściwie jestem panu wdzięczna, że zobaczyłam coś, czego

bez pana pomocy nie zobaczyłabym nigdy. To było przykre, ale bardzo zajmujące”. Ugryzła ciastko z kremem. „A swoją drogą, czy pan wie, co się teraz dzieje z tym człowiekiem?”. Asystent Werden nie rozumiał o kogo chodzi, dopiero po chwili powiedział, że skazany czeka w areszcie Prokuraturii na wykonanie wyroku. „Mówi pan, że w areszcie Prokuraturii? A wie pan, chętnie bym zobaczyła, jak on teraz wygląda”. Asystent Werden rozłożył ręce. „Panno Ferbelin, nie może być o tym mowy. Ten człowiek jest trzymany w osobnej celi. Nikt nie może z nim rozmawiać”. „Nawet pan?” – udała zdziwienie. „Nawet ja. To nie jest zwykły więzień”. „Nie musi mi pan tego przypominać. Ale bardzo mnie ciekawi, jak wygląda człowiek, który czeka na wykonanie wyroku śmierci”. Był jednak nieprzejednany. „To bardzo trudna sprawa”. „Wiem, ale czy pan nie miał do czynienia ze sprawami dużo trudniejszymi?”. „Panno Ferbelin, to przekracza moje możliwości. Może gdybym znał bliżej naczelnika Moleschotta...”. „Nie zna go pan?” – okazała rozczarowanie. Poczul się urażony. Przez chwilę zastanawiał się nad czymś. „Wie pani – spojrzał na nią – chyba jest sposób”. Uniosła brwi czując, jak w jego spojrzeniu rozkwita. „Jaki?”. „Samej pani nie mogę wprowadzić, ale..”. „Ale co?..”. „Po prostu indywidualne odwiedziny nie wchodzą w rachubę”. „Rozumiem. A odwiedziny nieindywidualne?”. „To może dałoby się zrobić”.

Mówiąc to, miał na myśli kobiety ze stowarzyszenia wdów po zabitych policjantach, które pod patronatem arcybiskupa Gertza odwiedzały więźniów w aresztach i więzieniach Gdańska, niosąc im wsparcie i modlitwę. „Jeśli pani chce sobie obejrzeć tego człowieka, czego zresztą nie pochwalam, mogłaby to pani zrobić... Trzeba by tylko panią wprowadzić do stowarzyszenia. Mam tam znajomą...”. „Będę panu prawdziwie wdzięczna – położyła swoją dłoń na jego dłoni. – Może wydaje się to panu dziwne, ale bardzo chciałabym

zobaczyć, jak taki człowiek wygląda”. „To może być niezbyt przyjemne – dorzucił. – Może go pani nie rozpoznać”.

Po tygodniu od spotkania z asystentem Werdenem, udała się za jego wstawiennictwem do parafii św. Brygidy, gdzie w sali parafialnej co kilka dni spotykały się na modlitwie żony poległych policjantów. Przyjęły ją nieufnie, chociaż asystent Werden za nią ręczył, podkreślając, że jest córką kogoś, kto zbudował trzy „krzyże” stojące na Karlsbergu, przeznaczone dla ludzi, którzy odważają się strzelać do policjantów, ale w końcu zgodziły się, by w poniedziałek na próbę poszła z nimi razem do aresztu Prokuratorii, gdzie – jak to ujęły – mogą ją czekać trudne chwile, które nie każdy potrafi znieść. „To nie będzie dla pani łatwe” – powiedziała Gerda Milewski, żona sierżanta Andreasa Milewski, zastrzelonego rok temu podczas napadu na sklep jubilerski przy Frauenkirche 12, do której asystent Werden napisał parę uprzejmych słów na wizytówce.

W nocy z niedzieli na poniedziałek prawie nie spała. Myśl, że zobaczy Mistrza, wprawiała ją w drżenie. Potem nie mogła się skupić na lekcjach z Helmutem, które w końcu skróciła, tłumacząc się złym samopoczuciem. Pod areszt podjechała dorożką. Kobiety już na nią czekały. Miały ze sobą wiklinowe kosze nakryte obrusami w kraciasty wzór. Wpuścił je do aresztu sam naczelnik Moleschott, stojąc przy żelaznych drzwiach w świeżo uprasowanym mundurze, uprzejmie prosił, by przekazały wyrazy najwyższego uszanowania dla księdza arcybiskupa od starego oficera, który zawsze o nim pamięta. Kiedy Maria zobaczyła Moleschotta z bliska, zrozumiała, dlaczego jest tak surowy dla więźniów i nie tylko więźniów. Ten człowiek nienawdził samego siebie. Miał ciemnosiny nos, podziobany przez ospę, sterczące jak wiechcie siwe brwi nad lodowatoniebieskimi oczami, wpadnięte usta i siwy, poszarpany na końcach wąs, zrudziały od palenia tytoniu, cera zaś na policzkach była ziemistobrązowa, pocięta

zmarszczkami jak skóra jaszczurki. Na portierni zostały dokładnie zrewidowane, przetrząsnęto także wiklinowe kosze, co przyjęły z oburzeniem, bo nie miały w nich nic oprócz jedzenia. Potem sprowadzono je na dół. Schodząc po kamiennych schodach, oświetlonych żarówkami w osłonach z drutu, czuła, jak krew bije jej w skroniach. Cele były wysprzątane, ściany wybielone wapnem. W ciemniejszym korytarzu wyjęła z włosów sprzączkę, pod którą wcześniej wpięła papierowy zwitek. Przeszły przez wszystkie cele, ale w żadnej Mistrza nie było. Wizyta w jego celi nie była przewidziana w programie odwiedzin. Dopiero kiedy zeszły do niższego korytarza, w bocznej niszy zobaczyła żelazne drzwi z otwartym okienkiem. Zbliżyła się do okienka, przy którym stał więzień zbierający blaszane talerze do miedzianego kołtła i wtedy zobaczyła Mistrza. Zaglądając przez moment do środka, oparła dłoń na żelaznej krawędzi okienka i zdążyła spuścić na podłogę celi papierowy zwitek. Mistrza ujrzała tylko kątem oka. Stał w głębi celi jak cień, ledwie go rozpoznała. Nawet nie wiedziała, czy ją zobaczył. Wydało jej się, że ledwie dostrzegalnie skinął dłonią, jakby zrozumiał, kto stoi przy drzwiach. Tymczasem krzyknięto za nią, by dołączyła do reszty, ale ona – na wpół przytomna ze szczęścia i przerażenia odmawiała w milczeniu swoją sekretną litanię: „Wie, że nie jest sam. Wie, że nie porzucili go wszyscy. Wie, że zrobię wszystko”. W uniesieniu rozdawała więźniom biały chleb, jabłka, mięso, właściwie nie wiedząc, co robi. Żony policjantów patrzyły na nią z ukosa, bo nie wyglądała zwyczajnie. Kiedy wyszła z budynku na słońce, zakręciło się jej w głowie od świeżego powietrza. Pożegnały ją z niechęcią. Gdy wracała do domu, serce samo ją prowadziło przez miasto, jakby unosiła się nad ziemią, chociaż po tym, co zrobiła z papierowym zwitkiem, piersi ścisnął strach...

Liczyła, że Mistrz zrozumie. Miała serce rozdarte, ale teraz myślała tylko o jednym: przerwać to straszne, niepo-

trzebne cierpienie, które go miało czekać, skoro śmierć i tak jest przesądzona. Tylko to mogła zrobić: wyzwolić z bólu. Niech odwinie papierowy zwitek, rozgryzie fiołkę i przestanie cierpieć, skoro czekają go tylko coraz większe udręczenia, które niczego nie zmieniają w jego losie, a ciało zmieniają w żywą ranę. Mogła mu ofiarować tylko to, chociaż wiedziała, że dostarczając fiołkę, utraci go wcześniej, niż gdyby zaczekała na wykonanie wyroku. Ale tylko to miało jakiś sens. Nie mogła pogodzić się z tym, że zostanie zabity jak zaszlachtowane zwierzę, już lepiej, by zginął z własnej ręki. Taka śmierć wydała się jej lepsza, szlachetniejsza, godniejsza – a poza tym pokrzyżowałyby plany tym, którzy na jego unicestwieniu mieli ochotę skorzystać, pokazując całemu światu, jak twardo stoją na straży sprawiedliwości. Niech przyjmie gorzki proszek i wyzwoli się na zawsze z brudnej ciemności tego podłego świata, ofiarowując ojcu swoją dobrowolną śmierć, która zmaże wszystkie ludzkie winy, jeśli już ojciec tak tej śmierci pragnie, wierząc, że tylko śmierć dziecka zaspokoi jego pragnienia. Śmierć z własnej ręki była czystsza, mocniejsza i piękniejsza niż śmierć zadana ku uciesze tłumów przez sądowych urzędników, którzy z pewnością dostaną za nią premię gratyfikacyjną w złotych guldenach.

Ale Mistrz – jak dowiedziała się po paru dniach – odrzucił dar, czym doprowadził ją do rozpaczki jeszcze większej niż ta, w której była pogrążona. Przeklinała, że go poznała wtedy, w domu przy Jäschkentaler Weg, wiążąc tak mocno swoje życie z jego życiem. Ona dla niego robi wszystko, a on odrzuca te starania, brnąc na własne życzenie w ciemność, z której nie ma już odwrotu, jakby go cieszyły wszystkie te obrzydliwe udręczenia, które mu w więzieniu zadawano. Może zresztą – pomyślała z nagłą wrogością – rozpiera go nawet duma, że – inaczej niż wszyscy ludzie – jest w stanie znieść najgorszy ból bez słowa skargi, swoją pokorną zgodą na poniżenie górując nad tymi, którzy mu ból zadają, bo

pokora bywa czasem formą najsilniejszej dumy. Niby był pokorny w swoim poddaniu się cierpieniom, a przecież – takie niedobre podejrzenia przyszły jej do głowy – może w głębi serca raduje się, że jest w stanie znieść więcej niż inni, czując jak go ta zgoda wzmacnia i wywyższa nad wszystko, co mierne. Zwyczajni ludzie umierając nie wiedzą, co będzie ich czekać po śmierci. On – inaczej niż oni – wie dokładnie, że po nawet najboleśniejzych cierpieniach czeka go po tamtej stronie wieczny wypoczynek i radość w domu ojca. A może – ta myśl przeszła ją lękiem – on także, jak wszyscy, wcale nie ma tej pewności?

Teraz, odrzucając dar, który mu przyniosła, dobrowolnie wstępował do morza cierpień, jakby ona sama zupełnie przestała się liczyć. Ani pieniądze kupca Galetzkiego, ani jej starania, ani śmierć strażnika Schulze, nie znaczyły nic w obliczu tego, co miało nastąpić. Czas obracał się z wolna i nie było sposobu, by zatrzymać jego obroty. Trzy „krzyże” czekały na wzgórzu Karlsberg.

Ośmiornica i chłopiec

Lekcje z Helmutem prowadziła tak, jakby była pogrążona w niedobrym śnie, co chłopiec zauważył natychmiast. „Pani ma jakieś zmartwienie?” – zapytał, gdy otworzyła podręcznik geometrii. „Każdy ma jakieś zmartwienia” – wykręciła się niedbałą odpowiedzią. „Ale pani wygląda na poważnie zmartwioną” – naciskał leniwie, obracając w palcach zaostroszony, czerwony ołówek. – „Niepokoję się o zdrowie ojca” – skłamała, rozgniewana, że tłumaczy się ze swoich nastrojów przed smarkaczem, który siedział naprzeciwko niej z jasną głową oświetloną słońcem i wyglądał na obojętnego, choć mógł coś przeczuwać.

„A zresztą – niedbale zmienił temat rozmowy, zapewne dając do zrozumienia, że niezbyt go interesują jej prywatne sprawy – ciekawe rzeczy dzieją się ostatnio na mieście”. Nie zapytała, co ma na myśli, bo duchem była gdzie indziej, więc mrużąc oczy, dorzucił po chwili. „Wyrok śmierci chyba jednak zostanie wykonany”. Ocknęła się z zamyślenia, tak bolesne były to dla niej słowa. „Rozmawiasz o tym z ojcem?” – zapytała, licząc, że może dowie się czegoś więcej. Skrzywił się. – „Moje rozmowy z ojcem to nie pani sprawa”. Machnęła lekceważąco ręką, bo już przywykła do jego zaczepnego

tonu, co go wyraźnie ubodło. „Ojciec wcale nie ma ochoty wieszac tego człowieka – oświadczył z powagą. – Ale nie widzi innego wyjścia”. „Wyjście zawsze jest” – powiedziała twardo, czując, że niepotrzebnie się przed nim odsłania. Popatrzył na nią z ukosa. – „Pani współczuje temu człowiekowi?” – „Ach, co mnie on obchodzi – potrząsnęła niecierpliwie głową. – Ale nie lubię takich scen”. „Wolałaby pani – nie spuszczał z niej oka – żeby egzekucja odbyła się w więzieniu?”. „W więzieniu? – wyglądała na przestraszoną. – Dlaczego akurat w więzieniu?”. „Bo widzi pani, ludzie nowoczesni twierdzą, że barbarzyństwem jest wykonywać wyroki śmierci publicznie”. „Myślę, że chyba mają rację”. „Myli się pani. To przesąd. Sprawiedliwość powinna być widzialna, a pani by wolała, żeby przestępców zabijano gdzieś po cichu w kącie. Sama notatka w gazecie, że wyrok został wykonany, to bardzo niewiele”. „Nie wiem – powiedziała roztargniona. – Nie zastanawiałam się nad tym”. „To niedobrze – skarcił ją z wysoka. – O rzeczach ważnych należy rozmyślać”. „I ty rozmyślasz, tak?”. „Panno Ferbelin, nie podoba mi się pani ton. Rozmawiamy o ważnych sprawach, a pani sobie pozwala na jakieś zaczepki. Ojciec nie ma wyjścia – powtórzył – chociaż wcale nie pragnie śmierci tego człowieka”. „Może go ulaskawić” – powiedziała ze skrywaną nadzieją. „Tylko po co? – zmarszczył brwi. – Bieg spraw jest już przesądzony. Ojciec nie może się cofnąć. Tu nie chodzi tylko o jego karierę. Gdyby Eberhornowi udało się przeprowadzić swoje plany, ojciec miałby poważne kłopoty. Mógłby stanąć przed trybunałem stanu. Czy pani wie, co to oznacza?”. „Wiem – powiedziała ciszej, przybita siłą tego argumentu. – Ale ulaskawienie można przedstawić jako dowód siły”. „Niech pani nie będzie naiwna – odłożył ołówek na stół, jak urzędnik, który właśnie podpisał ważny dokument. – To są sentymentalne złudzenia. Cesarz chce tej śmierci, bo ta śmierć jest potrzebna wszystkim. Najważniejsze jest to – zamyślił

się – jak miasto przeciągnąć na naszą stronę”. „Czy to znaczy – uważnie obserwowała każde drgnienie jego rzęs – że miasto nie jest po naszej stronie?”. „To nie znaczy, że miasto nie jest po naszej stronie, ale miasto należy umocnić w przekonaniach. Nie wszyscy uważają, że ten człowiek powinien zostać zabity”. „I ty rozmyślasz o tym, jak to zrobić, tak?”. „Ja, panno Ferbelin, rozmyślałam nad różnymi rzeczami. I nawet mam pewien pomysł”. „Pomysł? Ty takie rzeczy nazywasz pomysłami?”. „No, cóż, jeśli to panią razi, możemy to nazwać ideą. Wie pani, co jest najniebezpieczniejsze? Że ten człowiek, jeśli zostanie zabity, może urosnąć. To dziwne, ale w oczach wielu ludzi nawet najhaniebniejsza śmierć wywyższa. Ludzie lubią się utożsamiać z ofiarami, bo sami w życiu czują się ofiarami. I dlatego chętnie sobie wmawiają, że jeśli ktoś jest karany przez państwo, to jest karany niesprawiedliwie. I stają po jego stronie, co nie jest zbyt rozsądne, ale zdarza się często”. „A ty ich chcesz przeciągnąć na naszą stronę, żeby zachwycili się egzekucją?”. „Dobrze to pani ujęła. Żeby się zachwycili. I ja nawet wiem, jak to zrobić”.

Potem roześmiał się i patrząc na nią, powiedział, że sprawa „tego człowieka z Neustadt” wcale nie jest najważniejsza, chociaż może na taką wygląda. Dużo ważniejsza od wszystkiego, o czym teraz rozmawiają, jest ośmiornica. Ośmiornica? Samo to niedorzeczne słowo wzburzyło ją, bo co jakaś ośmiornica ma do tak poważnych spraw jak życie i śmierć kogoś takiego jak Nauczyciel z Neustadt, ale on spoważniał i poprawiając mankiety białej koszuli wystające spod rękawów granatowej kurtki, wyjaśnił jej, że właśnie ośmiornica jest kluczem do wszystkiego. Przez moment nie mogła dojść do siebie, rozgniewało ją tak to, co powiedział. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że myśląc wciąż o Mistrzu, rzeczywiście zupełnie zapomniała, czym całe miasto żyje naprawdę.

Bo całe miasto naprawdę nie żyło ani niedawnym strajkiem w stoczni, ani pamięcią o zabitych na ulicach przed

gmachem Prokuratorii, ani procesem Nauczyciela z Neustadt. Naprawdę całe miasto żyło ośmiornicą. Ośmiornica miała na imię Helga – jak syn prokuratora Hammelsa przypomniał z niedobrym uśmiechem – i była od jakiegoś czasu ulubienicą całej prowincji, o czym rozpisywały się na pierwszych stronach prawie wszystkie gazety lokalne, a nawet gazety wychodzące w stolicy. Ośmiornicę Helgę trzymano w dużym akwarium w głównej sali restauracji Złoto Renu na hipodromie w Zoppot, gdzie stanowiła nie lada atrakcję, swoimi splotami wijąc się nad głowami gości w szklanej skrzyni podświetlonej blaskiem chińskich lampionów, co dodawało – jak twierdzili niektórzy – smaku podawanym tam potrawom. W czasie wyścigów konnych, z których słynął hipodrom w Zoppot, do akwarium, w którym ośmiornica spędzała swój smętny żywot, wstawiano dwa naczynia szklane z ostrygami, na każdym z naczyń były naklejone nazwy rywalizujących ze sobą koni. Miasto wierzyło, że koń, którego nazwę ośmiornica Helga wybierze, będzie faworytem wyścigów. Nic zatem dziwnego, że w dniu losowania, gdy miało rozstrzygnąć się wszystko, tak jak niegdyś rozstrzygało się wszystko w greckiej świątyni Sybilli, na hipodrom ściągali tysiące ludzi z Gdańska, Oliwy i Zoppot. Oczy zebranych nie mogły oderwać się od brodawkowatych splotów tajemniczej istoty, krążącej w podświetlonym akwarium, która wyglądała jak duch spoza Ziemi; piękna i straszliwa, bez pośpiechu, obmacując giętkimi odnóżami oba naczynia z ostrygami, wybierała zwycięskiego konia, co tłum przyjmował zwierzęcym wyciem i wybuchem oklasków, po czym opętańczo biegł między stolikami przez salę restauracyjną do niedalekich kas bukmacherskich, by postawić znaczne kwoty na faworyta wskazanego przez los.

Syn prokuratora Hammelsa doradzał ojcu, by to samo zrobić z wyborem między skazańcami oczekującymi w gdań-

skim więzieniu na wykonanie wyroku śmierci, a było takich skazańców zwykle kilku. Do szklanego naczynia, na którym zostałyby naklejone nazwisko człowieka z Neustadt, należało tylko wsypać lepsze ostrygi, tak by brodawkowe ramię tajemniczej istoty, wijącej się za szybą akwarium, wskazało całemu światu, kto powinien zostać powieszony jako pierwszy. Widząc na twarzy Marii wyraz wstrętu i oburzenia, Helmut z obojętną rzeczowością przedstawiał dalsze szczegóły swojego projektu, najpewniej przekonany, że opór z jej strony to nic innego jak przejaw kobiecego rozmazania, którego nie warto traktować poważnie.

Był przekonany, że to sam Los powinien wskazać, kogo należy jako pierwszego ukarać śmiercią, tak by miasto pojęło, że nie tylko surowa racja stanu, lecz i Przeznaczenie stoi po stronie prokuratora Hammelsa. Samo ogłoszenie wyroku w gazetach nie wystarczy, by zjednać sobie ludzi i cesarza. „To obrzydliwe – powiedziała, nie kryjąc wstrętu. – Nie powinienes się tak bawić”. „Bawić? – udał, że nie rozumie. – Przecież wszystkie cele byłyby osiągnięte. A co do ludzi, panno Ferbelin, zapewniam panią, że bardzo chętnie wzięliby udział w zakładach, gdyby tylko do wygrania były znaczne sumy. Już Rzymianie z czasów Nerona to wiedzieli. Czytałem w jednej z książek”. Znowu się roześmiał, nie kryjąc, że jej skrupuły uważa za przejaw naiwności. „Oczywiście żartuję – spoważniał po chwili. – Rzecz jasna, ojciec ma więcej doświadczenia w tych sprawach, więc wie, jak osiągnąć podobne cele bez niepotrzebnego szumu, ja jednak uważam, że w rzeczach państwowych trochę teatru nie zawadzi, za co, rzecz jasna – dorzucił nie kryjąc pogardliwej ironii – zostanę potępiony”.

Maria z trudem hamowała się, żeby go nie uderzyć. Wyobraziła sobie, jak wyglądają wieczorne rozmowy ojca z synem, dwóch mężczyzn, którzy nie mogli się pozbierać po śmierci kobiety, którą kochali, a teraz w pustym świecie,

w którym jej już nie było, wiedli swój żywot jak kamienie toczące się po pochyłym zboczu góry, gotowi wszakże uderzyć w każdego, kto by im stanął na drodze. Nieszczęście, które na nich spadło, zraniło ich głęboko, a równocześnie, co nie było łatwe do pojęcia, dodało im skrzydeł. Nietrudno było sobie wyobrazić, kim będzie za parę lat ten siedzący naprzeciwko niej jasnowłosy, starannie uczesany chłopiec w granatowej kurtce z białymi guzikami, gdy wdzieje mundur z guzikami mosiężnymi, jeśli u takich mistrzów nadal będzie pobierał nauki, które uważał pewnie za stokroć cenniejsze od wszystkich nauk, jakie usiłowała mu przekazać na swoich lekcjach.

„A poza tym – wyrwał z zeszytu kartkę, na której narysował krzyż, po czym podpalił zapałką tak, że papier zmienił się w żółty płomień, a potem rozsypał na miedzianej paterze w garść czarnego popiołu – zachęcam ojca do jeszcze jednego. Po egzekucji człowieka z Nadrenii należy natychmiast spalić jego zwłoki. Od razu, tam, na Karlsbergu, obok szubienicy, na oczach wszystkich. Nie ma nic gorszego niż grób męczennika, przy którym skupiają się tłumy współczujących mu nieszczęśników. Ciało przestępców powinno rozwiać się w powietrzu jak brudny dym”.

W każdym słowie, które słyszała, był ból, chociaż z pozoru chłopiec wyglądał na rozweselonego bezczelnością swoich pomysłów. Wyczuwała ten ból od pierwszej chwili, gdy go poznała. Dzieciństwo bywa okresem głębokiej nieczułości, gdy brak uczuć jawi się jako jedyna forma obrony przed światem. Wszystko to jednak uderzało w Mistrza, więc słów chłopca nie mogła słuchać spokojnie. Wiedziała, że żadne tłumaczenia niczego nie zmieniają. Była w nim jakaś zapiekła gorycz, której nie dawało się złagodzić żadnymi słowami. Nawet gdyby na znak przyjaźni objęła go teraz ramieniem i pogładziła po włosach, zeszytniałby pod samym dotknięciem, podejrzewając podstęp w każdym jej najszczerzym

geście. Świat, który w niego uderzył, gdy umarła matka, zasługiwał na zniszczenie i tylko zaciśnięte pięści pozwalały wierzyć, że kiedyś, kiedy zdobędzie władzę, będzie mógł w ten świat uderzyć. Bóg zabrał mu matkę i wrzucił do brudnego dołu, żeby tam – ona, tak piękna i dobra – zmieniła się w rozmiękłą masę gnijącego błota, co – ta myśl zamieszkała w jego sercu na zawsze – dawało mu prawo do wszystkiego.

Była zdruzgotana. Z pewnością prokurator Hammels tylko by wrzucił ramionami na nikczemne rady syna, gdyby tylko je usłyszał, bo były to rady zupełnie niepoważne, ale sama świadomość, że takie rady zostałyby mu podsunięte, dotknęła serca boleśnie, tak że nie czuła teraz nic oprócz rozpacz i nienawiści. Dotąd jeszcze łudziła się, że stanie się coś, co może odwróci bieg zdarzeń, teraz przybiła ją pewność, że to jakaś niedobra siła spycha ją w ciemność, z której będzie się mogła tylko bezsilnie przyglądać temu, co nieuchronne. Zdawało jej się, że słyszy czyjś szyderczy śmiech, choć w całej willi panowała cisza. Słońce napełniło pokój blaskami, które rozsypały się na podłodze, przesiane przez szpary w żaluzjach. Zza okna dobiegał gasnący szum lasu, bo wiatr ustał. Siedzący naprzeciwko niej chłopiec wyglądał na dumnego z tego, że odważył się wypowiedzieć coś, na co – wiedział to – nigdy by mu nie pozwoliła, ale czuła, że tym okrucieństwem, które pobrzmiwało w jego głosie, karał samego siebie za jakąś winę, o której nie miała pojęcia, choć stwarzał pozory zupełnej obojętności. Pomyślała, że gdyby w jakiś przewrotny sposób nie była mu bliska, nie mówiłby do niej tak złośliwie i zaczepnie, co dotknęło ją jeszcze boleśniej. Wolalaby mieć do czynienia z kimś, kto raniłby ją dla samej przyjemności ranienia, on jednak nie należał do gatunku ludzi, którzy cieszą się zadawaniem bólu, dużo bardziej od nich kruchy, samotny i bezradny, więc jeśli ją ranił, widziała, że ranił też samego siebie, zaplątany w sprzecznych uczuciach.

W jakiejś chwili chciała go nawet zapytać, czy ona sama nie jest przypadkiem trochę podobna do jego matki i stąd to wszystko. Nie chodziło jej o zewnętrzne podobieństwo, lecz raczej o jakąś głęboko utajoną cechę, która co jakiś czas mogła dawać o sobie znać w jej gestach i zachowaniu, budząc w nim niedobre wspomnienia, ale powstrzymała się od tego pytania, bo mogłoby ono jeszcze bardziej zaognić wrogość. Jeśli miała nawet w sobie coś z jego matki, było to chyba coś niezbyt miłego, skoro wyzwalalo w nim tak silną, obronną, wciąż dającą o sobie znać złośliwość. Przez moment pomyślała, że teraz mogłaby wejść na miejsce tamtej umarłej, wziąć za niego odpowiedzialność, być kimś w rodzaju jego drugiej matki, ale ta myśl tak ją osłabiła, że tylko przypatrywała mu się uważnie, uświadamiając sobie, że w całej willi nigdy dotąd w żadnym miejscu nie zobaczyła choćby jednej fotografii nieżyjącej żony prokuratora Hammelsa i to podejrzenie, że została zatrudniona z powodu jakiegoś rzekomego podobieństwa do tamtej kobiety, dotknęło ją nieprzyjemnie, a nawet poniżyło, bo rzeczywiście, jeśli liczył się tylko profil nosa, rysunek paznokci i kształt powiek, który ożywiał w czyichś oczach wspomnienie tamtej umarłej, to jej zasługi i zalety, nie miały żadnego znaczenia...

„Nie podoba mi się to, co mówisz – powiedziała do chłopca, zamykając podręcznik do geometrii z rysunkiem stalowego cyrkla o rozstawionych ramionach na okładce, które teraz wydały jej się uderzająco podobne do medycznych narzędzi, jakie Mistrz trzymał w skórzanej torbie, gdy po raz pierwszy zjawił się w domu przy Jäschkentaler Weg. „Bo nie chce pani myśleć racjonalnie. Niech mi pani powie, czy ja mówiąc to wszystko, robię jakiś błąd w rozumowaniu? Bo ja myślę, że takiego błędu nie popełniłem”.

Przypomniała sobie, co któregoś wieczoru mówił do niej prokurator Hammels. Obrona władzy – tłumaczył jej wtedy swoim cierpliwym, spokojnym głosem – którą ludzie nie-

życzliwi przedstawiają jako przejaw egoizmu rządzących, jest nie tylko – jak to bywa określane – kaprysem przerośniętej ambicji, bo prawda jest taka, że ludzkie życie bez państwa nie byłoby możliwe na Ziemi, chociaż anarchiści – jak wiadomo – sądzą inaczej. Snując swoje rozważania prokurator Hammels chętnie porównywał państwo do pajęczej sieci, przy pomocy której ludzkość poluje na wielką, jadowitą muchę – śmierć, by ją choćby na krótki czas obezwładnić. Sporo ludzi – powiedział wtedy – uważa, że państwo to wroga machina, która wszystkim zagraża, tymczasem państwo jest w gruncie rzeczy czymś w rodzaju ogromnego szpitala, w którym ludzkość leczy swoje rany, jakie odnosi w walce ze śmiercią. Ludzie zwykle nienawidzą państwowych urzędników, widząc w nich pasożyty pożerające pieniądze podatnika, ile by jednak zyskali, gdyby w funkcjonariuszach każdego, nawet najniższego szczebla, ujrzeli lekarzy, którzy robią wszystko, by ludzkie stado mogło jak najdłużej utrzymać się przy życiu. Każdy gest urzędnika – nawet najbardziej nieudolny – jest gestem odgradzającym zbiorowe ciało ludzkości od śmierci, bo gdyby urzędników nie było – obojętnie, dobrych czy złych – wszyscy byśmy już dawno umarli. Państwo jest wielkim lekarzem, a tylko szalenciec podnosi rękę na lekarza.

„Bywają państwa lepsze i gorsze” – przerwała mu. „Oczywiście – wcale się nie spieszył tą uwagą – tak jak są lepsi i gorsi lekarze. Ale odgradzająca od śmierci ręka państwa, każdego państwa, jest czymś, czego nie da się niczym zastąpić. Sporo ludzi wierzy, że ten człowiek z Nadrenii jest lekarzem...”. „Podobno on umie uzdrawiać ludzi...” – dorzuciła, siłąc się na spokój. „Możliwe, ale to nie ma żadnego znaczenia. Jeśli on nawet uzdrawia ludzi, to uzdrawia tylko niektórych, kapryśnie, na chybił trafił, jakby grał na loterii, tymczasem państwo – odetchnął głębiej – nawet najgorsze, broni przed śmiercią żywy organizm ludzkiego stada dzień

i noc, nie ustając w swych pracach. Państwo – popatrzył na nią – jest bezsennym chirurgiem, a szpitale i więzienia są jego narzędziami”. „To kat też jest lekarzem?” – uśmiechnęła się pobłaźliwie. „Kat jest tym samym co dentysta usuwający spróchniały ząb z chorej szczęki. Należy mu się szacunek”. „Ludzie nim pogardzają”. „Ludzie rzadko bywają rozsądni. A jednak bardzo wielu z nich lubi popatrzeć, jak państwo sprawiedliwie zabija. Zobaczysz pani, ilu przyjdzie na Karlsberg, żeby zobaczyć, jak będzie wieszany ten człowiek z Nadrenii”.

Wystarczyły te słowa, a stanął jej przed oczami z niezwykłą wyrazistością widok wzgórze Karlsberg, wznoszącego się ciemnym grzbietem nad oliwską Katedrą, na którym pewnego dnia, jadąc pociągiem z Langfuhr do Zoppot, ujrzała trzy czarne rzymskie litery T, ostro rysujące się na tle jasnego nieba. Dotąd śmierć Mistrza wydawała jej się czymś dalekim i właściwie nierzeczywistym, była raczej zniknięciem ciała, jego rozplnięciem się w powietrzu. Teraz, kiedy przypominała sobie słowa prokuratora Hammelsa, nagle ta nierzeczywista śmierć zrosła się z twardym obrazem poprzecznej belki i dębowego słupa z mechaniczną zapadnią u podstawy. Dopiero teraz dotarło do niej, że krzyż, na którym zawisnie Mistrz, to będzie ten sam krzyż, który leżał na koźle zbitym z desek przed stolarnią przy jej domu na Jäschkentaler Weg. Przypomniała sobie nawet, jak to któregoś dnia, przechodząc rano przez zasypany wiórami dziedziniec stolarni, przesunęła ręką po gładkim drewnie, pięknie wyheblowanym przez ojca.

Właśnie w tej chwili zrodziło się w niej postanowienie. Jeszcze nie było jasne na tyle, by mogło objąć nad nią władzę, ale pulsowało już pod skronią z przemożną siłą, przed którą nie była w stanie się obronić. Patrzyła na chłopca, którego jasną głowę oświetlało słońce, jak na cenny, kruchy przedmiot. Był dla niej cenniejszy niż kiedykolwiek. Miała

go przed sobą. Siedział dwa kroki przed nią na rzeźbionym krześle w swojej granatowej kurtce z białymi guzikami, zdziwiająco rzeczywisty, wyraźny jak owad pod powiększającym szkłem. Widziała jego włosy, brwi, rzęsy, różowe, krótko przycięte paznokcie, pieprzyk na lewym policzku, odsłoniętą szyję. W przekłutym lewym uchu iskrzył słonecznymi odbłyśkami maleńki diamentowy kolczyk, który zapewne kiedyś wpięła mu matka.

Przypomniała sobie, że chłopiec co jakiś czas zamęczał ją osobliwą prośbą. Chowany przez ojca z dala od świata, nieustannie strzeżony przez ochronę willi, choć wtajemniczany od wczesnych lat w przykre sekrety życia państwowego, z irytacją odczuwał swoją egzystencję jako pozorną i bezkrwiwą. Wożono go daimlerem na hipodrom w Zoppot, sadzano w pierwszym rzędzie wagnerowskiej waldopery, by u boku ojca oglądał *Lohengrina*, spacerował z panią Sonnenberg po molo koło kasyna, przypatrując się wytwornym kuracjuszkom, które szły do zakładu kąpielowego doktora Eberta, wchodził do wody pod opieką służącego Hertena, gdy czasem pozwalano mu bawić się na plaży i razem z nim parę razy przepłynął parowcem „Gerda” z przystani w Zoppot do Neufahrwasser, gdzie oglądał zacumowane przy nabrzeżu okręty Kriegsmarine, ale wszystkie te niedzielne podróże upływały pod znakiem bezpiecznego słońca, którego radosne światło, jak to odczuwał, oddzielało go od realnego życia. Chodził, rzecz jasna, na herbatki do domów wyższych urzędników Prokuraturii, z którymi prokurator Hammels musiał utrzymywać dobre stosunki, gdzie grał w serso z dziewczynkami naczelnika Vorgasta albo kopał na trawie białoniebieską piłkę z synami inspektora Schlotta. Wszystko to były jednak w jego pojęciu mizerne namiastki tego, co nazywał życiem prawdziwym, o którym to życiu miał zresztą dość mizerne, a nawet fantastyczne wyobrażenie. Nic zatem dziwnego, że kiedyś – było to czwartkowe popołudnie – znudzo-

ny ciszą, jaka panowała w willi, zbiegł na palcach po schodach na parter, wszedł niepostrzeżenie do kuchni, na teren zakazany, gdzie nie miał wstępu, wsunął się za kredens stojący przy drzwiach i przez szparę w przepierzeniu obserwował, co przy drewnianym stole z blaszanym blatem robi służący Herten.

Ruchy służącego były gwałtowne, jego ręka unosila się w górę, po czym nagle spadała w dół, błyskając czymś, co było ciemne, mokre i ostre. Służący Herten ćwiartował świńską tuszę, rozrąbaną głęboko do różowawych kości kręgosłupa, pogwizdując przy tym jakąś niewybredną piosenkę, co panna Mommelhaus, która mu towarzyszyła z porcelanową kuwetą w rękach, kwitowała pełnymi oburzenia westchnieniami. Ręce służącego Hertena były umazane gęstą, prawie czarną krwią, której krople pryskały na fartuch panny Mommelhaus, plamiąc białe płótno na wysokości bioder i piersi. Rozkraczony przy stole na swoich muskularnych nogach, opiętych skarpetami z bawarskiej wełny, służący Herten z zamachem uderzał tasakiem w świeże mięso, którego odrąbane części z lepkiem plaśnięciem wrzucał do blaszanej miski, ustawionej na drewnianym taborecie obok stołu. Patrząc na to wszystko, chłopiec pomyślał, że to, co się przed nim rozgrywa, pozwoli mu lepiej zrozumieć, czym jest śmierć, o której tyle czytał w książce o Karolu Wielkim i bitwach średniowiecza, gdzie słowo „zaszlachtować” miało barwę uroczystą, trwale zrośnięte ze scenami bitew, kolorowymi sztandarami na rycerskich turniejach i wytwornym sztyletem o nazwie mizerykordia, którym wojownicy jednym pchnięciem dobijali rywali pokonanych w pojedynku. Służący Herten miał przedramiona pokryte rudawym zarostem, a oblepione czarną mazią dłonie zanurzał co jakiś czas w rozrąbanym mięsie, gwałtownym ruchem wyrывał sinawe błony, splątane ze ścięgnami, po czym przecinał je kuchennym nożem o wąskim ostrzu, strząsając na stół mokre resztki, w których zaplątały

mu się palce. Kiedy paroma ruchami wyszarpnął na wierzch brązowokrwawą świńską wątrobę, miękki, kołyszający się w jego dłoniach strzęp wyślizgnął się z uchwytu, plasnął na posadzkę i zostawiając za sobą rozmazaną śmugę, po kafelkach popłynął w stronę kredensu, po czym zatrzymał się u stóp ukrytego tam chłopca. Syn prokuratora Hammelsa jak zahipnotyzowany wpatrzył się w lepłą, gąbczastą masę, która dotknęła czubków jego białych, sportowych pantofli, podczas gdy panna Mommelhaus chwyciła go za łokieć i pociągnęła za sobą w stronę drzwi, mokrą od krwi dłonią usiłując zasłonić mu oczy przed niestosownym widokiem. Na jej krzyk zjawiała się pani Sonnenberg, która skarciła służących, że w swojej niefrasobliwości nie pomyśleli o tym, by kuchenne drzwi zamknąć od środka na zasuwkę, przez co chłopiec znalazł się w miejscu, w którym nigdy nie powinien się znaleźć, co oboje przyjęli z minami wyniosłymi, jakby wkroczyła na teren, który nie do niej należał i próbowała królować tam, gdzie powinno panować wieczne bezkrólewie.

Po tej przygodzie syn prokuratora Hammelsa zapragnął dotknąć prawdziwego życia u samego źródła. Postanowił, że musi osobiście zwiedzić gdańską rzeźnię, skąd, jak się domyślał, pochodziła świńska tusza, którą na mokrym, drewnianym stole mocnymi uderzeniami tasaka opraciwał służący Herten. Było to pragnienie, o którego spełnieniu nie mógł nawet marzyć, więc nie wspominał o nim ojcu, dobrze wiedząc, jak prokurator Hammels zareagowałby na podobny kaprys. Dopiero któregoś dnia, gdy pod koniec lekcji geografii pospierał się o coś z Marią, podniecony i zły, zażądał od niej, by nie zwlekając, następnego dnia zaprowadziła go do ceglanych budynków rzeźni, które wznosiły się po drugiej stronie Motławy za wyspą Ołowianka. W pierwszej chwili roześmiała mu się w nos, tak było to żądanie niedorzeczne, co go jeszcze bardziej rozgniewało. Od tego czasu ilekroć chciał jej dokuczyć, żądał, by spełniła jego zachciankę, posu-

wając się nawet do gróźb, że jeśli jego prośby nie spełni, on powie ojcu o jej sprawkach, co pewnie by zignorowała, gdyby nie to, że mógł wymyślić wszystko, także rzeczy najbardziej niegodziwe, które mogły w nią uderzyć naprawdę. Sprawa ta drzemała pod powierzchnią ich rozmów jak niedobry cień.

Teraz Maria postanowiła do niej wrócić. Zresztą przyświecał jej jeszcze inny cel. Chciała, by chłopiec, z taką raniącą, bezczelną łatwością mówiący o śmierci Mistrza, ujrzał na własne oczy – choćby na przykładzie zwierząt mordowanych w rzeźni – czym śmierć jest naprawdę. Wątpiła, by go to mogło zmienić gruntownie, ale jakaś zmiana po takim doświadczeniu pewnie musiałaby nastąpić. Miała nadzieję, że widok rzeźni skruszy choćby na jakiś czas jego paskudną pewność siebie, gasząc w jego głowie najbardziej skrajne pomysły, bo może ktoś, kto dotknie śmierci z bliska, pomyśli o niej inaczej, nawet jeśli się wzbrania przed łagodniejszymi uczuciami, widząc w nich coś gorszego, co go osłabia i ciągnie w dół.

To, dlaczego chciała chłopca wyprowadzić z willi naprawdę, jeszcze ukrywała przed sobą, wmawiając sobie, że chodzi jej przede wszystkim o jego przemianę, którą szok w rzeźni mógłby przyśpieszyć, w rzeczywistości – choć sobie tego nie uświadamiała – jej serce było gdzie indziej, na razie cofając się przed tym, co mogła w sobie tylko przeczuwać.

Wizyta w rzeźni

Chciała się upewnić, czy chłopiec jest rzeczywiście gotowy, by zobaczyć to, co dzieje się w rzeźni, przestrzegła go więc, że sceny, które może tam ujrzeć, przekraczają psychiczną odporność nawet ludzi dorosłych. Niech się raz jeszcze zastanowi, czy rzeczywiście chce tam pójść, na co on tym bardziej nalegał, żądając, by załatwiła mu wejście do budynków, które wznosiły się za elektrownią, po drugiej stronie Motławy, gdzie mógłby – jak to określił – sprawdzić swoją psychiczną odporność i dowiedzieć się, kim jest naprawdę. Świadomość, że nawet wielu ludzi dorosłych nie jest w stanie znieść widoków, które by tam zobaczył, tylko utwierdziła go w zamiarze, a nawet podnieciła. Zdawał sobie bowiem sprawę, jak bardzo by rozgniewał ojca, gdyby ojciec się dowiedział o jego zamiarach, co tylko dodawało całemu przedsięwzięciu grzesznej ostrości. Powiedziała, że zgadza się mu pomóc, ale tylko pod warunkiem, że ojciec nigdy się nie dowie o niczym, co przyjął ze zrozumieniem, choć po chwili zapytał, czy ona to robi dlatego, że weszła w jakiś zatarg z ojcem i chce zrobić coś wbrew jego woli, czego on nie może pochwalać, czy ma jakieś inne powody, których on nie zna, bo przecież, gdyby wszystko wyszło na jaw, bardzo by to

mogło jej zaszkodzić. Wytłumaczyła mu, że nie weszła w żaden zatarg z prokuratorem Hammelsem, po prostu pomyślała, że w końcu spełni jego prośbę, bo chce – powiedziała to z przyciskiem – żeby zobaczył z bliska, czym jest śmierć, może wtedy zacznie o pewnych sprawach myśleć inaczej niż dotąd, na co odrzekł dość zniecierpliwiony: „Nie wiem, dlaczego to pani robi, ale to nieważne. Ważne, że zobaczę coś, czego nie wolno mi widzieć”. To, że narusza zakaz, wzmacniało w nim pewność siebie, jakby tylko to, co zakazane, było rzeczywiście warte zachodu.

Widział dotąd tylko raz w życiu, jak coś żywego zmienia się w coś martwego. Pamiętał widok psa z przestrzeloną głową, leżącego na wysypanym żwirem dziedzińcu przed garażem służącego Hertena. Pamiętał też zastrzeloną sarnę z przedziurawioną szyją, którą kiedyś ojciec upolował w lasach oliwskich, ale o samej chwili, w której nastąpiła ich śmierć, nie miał pojęcia. Była ta chwila zbyt krótka, by mógł z niej pojąć cokolwiek. Dlatego moment, w którym następuje niepojęty, groźny przeskok życia w śmierć, przyciągał go jak magnes, tak że gotów był znieść wszystko, byleby tylko zobaczyć to na własne oczy. „Musisz zniknąć z domu tak, by nikt tego nie zauważył” – powiedziała Maria któregoś dnia, co przyjął z radością i lękiem. Wiedziała, że domu strzegą wartownicy przy bramie wjazdowej i strażnicy wędrujący z karabinem na ramieniu wzdłuż ogrodzenia z żelaznych prętów, a w chwilach, gdy w mieście jest niespokojnie, w brzoźowym zagajniku stacjonuje także wzmocniony oddział z koszar w Langfuhr, więc każdy kto wchodzi i wychodzi przez bramę, jest legitymowany, chyba że należy do ścisłego personelu, wtedy wpuszcza się go na teren willi bez zbędnych formalności. Kiedy chłopiec myślał o wartownikach, którzy codziennie stali przy bramie, ze wzmoczoną siłą czuł, że jest trzymany w klatce, choć miał zapewnione wszelkie pozory swobody, co go jeszcze bardziej

utwierdzało w zamiarze wyjścia, choćby na parę godzin, poza żelazne pręty ogrodzenia otaczającego willę ze wszystkich stron.

Dopiero teraz, kiedy zaświtała możliwość wyjścia na zewnątrz, tak mocno odczuł ograniczenia, jakim podlegał, co go popchnęło do myśli gwałtownych i niebezpiecznych, które musiała hamować, równocześnie podsycając w nim chęć ucieczki, tak żeby był gotów w każdej chwili złamać zakazy ojca. Już nie chodziło tylko o rzeźnię – kaprys, jak sam przyznawał, niezbyt rozsądny – ale o samą możliwość wyrwania się, choćby na godzinę lub dwie, na swobodę, której tak naprawdę nigdy nie zaznał, wiecznie kontrolowany i strzeżony.

Wiedziała, że sama nie może go wyprowadzić za bramę, przy której musieliby minąć wartownię, powinien zatem wydostać się jakoś sam, najlepiej w chwili, gdy ona będzie w willi, by nikt nie skojarzył jego zniknięcia z jej osobą. Powiedział, że codziennie – jak już dawno zauważył – zwykle koło dziesiątej na teren willi wjeżdża furgon z dostawą żywności, którego zawartość uważnie przetrząsają wartownicy. Przy wyjeździe jednak poświęcają mu dużo mniej uwagi, bo za ważniejsze uważają to, kto wchodzi do willi, niż to, kto z niej wychodzi. Gdyby tylko niepostrzeżenie wślizgnąć się pod plandekę, gdy wóz po skończonym wyładunku przywiezionych towarów stoi przed wejściem do pomieszczeń kuchennych, położyć się na dnie pustej skrzyni, z której już wyniesiono mięso, warzywa, owoce i pieczywo, poczekać parę minut, aż furgon wyjeżdżając za bramę minie wartownię, skręci w Jäschkentaler Weg, można by potem zeskoczyć z wozu na pustą jezdnię i iść dalej, dokąd się tylko chce. Oczywiście któryś z wartowników mógłby przy bramie zajrzeć na dno wozu, ale wtedy wszystko można by obrócić w żart, który niesforny syn prokuratora Hammelsa chciał zrobić ochronie, bez żadnych zresztą złych zamiarów, bo przecież

główną reakcją ojca na jego ucieczkę byłby pewnie dobroduszny śmiech.

We wtorek rozpoczęła lekcje o ósmej. Koło dziesiątej zrobiła przerwę, zeszła na dół i przez dłuższy czas rozmawiała z panią Sonnenberg oraz służącym Herteniem, by dobrze zapamiętali jej obecność. W tym samym czasie chłopiec zdążył już włożyć szarą kurtkę, czarne spodnie i brązowe, wysoko sznurowane buty, wcisnął na głowę czapkę z daszkiem, tak że wyglądał na kogoś, na kogo nikt nie zwróci uwagi na ulicy, wsunął się do pustego furgonu, którym przywieziono do kuchni mięso i chleb, i – niedostrzeżony – wyjechał za bramę na ubitą jezdnię Jäschkentaler Weg. Maria przedłużała rozmowę z panią Sonnenberg, jak tylko mogła, by dać mu jak najwięcej czasu, potem wróciła na górę, do pokoju, w którym zwykle prowadziła lekcje, posiedziała przy stole przez jakieś trzy godziny, gotowa w każdej chwili, gdyby ktoś zapukał, powiedzieć, że chłopiec zszedł właśnie na dół, najpewniej do gabinetu prokuratora Hammelsa, ale zaraz wróci. Koło pierwszej zeszła na dół, zapytała panią Sonnenberg, czy może na dzisiaj zakończyć lekcje z chłopcem, bo musi jechać do Gdańska po lekarstwa dla ojca, który ostatnio niedomaga, na co pani Sonnenberg wyraziła zgodę. Maria dodała jeszcze, że Helmut siedzi teraz na górze, w swoim pokoju, nad zeszytami i rozwiązuje zadania z geometrii, które mu poleciła odrobić, więc na razie nie należy mu przeszkadzać, bo sam wie, co ma robić dalej. Wróciła do pokoju, włożyła kapelusz z woalką, poprawiła suknię przed lustrem, zapięła torebkę, wyszła przed willę, po czym podchodząc do otwartego okna kuchni, rzuciła na pożegnanie: „Do jutra, pani Sonnenberg!”, na co pani Sonnenberg odkrzyknęła jej z głębi kuchni: „Do jutra, panno Ferbelin”. Potem stanęła na zwirowym podjeździe i z uniesioną głową zawołała w stronę okna pokoju chłopca, tak żeby wszyscy w willi dobrze usłyszeli: „Pamiętaj, o geometrii! Jutro wszystko sprawdzę” i nie

śpiesząc się, wyszła przez bramę przy wartowni na Jäschkentaler Weg, nie niepokojona przez strażników, którzy znali ją dobrze, więc kiedy ich mijała, nie pytali o nic. Skręciła za bramą w lewo, chodnikiem pod kasztaniami doszła do głównej ulicy Langfuhr, wsiadła do tramwaju nadjeżdżającego od strony Oliwy i pojechała na Holzmarkt, gdzie przy nowym sklepie Meinla miał na nią czekać chłopiec. Był już na miejscu, jak było umówione. W stronę rzeźni poszli osobno najpierw Langgasse, przez Langer Markt, potem przez Zielony Most, aż do mostu przy Stągwiach Mlecznych, gdzie skręcili w lewo, na Szafarnię i dalej prosto nabrzeżem koło spichrzów, w stronę zakrętu rzeki. Szła parędziesiąt kroków przed nim w kapeluszu z ciemną woalką, on za nią, w czapce nasuniętej na oczy, z podniesionym kołnierzem kurtki, tak że nawet gdyby go teraz zobaczył ktoś ze znajomych, zostałby pewnie rozpoznany z trudem. Wyglądało więc na to, że wszystko przebiega tak, jak sobie założyła.

Koło czwartej pani Sonnenberg weszła na górę, by zawołać chłopca na obiad, ale wcale jej nie zaniepokoiło, że nie zobaczyła go w pokoju, gdzie na stole leżały jego otwarte książki i zeszyty. Pewnie Helmut – jak to lubił robić od czasu do czasu – zmęczony lekcjami, schował się gdzieś na strychu, a może w garażu czy ogrodowej altanie po drugiej stronie stawu z jakąś książką Fenimore’a Coopera, od której nie mógł się oderwać, bo – jak wszyscy wiedzieli – niesforna natura popychała go do różnych psikusów, więc parę razy dla porządku krzyknęła przez okno w stronę ogrodu: „Helmut! Obiad!”, zeszła do kuchni, pomówiła z panną Mommelhaus o nowym przepisie na cesarską szarlotkę, który dostała od siostry z Hanoweru, mimochodem rzuciła pytanie, czy chłopiec już się znalazł, na co panna Mommelhaus rzuciła znad wazy z parującą zupą: „Och, pewnie siedzi gdzieś w krzakach koło altany i śmieje się z nas, że zrobił nam kawał. Jak się znajdzie – pani Sonnenberg zwróciła się do panny Mom-

melhaus i służącego Hertena – to mu powiedzcie: panna Ferbelin przypomina, że powinien odrobić na jutro te trzy zadania z geometrii, z którymi zalega, a nie plątać się gdzieś po strychach i ogrodach jak dziki kot”, po czym wróciła do swoich zajęć, pewna, że chłopiec za chwilę wyjdzie z kryjówki i zjawi się na obiedzie jak zawsze.

Na teren rzeźni wpuścił ich jeden z uczniów Mistrza, który pracował tam od wielu lat, więc wiedział, jak wejść przez boczne drzwi do głównego budynku, a potem po stromych schodach przeciwpożarowych na biegnącą pod sufitem żelazną galerię, z której widać było całą halę. Na galerii stanęli przy blaszanej budce maszynisty dźwigu tak, żeby nikt ich z dołu nie widział. Chłopiec oparł dłonie na poręczy i pochylony, z pełnym powagi wyrazem twarzy, jakby siebie i ją chciał przekonać, że nic nie jest w stanie zrobić na nim wrażenia, spod daszka nasuniętej na oczy czapki, podobny do masarskiego czeladnika na praktyce, uważnie obserwował wnętrze rzeźni, rejestrując w pamięci każdy szczegół, pewnie – jak pomyślała – przekonany, że dostępuje wtajemniczenia, które będzie procentować przez całe życie. Jego pewność siebie brała się stąd, że – jak przypuszczała – wybrał się na całą wyprawę także po to, by wciągnąć ją w pułapkę. Po powrocie, w każdej chwili mógł przecież o wszystkim powiedzieć ojcu, co dawało mu – jak pewnie kalkulował – nieskończoną przewagę nad domową nauczycielką, stale – był o tym przekonany – obawiającą się utraty pracy. Teraz stał obok niej chłonąc zapachy, które ciężkim oparem unosiły się z dna hali, bo wiele miejsc pod ścianami było wysypanych białym dezynfekcyjnym proszkiem, którego piekąca woń, łączyła się z czymś mdłym i słodkawym, co utrudniało oddychanie, ale przyspieszało bicie serca w piersiach.

Mury rzeźni były wzniesione z żółtych cegieł z wyciętym znakiem firmowym cegielni Koliebkens, okna, któ-

re słabo rozjaśniały halę, wyglądały jak okratowane otwory w grubych ścianach więzienia, sufit, a raczej sklepienie wykonane z nitowanej blachy, które zamykało się nad halą długim łukiem, było wsparte na paru żeliwnych kolumnach z korynckimi głowicami, co nadawało całemu wnętrzu pozor jakiejś starej budowli kolejowo-dworcowej. Na betonowej posadzce, mokrej i poplamionej olejem do maszyn, ciągnęły się błyszczące szyny, na których stały blaszane wózki na sześciu kołach. Paru pracowników w brudnych od lepkiej czerwieni fartuchach z szarej gumy, szuflami zgarniało piasek rozsypany w miejscach, gdzie gromadziły się matowe, czarne kałuże, które przeskakiwano, by nie poślizgnąć się na kleistej mazi. Chłopiec, patrząc na wszystko spod daszka czapki nasuniętej na oczy, wychylił się poza żelazną barierkę, by lepiej widzieć to, co zaczęło się dziać przy wysokich, blaszanych drzwiach hali, które otwarto na oścież. W smudze dziennego światła – chłodny blask wlał się do hali – posługacze w gumowych kitlach wpędzali do środka stado zziębniętych koni, ostrymi szpikulcami kłując spłószone zwierzęta. Bolesne rzenie i łoskot kopyt, uderzających płochliwie o betonową posadzkę, mieszały się ze zgrzytem żelaza i piskiem obracających się kół podnośnika. Zwierzęta zapędzono do długiego przejścia, zamkniętego z dwóch stron metalowymi poręczami, tak że jeden koń napierał głową na zad następnego, rżąc i szarpiąc się w ciasnej przestrzeni. Na końcu przejścia połyskiwał białymi kafelkami kwadratowy boks, w którym stał uczeń Mistrza, w gumowym fartuchu sięgającym do ziemi i gumowych butach. Pomocnik w białej czapce uniósł dźwignię blokady, oddzielającej boks od przejścia i pierwszy koń wbiegł do boksu, wpadając między wąskie, niklowane uchwyty, które unieruchomiły go na krótką chwilę, ale ta chwila wystarczyła, by uczeń Mistrza uniósł wysoko drewniany młot na długim stylisku i uderzył nim w końską głowę, która odskoczy-

ła jak piłka, końskie nogi rozjechały się na mokrej posadzce, z chrap wypłynęła krew i ogłuszone zwierzę osunęło się na ziemię. Natychmiast młody posługacz zaczął mu pętlę łańcucha na tylnej nodze i podciągnął bezwładnego konia do góry na umieszczonym ponad boksem bloku z metalowym kółkiem, które piszczało przy każdym obrocie. Wiszące zwierzę miało wyprężone, sterczące nogi, ciężko kołysało się na łańcuchu jak ciało nagiej, grubej kobiety, bo koń miał nogi obrzmiałe w stawach i kępy rudych włosów na pęcinach. Od razu podszedł do niego posługacz z nożem o wąskim ostrzu, jednym cięciem otworzył gardło, z którego buchnęła czarna krew, oblewając końską głowę zwisającą nad posadzką, wsunął rękę w gumowej rękawicy do otwartej rany, paroma szarpnięciami wyrwał przelyk i tchawicę, co sprawiło, że konające zwierzę, rzuciło się jak smagnięte elektrycznym prądem. Nóż posługacza paroma pociągnięciami odciął od szyi końską głowę, która spadła na posadzkę z wytrzeszczonymi oczami i czerwoną pianą na kosmatych wargach.

Wiszący na tylnej nodze koń z odciętą głową drgał i wypręzał nogi, jakby kopytami szukał oparcia w powietrzu, ale kolejny posługacz już uderzał w jego napięty brzuch toporem o szerokim ostrzu, przerabując żebra w klatce piersiowej, która po kolejnym uderzeniu otwarła się i na posadzkę wychlusnął z niej kłęb gąbczastych płuc, wielkie, czarne serce, galaretowata wątroba i splątane, sinoróżowe zwoje jelit, które inny posługacz błyszczącymi widłami zgarniał od razu do rynsztoka z bulgoczącą krwią, popychając wszystko nogą w gumowym bucie, by poszarpane resztki nie przeszkadzały w dalszej robocie.

Maria zamknęła oczy, mdłości podpłynęły jej do gardła, ale chłopiec – wychylony za żelazną poręcz, pobladły z emocji, chłonał każdy szczegół z palcami zaciśniętymi na barierce, węższąc, jakby na zawsze chciał zapamiętać słodkawą woń,

która biła z dna hali. Drewniany młot ucznia Mistrza spadał na końskie czaszki, ale w rzeniu koni, łoscocie kopyt, zgrzycie obracających się bloków, dzwonieniu łańcuchów i trzaskaniu podnośników, tępy odgłos drewna uderzającego w koński łeb ginał zupełnie, tak że spadanie i uderzanie traciło pozór wszelkiego ciężaru i siły. Konie, jeden po drugim wypchane do wyłożonego kafelkami boksu, wbiegające między metalowe uchwyty, ślizgały się na lepkiej od krwi posadzce, a czasem, gdy uderzenie było szczególnie mocne, z końskich czaszek wyskakiwały gałki oczne i spadały na beton, rozgniatane obcasami przez szybko przechodzących posługaczy, którzy nie mieli czasu, by patrzeć pod nogi, bo w biegu ostrzyli cienkie noże, szybko uderzając jedną klingą o drugą. Dwóch robotników szlauchami polewało posadzkę, na której szerokimi kałużami rozlewała się cieknąca z przeciętych końskich gardeł krew, zmieszana ze strzępami sierści, moczem i odchodami, w której przebłyskiwały kawałki połamanych kości. Spływające do rynsztoka zwoje jelit, pękające żółcią i zielonawymi płynami o piekącym zapachu, parowały, jakby je wyjęto z wrzącej wody, ale posługacze, nic sobie z tego nie robiąc, widłami usypywali pod ścianą rosnącą górę wnętrzości, w której tonęły odrąbane końskie głowy z wybałuszonymi oczami.

Po paru chwilach Maria spostrzegła, że nie ma przy niej chłopca. W rozpiętej kurtce, z zaciśniętymi pięściami, zbiegał w dół po żelaznych schodach, jakby go coś opętało. Krzyknęła, by wracał, ale jej krzyk utonął w ogólnym hałasie, więc pobiegła za nim, przeskakując po kilka stopni, by wciągnąć go z powrotem na górę, ale on był szybszy, zeskończył ze schodów, przebiegł obok rozrąbanych koni wiszących na łańcuchach, wmieszał się między posługaczy, byleby tylko znaleźć się najbliżej najważniejszego miejsca, które przyciągało go jak magnes. Podbiegł do lśniącej od białych kafelków przegrody, gdzie na łańcuchach wisiało ostatnie

ogłuszone zwierzę i płasko przyłożył dłoń do końskiej sierści dokładnie w chwili, w której posługacz lewą rękę wsunął do otwartej rany i z rozciętego nożem gardła wyrwał przelyk i tchawicę, aż całe zwierzę wzdrygnęło się jak oparzone, ostatni raz chwytając powietrze do płuc. Trzymając tak dłoń przyłożoną do zwierzęcego boku, chciał poczuć palcami dreszcz przebiegający pod końską skórą, wyczuć nagły skurcz mięśni i nerwów, ostatni objaw życia, które brudną strugą krwi ściekało teraz z rozciętej rany do odpływu w posadzce, uchwycić krótki jak mgnienie oka moment przeskoku życia w śmierć.

Maria chwyciła go za ramię i przeklinając odciągnęła od wstrząsanego drgawkami zwierzęcia. „Czyś ty zwariował!” – szarpnęła go za rękaw, ciągnąc w stronę żelaznych schodów, ale oczy miał zamroczone i dopiero po paru krokach spojrzał na nią przytomniej. Szarpnął się, chcąc wyrwać rękę z uścisku, ale nie puszczała. Gdy go trzasnęła w policzek, by choć trochę oprzytomniał, otworzył oczy szerzej, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu i przygaszony, bezwolny, posłusznie poszedł za nią w stronę żelaznych schodów, które prowadziły na górną galerię. Przechodząc przez halę rzeźni, mijali błyszczące kadzie z kawałkami odciętych końskich nóg, które posługacze pchali po szynach na sześciokołowych wózkach, schylali głowę pod rozrąbanymi żebrami, białe kości świeciły w krwawej masie, ociekającej czymś śliskim, ktoś ich odepchnął na bok, gdy weszli pod kołyszące się łańcuchy z błyszczącymi hakami, ktoś krzyczał, żeby nie plątali się w przejściu, bo konie zaraz tu wbiegną. Minęli wyłożony kafelkami boks, usłyszeli trzask drewnianego młota spadającego na końskie czaszki, przy ścianie na szeroko rozstawionych nogach, ślizgając się w rozlanej krwi, stał uczeń Mistrza w gumowym fartuchu, tak zajęty ogłuszaniem kolejnych zwierząt, że nawet ich nie zauważył. Gdy przeszli dwa kroki od niego, przeraźliwe rzenie koni wpychanych przez posługaczy

do boksu przechodziło we wrzask, wysoki ptasi pisk, wszystkie tony i barwy głosu, jakich nie potrafi wydobyć z siebie człowiek, a zwierzę trzyma w swoich trzewiach na ostatnią chwilę życia.

Gdy wyprowadziła go bocznym wyjściem z rzeźni na puste nabrzeże Motławy za wyspą Bleihof, spostrzegła, że ubranie ma umazane krwią. Sprowadziła go po kamiennych schodkach nad samą wodę portowego kanału i umoczoną chusteczką ścierała lśniące ślady z kurtki, nie zauważając, że – blady, z sinym cieniem pod oczami – chwieje się na nogach, jakby go upiło mocne, słoneczne powietrze, którego mimo starań nie mógł głębiej wciągnąć w płuca, a gdy nim mocniej potrząsnęła, by wreszcie doszedł do siebie, zaczął wymiotować krótkimi, szarpiącymi spazmami, brudząc sobie rękawy żółtawą masą niestrawionego pokarmu.

„No! – trzymała go za czoło, pochylonego nad wodą, z trudem hamując wzburzenie, bo sama po tym, co zobaczyła w rzeźni, też nie mogła dojść do siebie. – Chcesz jeszcze tam wrócić? Chcesz sobie jeszcze popatrzeć?”. Nie panowała nad nerwami. Pod wpływem scen widzianych w rzeźni stanął jej przed oczami obraz nagiego, ludzkiego ciała poranionego uderzeniami w ciężkim, więziennym śledztwie. Poczucie zupełnej bezsilności złączyło się z wściekłością, jakiej w sobie nie podejrzewała, a która – wbrew niej samej – zwróciła się przeciwko chłopcu, tak że przez mgnienie chciała go nawet uderzeniem pięści zepchnąć do wody portowego kanału, by zniknął z jej oczu na zawsze. Teraz nienawidziła wszystkiego, bo on – ten chłopak od Hammelsa, w którym wyczuła cały chłód ojca – wydał jej się uosobieniem tego, co w ludziach najgorsze, więc chociaż – widziała to – był roztrzęsiony i nieszczęśliwy, w tej niedobrej chwili, nie zasługiwał na żadną litość. Wycierając mu kurtkę ze śladów końskiej krwi chustką umoczoną w wodzie, nie potrafiła się wyzwolić z gwałtownej niechęci, a on – półprzytomny,

wstrząsany skurczami żołądka – raz po raz wymiotował do wody żółcią i śluzem, trzymając się rozcapierzonymi palcami trawy, która rosła w szczelinach kamiennego nabrzeża, jakby przeczuwał, że może w każdej chwili zostać zepchnięty do kanału.

„Nie możesz w takim stanie wracać do domu” – powiedziała, dochodząc do siebie. Wiedziała, że gdyby teraz wrócił do willi pod Lasem Gutenberga, mógłby jeszcze nieopstrzeżenie przejść przez ogrodzenie z żelaznych prętów, tak że nikt nawet nie zauważyłby jego zniknięcia, bo godzina nie była jeszcze późna i może pani Sonnenberg nie zarządziła jeszcze poszukiwań. Gdyby przelazł na teren ogrodu od strony lasu, gdzie wysypaną żwirem ścieżkę zasłaniają kępy różaneczników i azalii, mógłby wślizgnąć się z powrotem do domu niezauważony i udać przed wszystkimi, że dla kawału siedział przez cały czas na strychu czy na mansardzie, a wtedy nie byłoby żadnej sprawy. „Muszę ci oczyścić ubranie” – powiedziała, ciągnąc go za sobą po kamiennym nabrzeżu Motławy w stronę Szafarni, aż do mostu przy Stągwiach Mlecznych, po którym właśnie przejeżdżał biało-niebieski tramwaj, jadący w stronę kościoła St. Barbara Kirche. Potem brukowaną jezdnią doszli do Mattenbuden Brucke, gdzie paru żołnierzy z pułku piechoty dokręcało nity na żelaznej konstrukcji, minęli żółty budynek koszar, po czym weszli w ulicę Weidengasse. Szedł obok niej przerażony, bezbrony, powtarzając, że musi jak najszybciej wracać do domu, bo nie chce robić przykrości ojcu, który na pewno martwi się jego nieobecnością, na co ona odpowiadała: „Daj spokój. Chcesz się naprawdę pokazać ojcu w takim stanie? Tu niedaleko moja znajoma ma mieszkanie z łazienką, to się ogarniesz, a potem sobie wracaj, gdzie chcesz”. „To chodźmy szybciej” – nalegał. Idąc przy nim, czuła mocną, złą satysfakcję, że szok, jakiego doznał, był większy niż się spodziewała, bo mówił bez zwykłych u niego zaczepnych tonów, skruszo-

ny, przejęty. Z drugiej jednak strony nie wiedziała, czy to, co przeżył w budynku rzeźni, obróci się na lepsze, czy raczej zaostrzy w nim wszystkie niedobre rzeczy, które ją tak niepokoiły. Widok nagiej śmierci, który się przed nim w rzeźni odsłonił, mógł go przemienić, ale mógł też ściągnąć w dół, dając alibi dla ukrytych myśli, które siedziały w nim od dawna i tylko czekały na okazję, by wybuchnąć jakimś czynem niespodziewanym i okrutnym.

Weszli przez małe drzwi do bramy pomalowanej na czarno, po dłuższej wędrówce podwórkami, przez galerie zawieszono mokrą bielizną i zadymione przejścia między ceglany- mi ścianami magazynów doszli do wysokiego domu, wspięli się po schodach na górę i stanęli przed drzwiami mieszkania, które Maria dobrze знаła. Nacisnęła klamkę, ale choć wtedy, kiedy była tu ostatnio, mieszkanie było zupełnie puste, pozbawione wszelkich sprzętów, jakby ktoś w nim niedawno zmarł, teraz, gdy stanęła w progu, zobaczyła przed sobą ten sam co zawsze jasny korytarz, oparty o ścianę rower pomalowany na srebrno, drewniane narty i sanki ze skórzaną uprzężą, pod sufitem zaś wiszący na nitkach, jak zawsze, blaszany model transatlantyku „Columbus”, na którego widok chłopiec wyraźnie się ucieszył. Weszli do pokoju na końcu korytarza. Na żelaznym łóżku, w którym spędziła tyle pięknych godzin, leżała świeżo odprasowana pościel, a w górze było jasno od słonecznego światła, które przenikało przez mleczne szyby szklanego sufitu, zabarwiając wszystko złotawym blaskiem. „Rozbieraj się – powiedziała do chłopca. – Pachniesz rzeźnią”. Napaliła w piecu kuchennym, pomogła mu ściągnąć ubranie, napełniła wannę ciepłą wodą i starym umyła go gąbką, ścierając ze skóry pot i niedobre zapachy. Ciało miał gładkie i czyste, jak ciało Mistrza przed aresztowaniem, co ją dotknęło boleśnie, chociaż nie ponosił przecież żadnej winy, że ta różnica między jego jasną skórą i pociemniałą od krwi skórą Mistrza, z siniejącymi śladami

uderzeń, była tak niesprawiedliwa. Skóra chłopca, zaróżowiona od kąpieli, zdawała się mówić, że wszystko, co chore i zranione, zagoi się bez trudu. Ale teraz ta chłopięca skóra swoją gładkością drwiła z umęczonego ciała, które w poniżeniu czekało na śmierć.

Nalała wody do miednicy, uprała jego zabrudzone ubranie, po czym rozwiesiła na sznurach w kuchni, chłopca zaś wytarła ręcznikiem, owinęła prześcieradłem i posadziła na krześle przy ciepłym piecu, żeby mu włosy dobrze wyschły. Potem, sama nie wiedząc, dlaczego to robi, poszła do przedpokoju, podeszła do drzwi wejściowych, przekręciła klucz w zamku, zasunęła żelazną zasuwę, klucz schowała do kieszeni. Gdy usiadła w kuchni przy stole, dopadły ją najgorsze myśli. Patrząc na chłopca, nie była w stanie podjąć żadnej decyzji. Oparty plecami o rozgrzane kafle, drzemał senny po kąpieli, czekając, aż mu wyschnie ubranie rozwieszzone przy piecu, postukiwał palcami w blat stołu, pogwizdywał coś pod nosem, co jednak wcale nie płoszyło gołębi, kroczących za szybą kuchennego okna po blaszanym parapecie.

Propozycja

Na stole leżało parę starych gazet, które smolistą czernią tytułów złożonych dużą czcionką, obwieszczały, że flota cesarska w bazie Wilhelmshaven wkrótce będzie miała nowy krążownik o nazwie „Radhorst”, teatr gdański wystawi niebawem sławną operetkę Johanna Bucholtza o dziewczynie, która zakochała się w Turku, a nowy szpital na Schleusengasse, gdzie właśnie urządzono salę chirurgiczną, będzie miał narzędzia medyczne prosto z fabryki Zeissa, które wspaniałomyślnie zakupił dla miasta Ruben Hersen, filantrop z Zoppot. Wyjęła z szuflady czarne nożyce krawieckie i żeby zabić chłopca, opartego o kafle pieca, zaczęła ciąć gazetowy papier na paski i układać z wykrojonych liter przypadkowe wyrazy. Dopiero kiedy chłopiec z wyciętych skrawków ułożył słowo „wymiana”, coś się w niej otworzyło, aż na moment wstrzymała oddech, tak to, co jej przyszło do głowy, było straszne i nieodparte. Wiedziała już, że teraz musi napisać najokropniejszy list w swoim życiu, ale czuła, że musi ten list napisać, choćby miała za to zapłacić wysoką cenę. Na kartce wyrwanej z zeszytu na próbę napisała kilka słów, ale kiedy je przeczytała, od razu przekreśliła je mocnym pociągnięciem ołówka, a kartkę zmięła i wrzuciła do ognia. Gdy chłopiec

przysnął z głową opartą na dłoni, okryła go kocem. Przeszła do pokoju z sufitem z mlecznego szkła, wyciągnęła z szafy starą, dawno nieużywaną maszynę do pisania z rysunkiem orła ze złotymi piorunami w szponach na emaliowanej pokrywie, ustawiła maszynę na okrągłym stole z szydełkowaną serwetą, wkręciła czystą kartkę pod wałek, wystukała na niej list, składający się z paru słów, na kopercie wystukała adres, włożyła list do koperty, nakleiła znaczek z podobizną cesarza Wilhelma, kopertę zakleiła, maszynę schowała do szafy, szafę zamknęła, tak że chłopiec, drzemający z głową opartą na dłoni, nie mógł zobaczyć niczego.

Nie wiedziała, co robić dalej. List położyła przed sobą na stole. Jeszcze wahala się z decyzją, po której – wiedziała to – nie mogłaby się już cofnąć. Zegar wiszący w kuchni mozolnie wystukiwał minuty, ale wskazówki nie pokazywały właściwej godziny, ociągając się w marszu po emaliowanej tarczy, jakby liczyły, że czas nie jest już potrzebny nikomu na Ziemi, więc wzrokiem starała się popchnąć ich posrebrzane ostrza, by ruszyły szybciej i zdążyły osiągnąć rzymskiej dwunastki przed północą. Wahadło zdawało się kołysać coraz wolniej za kryształową szybą, od brzegu do brzegu, leniwie, ociężale, bez nadziei na dojście do celu. Lekkie skrobanie gołębich pazurów, które ślizgały się na blaszanym parapecie, zapowiadało, że kiedyś nastąpi koniec świata, chociaż już teraz wszystko – mury wysokiego domu, rozgrzane kafle pieca, zaróżowione po kąpieli ciało chłopca, jej świeżo umyte, opłukane w ciepłej wodzie ręce – podlegało bezgłośnej pracy zniszczenia, której nic nie było w stanie zatrzymać. List, który leżał na stole jak marmurowa płytka z wykutym na niej imieniem umarłego, miał w sobie siłę większą niż oddział huzarów Mackensena z koszar w Hochstriess, aż bała się go wziąć do ręki. Przez moment chciała nawet podrzeć list, zapomnieć, że w ogóle istnieje, ale w przypiływie bezsilnego gniewu, na myśl o cierpieniach, które dosięgają Mistrza w celi więzienia

teraz, gdy ona tu sobie siedzi w pokoju, chwyciła kopertę ze stołu, wyszła z mieszkania na klatkę schodową, zamknęła drzwi mocno na klucz, na wypadek gdyby chłopiec się obudził. Zbiegła po schodach na parter, skręciła za sklepem kolonialnym Rubinsteina w Strausssgasse, odszukała przybitą do muru skrzynkę poczty cesarskiej i zamykając oczy, z wahaniem, które trwało dłuższą chwilę, wrzuciła list do skrzynki. Kryjąc się za drzewami, które rosły na skwerze przy słupie ogłoszeniowym, szybko wróciła do mieszkania na wysokim piętrze, tak by nikt nie zapamiętał, że to właśnie ona była przy skrzynce i że to ona wrzuciła list.

Kiedy weszła do mieszkania, ubrania chłopca dosychały na sznurach, on sam obudził się przy piecu przerażony, że zmarnował tyle czasu na sen, więc od razu zaczął wciągać na siebie gwałtownymi ruchami koszulę i spodnie, zapinać szybko guzik po guziku, domagając się przy tym natarczywie, by jak najszybciej odwiozła go do domu. Przez dłuższą chwilę nic nie odpowiadała, tylko siedząc za stołem, nieśpiesznie smarowała masłem kromkę ciemnego chleba, którą mu potem podała, co zignorował z wyniosłą miną, jakby chciał ją obrazić. Założył kurtkę, zasznurował brązowe buty, wsadził na głowę czapkę z daszkiem. Wtedy powiedziała do niego, żeby usiadł, bo zostaną tutaj jeszcze przez jakiś czas. Nie rozumiał. Jak to zostaną? Tutaj? Z jakiego powodu? Przecież on musi wracać do domu! Ojciec na pewno się niepokoi, a pani Sonnenberg już dawno pewnie wpadła w panikę, w końcu może obawiać się nie tylko stanowczych słów przygany, ale i poważnych kar, łącznie ze zwolnieniem, albo czymś jeszcze gorszym, skoro – jak ojciec pewnie do niej powie – dopuściła do jego zniknięcia z willi. Kłopoty będzie miał też służący Herten. „Cóż to za pomysły? – strofował Marię jak pracodawca krnąbrnego pracownika. – O co pani chodzi? Musimy wracać jak najszybciej do domu, bo będzie z tego tylko niepotrzebne zamieszanie”. Ale ona nadal nie odpowiadała na

jego słowa, zajęta układaniem obrusów na półkach, porządkowaniem świeżo upranej pościeli, sprawdzaniem, czy w szafkach jest cukier, sól, mąka, groch, co bardzo go zdenerwowało, więc stukając mocno obcasami, stanowczym krokiem wyszedł z kuchni, przeszedł przez korytarz, podszedł do drzwi wejściowych, nacisnął na klamkę, szarpnął mocno, ale drzwi zamknięte na klucz nie chciały ustąpić. „Niech pani otwórz! Słyszysz pani! Co pani wyprawia?” – pieklił się, uderzając pięścią w futrynę. – Po czymś takim ojciec od razu panią zwolni!”. Odstawiła na półkę porcelanową cukiernicę z rysunkiem Dworu Artusa na wieczku. „Siadaj. Nie krzycz. Powiedziałam przecież, że musimy tu trochę posiedzieć”. Spojrzał na nią rozszerzonymi oczami: „Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, co pani mówi?”. „Przestań krzyczeć – powtórzyła. – Niedługo wrócisz do ojca. Ale teraz trochę tu posiedzimy”. „Posiedzimy? O czym pani mówi? Ojciec niepokoi się, a ja muszę...”. Wzięła z półki szklaną paterę na owoce i zaczęła wycierać ją lnianą szmatką, chuchając w szkło. „Przecież sam chciałeś uciec z willi”. „Ale tylko na godzinę, dwie! – krzyknął, zaciskając pięści. – Teraz muszę wracać!”. „Powiedziałam już – postawiła wytartą do czysta paterę na półce kredensu – że wrócisz za jakiś czas, ale teraz nie powinienes mi utrudniać...”. „Czego ja nie powinienem pani utrudniać? O czym pani myśli?”. „Siadaj – sięgnęła po czajnik i paczkę herbaty. – Trochę tu poczekamy, a potem wszystko się wyjaśni. Zobaczysz, to nie potrwa długo”. „Ale dlaczego pani chce mnie tu trzymać?”.

Nic na to nie odpowiedziała. Niech się chłopak wykrzyczy, to może trochę ochłonie. Usiadł naprzeciwko niej przy kuchennym stole, oparł łokcie na blacie i długo jej się przyglądał. „Ach, to tak... – powiedział powoli, nie spuszczając z niej oka. – Chyba wiem, co pani zamierza”. „No, widzisz – wzięła się do wycierania świeżo opłukanych łyżek z ładnym monogramem, które rozłożyła na blacie stołu. – To nie takie

trudne domyślić się”. „Może pani mieć kłopoty” – zgniótł czapkę w dłoni. Podniosła na niego oczy. „Kłopoty, panie Hammels, to ja mam od dawna”. „Ale teraz – powiedział z naciskiem, kładąc czapkę na stół – będzie pani miała jeszcze większe”. „Możliwe – wróciła do wycierania łyżek. – Ale nie mam wyjścia”. Pochylił się ku niej. „Czego pani chce od ojca w zamian za moją osobę?”. „Niczego. Nie zwracaj głowy. I tak mam dosyć zmartwień”.

W milczeniu wycierała łyżkę za łyżką, układając je równo w szufladzie, a potem poprawiając palcem ich ułożenie w drewnianych przegródkach, co go tak rozdrażniło, że aż zaklął pod nosem. Nie mówili do siebie przez parę minut. Gdy skończyła z łyżkami, popatrzył na nią z niechęcią. „Chodzi o tego człowieka, dla którego ma pani współczucie, jak to pani kiedyś powiedziała, kiedy ja mówiłem, że trzeba spalić zwłoki po egzekucji na wzgórzu Karlsberg?”. „Daj mi spokój – odwróciła twarz w stronę okna, żeby nie widział jej oczu. Za szybą przeleciało z trzepotem parę gołębi. Szare piórko spadło na parapet, wirując w mglistym powietrzu.

W nocy przespała się w kuchni, na skrzyni, pod kraciatym pledem ze szkockiej wełny, trzymając przy sobie cały czas klucz, bo dręczyły ją niedobre sny. Rano obudziła go o siódmej. „Muszę wyjść, a ty tu zostaniesz”. Podniósł się na poduszkach rozespany. „Będę krzyczał, może mnie ktoś usłyszy”. Przykryła go kołdrą, która zsunęła się na podłogę. „Możesz sobie krzyczeć, ile chcesz. To pusty dom. Nikt tu nie mieszka. Mają go niebawem zburzyć”.

Odprasowała suknię, sprawdziła przed lustrem upięcie woalki na kapeluszu, przetała buty, poprawiła ułożenie włosów, podpięła kosmyk nad uchem spinką z akwamarynowym oczkiem, wzięła pod pachę torebkę, zbiegła na dół po schodach. Gdy szła ulicą Weidengasse na przystanek linii numer 17 poczuła lęk, czy podoła temu, co chce zrobić. Musiała wiedzieć, jak sprawy stoją, dlatego wyszła z domu, ale para-

liżował ją strach. Wsiadła do tramwaju przy zakręcie, koło koszar, tam, gdzie drzewa osłaniają chodnik od zachodniej strony i przesiadając się dwukrotnie z tramwaju na tramwaj koło Bramy Oliwskiej, a potem przy ceglanym budynku końskiego maneżu, gdzie tory zakręcają w stronę Brosen, była w willi prokuratora Hammelsa już koło ósmej, tak jak co dzień gotowa do rozpoczęcia lekcji z Helmutem, ale ledwie zdążyła rozłożyć książki na stole w pokoju chłopca, wezwano ją do gabinetu na parterze.

Kiedy schodziła po schodach, sunąc dłonią po rzeźbionej poręczy, serce boleśnie uderzało w piersiach. Stając w drzwiach gabinetu, spostrzegła, że prokurator Hammels nie jest w sam. Towarzyszyli mu pani Sonnenberg i mężczyzna w brązowym surducie, który przedstawił się jako Haberstadt. Wszyscy siedzieli przy okrągłym stole, w kącie pokoju, pod obrazem Friedricha, przy mahoniowych półkach z książkami, tam gdzie zwykle siadywała podczas wieczornych rozmów z prokuratorem Hammelsem, ale nie wyglądali na spokojnych. „Panno Ferbelin – powiedziała pani Sonnenberg, gdy Maria zajęła miejsce obok niej. – Czy Helmut mówił ostatnio coś, co mogło panią zaniepokoić?”. Maria uniosła brwi. „Nie wiem, co pani ma na myśli”. „No, czy mówił coś, co mogłoby wskazywać, że może zrobić coś nierozsądnego?”. Maria pokręciła głową: „Niczego takiego sobie nie przypominam. A dlaczego pani pyta?”. „Panno Ferbelin – powiedziała z powagą pani Sonnenberg – wczoraj Helmut zniknął”. Maria zmarszczyła brwi. „Jak to zniknął?”. „Są dwie możliwości – pani Sonnenberg ani na chwilę nie traciła powagi. – Albo uciekł z domu, tak jak to robią czasem chłopcy w jego wieku przejęci powieściami Fenimore’a Coopera, albo...”. „Przecież – Maria zdziwiła się – jego wyjście zostałoby od razu zauważone, choćby na wartowni”. Pani Sonnenberg położyła ręce na kolanach. „Nie zauważono niczego”. „W takim razie – Maria odetchnęła z ulgą – nie ma

powodu do niepokoju. Chłopiec jest gdzieś w domu. Pewnie gdzieś się zaszły, przejęty, jak pani mówi, powieściami Coopera”. „Nie, panno Ferbelin – w głosie pani Sonnenberg zabrzmiały twarde tony – nie ma go na strychu”. „Podejrzewacie więc państwo...”. „Droga pani – odezwał się Haberstadt, który dotąd przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu – mamy czasy niespokojne, więc ktoś mógł...”. Maria popatrzyła na niego. „Byłam w willi do pierwszej. Chłopiec rozwiązywał ze mną zadania z geometrii. Przedtem zesłam do kuchni i zapytałam panią Sonnenberg, czy mogę lekcje skończyć wcześniej, bo muszę kupić lekarstwa dla ojca. Kiedy wychodziłam, Helmut siedział w swoim pokoju. Odwracając się na podjeździe, widziałam go w oknie”. „To prawda – skinęła głową pani Sonnenberg – gdy pani stała przed domem, krzyknęła pani do niego, żeby odrobił zadania z geometrii, które mu pani zaleciła. Ja zaś weszłam do jego pokoju koło czwartej, żeby go zawołać na obiad, ale już go tam nie było. Pomyślałam sobie, że pewnie ukrył się gdzieś dla zabawy, żeby zrobić nam kawał, więc go nie szukaliśmy. Myśleliśmy, że jeśli sobie gdzieś siedzi w jakiejś swojej kryjówce, to się sam znajdzie”. „Więc kiedy zauważyliście, że zniknął?” – Haberstadt chciał ustalić fakty. „Chłopiec czasem chował się dla zabawy, więc nie wszczynaliśmy alarmu – powiedziała pani Sonnenberg. – A nikt ze strażników nie zauważył jego wyjścia poza teren willi, bo od razu by nas o tym powiadomiono. Teraz rozumiem, że było to z naszej strony niedopatrzenie. Gdybyśmy nieobecność chłopca potraktowali właściwie, szybciej by zaczęto przetrząsać okolicę”.

Z przebiegu rozmowy Maria zorientowała się, że pod wieczór oddział wartowniczy, stacjonujący za ogrodzeniem willi, w brzozowym zagajniku, przetrząsnął Las Gutenberga i Królewską Dolinę, wspinając się nawet na szczyt ślimaka widokowego, ale nie dało to żadnego rezultatu. „Pamięta

pani, jak chłopiec był ubrany, kiedy go pani widziała po raz ostatni?” – dopytywał się Haberstadt. „Chyba jak zwykle miał na sobie granatową kurtkę z białymi guzikami, czarne spodnie na szelkach, białe sportowe buty. Ale jeśli chciał rzeczywiście uciec z domu, mógł włożyć coś innego”. Haberstadt zapisał dane w notesie, z których jednak niewiele wynikało. „Zostanę jeszcze trochę w pokoju Helmuta – Maria zwróciła się do pani Sonnenberg. – Przejrzę jego zeszyty. Jak się odnajdzie, wrócimy do lekcji”. „Ja też tak myślę – powiedziała pani Sonnenberg. – Niech pani jeszcze trochę zaczeka”.

Prokurator Hammels przez cały czas milczał, patrząc w okno, jakby ta rozmowa w ogóle go nie dotyczyła, a przysłuchiwał się jej jedynie z poczucia obowiązku. Wyglądało na to, że woli zbagatelizować sprawę. Pewnie chłopiec zasnął gdzieś w jakiejś swojej kryjówce i przespał tam całą noc, a teraz śmieje się z nich w ukryciu. Oczywiście to nierozsądne, ale chłopcom w jego wieku zdarzają się takie rzeczy. Wskazana jest dyskrecja, bo wiadomość o zniknięciu syna prokuratora Hammelsa z pewnością zostałaby uznana przez komendanta Eberhorna za kolejny dowód, że aktualny zarządca prowincji nie panuje nad sytuacją, skoro pod jego nosem dzieją się takie rzeczy. O sprawie nie należy zatem na razie informować nikogo, bo może żadnej sprawy po prostu nie ma. Nawet jeśli chłopiec wymknął się poza willę, możliwe, że sam się odnajdzie, choćby na podwieczorku u naczelnika Vorgasta czy na spacerze w oliwskim parku.

Maria wyszła z gabinetu spokojnie, ale gdy zaczęła wchodzić po schodach na piętro, musiała oprzeć się o poręcz, tak słabo się poczuła. Chwilami ogarniał ją strach tak silny, że zaciskała zęby, żeby nie krzyknąć. Gdyby teraz opuściła teren willi, z pewnością nie zostałoby to dobrze przyjęte, a może nawet rzuciłoby na nią jakieś niedobre podejrzenia, więc usiadła na krześle Helmuta przy oknie i patrzyła w napięciu

na bramę wjazdową koło wartowni, w której za jakiś czas miał pojawić się listonosz jak zwiastun burzy, niosący w skórzanej torbie piorun.

Czas mijał, a listonosz się nie pokazywał, co zaczęło ją niepokoić, chociaż równocześnie odetchnęła z ulgą, że go nie ma, bo znaczyło to, że jeszcze nie nadszedł czas na najtrudniejsze. Nagle spłoszyła ją myśl, że chłopiec jakimś cudem mógł wydostać się z mieszkania na Weidengasse i zjawi się zaraz w willi, co byłoby dla niej końcem wszystkiego, ale przypomniała sobie, że drzwi na Weidengasse mają żelazną zasuwę i mocny zamek, którego nie wylamałby nawet człowiek dorosły. Zostawiła chłopcu jedzenie w kuchni, więc mogła wierzyć, że nic złego się nie stanie. To jednak, że listonosz się nie zjawiał, wprawilo ją w nerwowe drżenie, choć nie wiedziała, czego powinna obawiać się bardziej: czy tego, że listonosz może zjawić się za chwilę z wiadomym listem, czy też tego, że dzisiaj nie zjawi się wcale. Miała poczucie, że musi zostać w willi jak najdłużej, bo tylko tu, na miejscu, będzie miała jakąś szansę, by dowiedzieć się czegośkolwiek...

Koło dwunastej przysunęła twarz do okna. W bramie koło wartowni zobaczyła człowieka w mundurze pocztowca ze skórzaną torbą na listy przewieszoną przez ramię, który zasalutował strażnikom – wyszli mu na spotkanie, poprawiając karabiny na ramieniu – minął klomb i jak to zwykle robił, stanął przed wejściem do willi, cierpliwie czekając na żwirowanym podjeździe, aż wyjdzie do niego ktoś ze służby. Wiedziała, że przesyłki pocztowe, które docierają do biur prokuratora Hammelsa, są dzielone na dwie kategorie: listy bez specjalnego znaczenia i listy oznaczone literami SJ. Te drugie kiedyś zauważyła na biurku w mahoniowym gabinecie. Szykując swój list do wysłania, wypisała podobne litery na kopercie, znak dla urzędników pocztowych, że przesyłka powinna zostać dostarczona adresatowi do rąk własnych.

Zobaczyła, jak służący Herten wychodzi przed dom, odbiera listy od stojącego na podjeździe listonosza, a potem niesie je do gabinetu, oddzielając po drodze przesyłki ważne od mniej ważnych. Prokurator Hammels miał zwyczaj od razu ozdobnym nożem do papieru rozcinać koperty, które mu przyniesiono, wcale jednak nie było pewne, czy robi tak właśnie dzisiaj, bo czasem, kiedy schodziła do gabinetu na wieczorną rozmowę, widziała listy nierozcięte, cierpliwie czekające na swoją kolej na miedzianej paterze przy drzwiach. Mijały minuty. Nic nie mąciło ciszy w pomieszczeniach na dole. Wyglądało na to, że prokurator Hammels konferuje wciąż z Haberstadtem, nie zwracając uwagi na najświeższe przesyłki, które Herten położył tam, gdzie zwykle.

Dopiero po godzinie na dole trzasnęły drzwi, rozległ się czyjś podniesiony głos, na schodach zadudniły czyjeś nerwowe kroki i przed dom, dopinając guziki płaszcza, wyszedł szybko Haberstadt, po czym zaczął rozmawiać z jakimś oficerem w mundurze ze srebrnymi naszykami, który właśnie wjechał na zwirowany podjazd przed willą czarnym daimlerem i teraz uważnie słuchał tego, co mówił do niego bliski współpracownik prokuratora Hammelsa. Potem obaj wsiedli do samochodu i szybko odjechali sprzed willi, nie rzucając nawet okiem na strażników przy bramie, wyprężonych służbiście na widok czarnej limuzyny z niklowanymi listwami, która płynnie przejechała po zwirowanym podjeździe przed wartownią, skręcając za bramą na brukowaną jezdnię Jäschkentaler Weg.

Wahania zarządcy prowincji

Wyglądało więc na to, że po wyjściu Haberstadta prokurator Hammels jest w mahoniowym gabinecie sam, o ile nie wezwał po coś służącego Hertena czy jednego ze swoich asystentów, którzy zwykle czekali na jego polecenia w sąsiednim salonie, gotowi natychmiast stanąć w drzwiach z trząśnięciem obcasami, więc teraz w każdej chwili mógł sięgnąć po leżące na miedzianej paterze listy, które Herten mu przyniósł. Cisza na dole przedłużała się, minęło parę minut, rozległy się kroki na schodach, pukanie do drzwi, po czym – co przyjęła z niepokojem – do pokoju, w którym siedziała przy oknie na krześle Helmuta, wszedł jeden z asystentów, młody Ewald Morell i z zachowaniem wszelkich reguł zapytał, czy nie zechciałaby zejść na dół, na parę chwil rozmowy z prokuratorem Hammelsem, co ją prawdziwie przestraszyło, chociaż od godziny czekała właśnie na takie zaproszenie, wsłuchując się w ciszę panującą w pomieszczeniach na parterze.

Gdy weszła do gabinetu, prokurator Hammels stał przy oknie. Odwrócił się i niedbale wskazał rozcięty list, leżący na blacie biurka. „Niech pani przeczyta” – machnął ręką. Wzięła list, rozprostowała kartkę, przeczytała parę słów, które

teraz wydały jej się tak obce, jakby to nie ona je napisała. Dopiero po paru chwilach zauważyła, że wystukując tekst na starej maszynie do pisania, zrobiła dwa błędy ortograficzne, co zresztą sprawiło, że cały list nabrał prostackiej brutalności, jakby został napisany przez kogoś prymitywnego i groźnego, choć w samych słowach nie było żadnej agresji. Propozycja została sformułowana stanowczo, lecz dość bezbarwnie, ale teraz błędy, które popełniła wystukując w zdenerwowaniu list, zaostrzyły twarde sens zdań. Nadawcy listu stwierdzali, że trzymają w ukryciu syna prokuratora Hammelsa, Helmuta i proponują uczciwą wymianę, którą można przeprowadzić bez zbędnych utrudnień i narażania kogokolwiek na dodatkowe niebezpieczeństwa, o co w podobnych okolicznościach nie trudno.

Prokurator Hammels spojrział na nią zniecierpliwiony. „No i co pani na to?”. Raz jeszcze rzuciła okiem na list, po czym powiedziała, że list wydaje się jej autentyczny, a sprawa poważna. Prokurator przyznał jej rację, zapewniając, że też tak myśli, dodał jednak, że w podobnych przypadkach obowiązują go ściśle określone procedury, które wykluczają możliwość jakichkolwiek rokowań, więc wszelka odpowiedź na list, a nawet próba nawiązania pośredniego kontaktu z jego nadawcami, o ile by tylko wyszła na jaw, byłaby dla niego końcem wszystkiego, o co z pewnością postaraliby się „ludzie życzliwi” z otoczenia cesarza, zatem on sam ma ręce związane i nie może zrobić nic. Z pewnością jako naczelnik Prokuratorii i komendant wojskowy miasta może zarządzić poszukiwania na szerszą skalę, wątpi jednak, by dało to cokolwiek, bo Helmut z pewnością trzymany jest w dobrze przygotowanym już dużo wcześniej miejscu, może daleko poza miastem. Mało więc prawdopodobne, by tego typu pośpieszne i spektakularne poszukiwania z udziałem wielu osób, którym na dodatek towarzyszyłyby nieuniknione przetrząsanie prywatnych mieszkań, o czym trąbiłyby z pewno-

ścią wszystkie gazety, zakończyłyby się sukcesem, co zresztą tylko wzmocniłoby pozycję komendanta Eberhorna, który jako jeden z „ludzi życzliwych” tylko czeka, by pokazać cesarzowi, że aktualny – jak on to określa – zarządca prowincji, Hammels, nie panuje nad sytuacją na podległym jego władzy terenie, skoro nie daje sobie rady nawet ze sprawą tak palącą jak sprawa jego syna. Oczywiście zostały już wydane stosowne polecenia, by służby cywilne Prokuratorii bez niepotrzebnego rozgłosu rozpoczęły poszukiwania chłopca, lecz nie należy mieć złudzeń co do skutków tych zarządzeń, które zostały wydane raczej dla spokoju sumienia, niż w nadziei na szybkie załatwienie sprawy.

„Co więc pani radzi?” – spojrzał na nią mimochodem, wyjmując jej z palców kartkę z listem wystukany na maszynie. „Ja? – uśmiechnęła się, jakby to nie o nią chodziło. – Co ja mogę panu radzić. Jest pan w trudnej sytuacji, którą uważa pan za sytuację bez wyjścia, myśli pan, że nie może pan zrobić nic, a skoro pan tak myśli, to na cóż moje rady? Ja zresztą jestem tylko domową nauczycielką, niczym więcej...”. „Niech pani nie żartuje – strzepnął niecierpliwie pyłek z rękawa marynarki. – Haberstadt mówi, że sprawę należy załatwić dyskretnie”. „Dyskretnie? – zdziwiła się. – Myśli pan, że taką sprawę można załatwić dyskretnie? Już parę osób o niej wie”. „O liście wie tylko Haberstadt, ja i pani. Sonnenbergowa i Herten o zniknięciu chłopca nie powiedzą nikomu nawet słowa, bo nie leży to w ich interesie. A pani, jak sądzę, też nie ma żadnego interesu, by rzecz rozgłaszać”. „Ci, którzy trzymają pana syna w ukryciu, mogą rzecz rozgłosić”. Pokręcił głową. „Nie sądzę. Oni też nie mają w tym żadnego interesu. Chcą tylko, żebym uwolnił tego człowieka z Neustadt, który niedawno został skazany na śmierć, nic więcej. Nawet nie żądają pieniędzy”. Rzeczywiście, zdziwiła się, że o tym nie pomyślała. Należało pod listem umieścić skromny dopisek, w którym fanatyzm nieznanymi sprawców

zostałby połączony z niskim pożądaniem złotych guldenów, co wzmocniłoby wymowę całości...

Wciąż nie rozumiała, dlaczego prokurator Hammels, zarządca prowincji cesarstwa, naczelnik Prokuratorii i wojskowy komendant miasta, mówi jej to wszystko. Mógł przecież wtajemniczyć w sprawę tylko Haberstadta, który – jak uważała – z pewnością do tego typu zadań nadawał się znakomicie, choć można go było wziąć za nic nieznaczącego urzędnika Prokuratorii trzeciej klasy. Tymczasem wyglądało na to, że i ona miała odegrać w tym wszystkim rolę znacznie ważniejszą, niż dotąd przypuszczała, bo w słowach, jakimi prokurator Hammels mówił o zniknięciu chłopca, wyczuła tony prawdziwego bólu, więc w gruncie rzeczy – jak sobie pomyślała – chodziło mu pewnie nie tyle o rady, jak rozwiązać sprawę, która nagle mu spadła na głowę, ile raczej o współuczestnictwo, cień współczucia, rodzaj duchowego wsparcia w trudnych chwilach, po prostu o samą dobrą współobecność łagodzącą złe napięcia. Świadomość, że mogło to być echo dawnych rozmów w mahoniowym gabinecie, osłabiała ją i rozpraszała, bo do tej chwili czuła w sobie tylko zimną determinację i nienawiść, a teraz, patrząc na prokuratora Hammelsa, zobaczyła przed sobą człowieka, z którym lubiła rozmawiać wieczorami pod obrazem Friedricha, przekonana, że pod urzędową maską cesarskiego zarządcy prowincji kryje się zwykła kruchość ludzkiej natury. Nie wątpiła, że jego władza sięga daleko, ale widać też było, że on sam nie może poradzić sobie z samotnością po śmierci żony, którą wciąż boleśnie przeżywa. Mogła sądzić, że chciał, aby teraz choćby przez chwilę odegrała rolę kogoś w rodzaju matki Helmuta, co ją poruszyło i rozgniewało, podobnie jak kiedyś rozgniewało ją to, co do panny Mommelhaus powiedział o niej służący Herten. Dotąd starała się możliwie najobojętniej przyjmować to, co się działo wokół niej. Nie chciała tracić chłodnej ostrości spojrzenia, tak bardzo teraz potrzeb-

nej do unikania błędów, które mogły ją wiele kosztować. On sam był pewnie przekonany, że czuje się związana z chłopcem głębiej, niż to wynika z roli domowej nauczycielki, czego dowody – mógł tak myśleć – dawała nie raz, choćby podczas wieczornych rozmów w gabinecie, kiedy to – jak pamiętał – z prawdziwym przejęciem próbowała z nim rozmawiać o kłopotach z wychowaniem Helmuta i doradzała mu, jak powinien z synem postępować.

Usiadł w fotelu pod oknem. Przez chwilę wyglądało na to, że po tym, co go spotkało, chce zostać sam, więc powinna opuścić już pokój i wrócić do swoich zajęć. Kiedy jednak przyjrzała mu się uważniej, zobaczyła coś, co było tak niespodziewane, że aż raniące. Gdy niebo nad Lasem Gutenberga zasłaniały chmury, twarz prokuratora Hammelsa przysłańiał cień, gdy zza chmur wyrzało słońce, napelniając światłem pokój, z trudem mogła uwierzyć w to, co zobaczyła przed sobą.

Prokurator Hammels, zarządca prowincji cesarstwa, naczelnik Prokuratorii i wojskowy komendant miasta, zasłonił twarz dłońmi. Nie był to ściśle biorąc płacz, lecz raczej wzbieranie łez pod powiekami, powstrzymywane wielkim wysiłkiem woli, co w przypadku mężczyzny robi szczególne wrażenie. Na widok tego, co się z nim dzieje, nie odczuła jednak żadnej satysfakcji, chociaż teraz, wiedząc, że to właśnie na jego polecenie Mistrza poddano bolesnym procedurom ciężkiego śledztwa, mogła sobie powiedzieć z ulgą, że nareszcie i jego dosięgła sprawiedliwość. Widać było, że strata syna, z którym wiązał tyle nadziei, jest zupełnie zdruzgotany. „Cóż ja mogę panu doradzić? – odważyła się dotknąć uspokajająco jego ręki. – Może tak już musi być. Bóg też oddał swojego syna na ukrzyżowanie”. Kiedy wypowiedziała te słowa, wyrwał rękę z jej dłoni. „Co mi tu pani mówi? Jakie znowu ukrzyżowanie? Ja pytam panią, co można zrobić, by uratować moje dziecko, a pani mi tu... Ja nie jestem żadnym

Bogiem Ojcem, który bez żadnych skrupułów oddał swojego syna na śmierć, ani Abrahamem, który zgodził się na zarżnięcie Izaaka, ja chcę mojego syna odzyskać i myślałem, że pani, która zna to miasto lepiej ode mnie, pomoże mi jakoś...”. Odsunęła się od niego na jeden krok. „Jakże ja mogę panu pomóc? Co mogę zrobić? To raczej pan powinien zrozumieć, że chyba dużo mniejszym złem będzie, jeśli pan zgodzi się na wymianę tego – jak pan nazywa – człowieka z Neustadt, którego niedawno skazano, na syna, niż...”. Popatrzył na nią z niechęcią. „Gdybym to zrobił, byłbym skończony”. „To prawda – przyznała. – Od razu by pana zdymisjonowano, a nawet może stanąłby pan przed sądem. Ale z drugiej strony, co jest dla pana ważniejsze: kariera czy syn? Ja gdybym miała wybierać, nawet bym się nie zawahała...”. Zamyślił się. „Jeśli by mnie postawiono przed sądem i skazano, co miałbym z syna, gdybym siedział w więzieniu?”. „Mówi pan głupio – powiedziała twardo. – Miałby pan życie syna. To mało?”.

Widać było, że kocha syna, ale władzy, o którą walczył przez całe życie, stracić nie chce, waha się przed podjęciem decyzji, która mogłaby go pogrążyć w oczach cesarza. Ileż to razy czytała w gazetach, że stolica w takich przypadkach wyklucza jakiegokolwiek negocjacje, gdyby więc wdał się w jakieś rokowania, od razu by go zniszczono, co zresztą wielu ludzi przyjęłoby z prawdziwą radością jako sprawiedliwy upadek człowieka, niezastużenie – jak uważano – wyniesionego na godność zarządcy prowincji, który dawno już powinien odejść, oddając władzę w mieście dużo godniejszym od siebie...

Jeśliby się zgodził na wymianę syna za tego człowieka i udałoby się tę – pozał się, Boże – transakcję przeprowadzić dyskretnie i tak zresztą wszystko by stało się jawne w dniu egzekucji, której termin został już ogłoszony w gazetach, bo głównego oskarżonego zabrakłoby na wzgórzu Karlsberg,

gdzie wyrok miał zostać wykonany. Oczywiście można by ogłosić, że więzień zmarł w więzieniu, ale mało kto by uwierzył w taką wersję, która zresztą rzucałaby niedobre światło na porządki w cesarskich aresztach, co także by go obciążało, bo sfery nieprzychylnie rządowi od razu podniosłyby krzyk, żądając dymisji osób odpowiedzialnych za śmierć, do jakiej doszło – jakby obwieszczały wszystkie „postępowe” gazety – w niewyjaśnionych okolicznościach.

„No, nie! – wybuchnął, uderzając pięścią w poręcz fotela. – Jeśli tych ludzi aresztujemy...”. „Dobrze – powiedziała zimno – ale teraz nie może ich pan osiągnąć, więc szkoda czasu na wygrażania. Teraz – upomniała go jak pielęgniarka chorego, który nie chce przyjmować lekarstw – trzeba podjąć decyzję. A że jestem kobietą, nie potrafię Panu radzić inaczej, jak tylko przypominając, że dla mnie nie ma niczego ważniejszego niż dziecko. Niczego pan ode mnie innego nie usłyszy. Z listu, który do pana wysłano, wynika, że ci ludzie mogą się posunąć bardzo daleko”. Wciąż się wahał. „Abraham – mruknęła – chciał poświęcić swojego syna, żeby być wiernym Prawu. Pan też może złożyć syna w ofierze, by być wiernym Prawu... Bo przecież pan uważa, że interes cesarstwa jest ważniejszy od niego, czy tak?”. „Niech pani przestanie” – odpowiedział gniewnie. Nalała mu wina do szklanki. „Lepiej niech pan się napije. To rozjaśnia umysł”. „Ja mam umysł jasny – zachnął się. – Tylko nie mam żadnej gwarancji, że oni syna rzeczywiście oddadzą”. „Przypuszczam – odpowiedziała na to zniecierpliwiona – że są na tyle rozumni, że jednak oddadzą”. „Gdyby pani mogła do nich dotrzeć...”. „Ja?” – zapytała z przestachem. „Mówiono mi, że pani chodziła na kazania tego człowieka na łąki pod bastionami, więc może zna pani ludzi z jego kręgu”. Zaprzeczyła stanowczo. „Nie znam tego człowieka. I nie znam nikogo z jego otoczenia. Chodziłam na jego kazania parę razy z czystej ciekawości, bo w mieście wszyscy o nim mówili,

więc chciałam zobaczyć, kto to jest, a potem mi się odechciało. To nie dla mnie”. „Już sam nie wiem – pokręcił głową. – Ale może pani spróbuje wejść między tych ludzi i dowiedzieć się czegoś. Bo nasi informatorzy, jak mówi Haberstadt, nie są w stanie...”. „Ja się do takich rzeczy nie nadaję – stwierdziła chłodno. – Nie potrafię dochować sekretu”.

Widziała, że miotają nim sprzeczne uczucia: zraniony honor, lęk o życie syna, niezmacona duma, twarde poczucie górowania nad innymi, którzy – co doprowadzało go do wściekłości – mają jeszcze czelność go osądzać, choć nie dorastają mu nawet do pięt, życiodajna nienawiść do wrogów podkopujących jego pozycję, woła zemsty, chęć wyrównania rachunków, wszystkie przymioty obolałego ducha, którego Los wyniósł na szczyty, a teraz chce strącić w poniżenie i wstyd, odbierając mu wszystko, co zdobył z takim trudem, a czego sam nie wyrzeknie się nigdy, zbyt wiele bowiem włożył starań w to, by znaleźć się tutaj, gdzie jest. Ostrożnie dobierając słowa, podsycala w nim ból po stracie syna, którego zresztą kochał naprawdę. On jednak wciąż liczył na to, że dzięki talentom Haberstadta sprawę uda się załatwić dyskretnie, to znaczy, nie tylko odzyskać syna, lecz i „ukrzyżować” – jak to podobno określali ludzie zbuntowani na przedmieściach – tego oberwańca z Neustadt, co określiła jako naiwne złudzenia, z którymi powinien dać sobie spokój. Dała mu do zrozumienia, że skoro ci, którzy trzymają Helmuta w ukryciu, nie zawahali się – jak na to wygląda – przelać niewinnej krwi na gdańskim dworcu, bo nie należy wykluczyć, że mogą to być ci sami ludzie, można mieć pewność, że w sprawie syna także nie zawahają się posunąć do najgorszego, włącznie z jego – świadomie użyła tego słowa – okaleczeniem, więc zdrowie i życie chłopca jest w prawdziwym niebezpieczeństwie, czemu można zaradzić tylko poprzez podjęcie decyzji bolesnych, lecz jednoznacznych. Trop

wysadzonego dworca, który mu podrzuciła, wydał jej się mocny i skuteczny, chociaż rzucał niedobre światło na uczniów Mistrza, bo łączył zbrodnię na dworcu z ich kręgiem, pośrednio potwierdzając winę, którą obciążono Mistrza, a ich samych wystawiając na niebezpieczeństwo prześladowań. Ale prokurator Hammels chętnie podjął ten trop – co ją zdziwiło – bo przecież – jak sobie przypominała – wtedy, kiedy rozmawiał w gabinecie z Haberstadtem, co usłyszała w pokoju na mansardzie, czuł wyraźną niewygodę, gdy Haberstadt sugerował, że ludzie Mistrza mają coś wspólnego z zamachem. Teraz zaś, po jej słowach, mógł spokojnie odetchnąć, że oskarżenie wcale nie było aż tak bezpodstawne, jak na to wyglądało, więc i wyrok... Wyczuła, że prokurator Hammels, choć wciąż się waha, zaczyna powoli zdążać w kierunku, który mu podpowiedziała. W jakiejś chwili, sama zdumiona swoją zręcznością, paroma czulszymi gestami okazała głęboki żal i niepokój o chłopca, co dostrzegł natychmiast, uderzony widokiem jej smutku, którego się nie spodziewał, ale którego pewnie w głębi ducha pragnął, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że we łzach, szklących się pod jej powiekami, jest nie tyle niepokój o chłopca, ile ból bezsilności, rozpacz, wrogość, która ogarniała ją na myśl o cierpieniach, jakie zadawano Mistrzowi w śledztwie na polecenie prokuratora Hammelsa, chociaż on sam – jak widziała – potrafił współczuć i kochać. Teraz ujrzał w niej prawdziwą domową nauczycielkę, boleśnie dotkniętą nieszczęściem ucznia, która zwyczajnie, po ludzku czuje się związana z chłopcem uczuciami niemal matczynymi. Ona zaś widząc jego wzruszenie, przyłożyła chusteczkę do oczu, po czym odwróciła się i z szelstem sukni wybiegła z gabinetu, zostawiając go z wystukany na starej maszynie listem w dłoni.

Kiedy wróciła do pokoju na piętrze, rozplakała się na dobre, tak ją to wszystko wzburzyło i rozbiło. Przez dłuższą chwilę nie mogła dojść do siebie, myśląc o Mistrzu, na któ-

rego czekał teraz już tylko ustawiony na Karlsbergu pionowy słup z poprzeczną belką. Rozdrażniona i zła, że dała się ponieść emocjom, wyszła z pokoju chłopca, wspięła się po schodach na poddasze do pokoju, w którym czasem nocowała, zamknęła drzwi na zasuwkę pod pozorem, że udręczona bolesnymi przeżyciami chce zostać przez jakiś czas sama, po czym wsłuchiwała się w niewyraźne odgłosy, które dobiegały z dołu, zmieszane z szumem wiatru i szelestem Lasu Gutenberga. Początkowo usłyszała tylko kroki prokuratora Hammelsa, który – jak się domyśliła – niespokojnie krążył po gabinecie, potem do gabinetu ktoś wszedł, stuknęły zamykane drzwi, usłyszała głos Haberstadta, jak zwykle rzeczowy, pełen powagi i spokoju. Gdy minęło parę chwil, prokurator Hammels powiedział, że terminu egzekucji na Karlsbergu w obecnej sytuacji nie da się już, niestety, odwołać, co komplikuje sprawę, ale Haberstadt bez pośpiechu wyjaśnił, że nie jest to takie istotne. Ponieważ – mówił bez pośpiechu – ten, pożałuj Boże, człowiek z Neustadt doznał w śledztwie – nad czym trzeba ubolewać – pewnych, dość znacznych obrażeń, ze względów bezpieczeństwa nie jest z pewnością wskazane, by tłumy, które zbiorą się w dniu egzekucji na ulicach Langfuhr i u podnóża Karlsbergu, ujrzały jego twarz, tak jak przedstawia się ona obecnie, bo ów drobny w istocie, pożałowania godny incydent więzienny, gdy oficerowie śledczy posunęli się trochę za daleko, zostałby natychmiast rozdmuchany przez niechętną prasę, która – jak wiadomo – lubi oskarżać policję o nadużywanie przemocy, co mogłoby wywołać wśród szerszych kręgów ludności niepożądane od-ruchy współczucia dla skazanego. Tym bardziej że pojęcie więźnia politycznego wykorzystuje się dzisiaj, by budować rzekomą solidarność narodu z – jak to ujmują ludzie nie-przychylni władzy – prześladowanymi ofiarami reżimu. Twarz tego oberwańca z Neustadt, która – trudno to ukrywać – doznała dość poważnych obrażeń w śledztwie, co, niestety,

czasem zdarza się w przypadku postępowań o zaostrowym rygorze, powinna zatem do samej egzekucji pozostać zakryta. Oczywiście może to mieć swoje złe strony, bo lepiej jest, jeśli tłum zgromadzony na miejscu egzekucji ogląda na własne oczy skruszone oblicze skazanego, śledząc na nim oznaki strachu i słusznego upokorzenia, twarz zaś zasłonięta nie ma w sobie tej siły wyrazu, co twarz odsłonięta. Niemniej nie jest rzeczą nadzwyczajną, że w chwili egzekucji na głowę przestępców wkłada się kaptur czy worek, tak jak przestępcom rozstrzeliwanym zawiązuje się oczy czarną przepaską. Tym razem można więc postąpić podobnie, o ile, rzecz jasna, zostanie podjęta decyzja, że nad przebiegiem egzekucji będzie czuwał on sam, Haberstadt, zapewniając przestrzeganie wszystkich wymaganych procedur.

„Ależ, Haberstadt – powiedział prokurator Hammels zmęczonym głosem – masz wszelkie uprawnienia. Możesz robić, co chcesz. Tyle, że jeśli się zdecydujemy wymienić tego człowieka na mojego syna...”. Haberstadt jednak pełnym powagi, spokojnym głosem wyjaśnił, że całą sprawę da się załatwić ku zadowoleniu – nie zawahał się użyć takiego wątpliwego zwrotu – obu zainteresowanych stron. Człowieka z Neustadt można uwolnić przed wykonaniem wyroku, co wcale nie zakłóci przebiegu egzekucji. Prokurator Hammels przez chwilę milczał. „Brak skazanego nazywa pan drobiazgiem?”. Haberstadt odczekał chwilę, po czym wyjaśnił, że miejsce na szczycie Karlsbergu, gdzie planowana jest egzekucja, powinno zostać oddzielone od tłumów kordonem funkcjonariuszy policji tak, by ludzie zebrani u podnóża góry widzieli „krzyże” tylko z oddalenia, to znaczy, by nie mogli podejść bliżej, co zresztą z pewnością nikogo nie zdziwi, gdyż tak nakazują oczywiste względy bezpieczeństwa. Skazanego więźnia należy przewieźć przez miasto samochodem na otwartej platformie, jak groźne zwierzę, najlepiej z głową zasłoniętą workiem czy kapturem, bo widok człowieka bez

twarży budzi odrazę znacznie większą niż widok człowieka z twarzą odsłoniętą, naznaczoną śladami cierpień. Przestępcy lubią zresztą wykorzystywać ostatnie chwile, by przed samą śmiercią choćby swoją mimiką wyrazić pogardę dla cesarskiego wymiaru sprawiedliwości, albo pokazać, jakimi to są męczennikami. Tymczasem więzień z głową zasłoniętą workiem nie tylko doznaje poniżenia stokroć gorszego, niż więzień z twarzą odsłoniętą, lecz i w oczach tłumu staje się po prostu anonimową rzeczą do zabicia, która nie wzbudza zbyt wielkiego współczucia. „Ale kogo ty chcesz wieźć na Karlsberg, Haberstadt, skoro chcesz oddać im tego człowieka... Z aresztu przecież nie weźmiesz, ot tak sobie, jakiegoś więźnia...”. Było oczywiste, że żaden naczelnik więzienia nie zgodziłby się na zniknięcie więźnia ze swojej ewidencji, to zbyt poważna sprawa, ale przecież na ulicach nie brakuje bezdomnych, którzy, niestety, zwykle wiodą żywot w stanie zamroczenia, nie mają przy sobie żadnych dokumentów, a czasem nawet nie pamiętają swojego nazwiska, wiecznie brudni, zawszeni, zapluskwieni, więc los ich i tak jest przesądzony, bo – jak odnotowują raporty policyjne – co jakiś czas prości ludzie, którzy nienawidzą brudu, zabijają bezdomnych albo oblewają ich naftą i podpalają, prowadzeni bowiem zdrowym instynktem życia, uważają bezdomnych za ludzkie śmiecie, zagrażające epidemią, więc nic się właściwie takiego nie stanie, jeśli z jakiejś ulicy jakiś bezdomny po prostu zniknie, bo mało kto zauważa takie zniknięcia. „No, dobrze, a ciało po egzekucji?”. Haberstadt chwilę się zastanawiał. – Pamięta pan, ekscelencjo, co kiedyś powiedział pański syn? Ciało skazanego należy natychmiast spalić, żeby podkreślić ostateczność kary i zapobiec rodzeniu się kultu”. Władze wyższe z pewnością uznają to za słuszne, szczególnie w przypadku więźniów niebezpiecznych.

Maria słuchała tego wszystkiego z odrazą i przerażeniem, pytając siebie, co myśli Bóg, kiedy słyszy takie słowa. Wie-

działa, że to, o czym mówił Haberstadt, zdarzało się na Ziemi wiele razy. Podpalano miasto, by rzucić cień podejrzeń na wyznawców niewłaściwej religii. Zabijano policjanta na ulicy, by wzniecić walki między grupami ludności. Przebierano żołnierzy w mundury obcej armii i strzelano do swoich, by mieć pretekst do wojny. Plan Haberstadta był banalny jak wszystko, co ludzie robią na tym świecie. Sprawy szły w kierunku, który sobie zamierzyła, ale teraz świat wydał jej się systemem naczyń połączonych, tak jakby tam, gdzie znika zło, musiało się natychmiast pojawić inne zło, by zrównoważyć ubytek ciemności, a całość – łącznie z gwiazdami – pozostała nienaruszona i niezmienna, choć wszystko, co nas otacza, wykazuje wszelkie pozory ruchu i zmiany. Po tym, co usłyszała, powinna czuć radość, bo przecież dawała Mistrzowi zmartwychwstanie, ale to zmartwychwstanie spychało w śmierć człowieka, na którym – wiedziała to – spokojnie spokojne oko Haberstadta. Poczula się tak, jakby zamknięto ją w żelaznej skrzyni, z której zaczęło ubywać powietrza.

Po godzinie, obolała, zmęczona, zeszła do kuchni. Pani Sonnenberg na jej widok położyła dłoń na jej dłoni. „Panno Ferbelin, niedobrze pani wygląda. Niech pani idzie do domu. Niczego tu pani nie wysiedzi. Jeśli chłopiec się znajdzie, zawiadomimy panią”.

Wyszła z willi powoli, odmierzając krok za krokiem, tak by wartownicy i przechodnie zapamiętali ją jako załamaną, zgnębianą. Dojechała do domu, porozmawiała z ojcem, pomogła matce w kuchni, potem zjechała do miasta i już koło trzeciej była w mieszkaniu na wysokim piętrze domu przy ulicy Weidengasse, w którym chłopiec siedział za drzwiami z żelazną zasuwą.

Zabójca

Przyjął ją obraźliwymi okrzykami. „Chciałem podpalić dom!”. „I co – zdjęła kapelusz z woalką – podpaliłeś?”. Wzruszył pogardliwie ramionami. „Gdzie pani była przez cały dzień?”. Położyła kapelusz na półce pod lustrem, nie śpiesząc się z odpowiedzią. „Rozmawiałam z twoim ojcem”. „Gdzie?”. „W jego gabinecie”. „Że też pani miała czelność! – zatrzęsł się z oburzenia. – I co powiedział?”. „Waha się”. „Jak to waha się? – rozszerzył oczy. „No widzisz, mnie to też zdziwiło”. Sposępniał. „Jeśli się waha, to znaczy...” – urwał w pół słowa, jakby w jednej chwili stracił ochotę do życia. „Jadłeś coś?”. „Co mi tu pani mówi o jedzeniu!” – wybuchnął. To, że ojciec się waha, bardzo go dotknęło. Pewnie wyobrażał sobie, że prokurator Hammels, nie czekając nawet chwili, od razu postawi na nogi całe państwo, by go odnaleźć. Zachowanie ojca wydało mu się czymś niepojętym. „Co ojciec chce teraz zrobić?”. „Nie wiem. Musimy poczekać”. „Pani mnie okłamuje! Ojciec na pewno coś robi, tylko pani nie chce...”. Nie odpowiedziała na jego natarczywość, powoli ściągając rękawiczkę z dłoni. Postukał palcami w stół. „To co teraz będziemy robić?”. „Nic. Czekać”. „Na

co? Powinna pani napisać list, gdzie mogą mnie wymienić na tego człowieka...”.

Ogarnęło ją zmęczenie. Po tym wszystkim, co przeszła ostatnio, chciała zasnąć, ale pomyślała, że gdy zaśnie, chłopiec może zrobić albo jej albo sobie samemu coś niedobrego, byleby tylko wydostać się z zamkniętego mieszkania, do którego klucz miała w kieszeni. Usiedli przy stole w kuchni. Ukroiła chleb, posmarowała masłem, rozpałała w piecu, zagotowała wodę na herbatę. Chłopiec śledził każdy jej ruch, jakby chciał wytropić jakąś tajemnicę, którą – jak pewnie uważał – przed nim ukrywała. Podała mu duży nóż z szerokim ostrzem. „Uderzyłbyś mnie tym nożem, gdybym nie chciała cię stąd wypuścić?”. Wziął nóż do ręki, popatrzył obojętnie na ostrze z okruskami chleba na błyszczącej krawędzi. „Głupie gadanie – odłożył nóż na stół. – Ojciec zrobi wszystko, żeby mnie stąd wyciągnąć. Żaden nóż mi niepotrzebny”.

Poraziła ją bezskuteczność każdego ruchu, a obraz naczyni połączonych, który znów stanął jej przed oczami, przesłonił wszystko, jak cień zdmuchujący światło z całego nieba. Cokolwiek zrobisz, rana odrasta, coś, co wydaje się ruchem, jest tylko pozorem ruchu. Z niezwykłą siłą doznała czegoś, co najchętniej nazwałaby smolistą gęstością istnienia, w której zanurzeni jesteśmy jak osa tonąca w miodzie. Miała wrażenie, że – rzeczy, domy, całe miasto – oblepia ją ze wszystkich stron kleistą masą, z której nie wiadomo, jak się wydostać. Ciężar życia był nie tyle ciężarem odpowiedzialności, ile czymś, co przygniatało piersi jak brak oddechu, nagła ślepota, czy utrata czucia w palcach.

„Ten pani, pożał się, Boże, Mistrz z Neustadt!” – chłopiec skrzywił się z politowaniem, po czym – wyprostowany, oparty plecami o ciepłe kafle pieca – zaczął tłumaczyć jej jak dziecku, z wysoka, obraźliwie, że teraz ten jej Mistrz jest skromny i cierpiący, ale kiedy zdobędzie władzę, włoży

na palec złoty pierścień i będzie ten pierścień podawać ludziom do pocałowania. Teraz – szydził z jej naiwności, stukając palcami o blat – on jest pokorny i cichy, ale kiedy zdobędzie władzę nad narodami świata, wtedy zawiesi sobie na piersiach złoty łańcuch i tym złotym łańcuchem będzie świecić ludziom w oczy, by przed nim klękali. Teraz on stoi po stronie ludzi słabych przeciwko silnym, ale kiedy zdobędzie władzę, sprzymierzy się z silnymi i będzie słabych uczyć, by nigdy nie ośmielili się podnieść ręki na silnych. Teraz wszyscy się nad nim rozczulają, że on jest taki cierpiący, biedny, poniżony, ukrzyżowany, ale za jakiś czas, powołując się na jego imię, ludzie będą palić ludzi żywcem na stosach. „A pani naraża się dla kogoś takiego! Chyba pani oszalała! Ludzie myślą, że gołąb nigdy nie zmieni się w węża, ale to, że gołąb zamienia się w węża, jest na tym świecie rzeczą zwykłą. Powinna pani machnąć na niego ręką i nie zawracać sobie głowy kimś takim nawet przez chwilę. Po prostu wstyd!”.

Ale ona tylko wzruszała ramionami na takie gadanie. Chciała wierzyć, że nigdy ze słów Mistrza nie narodzi się nawet cień zła, choć to, co chłopiec mówił, na moment naruszyło tę wiarę, którą starała się w sobie umocnić. Uważała Mistrza za jedyny jasny punkt, nieskalany, mocny, którego ziemski brud nigdy nie dosięgnie i właśnie na nim w najgorszych chwilach pragnęła oprzeć swoje życie. Chłopiec zaś, biorąc jej milczenie za słabość, przechodził do twardej pochwały ojca, by odpędzić niedobre myśli, które go opadły.

Pamiętała, jak prokurator Hammels podczas rozmowy w mahoniowym gabinecie starał się jej uprzejmie wyjaśnić, dlaczego podpisał nakaz aresztowania Mistrza. Musi robić takie rzeczy, nawet wbrew swojemu sercu, ba stara się zapobiec najgorszemu. Ma obowiązek bronić ludzkiego stada przed tym, co by się stało, gdyby kiedyś ktoś taki jak Mistrz

objął władzę i zaprowadził swoje porządki na całej Ziemi. Bo niebezpieczni dla świata nie są ludzie bez wiary, którzy myślą o rzeczach przyziemnych, niebezpieczni dla świata są ludzie wiary, którzy chcą wcielić w życie urojenia Wielkiej Obietnicy. Kto przynosi światu Wielką Obietnicę, stanowi zagrożenie dla świata, bo ludziom, których uwiodła Wielka Obietnica, wyrastają pazury. Dlatego wielką jest rzeczą gaszenie w ludziach nadziei, którą rozpala Wielka Obietnica. Wielka Obietnica to śmiertelna choroba, która toczy ludzkość od tysięcy lat i mądry lekarz leczy ludzi z tej choroby, choć wie, że zostanie za to znienawidzony i przeklęty. Mądry lekarz mówi: każda Wielka Obietnica kłamie. Nie będzie żadnej Drugiej Ziemi i żadnego Drugiego Nieba. Mądry lekarz robi tylko jedno. Stara się nieść ulgę w istnieniu, przekonany zresztą, jak niewiele może ludziom pomóc.

Tak – przekonywał ją tamtego dnia prokurator Hammels – aresztowanie tego człowieka miało tylko zapobiec najgorszemu, dlatego podpisał nakaz, chociaż nie widzi w tym człowieku żadnej winy. To dobry, niewinny człowiek, ale nie sie ze sobą zło i śmierć, której ludzie nie potrafią w porę dostrzec. Bo najgorszy nie jest jakiś tam zamach na dworcu, gdzie ginie sto osób, lecz żar Wielkiej Obietnicy, który mąci ludziom w głowach, zmieniając ich w istoty groźne i bezrozumne.

Wszystko to puszczała mimo uszu. Ważne było, że na samą myśl o Mistrzu czuła przyływ sił, pamiętała jego dotyk, blask włosów, a to było stokroć ważniejsze od cierpkich uwag, jakimi raczył ją prokurator Hammels.

Z całą nierozumną – jak wiedziała – żarliwością chciała utonąć w swojej – żalostnej, jak uważał chłopiec – jednostronności, niepomna na wszelkie rady i przestrogi. Prokurator Hammels – przekonywała siebie – nienawidził Wielkiej Obietnicy, bo kiedyś, w najpiękniejszych chwilach swojego

życia, śmierć bliskiej osoby obrabowała go z czegoś, co najcenniejsze, więc wszystko, co mówił, miało w sobie żółć, przez co nie był w stanie pojąć, czym jest życie prawdziwe, które zawsze pragnie być czymś więcej niż życiem.

Nie wierzyła też w szczerłość chłopca. Czuła, że broniąc ojca, robił to tak, jakby chciał zasypać w sobie coś bolesnego, ale czym by to było, nie wiedziała, choć wydawało jej się, że zna go na wylot. Po wygłoszeniu pochwały ojca przygaśł i zszarzał. Oparty na łokciach patrzył przez okno na szare niebo, które przecinały koliste przeloty mew znad Motławy. Ptaki, spadając w głąb ciemnego podwórka, grzebały dziobami w stosach rozkładających się śmieci. Po szybie okiennej wspinał się pająk, ślizgając się odnóżami po mokrym od mgły szkle. Zegar odmierzał minuty niespiesznie, najpewniej nie wierząc, że doczeka północy.

„Czy pani wie, że zabiłem moją matkę i ojciec nie może mi tego wybaczyć?”. „Nie plec – odpowiedziała cierpko, zmęczona już jego zaczepkami. – Jakże mógłbyś zabić własną matkę? Po co mówisz takie rzeczy?”. „Czy pani nie rozumie, co powiedziałem? Zabiłem moją matkę i muszę za to zapłacić”. Nalała mu herbaty i podsunęła cukiernicę. „Prześćać mówić głupstwa”. „Głupstwa, mówi pani? Czy naprawdę trzeba wszystko pani wyłożyć na talerzu, żeby pani zrozumiała? Moja matka umarła przy porodzie, kiedy ja się rodziłem. Rozumie teraz pani?”. „Ach, tak – przestraszyła się. – Nie wiedziałam”. „To teraz pani wie – odwrócił głowę. – Kiedy wychodziłem z jej brzucha, zabiłem ją. Ojciec czekał w sąsiednim pokoju. Usłyszał najpierw jej krzyk, a zaraz potem mój triumfalny wrzask, którym zawiadamiałem świat, że mam prawo do życia. A ona leżała na prześcieradle martwa”.

Popatrzyła na niego ze współczuciem. „Przecież to nie twoja wina. Takie rzeczy się zdarzają. Wiele kobiet umiera przy porodzie”. „Co mi tu pani opowiada na pocieszenie!

Czy pani nie rozumie, że ja żyję tylko dlatego, że odebrałem jej życie. Bo potem lekarze powiedzieli ojcu, że albo ja miałem żyć, albo ona. Ja wyszedłem z tego żywy, ale tylko dlatego, że moje ciało było nożem, który ją zabił. Gdyby ona przeżyła, ja bym nie żył”. „Kto ci naopowiadał takich rzeczy? – chwyciła go za rękę. – Przecież to niedorzeczność. Zwykły wypadek, a ty wmawiasz sobie jakieś winy”. „Tak pani myśli? Bo widzi pani, ja dobrze wiem, że ojciec mi nigdy tego nie wybaczy. Ilekroć na mnie patrzy, czuję w jego oczach żal, że to ja żyję, a nie ona. Wolałby, żeby ona żyła, nie ja, bo ona była mu bliska, a ja byłem kimś nie wiadomo skąd i jeszcze na dodatek ją zabiłem”. „Nie mów tak – powiedziała stanowczo. – Ojciec bardzo cię kocha”. Roześmiał się. „Jak Abraham Izaaka, nie? Najchętniej przyłożyłby mi nóż do gardła, jak tamten na górze Moria? Bo wie pani, Biblia kłamie. To wcale nie było tak. Naprawdę Abraham chciał zabić Izaaka dlatego, że kiedy Izaak przychodził na świat, jego matka umarła przy porodzie. Na górze Moria skorzystał tylko z okazji, że Bóg kazał mu zarznąć własne dziecko”. „Daj spokój – wstrząsnęła głową. – Nie powinieneś tak nawet myśleć. W tym, co się stało z matką, nie ma żadnej twojej winy. Po prostu czasem tak się zdarza”. „No tak – uśmiechnął się kwaśno – czasem się zdarza, że trzeba zabić, żeby pozostać przy życiu”.

Poczuła, że nie ma sposobu, by go oderwać od niedobrych myśli. Cóż z tego, że miał mądrą duszę, którą górował na innymi, skoro zraniony do głębi bardziej niż wielu dorosłych, dręczył się poczuciem winy, jakby mu w sercu ktoś wypalił rozpalonym żelazem piętno, które nigdy nie miało się zagoić.

„A pani – popatrzył na nią z odrazą – zabije mnie, jeśli ojciec nie spełni pani żądań? Przecież pani też chce dostać życie za życie, a robi pani miny, że niby mi głęboko współczuje. Nie wstyd pani?”.

Zacisnęła zęby. „Ojciec zgodzi się na wszystko, możesz być spokojny”. „A jeśli się nie zgodzi? Czy wtedy pójdzie pani do kuchni, wyjmie z szuflady nóż do krojenia chleba, który niby to przypadkiem mi pani pokazała, i wbije mi go tutaj, w szyję? Bo widzi pani, może być pani całkiem spokojna. Ja się wcale nie będę bronił. Powinna to pani wiedzieć. Ja jeszcze podstawię szyję, o tak – odgiął palcem wskazującym kołnierzyk koszuli, odsłaniając ciało zaróżowione od słońca – tak jak Izaak podstawił szyję Abrahamowi na górze Moria”. „Nie będę musiała” – odpowiedziała z irytacją. „Ale gdyby pani musiała, czy zrobiłaby to pani?”. „Nie będzie żadnego gdyby”.

To jednak, co powiedział chłopiec, mocno ją zaniepokoiło, bo jeśli tak właśnie przedstawiały się uczucia ojca do syna, to prokurator Hammels mógł się wycofać z całej sprawy nawet w ostatniej chwili. Siedziała przy stole wpatrzona w chłopca, usiłując z jego rysów wyczytać, co myśli naprawdę, bo obraz tego, co miało nastąpić, dotąd jasny, zaciemnił się i znów ogarnęła ją fala bezsilności, on zaś skrzywił się z wyższością. „Wiem, o czym pani myśli”. „Czyżby? – zmarszczyła brwi. „Tak – powtórzył – wiem dokładnie, o czym pani myśli, kiedy tak na mnie patrzy” – uniósł rękę, dotknął ucha, w którym tkwił diamentowy kolczyk. Pokręciła głową na widok tego ruchu, czując, jak ogarnia ją przerażenie, ale on mocno zacisnął palce na kolczyku, przygryzł wargę i jednym szarpnięciem wyrwał kolczyk z ucha, po czym podał go jej na wyciągniętej dłoni. „Niech go pani nie wyciera. Tak będzie lepiej” – mruknął przyciskając palcami ucho, z którego ciekła krew. Przerażona, chciała mu przyłożyć do skaleczenia chusteczkę, ale odsunął głowę. „I niech mi pani nie mówi – skarcił ją – że nie chciała pani tego zrobić”. Nawet nie zaprzeczyła, wpatrzona w oblepiony krwią kawałek srebra z diamentowym oczkiem, leżący na jego wyciągniętej dłoni. „Przecież pani wie, co trzeba z tym zrobić – przycisnął mocniej palce do ucha, tamując

krw. – To będzie dla ojca bardzo mocny argument”. Podał jej zakrwawione srebro z diamentowym oczkiem. Patrząc na mokry od krwi kolczyk, poczuła mdłości, ale nie wypuściła go z palców, tak był cenny. Chłopiec miał rację. Fala bezsilności ustąpiła. Znowu poczuła się mocna i twarda. Teraz musiała wyciągnąć z grobu kogoś, kto nie zasługiwał na mękę i śmierć, a czasu było niewiele, bo prokurator Hammels, jeśli chłopiec rzeczywiście mówił prawdę o matce, w każdej chwili mógł zmienić swoje postanowienia. Spojrzała na nóż, który leżał na kuchennym stole między nią a chłopcem, jakby gotowa była wziąć go do ręki. Przeraziła się samej siebie, że może będzie musiała zrobić z tego noża użytek, jeśli zdarzy się coś, o czym teraz nie chciała nawet myśleć.

Rozmowa prokuratora Hammelsa z Mistrzem

Piątego sierpnia, parę minut po ósmej, do aresztu śledczego Prokuratorii przybył Haberstadt z rozkazem podpisanym przez prokuratora Hammelsa. Naczelnik aresztu Moleschott, choć znał jego nazwisko, nigdy jednak nie miał okazji poznać go osobiście, zanim więc przystąpił do przepisanych regulaminem czynności służbowych, cofnął się na wartownię, skąd patrząc przez szybę na człowieka w szarym płaszczu z postawionym kołnierzem, który przy otwartych drzwiach samochodu spokojnie czekał na jego decyzje, zadzwonił do biura Prokuratorii, gdzie uzyskał potwierdzenie, że – jak brzmiały zalecenia władz wyższych – rozkaz należy wykonać niezwłocznie. Więzień został wyprowadzony z celi. Aby podczas transportu do miejsca przeznaczenia nie rozpoznano jego tożsamości, na głowę założono mu czarny worek, co zresztą nie było konieczne, bo daimler Haberstadta zatrzymał się na wewnętrznym dziedzińcu Prokuratorii, w cieniu głównego gmachu, po północnej stronie, gdzie nie było zbyt wielu okien, więc o tej porze mało kto mógł zobaczyć, kogo wsadzają do środka dwaj cywile w skórzanych kurtkach, którzy Haberstadtowi towarzy-

szyli. W samochodzie posadzono Mistrza na tylnym siedzeniu, zasłonięto okna, zablokowano drzwi.

Z dziedzińca przy Prokuraturii pojechali Wielką Aleją przez ewangelickie i katolickie cmentarze, minęli ceglany budynek końskiego maneżu, gdzie tramwaj skręcał w stronę Brosen, po czym wjeżdżając do Langfuhr, skręcili przy fontannie na Jäschkentaler Weg, tak że po dwudziestu paru minutach od wyjazdu z Gdańska byli już na podjeździe przed willą prokuratora Hammelsa, gdzie daimler zakręcił na żwirowanej nawierzchni, minął klomb z czerwonymi georginiami, po czym powoli wjechał do garażu, którego żelazną bramę od razu zamknięto. W ciemnym wnętrzu stał tam już drugi czarny daimler, w którym obok cywila w marynarce siedział człowiek w kombinezonie więziennym z głową okrytą czarnym workiem i – jak na to wyglądało – ledwie trzymał się na nogach, nie bardzo wiedząc, co się z nim dzieje. Mistrza wyciągnięto z samochodu i krętymi schodami poprowadzono na górę, do gabinetu prokuratora Hammelsa.

Gdy stanął w progu gabinetu, ściągnięto mu worek z głowy. Można się było przerazić jego wyglądem, prokurator Hammels nie ruszył się jednak ze swego miejsca za biurkiem, tylko sięgnął po papierosa do pudełka z rysunkiem słońca na blaszanej pokrywce i delikatnie obracając w palcach zwitek tytoniu, przyglądał się człowiekowi, którego miał przed sobą. Twarz Mistrza była ziemistoróżowa, poznaczona śladami oparzeń, które pokrywały czoło, policzki, nos, rozplywając się siniejącymi obrzmieniami nawet na skroniach, co stwarzało wrażenie, że Mistrz ma jakąś ciasno przylegającą do policzków maskę z lepkiej, ośmiorniczej skóry, w której pod opuchniętymi powiekami błyszczą tylko żywe, brązowe oczy. Usta były spierzchnięte i popękane, w kącikach zakrzepła krew. Nie inaczej wyglądały dłonie, pocięte świeżymi śladami uderzeń różgą, z ledwie przyschniętymi skaleczeniami i opuchliznami na palcach. Ciasne kajdanki z ni-

klowanym łańcuszkiem obejmowały posiniaczone przeguby obu rąk, odciskając siny ślad na skórze. Jeden z ludzi Haberstadta przytrzymał Mistrza mocnym, fachowym chwytem, na wszelki wypadek blokując możliwość jakiegokolwiek gwałtowniejszego ruchu, ale prokurator Hammels dał mu znak ręką, żeby wyszedł z gabinetu. Po chwili w mahoniowej bibliotece zostali sami – on i Mistrz.

Mistrz miał na sobie świeżo uprany kombinezon więzienny z szarego drelichu, dostał też nowe buty z jasnobrązowej skóry na twardych, skrzypiących podszewkach, więc wyglądał na dość zadbanego. Wystarczyło jednak tylko rzucić okiem na jego szyję z różowymi śladami oparzeń, wysuwającą się spod kołnierza, nad którą pracowały pewnie niklowane narzędzia specjalistów od śledztwa, by wrażenie to się rozwiało.

Nad Lasem Gutenberga, w chmurach, napływających od strony Brentau i cmentarza Silberhammer, otwierały się jaśniejsze prześwity pustego błękitu. Gabinet prokuratora Hammelsa co parę chwil zalewała fala słonecznego blasku. Przez wysokie okna widać było ogród i brzozy zagajnik. Mistrz, mrużąc oczy od rażącego migotania blasków przesianych przez żaluzje, stał trzy kroki przed biurkiem, na dywanie, w miejscu, gdzie ruchome cienie buków i brzozy mieszały się z barwami perskiego wzoru, wędrując po wyszywanym purpurowymi niciami wizerunku skrzydlatego anioła z ognistym mieczem w ręku. Po długim przebywaniu w ciemnej celi miał oczy zaczerwienione, białka zmętniały od krwawych żyłek. Gdyby go teraz zobaczyli uczniowie, nawet oni rozpoznaliby go z trudem.

Na ścianie między skrzydłami mahoniowej biblioteki jak zawsze ciemniał obraz Friedricha *Wędrowiec nad morzem mgieł*, ale przedstawiony na nim mężczyzna w czarnym surducie nie odwrócił się nawet na chwilę, by chociaż przez ramię rzucić okiem na to, co dzieje się w gabinecie prokuratora Hammelsa, tylko, stojąc tyłem do mahoniowego wnętrza, uparcie

wpatrywał się w jakiś niepojęty, oddalony punkt na zboczach zamglonych gór, jakby chciał przekonać siebie i innych, że odkryje tam coś, czego nikt dotąd nie widział, a co da mu przynajmniej chwilę zupełnego spokoju, jaki spływa na ludzką duszę, gdy zaczynamy wierzyć, żeśmy dotknęli dna tajemnicy.

Na biurku prokuratora Hammelsa piętrzyły się wypisane kancelaryjnym piśmem projekty dekretów o koniecznych ulepszeniach gdańskiej kanalizacji, wnioski o przyznanie koncesji firmie Katz & Menzel na handel wyrobami miedzianymi w śródmieściu, petycje w sprawie wynagrodzenia dla maszynistów ze stacji Gdańsk i lokomotywowni w Dirschau, skargi komisarza rządowego Ebersa na pracę gdańskich tramwajarzy z zajezdni w Langfuhr, wnioski niedawno obradującej komisji zdrowia publicznego w sprawie zapobiegania epidemiom w przypadku powodzi na Żuławach, prośby cechu rzeźników z Schidlitz o złagodzenie przepisów higienicznych, których i tak nikt by nie przestrzegał, nawet gdyby chciał. Sam prokurator Hammels nazywał to wszystko grzebaniem w żołądku i jelitach miasta, w których – jak to formułował – musi grzebać dzień i noc, by miasto i cała prowincja mogły funkcjonować sprawnie, utrzymując przy życiu dziesiątki tysięcy mieszkańców, czego, niestety, podległy jego opiece lud – jak dodawał bez cienia żalu, za to z wyraźną ironią – zupełnie nie potrafi docenić. Na wielkim dębowym biurku z rzeźbionym herbem miasta fizjologia ulicznych połączeń mieszała się z filozofią wywożenia odpadków na nadmorskie wysypiska, plany szczepień ludności przeciwko ospie z projektami przebudowy przedmieść, gdzie stan sanitarny kamienic wołał o pomstę do nieba, zalecenia koniecznych zmian w organizacji straży pożarnej spletały się ze zgłoszonymi przez architekta Bauera projektami osuszania rozlewisk Motławy, skąd malaryczne wyziewy torfowe szły na Dolne Miasto, zostawiając kwaśny zapach nawet na świeżo upranej pościeli, na co skarżyli się mieszkańcy ulicy Weidengasse i okolic.

Czasem, zanurzając się w ten grząski mięsz miejskich papierów, miał wrażenie, że tonie w papierowym bagnie, z którego nie wydostanie się do końca życia, ale nawet wtedy od razu – jak to podkreślał podczas wieczornych rozmów z Marią – przekonywał siebie – zresztą nie bez pewnej ironii, która sprawiała mu gorzką przyjemność – że w swoich pracach codziennych naśladuje w istocie władców starożytnego Rzymu, tak jak oni bowiem walczy systematycznie przy pomocy zarządzeń i dekretów z naporem wszechobecnej śmierci, która codziennie ze wszystkich stron napiera na miasto, chociaż większość ludzi nie ma ochoty myśleć o jej skrytej obecności, bo wszyscy ludzie na Ziemi zajmują się w gruncie rzeczy tylko jednym: z całych sił żarłocznie chcą żyć, więc robią wszystko, by żyć. W takich chwilach nazywał siebie sługą ich żarłoczności. Chcieli żyć, on zaś – na tym polegała jego praca – był od tego, by umożliwić im życie, to znaczy zaspokoić ich żarłoczne pragnienie istnienia. Zza dębowego biurka z herbem miasta kierował budową dróg, stawiał łaźnie, publiczne ubikacje, budował mosty, ścieki, wiadukty, cyrki, szpitale, szkoły i domy dla sierot, by żywy, ludzki mięsz, wypełniający po brzegi kamienice, place, ulice, teatry i sklepy, mógł przetrwać i mnożyć się do woli jak robactwo, które mnoży się w miejscach wilgotnych i ciepłych.

Przez parę dłuższych chwil prokurator Hammels przyglądał się zmienionej twarzy Mistrza, jakby studiował nader ciekawą plastyczną mapę terenu przeznaczonego pod budowę nieznaną świątyni. „Mówią, że posiadasz nadzwyczajne zdolności – sięgnął po srebrną zapalniczkę z orłem cesarskim, która leżała na blacie biurka obok marmurowej figurki Hermesa. – Podobno umiesz uzdrawiać ludzi. Niektórzy mówią, że potrafisz nawet wyciągać z grobu umarłych. Wspominano mi o kupcu Ablu Wareckim. Podobno obudziłeś go na cmentarzu przy Katedrze w Oliwie, gdy leżał już w trumnie, czy tak?”. Mistrz ocknął się z zamyślenia. „Nie wiem. Może obu-

dziłem, ale nie mam pewności. Czasem czuję w sobie siłę, która mnie przerasta”. „Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie panujesz nad nią?” Mistrz zwilżył językiem spierzchnięte usta. „Panuję, ale chyba nie do końca. Są rzeczy ode mnie potężniejsze, nad którymi nie mam władzy”. Prokurator Hammels skrzywił się, jakby spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi. „To powiedz, dlaczego właściwie obudziłeś Abła Wareckiego. Bo czy wiesz, co on robi teraz, po wyjściu z grobu?”. Mistrz zaprzeczył ruchem głowy, przymykając oczy z bólu. Widać było, jak wielkie cierpienie sprawia mu każdy ruch. „To ja ci powiem, co on teraz robi – prokurator Hammels podał mu szklankę z wodą. – Ty go wyciągnąłeś z grobu, a on teraz chodzi po mieście i rozpowiada dziwne rzeczy o tobie. On najpierw był ci wdzięczny, że na nowo obdarowałeś go życiem, ale teraz on cię przeklina”.

„Wielu ludzi mnie przeklina” – Mistrz dotknął ustami szklanki. Szklko zadzwoniło o zęby, tak drżały mu dłonie. – „Ale to, że cię przeklinają, wcale cię nie zniechęca, prawda?” – prokurator Hammels dolał mu wody z kryształowej karafki. – Wiesz, co Abel Warecki mówi o tobie? Że jesteś podły, bo jemu było dużo lepiej w grobie niż teraz, a ty go stamtąd wyciągnąłeś, chociaż on wcale się o to nie prosił. Jemu było w grobie dużo lepiej, bo kiedy on powrócił do życia, to odwróciła się od niego kobieta, z którą on był. Ona go kochała, a teraz, po tym jak on wyszedł z grobu, ona nie chce go nawet dotknąć. Cały czas czuje, że on cuchnie grobem. Ludzie tłumaczą jej, że on wcale nie cuchnie, ale ona mimo to na jego widok stale czuje zapach ziemi i psującego się mięsa. I dlatego nie chce z nim spać. Ona po jego śmierci nawet chciała się z nim spotkać w Niebie, ale kiedy on wyszedł z grobu, ona teraz wołałaby, żeby on z tego grobu nie wychodził, bo ona teraz nie czuje do niego fizycznego pociągu. Ona teraz patrzy na niego z przerażeniem i boi się go. On się przez parę dni cieszył, że skoro wrócił do życia, to będzie najszczęśliwszym z ludzi na Ziemi, ale teraz on ma samobójcze

myśli. On chce wrócić do grobu, z którego ty go wyciągnąłeś. I wstydzi się ludzi, którzy przychodzą do jego mieszkania i oglądają go ze wszystkich stron jak zwierzę w cyrku. I dotykają go, by upewnić się, czy on rzeczywiście żyje, czego on bardzo nie lubi. Więc jaki sens miało to, żeś go z grobu wyciągnął?”. „Czasem bywa, że ludzie nie chcą być uzdrowieni” – Mistrz powiedział cicho. „I co robisz wtedy?”. „Czekam na znak”. Prokurator Hammels zmarszczył brwi. „Jaki znak?”. „Taki, który mi powie, co mam robić”. „A jeśli znaku nie ma?”. „Wtedy nie robię nic”. Prokurator Hammels pokręcił głową z niedowierzaniem. „Stoisz nad chorym, który modli się o twoją pomoc i nie robisz nic?”. „Bez znaku nie mogę nic zrobić”. „A co myślisz teraz o Ablu Wareckim po tym, co ci powiedziałem?”. „To dawna sprawa”. „To powiedz, czy teraz poszedłbyś do Abła Wareckiego i potrafiłbyś uzdrowić miłość, która między nim i tą kobietą zupełnie umarła?”. „Kto wie, może bym poszedł i uzdrowił. Ale teraz...”.

Prokurator Hammels podszedł do okna. Patrząc na krzewy różanecznika, rosnące po drugiej stronie ogrodowego stawu, przez dłuższą chwilę wahał się, czy postawić pytanie, które przyszło mu do głowy, bo wydało mu się tak niedorzeczne, że gdy odwrócił się, miał twarz pociemniałą ze wstydu. „Czy potrafiłbyś – zawahał się – przywrócić do życia moją zmarłą żonę?”. Mistrz przymknął oczy z bólu. „Nie wiem, czy potrafiłbym. Musiałbym dostać znak”. „Moja prośba ci nie wystarczy?”. „Wszyscy proszą, ale tylko niektórzy zostaną wysłuchani”.

Po tych słowach twarz prokuratora Hammelsa ściągnęła się gniewem, ale nie był to gniew na Mistrza, lecz raczej nagły, tłumiony wybuch gniewu na samego siebie, że nie potrafił powstrzymać się od stawiania niedorzecznych pytań, przez co osunął się w ciepłe błoto sentymentalizmu. „Czy wiesz, że muszę ciebie zabić?” – zapytał twardo, żeby uwolnić się od słabości, która go ogarniała. – „Wiem” – odpowie-

dział Mistrz. „Czy masz do mnie żal?”. „Nie mam żalu, bo wiem, że nie masz wyjścia”. „Przebaczysz mi?”. „Przebaczenie to za duże słowo. Wolę słowo zrozumienie”. „Więc rozumiesz mnie?”. „Myślę, że rozumiem”. „I na moim miejscu postąpiłbyś tak samo jak ja?”. „Na twoim miejscu? Nie wiem, co to jest twoje miejsce”. „Gdybyś był zarządcą prowincji cesarstwa tak jak ja, czy podjąłbyś takie same decyzje, jakie ja podjąłem w twojej sprawie, skazując ciebie – jak to określają ludzie mi nieprzychylni – na ukrzyżowanie?”. „Nie wiem”. „Wykręcasz się”. „A ty chcesz sobie wmówić, że czegoś nie robimy tylko dlatego, że nie jesteśmy na twoim miejscu”. „A tak nie jest?”. „Nie wiem, jak jest. Wiem tylko, że musisz mnie zabić, żeby nadal rządzić prowincją. Ale potem i tak przestaniesz rządzić”. „Muszę się bronić”. „Wiem”. „Mam potężnych wrogów”. „Wiem”. „Nie mogę się cofnąć”. „Wiem”.

Stali naprzeciwko siebie. Prokurator patrzył obojętnie na blizny i ledwie zasklepione skaleczenia na szyi, twarzy i dłoniach Mistrza, które teraz, w jasnym słońcu, wyglądały jak ślady czerwonej farby na skórze, a nie zakrzepłe strupy, pod którymi drzemał prawdziwy ból.

„Naprawdę chciałbyś, żebym przywrócił twoją zmarłą żonę do życia? – zapytał po chwili milczenia Mistrz, wtulając głowę w ramiona, jakby bronił się przed falą zimna, która go ogarniała. – Czy naprawdę wiesz, o co prosisz? Nie wątpię, że szczerze byś się ucieszył, widząc ją znowu przy sobie – młodą, ładną, silną – taką jaką zapamiętałeś. Gdybyś zaś usłyszał jeszcze jej żywy głos, który cię tak zachwyił tamtego dnia, kiedyście się poznali, ogarnęłoby cię uczucie szczęścia tak silne, że pewnie od razu chciałbyś ją zamknąć w ramionach. Drwisz z Abła Wareckiego, którego – jak mówisz – przywróciłem do życia, a sam może bardziej zasługujesz na litość i drwinę. Bo nawet jeśli ona stanęłaby przed tobą taka sama jak za życia, to patrząc na nią, węszyłbyś cały czas, czy

ona nie pachnie kostnicą i cmentarzem. Cały czas byś myślał, czy w tym ciele, które całujesz i obejmujesz, jest pamięć grobu, w którym ona leżała tyle lat. Obraz jej grobowego ciała przesładowałby cię, nawet gdyby leżała z tobą w pościeli naga, świeża, zaróżowiona miłością.

A ona? Czy pomyślałeś kiedyś o tym, co ona by czuła, gdyby tak leżała obok ciebie, znowu żywa? Czy ona naprawdę by się radowała, gdyby ją siłą wyciągnięto z ziemi i zmuszono do życia w świecie, w którym znowu czekałoby ją chorowanie, strach, ból, zazdrość, bezsenność, lęk i obrzydzenie, wszystkie skazy naszego istnienia, od których uwalnia nas śmierć, czy raczej cały czas czułaby pod swoją skórą trupi zapach, który wabiłby ją do powrotu pod ziemię?

A ty? Czy w swoim pragnieniu przywrócenia jej do życia, pomyślałeś rzeczywiście o niej czy raczej myślałeś tylko o sobie? I czy ona by ciebie jeszcze pamiętała? Czy wychodząc z grobu, wyciągnęłaby do ciebie ręce, czy raczej stanęłaby przed tobą, ze zdziwieniem pytając: „Kim ty właściwie jesteś, że mnie dotykasz? Nie znam cię”. I zasłoniłaby się rękami przed tobą? A jeśli umarli tracą w grobie całą pamięć swojego życia? I nie poznają nikogo?

Szkoda, że nie widziałeś oczu Abła Wareckiego w chwili, gdy obudził się w grobie na cmentarzu koło oliwskiej Katedry. Cóż, muszę powiedzieć, że nie wyglądał na całkiem szczęśliwego. Ale ty chcesz wierzyć, że po grobowej rozłące ona skakałaby ze szczęścia na twój widok. A jeśli by wcale nie skakała, tylko ze smutkiem, przerażona widokiem obcego człowieka, jakim byś się stał w jej oczach i widokiem świata, na którym znowu by się znalazła, rozglądałaby się bezradnie dokoła, szukając drogi powrotu pod ziemię?

Skąd wiesz, że kiedy umrzemy, naprawdę będziemy chcieli powrócić do życia? A może wcale nie będziemy czekali na zmartwychwstanie, bo tak naprawdę będziemy kochać swoją czarną kołyskę, w której zostanie złożone nasze nieżywe ciało,

byśmy pod spróchniałą deską mogli się wylegiwać przez całe wieki po męczącej przygodzie życia, czując niewysłowioną ulgę, że nigdy już nie będziemy żyć na Ziemi? I wcale nie będziemy chcieli wychodzić spod piachu, nawet jeśli ktoś będzie nas natarczywie zmuszać do zmartwychwstania? Może wszystko, co istnieje, z całej swojej mocy chce powrócić w śmierć, bo to właśnie ona jest naturalnym stanem świata, dużo bardziej naturalnym niż życie, które jest tylko przypadkową, krótkotrwałą naroślą, żarłocznie pleniącą się na nieistnieniu?

Przecież sam lubisz powtarzać, że życie to zmęczenie. Więc dlaczego myślisz, że z wiecznego odpoczywania będziemy chcieli znowu powrócić do wiecznego zmęczenia?”.

W miarę jak Mistrz wypowiadał te słowa, wzburzenie prokuratora Hammelsa rosło. „Skoro mówisz te wszystkie rzeczy – powiedział zniecierpliwiony – dlaczego uzdrawiasz ludzi i wyciągasz ich z grobu?”. Mistrz popatrzył na niego jak na dziecko, które niczego nie rozumie. Prokurator Hammels miał już dosyć tej rozmowy. On, zarządca prowincji cesarstwa, błaga oberwańca w więziennym kombinezonie o przywrócenie umarłej żony do życia... Czuł się ośmieszony, że odsłaniając swój głęboko skrywany żal, mimowolnie wystawił się na drwiny człowieka skazanego na śmierć, który nie zasługiwał nawet na jedną chwilę jego uwagi. Słowa Mistrza sprawiły, że popadł nagle w stan, przed którym zwykle bronił się skutecznie, ale teraz coś w nim pękło. Nagle ujrzał z przeraźliwą jasnością, że wszystko, co robi od rana do wieczora jako zarządca prowincji, ma tylko jeden marny cel: podtrzymać życie ludzkiego stada na terenie wyznaczonym przez władzę wyższą i że on, urzędnik cesarski, jest tylko sługą tego stada.

W dzieciństwie, jako uczeń gimnazjum książęcego w Ansbach, podziwiał sławnych wodzów, królów, świętych, uczonych, żołnierzy i lekarzy, a nawet zwykłych kadetów, którzy mieli na mundurze naszyty napis „Troszczę się o dobro wspól-

ne”. Gdy obejmował kolejne stanowiska w administracji książęcej, a potem cesarskiej, wspinając się po drabinie zasług i godności, słowa „dobro wspólne” i „służba publiczna” wymawiał z nabożeństwem, jak formułę sakramentu, w której krył się sens jego życia. Wszystkich tych wodzów, królów, prezydentów, ministrów, generałów, prezesów, o których z podziwem mówili mu nauczyciele, szanował i podziwiał, bo dbając o dobro wspólne, wyglądali – kiedy patrzył na ich portrety w sali pałacu książęcego – na osoby wolne, dumne i niezależne, ale teraz wszyscy oni wydali mu się żalosną zgrają sług ludzkiego stada. Ich duma i wolność była kupą pozorów. Niby rządzi stadem jako jego władcy, a tak naprawdę to stado nimi rządziło. Naprawdę wszyscy oni byli popychadłami stada. Chłopcami na posyłki ludzkiej masy, która żarłocznie pragnęła żyć, choć sami uparcie udawali, że żadnymi chłopcami na posyłki nie są, maskując to, czym byli naprawdę, przy pomocy ceremonialnych strojów, złotych łańcuchów, gronostajów, paradnych butów i kapeluszy. Nawet cesarz wydał mu się teraz chłopcem na posyłki ludzkiego stada. On sam, zarządca prowincji, prokurator Hammels – ta myśl wydała mu się nieodparta – też był jednym z tej bandy przebierańców, gdy na państwowych uroczystościach wkraczał do lustrzanej sali zamku w Poczdamie w galowym uniformie z orderami i błękitną wstęgą biegnącą przez piersi, jak aktor z taniej operetki. Kiedy o tym pomyślał, poczuł, że jest mu zupełnie wszystko jedno, czy stado, jakie zostało powierzone jego władzy i opiece, będzie istnieć czy nie. A niech idzie do diabła razem z tymi setkami tysięcy dwunożnych istot gnieźdzących się na całej Ziemi w tysiącach kamienic, dworców, hal targowych, łaźni, banków, koszar, kościołów, restauracji i garkuchni. Nic nie usprawiedliwiało ziemskiej egzystencji tych żalonych istot, do których – nie krył tego – sam zresztą należał.

Gołe ludzkie życie, mnożące się w tysiącach domów jak życie mszyc, nie miało w sobie – tak jak je teraz zobaczył

– żadnego powabu, który mógłby nadać jakiś bardziej wzniosły sens jego codziennej pracy cesarskiego urzędnika. Z brutalną siłą zdał sobie sprawę, że jeśli jako zarządca prowincji hodował ludzkie stado w miejskich murach, tak jak hoduje się konie, krowy czy owce, troszcząc się, by zaraza nie wybiła zbyt dużej liczby sztuk, stado zaś odwdzięczało mu się za te starania, zapewniając mu niezłe – musiał to przyznać – warunki życia w pięknej willi pod Lasem Gutenberga. Choć właściwie nie miał powodów do narzekań, na samą myśl o tym fala odrazy zalała mu serce. Oczywiście mógł sobie powiedzieć, że to tylko przelotny, zły nastrój, bo wszystko, co robił na swoim urzędzie, przynosiło mu uznanie przełożonych i duże pieniądze, o jakich większość mieszkańców miasta mogła tylko marzyć, ale jałowość pracy, jakiej się oddawał, nagle wydała mu się porażająca. Tak naprawdę w rosnącym gniewie przeklinał dzień, w którym odebrał z rąk samego cesarza nominację na zarządcę prowincji. Gdyby – jak mówił sobie – nie starał się wtedy tak energicznie o zaszczyty, żarłocznie wspinając się po szczeblach administracyjnej hierarchii, gdyby pracował po prostu w jakimś ministerium wojny czy spraw wewnętrznych jako niewiele znaczący naczelnik wydziału, miałby dzisiaj syna przy sobie, ale jemu to nie wystarczało, on chciał – pozał się, Boże! – wspiąć się na szczyty, więc teraz ma za swoje.

Wszystko, co robił dotąd na swoim urzędzie, wydało mu się płaskie, przyziemne, pozbawione sensu, z wyjątkiem jednego. Jako zarządca prowincji miał w swoim ręku całą policję Prokuratorii, a jako komendant miasta wszystkie oddziały armii cesarskiej stacjonujące w Langfuhr, Neufahrwasser, w koszarach koło Langgarten, mógł więc się nimi posłużyć w każdej chwili, jeśli tylko uznał to za konieczne. Tysiące majorów, kapitanów, pułkowników, sierżantów, szeregowych, poruczników, inspektorów, komisarzy, posterunkowych – to byli jego chłopcy na posyłki, którzy udawali, że nie są chłop-

cami na posyłki. Nagle odsłoniła się przed nim prawdziwa wzniosłość władzy, której dotąd nie dostrzegał w swojej codziennej, urzędniczej robocie. Jako urzędnik cesarstwa troszczył się o życie stada, ale – ta myśl go olśniła, chociaż trudno ją było nazwać odkryciem – mógł także w to stado uderzyć, gdyby tylko zechciał. Wzniosły sekret władzy krył się w samej możliwości, z której mógł skorzystać lub nie. Przez moment pomyślał, że przecież jako komendant miasta może w każdej chwili wydać rozkaz dowódcy twierdzy na Hagelsbergu, by armaty ustawione na kazamatach fortu ostrzelały śródmieście Gdańska albo Speicher Insel, tak jak podczas oblężenia Gdańska wojska Napoleona ostrzelały z Hagelsbergu śródmieście, wzniecając wielkie pożary.

Nagle uderzyła go myśl, że nawet najłagodniejsza władza jest zawsze władzą śmierci i krwi, i że on teraz ma taką władzę. Był twórcą i obrońcą życia, czułym i uważnym hodowcą stada, ale uświadomił sobie, że swoimi rozkazami może ściągnąć na stado śmierć i ta niedokonana, zawieszona nad stadem śmierć, którą trzymał na smyczy jak psa szczerzącego kły, w istocie nadawała wzniosły sens wszystkiemu, co robił. Gdyby nie ona, jałowość jego urzędniczej roboty byłaby ostateczna. Przecież – pomyślał – sens wszystkiemu, co istnieje na Ziemi, nadaje piorun w ręku Boga, jeśli Bóg z siebie tylko wiadomych powodów powstrzymuje się od uderzenia, które zdruzgotałoby świat, chociaż w każdej chwili może uderzyć i zabić. Bo wszystko, co istnieje, istnieje tylko dlatego, że Bóg jeszcze nie zechciał zabić świata. Blask tego możliwego nieistnienia, które może zdarzyć się w każdej chwili, opromienia wzniosłością całą Ziemię.

Starł się rządzić prowincją bezkrwawo, ale teraz odkrył, że cały smak jego władzy nadaje właśnie krew, której nigdy nie przelał, ale którą mógłby przelać, gdyby tylko zechciał. Ta nieprzelana krew była równie rzeczywista, jak krew, którą niedawno z rozkazu Eberhorna przelano na ulicach miasta

i to ona nadawała sens jego jałowej urzędniczej robocie, której oddawał się codziennie w gmachu Prokuraturii dla dobra stada. Nie zabijał, ale mógł zabijać – legalnie, spokojnie, systematycznie, zgodnie z przepisami prawa – bo każda władza, najłagodniejsza, oświecona, rozumna, nawet jeśli nie zabija, może zabijać – legalnie, spokojnie, systematycznie, zgodnie z przepisami prawa – i w tym tkwi jej majestat, nawet jeśli ktoś, kto władzę trzyma w swoim ręku, nigdy o żadnym zabijaniu nie myśli.

Każda, nawet najłagodniejsza władza ma w kieszeni śmierć jak składany nóż, który może wyjąć w każdej chwili. Siedział przed Mistrzem w miękkiej brązowej marynarce, w pantoflach z jasnego zamszu, spokojny, uprzejmy, cywilny, rozluźniony, oszczędny w gestach. Ale teraz poczuł każdym nerwem, że w całej prowincji, która podlega jego władzy – w urzędach, komisariatach, koszarach, więzieniach – czekają na jedno jego skinienie chłopcy na posyłki z pałkami, kajdankami, pieczętkami, bagnetami, karabinami, samochodami, formularzami, mundurami, orderami, hełmami, całą żelazną narzędziownią władzy, którą w każdej chwili on sam może puścić w ruch, jeśli tylko uzna to za konieczne.

To, że należy zabić Mistrza, wydało mu się w tej chwili tak oczywiste, jak nigdy dotąd. Ten człowiek, którego w głębi ducha uważał za niewinnego, zaprzeczał wszystkiemu, co stanowiło fundament państwa. Dla prokuratora Hammelsa było oczywiste, że wszyscy ludzie rwą się do życia, że to dążenie podstawowe, najbardziej naturalne, oczywiste, wieczne – usprawiedliwia wszystko, co ludzie robią na Ziemi, bo wszystko, co robią ludzie na Ziemi, służy temu, żeby żyć, istnieć, przetrwać. Dlatego zawsze marzą o jakimś zmartwychwstaniu, nawet jeśli nie wierzą w Boga, prawdziwą zaś formą ziemskiego zmartwychwstania jest państwo. Ludzkie stado dzień i noc wyje jak wilki do księżyca: „Chcę żyć! Chcę istnieć! Zrobię wszystko, by żyć!”. Teraz ta mocna

wiara w żarłoczną wolę życia, która dawała uzasadnienie jego władzy, lekko się zachwiała. Dotąd mówił sobie, że podtrzymując życie stada, idzie w zgodzie z powszechnym dążeniem i w tym tkwi najgłębszy sens tego, co robi. Mógł sobie powiedzieć: Jeśli jestem czymkolwiek sługą, to nie sługą stada, lecz sługą świętego, wiecznie mnożącego się życia, co brzmiało niczym zaklęcie kapłana nad złotym kielichem. Przekonanie, że wszystko, co istnieje, chce żyć, trwać, istnieć, było dotąd podstawą wszystkiego, co robił jako zarządca prowincji, a teraz – po tym, co usłyszał z ust Mistrza – poczuł dotkliwie, że twardy aksjomat życia można bez trudu wywrócić jak dziecięcą zabawkę, bo wcale nie jest pewne, czy wszystko, co istnieje, rzeczywiście chce żyć. Chociaż wystrzegał się sentymentalnych ciągot i nie miał żadnych skłonności do wiary w życie pośmiertne, zawsze w głębi serca uważał za oczywiste, że ludzie umarli chcą powrócić do życia i tęsknią do żywych, tak jak żywi tęsknią do umarłych, bo jakże mogłoby być inaczej? Teraz, po słowach Mistrza, ta wiara wydała mu się naiwna i samolubna.

Nigdy nie poczuł się tak samotny jak w tej chwili. Choć miał siebie za umysł chłodny i racjonalny, wydawało mu się oczywiste, że zmarła żona – nawet jeśli nie istnieje w zaświatach – nadal go kocha, tak jak on kocha ją, że jest taka sama jak za życia, bo śmierć konserwuje w umarłych ziemskie uczucia, jak bursztyn konserwuje wtopionego weń owada. Jeśli umarły kochał kogoś za życia, po śmierci będzie kochał go z równą siłą. Do głowy by mu nie przyszło, że umarła kobieta, którą kochał za życia, mogłaby tam, po tamtej stronie, przestać go kochać. Mistrz tymczasem podsunął mu myśl straszną i niedorzeczną, że teraz on może być dla kobiety, którą kochał, kimś zupełnie obcym, że ona jego uścisków i pocałunków wcale nie pragnie.

Wstał zza biurka, z szuflady wyjął rozciętą kopertę, wysypał z niej na otwartą dłoń diamentowy kolczyk ze strzęp-

kiem krwi przyschniętym do srebra, po czym na wyciągniętej ręce podsunął go przed oczy Mistrza. „Wiesz, co to jest?”. Mistrz nieuważnie spojrział na diamentowy okruch, zaprzeczając ruchem głowy. „To przyjrzyj się uważniej. Naprawdę nie wiesz, co to jest?”. Prokurator Hammels schował kolczyk do koperty i odłożył ją na stół.

Wszystko to go tak wzburzyło, że – pobladły z gniewu – krzyknął w stronę zamkniętych drzwi: „Haberstadt!”. Po tych słowach, w których więcej było rozdrażnienia niż tłumionego żalu, w drzwiach stanął Haberstadt. Był ubrany w strój sportowy, ciasno przylegający do ciała, miał wysokie sznurowane buty i kraciatą czapkę, jaką zwykle nosili dżokeje na hipodromie w Zoppot, tak że wyglądał na kogoś, kto nigdy nie miał niczego wspólnego ze sferami urzędowymi, już raczej można go było wziąć za bywalca kasyna przy sopockim molo. „Zabieraj go!” – prokurator Hammels powiedział zmęczonym głosem, odwracając się do okna. Haberstadt podszedł do stołu, wskazującym palcem ostrożnie odsunął na bok kopertę z kolczykiem, wziął z blatu czarny worek, powoli, jak lekarz, który stara się nie zadawać pacjentowi zbędnych cierpień, nasunął go na głowę Mistrza, ostrożnie zaciągnął sznurek pod szyją, po czym popychając go lekko przed sobą, bez żadnej brutalności, jakby pomagał kroczyć choremu pacjentowi, pomógł mu wyjść z gabinetu na korytarz. Uważnie podtrzymując za łokieć, sprowadził po żelaznych schodach do garażu, wsadził na tylne siedzenie daimlera, a gdy już usadowił go obok siebie, po sprawdzeniu paroma ruchami, czy kajdanki dobrze trzymają się na przegubach, przez uchylone okno auta zamienił parę słów z ludźmi, którzy siedzieli w drugim samochodzie, czekając na jego dalsze polecenia, po czym rzucił w stronę krótko ostrzyżonego mężczyzny, którego ręce spoczywały na kierownicy: „Ruszaj!”.

Wyrok

Był mglisty, chłodny poranek, gdy w oliwskiej Katedrze pod wezwaniem św. Trójcy zabłyśły uroczyste światła, a arcybiskup gdański Gertz w pontyfikalnych szatach, w infule, ze złotym pastorałem w dłoni, na czele orszaku księży, alumnów i kleryków z seminarium duchownego, przybranych w świeżo nakrochmalone komże i stuły, stanął przed głównym ołtarzem, by celebrować ofiarę Pańską w intencji cesarza. Najwyżsi funkcjonariusze władz prowincji w galowych uniformach z orderami przypiętymi na piersiach zasiedli obok ubranego w szary surdut prokuratora Hammelsa w dębowych stallach po obu stronach katedralnego prezbiterium na znak, że państwo i Kościół stanowią fundament ludzkiego życia, którego żadne siły, brutalnie dążące do oderwania miasta od świętej całości cesarstwa, nie są w stanie naruszyć, cesarska korona i papieska tiara czuwają bowiem nad pomyślnością wszystkich ludzi dobrej woli, nie pozostawiając nikogo własnemu losowi. Uroczysta msza w gotyckim kościele, wypełnionym tłumem urzędników, oficerów wojska i policji, właścicieli banków, przedsiębiorców, rektorów w gronostajach i przystrojonych biretami członków senatu Technische Hochschule oraz Akademii Lekarskiej w Langfuhr,

zagrzmiała grzmotem barokowych organów, których podniebne brzmienie nie tylko uwznioślało majestat państwa, lecz także miało uświęcić pamięć ofiar niedawnego zamachu na gdańskim dworcu. Granitowa tablica z nazwiskami poległych, wmurowana kilka dni temu w ścianę po prawej stronie ołtarza, samym blaskiem metalowych liter wzywała świat do wymierzenia kary sprawcom zbrodni. Homilia arcybiskupa Gertza, wygłoszona ze złoczonej ambony, pełna słów żarliwego potępienia dla ludzi, którzy dopuścili się tak haniebnego czynu, krzepiła serca dotknięte bólem. Z rękami uniesionymi ku niebu wódarz gdańskiej diecezji złożył władzom prowincji podziękowania za ujęcie sprawców i sprawiedliwe ich osądzenie, nie wymieniając, rzecz jasna, z nazwiska prokuratora Hammelsa. Wszystkim jednak było wiadomo, ku komu skierowany jest hołd najwyższego kapłana, który z barokowej kazalnicy swoim błogosławieństwem wsparł pogrążonego w żałobie zarządcę prowincji, dając do zrozumienia zgromadzonemu ludowi, jak bliskie są mu sprawy narodu i państwa. W głównej nawie, po stronie organów, zgromadzili się mieszkańcy Gdańska, Oliwy, Zoppot i okolic w cichej modlitwie za cesarza, ufając, że zło zostanie ukarane, bo ludzie prości zwykle wątpią, by sprawiedliwość była sprawiedliwa, dziś jednak jej karzące ramię miało na oczach wszystkich dosięgnąć głównego winowajcy, którego proces zakończył się niedawno wyrokiem skazującym.

Nagie wzgórze Karlsberg, spowite białą mgłą, majaczyło nad Katedrą jak wynurzający się z porannej rosy głaz ofiarny. Od strony morza szła na miasto cisza, którą koło godziny dziesiątej zaczęły mącić głosy tłumów nadciągających w sierpniowym słońcu polnymi drogami od strony Zoppot, Glettkau, Langfuhr, a nawet Brosen i Adlerhorst, bo władze prowincji ogłosiły dzień sprawiedliwej kary dniem wolnym od pracy, by ludność mogła uczestniczyć w doniosłym wydarzeniu, na które – jak pisano w specjalnym wydaniu „Danziger Beobachter”

– czekali wszyscy, więc każdy, kto tylko mógł oderwać się od domowych zajęć, szedł polnymi drogami, by zdążyć do Oliwy pod wzgórze Karlsberg na czas.

Egzekucja została wyznaczona na godzinę dwunastą w południe, co ogłoszono we wszystkich gazetach i na czarno-czerwonych obwieszzeniach, które strażnicy porozklejali na ścianach domów we wszystkich dzielnicach od nadmorskiego Adlerhorst do zielonych pagórków Emaus. Już poprzedniego dnia kordon policji pod dowództwem porucznika Jakoba Henelsa przecesał las wokół Karlsbergu, by nie zdarzyło się nic, co mogłoby utrudnić wykonanie wyroku. Gdy słońce stanęło nad Zatoką, oświetlając mokre od rosy dachy miasta, a dzwony na wieży oliwskiej Katedry wybiły godzinę dziesiątą, z białej mgły na szczycie Karlsbergu wyłoniły się trzy urządzenia drewniane w kształcie rzymskiej litery T, ostro rysujące się na tle białego od gorąca nieba, które można było zobaczyć nawet z odległych dzielnic miasta. Od wczesnych godzin rannych dzielnie krzątało się przy nich kilku robotników, którzy sprawdzali stabilność całej konstrukcji, umacniali podstawę pionowych słupów, dokręcali śruby, przewlekali sznur przez haki i ob ręce, smarowali pętlę szarym mydłem, choć wszystko to było właściwie zbędne, bo fakt, że urządzenia te zostały wykonane przez stolarza z Langfuhr, Johanna Ferbelina, stanowił wystarczającą gwarancję, że nie dojdzie do żadnych zdarzeń nieprzewidzianych. Urzędnik w ciasnym fraku i białych rękawiczkach, którego na polecenie Prokuratorii sprowadzono specjalnie z Frankfurtu, parokrotnie naciskał dźwignię zapadni, by upewnić się, czy w decydującej chwili drewniana kłapa usunie się spod nóg skazanego, dokładnie tak, jak to przewiduje instrukcja ministerium sprawiedliwości, kładąca szczególny nacisk na konieczność humanitarnego wykonania wyroku, rzeczą państwa bowiem – jak w uzasadnieniu postanowień pisał radca ministerialny

Heckel – nie jest bowiem zadawanie bólu, lecz sprawne usunięcie szkodliwego elementu ze społecznej całości.

Już przed ósmą u podnóża Karlsbergu, na łące przed kaplicą św. Jakuba, kupcy z gdańskiej hali targowej rozstawili stragany z obwarzankami, kwasem chlebowym, kielbasą pieczoną na wolnym ogniu i skrzydełkami kurczaka oprószonymi tartą papryką, a nieco dalej, przy ogrodzeniu cmentarza, gdzie stały chłopskie wozy z Ramkau, Mattern i Bissau, uliczni sprzedawcy, raz po raz przepędzani przez straż miejską, oferowali dzieciom papierowe wiatraczki, blaszane trąbki, baloniki do nadmuchiwania i owinięte sreberkiem kule skaczące na cienkiej gumce, zachwalając swój towar ściszonymi okrzykami. W tłumie nadpływającym od strony Zoppot widać też było elegancko ubranych handlarzy, którzy sprzedawali chłopom z Wittstock i Kokoschken tanie zegarki, zapewniając, że towar pochodzi z najlepszych fabryk Szwajcarii. Od strony parku nadciągały rodziny adwokatów, rzeźników, cukierników, restauratorów, właścicieli kawiarni, dentystów i aptekarzy, osłaniając parasolami głowy przed słońcem, które wznosiło się coraz wyżej nad grabowym szpalerem Drogi do Wieczności, migocząc rojem odblasków w parkowych stawach. Piękne panie z białymi parasolkami szły uroczyście w swoich najlepszych kapeluszach u boku mężów w świeżo odprasowanych surdutach, prowadząc uprzejme rozmowy o pogodzie i niedawnych wydarzeniach, które napełniły niepokojem całe miasto. Z oburzeniem i wstrętem mówiono o człowieku odpowiedzialnym za zamach na gdańskim dworcu, który dzisiaj, na szczycie Karlsbergu, miał ponieść zasłużoną karę za to, co uczynił niewinnym ludziom, którzy pewnego dnia poszli na dworzec przy Stadtgraben i spotkali tam śmierć.

Nie wszyscy jednak przyjmowali nadchodzące wydarzenia tak spokojnie. Koło jedenastej w pobliżu dworca kolejowego i pętli tramwajowej przy szpitalu św. Łazarza zaroilo się od robotników stoczniowych, milczących, zaciętych w sobie, któ-

rzy dużymi grupami ruszyli wzdłuż parkowego muru w stronę Karlsbergu, by zająć miejsce jak najbliżej szczytu. Gdy jednak zbliżyli się do wysokich brzoź, rosnących koło cmentarza, kordon funkcjonariuszy policji odsunął ich poza sznury rozciągnięte między drzewami, którymi trzy ustawione na Karlsbergu pionowe słupy z poprzeczną belką zostały oddzielone od miejsc przeznaczonych dla tłumu, tak by ludzie zebrani u podnóża Karlsbergu tylko z oddalenia widzieli to, co miało się zdarzyć na szczycie. Sporo robotników przybyło pod Karlsberg w żółtych hełmach, było też wśród nich wielu z tych, którzy zbierali się dawniej na łąkach pod bastionami przy Bramie Nizinnej, tak że major Westheimer na ich widok wydał rozkaz, by kordon policji przesunął napierające tłumy w stronę kaplicy św. Jakuba, blokując podwójnym szeregiem funkcjonariuszy drogę na szczyt, bo obecność ludzi ze stoczni Schichaua – jak to zostało później określone w raporcie – niepotrzebnie podniosła temperaturę uczuć tłumu, który stopniowo zapełniał całą łąkę przy kaplicy.

Czuło się, że ten tłum jest podzielony jak gdańska zatoka, którą w sierpniowe dni rozcinają ciepłe i zimne prądy. Obok twarzy obojętnych, lekkomyślnych, a nawet roześmianych widać było twarze pełne rozpacz, poważne i zamyślane. Jedni, pewni swoich racji, rozmawiali z żywą gestykulacją, a czasem nawet wygrażając pięścią w stronę pionowych słupów z poprzeczną belką, co nie zawsze oznaczało zgodę na to, co miało się stać, inni siedzieli na trawie w milczeniu, byli też tacy, którzy modlili się bezgłośnie, przesuając w palcach ziarna różańca.

Przed jedenastą ulice pod Karlsbergiem i w okolicach Katedry były zatłoczone ludźmi, którzy w tłumie napływającym od strony starego rynku i pętli tramwajowej szukali wozów służb miejskich, skąd podawano w szklankach zimną wodę do picia, zaczerpniętą z beczek obłożonych pokruszonym lodem. Studenci z Akademii Lekarskiej z opaskami Czerwonego

Krzyża i członkowie Legionu Orłów w korporacyjnych czapkach z karminowym otokiem udzielali pierwszej pomocy starszym kobietom, które słabły od gorąca, wachlując spocone twarze chusteczką. Morze głów, podobne do ruszającej się ikry, rozlało się na placu przed Katedrą. Na szczęście wielkie lipy rosnące koło budynków gdańskiej kurii po obu stronach katedralnego placu dawały trochę chłodnego cienia.

Trasa przejazdu wozu ze skazanym, ustalona specjalnym zarządzeniem Prokuraturii, biegła od strony Langfuhr brukowaną jezdnią Danziger Chasse, potem skręcała koło fontanny na skrzyżowaniu z torami tramwajowymi w ulicę Am Schlossgarten, dochodziła ulicą Klosterstrasse do kaplicy św. Jakuba, po czym skręcała w lewo, na stromą piaszczystą drogę obsadzoną starymi brzoźami, a dalej ubitą ścieżką paroma zakrętami wspinała się po zboczu na sam szczyt Karlsbergu. Na trasie przejazdu jezdnie zostały oczyszczone z przechodniów, by uniknąć niepotrzebnych zakłóceń w ruchu ulicznym. Wzdłuż krawężników stanęli funkcjonariusze policji ściągnięci z posterunków w Silberhammer i Zoppot. Gdy koło wpół do dwunastej wśród ludzi rozeszła się wieść, że konwój ze skazanym dotarł już do Oliwy, tłumy zgromadzone przed Katedrą zaczęły falować w niespokojnym oczekiwaniu. Co parę chwil ludzie stawali na palcach, licząc, że zaraz zza domów, od strony poczty, wyłoni się pojazd z więźniem, ale spryskane wodą jezdnie wciąż były puste i nie słyhać było zgrzytu kół na bruku.

Wóz ze skazanym wyłonił się zza fontanny na skrzyżowaniu Danziger Chaussee, tam, gdzie zaczyna się park i tory tramwajowe skręcają w stronę Glettkau. Tłum zebrany na chodnikach zaczął napierać na jezdnię, by osiągnąć człowieka siedzącego w żelaznej klatce, która jechała na platformie. Wśród gwizdów i obelżywych okrzyków poleciały kamienie, ogryzki jabłek, kawałki cegieł, garście piasku, grudy gliny, kawałki szkła. Paru ludzi doskoczyło do klatki i dźgało

kijami skulone na dnie klatki ciało mężczyzny w czarnym worku naciągniętym na głowę, skutego kajdankami. Niektórzy odwracali oczy, by nie patrzeć na te okropne sceny, ale większość, stojąc przy krawężniku, z obojętną ciekawością przypatrywała się pojazdowi z niezwykłym ładunkiem, który podążał drogą wzdłuż ogrodzenia parku w stronę wzgórza Karlsberg, kołysząc się na wybojach jezdni jak Arka Przymierza. Człowiek w klatce zasłaniał głowę skutymi rękami, ale nie krzyczał. Kiedy dosięgały go uderzenia, kulił się tylko i po każdym ciosie wierzgał jak ślepe zwierzę na łańcuchu, nie widząc, co się wokół niego dzieje.

Gdy wóz utknął przed wejściem na plac przed Katedrą, gdzie ludzi było najwięcej, z tłumu wybiegł młody człowiek, wyglądający na studenta i z okrzykiem: „To... za moją matkę...!”, strzelił do mężczyzny skulonego w klatce. Nie trafił, kula uwięzła w drewnianej ramie klatki, funkcjonariusze wyrwali mu broń z ręki, ale szarpał się tak gwałtownie, rzucając przekleństwa, że z wykręconymi rękami odprowadzono go pod drzewa na placu, by ochłonął. Jakiś młody ksiądz o rozmodlonej twarzy zasłonił klatkę własnym ciałem, krzyżując do tłumu: „Módlmy się za duszę tego nieszczęśliwego!”, ale tłum jego wzniosłe wezwania skwitował tylko gwizdami i odepchnął go od klatki w stronę krawężnika. Dziesiątki głów zbliżyły się do krat. Wykrzywione wściekłością twarze, palce zacisnięte na prętach, kije i laski dżgające więźnia okutymi końcami. Pluli na niego gęstą śliną.

Parę kroków za pojazdem, na którym była ustawiona klatka, powoli sunął po brukowanej jezdni Klosterstrasse w stronę łąki przy kaplicy św. Jakuba czarny daimler Haberstadta. Dwaj funkcjonariusze w cywilu, siedzący na przednich siedzeniach, trzymali broń na kolanach, gotowi użyć jej w każdej chwili, gdyby więźniowi coś zagroziło naprawdę, ale na razie to, co się działo na ulicy, nie wykraczało poza bezsilną wściekłość tłumu, który z pewnością chciał własno-

ręcznie wymierzyć sprawiedliwą karę ludzkiej bestii więziennej na śmierć, nie był jednak w stanie zrobić niczego na prawdę groźnego. Haberstadt z tylnego siedzenia wyrozumiale przyglądał się twarzom ludzi wyrażających pięściami, które – pociemniałe od gniewu, to zbliżające się, to oddalające od szyby – widział za oknem auta. To, co działo się na ulicy, nie budziło jego zachwytu, było jednak, jak uważał, konieczne dla celów wyższych, policja musiała tylko czuwać, by krucha równowaga między sprawiedliwym gniewem ludu a reakcjami gwałtownymi, które mogły skończyć się rozlewem krwi, nie została naruszona i jak na razie – musiał to przyznać – funkcjonariusze strzegący porządku na ulicach dobrze wywiązywali się z powierzonego im zadania. Fale tłumy podpływały do klatki, najeżone uniesionymi łaskami i kijami, a potem odpływały, umiejętnie kontrolowane przez policjantów z Silberhammer. Jeśli Bogiem człowieka jest społeczeństwo – a Haberstadt, patrząc na to, co działo się przed Katedrą, gotów był nawet przyjąć taką hipotezę – tłum był Abrahamem, który sięgał po nóż, by dla dobra wspólnego złożyć ofiarę z jednego ze swoich synów, policja zaś skutecznie odgrywała rolę anioła, który – jak powiada Biblia – w ostatniej chwili powstrzymał rękę Abrahama od zadania śmiertelnego ciosu, wyjmując mu z dłoni nóż. Wszystko więc z grubsza przebiegało bez zakłóceń, tak jak miało przebiegać. Haberstadt, wygodnie rozparty na skórzanych poduszkach tylnego siedzenia, przypatrywał się ludziom i rzeczom z uwagą przyrodnika. Skoro życie – w jakiejś chwili podsumował w myślach rozproszone obserwacje – domaga się potwierdzenia przez śmierć, należy spełnić żądania życia, bo jeśli nawet żądania te czasem wyglądają na szalone, nigdy nie są bezrozumne, bo życie zawsze wie, co robi. Cóż, jeśli uwiera cię kamień w bucie, kamień z buta wyrzucasz. Tak samo należy postępować z ludźmi, którzy podnoszą rękę na życie. Gdy społeczeństwo sprawiedliwie zabija, życie umac-

nia się w sobie. Chociaż nienawiść tłumowi zgromadzonego przed Katedrą była z pewnością przykra dla oka, była też ważnym dowodem, że życie mimo załamań, porażek i klęsk ma jednak szanse na przetrwanie.

Arcybiskup Gertz stał teraz przy oknie w swoim pokoju na pierwszym piętrze budynku gdańskiej kurii i zza szyby, przysłoniętej kotarą, patrzył na trzy konstrukcje drewniane wzniesione na Karlsbergu, nad którymi krążyło spłoszone stado białych gołębi, to wzbijając się pod niebo, to spadając łagodnym ślizgiem w stronę sosnowych lasów za Freudenthal.

Wóz z więźniem zakręcił za kaplicą św. Jakuba. W stronę klatki poleciały nadgryzione kawałki kurczaka, pomidory, skórki chleba, patyki, wygrzebane z ziemi kamienie, blaszane puszkki, butelki, czemu towarzyszył szyderscy śmiech ludzi, którzy po raz pierwszy w życiu, dzięki łaskawości władz, mogli zobaczyć z bliska, jak wygląda żywy zbrodniarz, co wprawilo tłum w gorączkowe drżenie, jakby ujrzano nagą kobietę, podczas kąpieli bezwstydnie rozpartą w wannie. Twarz więźnia była zasłonięta czarnym workiem, co rozwścieczyło doskakujących do krat młodzieńców, którzy sięgając do wnętrza klatki długimi kijami o zaokrąglonych końcach, chcieli zedrzyć mu zasłonę z głowy, choć skulony z przerażenia więzień nie wykonywał żadnego ruchu, jakby chciał wtopić się niczym owad w szparę między deskami podłogi, ale wystawiony na pastwę niezliczonych spojrzeń, które odzierały go ze wszystkiego, mógł tylko kulić głowę i zasłaniać ją skutymi rękami, w lęku przed kolejnymi ciosami, które spadały na jego kark, plecy, piersi, ramiona. Tłum bolesnymi uderzeniami oznaczał każdą część jego ciała, niczym posługacz w rzeźni, który szykując świńską tuszę do porąbania na kawałki, rysuje czubkiem noża na skórze zabitego zwierzęcia krwawe linie, by ciosy rzeźnika były celne, a uderzenia topora sięgnęły głęboko, do rdzenia kości. Setki rąk szarpały za pręty klatki, spod kół wozu wzbijał się kurz, wrzaski roz-

wściczonych ludzi rozdzierały parne powietrze, którym trudno było oddychać. Żelazna klatka kołysała się na platformie jak relikwiarz z porąbanymi częściami ciała św. Adalberta z Pragi, które – jak mówiła legenda – zrosły się po śmierci cudownym sposobem. Płynąc ponad głowami ludzi w stronę trzech drewnianych konstrukcji ustawionych na Karlsbergu, unosiła się i opadała na wybojach piaszczystej drogi, raz bliższa niebu, raz bliższa ziemi, gotowa wypluć z siebie udreżczone ciało, strącić je w piach, pod nogi funkcjonariuszy policji, którzy strzegli rozpiętych między drzewami sznurów, oddzielając tłum od szczytu wzgórza, gdzie na tle rozgrzanego do białości, upalnego nieba, czarnym konturem rysowały się trzy pionowe słupy z poprzeczną belką, czekające na dostawę żywego mięsa, przeznaczonego na rzeź.

Kiedy wóz z klatką wjechał po pochyłym zboczu na szczyt wzgórza, wymijając pnie sosen i buków, przez tłum przepływały nerwowe drżenia, krzyki, przekleństwa i groźby. Niczego nie musiały już ukrywać surduty, marynarki, kurtki, robotnicze bluzy, suknie i kapelusze z woalkami. Nagi węż, oczekiwanie, napięte mięśnie twarzy, ściągnięte policzki. Życie – podniecone, żarłoczne, niecierpliwe – wpatrywało się rozszerzonymi źrenicami w ciało człowieka z czarnym workiem na głowie, czekając na tajemniczą chwilę, w której to, co się rusza, przestanie się ruszać na zawsze, a gorąca krew, która płynie w żyłach, nagle zatrzyma się i zacznie stygnąć pod skórą sinymi rozlewiskami. Z miejsc, które tłum zajmował u podnóża góry, widać było tylko małą sylwetkę człowieka, którego wyprowadzono z klatki, wzięto pod pachy, przysunięto do szubienicy. On zaś, mając oczy zasłonięte czarnym workiem, potykał się przy każdym kroku, wcale nie wierzgał, tylko dawał się przestawiać z miejsca na miejsce jak słomiana kukła, ostrożnie popychany przez urzędnika w ciasnym fraku coraz bliżej sznura zwisającego z poprzecznej belki. Obok środkowego słupa stało parę osób. Nadinspektor

Herendorf, członek komisji dochodzeniowej cesarskiego trybunału, wszedł na drewniane podniesienie, ustawione po prawej stronie krzyża, wyjął z wewnętrznej kieszeni surduta kartkę, po czym w zupełnej ciszy odczytał urzędowe uzasadnienie wyroku, starając się, by jego słowa – donośne i stanowcze – doleciały na krańce tłumu rozlanego u podnóża Karlsbergu, aż pod gotyckie mury Katedry, gdzie ludzie stawali na palcach z uniesioną głową, by dobrze słyszeć, co ma do powiedzenia władza najwyższa. W odczytanej sentencji wyroku mowa była o bezprzykładnej zbrodni, zimnym okrucieństwie sprawców, braku ludzkich uczuć, setkach ofiar i bezbrzeżnym bólu rodzin, które w zamachu straciły najbliższych. Tłum słuchał słów wyroku ze wstrzymanym oddechem. Cisza, która nagle zapadła, gdy nadinspektor Herendorf skończył, odbiła się metalicznym echem od ceglanych ścian świątyni. Podniesiony głos urzędnika obwieszczającego śmierć uniósł się nad miasto i poszybował w stronę doliny Freudenthal, gasnąc w chmurach.

Potem człowieka w czarnym worku na głowie wprowadzono na zapadnię. Choć pętlę na szyję założono mu ostrożnie, drgnął przerażony, gdy poczuł sznur na gardle, ale nie dano mu czasu na sprzeciw, bo urzędnik w ciasnym fraku bez zbędnej zwłoki nacisnął ramię dźwigni. Nogi powieszonogo zawisły w pustym otworze zapadni, trzęsąc się jak nogi szlachtowanej świni, co zresztą nie trwało zbyt długo, bo wyprężone ciało zwiotczało, z nogawek wypłynął mocz, ściekając ciemną plamą na więzienne buty z brązowej skóry, dłonie odskoczyły od ciała, głowa opadła na skręconej szyi.

Było po wszystkim. Teraz urzędnik w ciasnym fraku odciął nożem sznur, ukłuciem igły w policzek sprawdził, czy ciało powieszonogo zdjęte z szubienicy jest martwe, zwłoki wrzucono do płytkiego dołu, oblano naftą i podpалono. Smolista chmura dymu, zmieszana z brudnymi płomieniami, buchnęła w niebo, rozpraszając się nad wzgó-

rzem czarniawą mgiełką. Ludzie stojący przy środkowym słupie przytknęli do nosa chustki, bo swąd palonego mięsa, zmieszany z wonią nafty, pełzał przy ziemi. Odwracano głowy, gdy wiatr od strony morza prószył w oczy strzępkami zwęglonego ubrania i kłębkami spopielonych włosów. W pobliżu kaplicy św. Jakuba rozległy się oklaski, które szybko zgasły, dalej, przy wysokich brzozech, słychać było czyjeś gwizdy i pełne pogardy wycie paru młodych mężczyzn z dzielnicy Ohra. Koło bramy cementarza, gdzie stały chłopskie wozy nakryte daszkami z płótna, ktoś wykrzykiwał przekleństwa, wygrażając pięścią nie wiadomo komu, jakby chciał wyrzucić na kims zemstę, aż funkcjonariusze policji musieli go wciągnąć do samochodu. Ktoś inny wzdychał z żalu, ocierając oczy rękawem kurtki. Na górze ciało powieszono go z wolna dopalało się. Urzędnik w ciasnym fraku poruszał raz po raz długim pogrzebaczem, ułatwiając dostęp powietrza do żarzących się części, by głowa, zebra i biodra zwęgliły się w płomieniach do szczytu.

Na łące przy kaplicy św. Jakuba ludzie zaczęli się rozchodzić. Zwijano koce, składano pledy rozłożone na trawie, pakowano resztki żywności do wiklinowych koszyków, zapinano płócienne koszule pod szyją, otrzepywano suknie ze źdźbeł suchej trawy, zdmuchiwano kurz z klap marynarek, wycierano spocone czoła chustką, przyczesywano lepkie od gorąca włosy palcami, ściszone głosem narzekając, że wszystko trwało za krótko i niczego nie można było dobrze zobaczyć, za co winiono policję, Prokuratorię, służby miejskie, a nawet samego arcybiskupa Gertza, który pochylony do modlitwy, z ręką przyciśniętą do piersi, stał wciąż przy oknie w swoim pokoju na pierwszym piętrze budynku kurii i zza szyby przysłoniętej kotarą patrzył na brudną chmurę dymu, która czarnymi kłębkami wznosiła się nad Karlsbergiem.

Rany

Była noc. Maria sprowadziła chłopca po schodach do bramy i przez małe drzwi wyrzała na ulicę. Ciemność miasta miała już barwę pogrzebowej czerni i tylko rząd latarni, wzdłuż tramwajowych torów biegnących od strony koszar przy Reitergasse w stronę starej zajezdni, rozjaśniał mokrą jezdnię, podobną do wielkiej, łuskowatej ryby, rzuconej między rzędy kamienic. Trzymała go mocno za rękę, choć nie było to konieczne, bo wcale się nie wrywał, przeciwnie: spokojny, zamyślony, cierpliwie czekał na to, co miało się wydarzyć, przekonany, że już niedługo zobaczy ojca.

Weidengasse była pusta, niewiele brakowało do północy, w paru oknach po drugiej stronie jezdni paliło się nikłe światło domowych lamp, żółtawy blask roztopiał się w wilgotnym, nieruchomym powietrzu. Drobniutkie, rozproszone krople mgły migotały pod kloszami latarni, jak opilki żelaza osypujące się z tracącego siłę magnesu. Maria patrzyła przez uchylone drzwi na zakręt ulicy, tam, gdzie wznosiła się żółta fasada koszar, a linia tramwajowa biegła długim łukiem w stronę Heubude, ale na razie przy tramwajowym przystanku nie działo się nic, tylko na drutach trakcyjnych wisiał martwy gołąb z wykręconym skrzydłem, którego ostry cień wędrował

po płytach chodnika, gdy fale chłodnego wiatru nadpływały od strony rzeki. Bezludny plac z posągami św. Antoniego na kamiennym cokole lśnił mokrymi liśćmi na klombach, tylko szyny, biegnące środkiem jezdni prosto ku budynkom starej zajezdni, świeciły w ciemności jak wąskie strumyki rtęci rozlanej na bruku.

Za plecami Marii rozległy się nierówne kroki, podobne do stukotania kopyt zranionego koźlęcia, ktoś odsunął deski zagradzające dziurę w ścianie osmalonej ogniem, jakiś cień przesunął się pod murem, potem ktoś zbliżył się do bramy. „Jestem” – szepnęła utykająca dziewczynka w płaszczyku z wyświechtanego materiału, bardziej chyba do samej siebie, niż do kogokolwiek, bo prawie nie było jej widać w ciemności. Maria odpowiedziała kiwnięciem głowy. „Kiedy samochód nadjedzie, podejdiesz do nich – szepnęła, wyraźnie wymawiając każde słowo – i powiesz im, co mają robić dalej. Rozumiesz? Tylko uważaj, bo mogą...”. Dziewczynka śliną przygładziła włosy, jakby szykowała się na tańce, roześmiała się cicho, przez czarne drzwiczki wyszła na chodnik przed domem, po czym potykając się na nierównych płytach, z cichym nuceniem pod nosem ruszyła w stronę tramwajowego zakrętu. Szła prosto przez kałuże, rozpryskując piętami brudną wodę, w której odbijały się rozkołysane blaski, znikwała i pojawiała się w mglistym kręgu światła pod latarniami, pociągając lewą nogą z błazeńskim fasonem, jakby bawiła się swoim ułomnym ciałem, by sprowokować kogoś do złośliwych żartów. Maria patrzyła za nią z niepokojem, bo wciąż na końcu ulicy nie było samochodu, na który czekała, chociaż zegar na fasadzie domu aptekarza Ludersa wybił godzinę, więc zaczęła się obawiać, że prokurator Hammels mógł się rozmyślić, ale gdy dziewczynka doszła do narożnego domu z blaszanym aniołem na szczycie, zza zakrętu koło tramwajowego przystanku powoli wysunął się czarny daimler, podjechał do drzew, stanął przy tramwajowych torach, w cieniu,

przy samym krawężniku i wygasił światła. Przyczajony za drzewami, wyglądał teraz w mglistym świetle latarni jak owad pokryty połyskliwym pancerzem z chityny – wielka pluskwa, która podkurczyła pod siebie odnóża, szykując się do skoku. Na razie jednak nikt z niego nie wysiadał. Dziewczynka podeszła bliżej i zatrzymała się jakieś dziesięć kroków od samochodu.

Kiedy Maria to zobaczyła, szepnęła do chłopca parę słów, starannie wymawiając każdą głoskę, żeby wszystko dobrze zrozumiał: „Teraz wyjdiesz przed dom, a potem pójdziesz po chodniku w stronę koszar. Podejdiesz do samochodu, który – widzisz? – tam stoi. I pamiętaj: idź wolno. Jeśli pobiegiesz, możesz popsuć wszystko. Idź spokojnie, pod ścianami, żebyś w każdej chwili mógł wbiec do jakiejś bramy, gdyby działo się coś niedobrego”. Chłopiec otrzepał kurtkę z kurzu, przygładził dłonią włosy. „No, idź” – popchnęła go lekko w plecy, ale gdy podszedł do czarnych drzwi, uchylonych w bramie, zawahał się. „Panno Ferbelin...” – powiedział ściszym głosem. „Co takiego?” – zapytała, nie odrywając oczu od samochodu, który stał w ciszy przy tramwajowym przystanku pod koszarami. „Chciałbym, żeby pani wiedziała, że nigdy pani nie wydam”. Zaskoczona, spojrzała na niego uważniej, ale w ciemnościach nie mogła dojrzeć jego twarzy. „Co mówisz?”. Dotknął jej ręki. „Mówię, że nigdy nikt nie dowie się o tym, co pani zrobiła”. Musiała głębiej odetchnąć, tak było to niespodziewane. „Mówisz poważnie?”. „Nikt nigdy nie dowie się, że to była pani. Ani ojciec, ani ktokolwiek”. „Myślałam, że chcesz...”. „Ja też myślałem, że chcę, żeby pani cierpiała tak jak ja i ojciec. Ale teraz już nie chcę. Niech pani ucieka z tym człowiekiem jak najdalej stąd”.

Położyła mu łagodnie dłoń na ramieniu, ale nie mogła już dłużej z nim rozmawiać, bo drzwi samochodu, który stał na zakręcie, otworzyły się, jeden z ludzi Haberstadta – niski, krępy, w przyciasnej marynarce – wyciągnął Nauczyciela ze

środku wozu, ten zaś stanął chwiejnie przy aucie, aż musiał ramieniem oprzeć się o lśniący dach. Miał na sobie długi płaszcz narzucony na ramiona i czapkę z daszkiem nasadzoną na oczy. Kiedy człowiek Haberstadta dał mu znak ręką, zaczął powoli, krok po kroku, iść po mokrej, brukowanej jezdni, wzdłuż torów tramwajowych, w stronę ledwie widocznych na końcu ulicy budynków starej zajezdni. Dziewczynka w czarnym płaszczyku podbiegła do niego, chwyciła za rękę i zaczęła prowadzić go ostrożnie, jak przed wiekami anioł prowadził Tobiasza, by w ciemności nie zgubił drogi. Od czasu do czasu, rzucała okiem w stronę samochodu, jakby chciała ludziom, którzy tam siedzieli, powiedzieć coś obraźliwego. Idąc tak razem w stronę budynków starej zajezdni, co parę chwil to znikali, to pojawiali się w jasnym kręgu światła latarni.

Gdy Maria zobaczyła, że Nauczyciel z Neustadt nadchodzi od strony samochodu stojącego na zakręcie tramwajowych torów, przez małe drzwi, uchylone w bramie wypuściła chłopca na ulicę. „Idź. Tylko nie za szybko. Tak byście minęli się koło pomnika. I nie przyśpieszaj. Rozumiesz?”. Chłopiec kiwnął głową, wyszedł bez pośpiechu przed bramę, skręcił w lewo przy słupie ogłoszeniowym z reklamą operetki Galconiego i powoli odmierzając krok po kroku, pochylony, z rękami w kieszeniach, ruszył pod ścianami kamienic w stronę samochodu z wygaszonymi światłami, który wciąż stał na zakręcie. Po chwili nawet trochę zwolnił, jakby chciał się dokładniej przyjrzeć człowiekowi, o którego poszło to wszystko, bo dotąd nie widział jego twarzy nawet na fotografii. Gdy przeszedł koło pomnika, minęli się w odległości jakichś pięciu kroków, ale nie zdołał zobaczyć twarzy, bo przesłonił ją cień drzew. Oglądając się za nim, poszedł dalej w stronę daimlera Haberstadta, miał już do otwartych drzwi samochodu jakieś paręnaście kroków, ale w chwili, gdy wyszedł z cienia pod drzewami, mrużąc oczy w jasnej przestrzeni

światła latarni, koło auta błysnęło, rozległ się huk, echo wystrzału odbiło się od ścian kamienic. Marii zamarło serce w piersiach, bo stało się to, czego obawiała się najbardziej. Wyglądało na to, że ludzie Haberstadta dostali polecenie, by po wymianie na chłopca, więzień zniknął, bo przecież jego śmierć na wzgórzu Karlsberg widziało całe miasto. Chłopiec, oniemiały z przerażenia, zatrzymał się parę kroków od samochodu na widok dwóch ludzi Haberstadta, którzy wyskoczyli z daimlera z wyciągniętą bronią i zaczęli strzelać do Nauczyciela, fachowo opierając łokcie na dachu auta, ale dziewczynka jednym, mocnym szarpnięciem wciągnęła Mistrza do najbliższej bramy, obok której właśnie przechodzili. Od razu mocnym ruchem zarygłowała bramę od środka żelazną zasuwą, której zgrzyt rozerwał ciszę, jaka zapadła po strzałach. Jeden z mężczyzn podbiegł do chłopca, który, roztrzęsiony, z zamkniętymi oczami kulił się z przerażenia, przekonany, że to właśnie do niego strzelają, chwycił go za ramię i wciągnął do samochodu. Drugi doskoczył do zatrzaśniętej bramy kamienicy, w której zniknęli uciekinierzy i bił w nią raz za razem kolbą pistoletu, pewnie licząc, że mocniejszym uderzeniem wyważy którąś z pomalowanych na czarno desek, ale brama, zarygłowana od środka, nie chciała ustąpić. Na całej ulicy zgasły światła w oknach. Łoskot uderzeń kolbą powtórzyło echo, odbite od ledwie widocznych w ciemności budynków starej zajezdni i zgasło daleko wśród drzew pod bastionem św. Gertrudy. Haberstadt ulokował chłopca na tylnym siedzeniu samochodu, tam, gdzie na skórzanym obiciu zostało trochę zaschniętych śladów krwi, okrył kocem, dał mu od razu pić z metalowej manierki, tak jakby syn prokuratora Hammelsa od wielu dni był głodzony, zapytał, czy jest ranny i czy go bito, ale chłopiec, zdrętwiały z przerażenia, nie był w stanie odpowiadać na żadne pytania.

Dwóch ludzi Haberstadta paroma uderzeniami pięścią w okno na parterze wezwało dozorcę kamienicy, w której

korytarzach zniknęła dziewczynka z uciekającym mężczyzną, żeby otworzył małe drzwi w bramie. Gdy dozorca odsunął zasuwę, wbiegli do budynku. Mieli ze sobą na długiej smyczy czarnego psa w błyszczącej obroży z kolcami, szarpiącego się wściekle na uwięzi, który odsłaniając żółte zęby, węszył przy ziemi wilgotnym pyskiem, więc wypuścili go przed siebie na kilka kroków, ledwie za nim nadążając po mokrych śladach łap w płataninie podwórek i przejść, które wiodły nie wiadomo dokąd pod belkami rusztowań podtrzymujących pękające ściany domów i odarte z tynku mury magazynów. Świecili sobie zielonymi latarkami, wałąc kolbami pistoletów w drzwi, przetrząsali kolejne mieszkania, wchodząc do pokojów, sypialń, kuchni i ubikacji, gotowi do białego rana grzebać we wnętrzościach kamienic, byleby tylko odnaleźć człowieka, który od paru dni nie powinien już żyć. W skaczących po posadzce plamach światła odnajdywali ślady zabłoconych butów, potem ślady urywały się na cementowej posadzce, schodzili do wilgotnych piwnic, gdzie pies chwycił trop, potem znowu go gubił na drewnianych schodach wiodących nie wiadomo dokąd, przebiegali pod sklepieniami bram i korytarzy, czując, że człowiek z kulejącą dziewczynką, który ledwie trzymał się na nogach, gdy go wysadzali z samochodu, nie mógł przecież uciec zbyt daleko, więc musi być gdzieś tu w pobliżu, w jakimś ukryciu, które wcześniej czy później odnajdą.

Po półgodzinie przez na wpół zasypane piwniczne przejście dostali się na klatkę schodową wysokiego domu, pewni, że teraz go dopadną, bo drewniane schody z chwiejną poręczą kończyły się w półnroku ślepych drzwiami wiecznie zamkniętego wejścia na strych. Wbiegając na kolejne piętra, przetrząsali mieszkanie za mieszkaniem, wprawiając w przerażenie dzieci wyrwane w środku nocy ze snu, przewracali ciepłą pościel w rozbebeszonych łóżkach, otwierali szafy z ubraniami, wpadali do łazienek, w których senni starcy

przysypiali na wyszczerbionych sedesach. Na wysokim piętrze przyłożyli lufę do głowy kobiecie w papilotach i chińskim szlafroku, która wywracała szklanymi oczami, nie mogąc wykszusić słowa. Na palcach, by nie zatrzeszczały stopnie schodów, wspięli się na półpiętro, pies zaczął warczeć, popuścili długą smycz, którą włócił za sobą, przeskoczył pod belkami podpierającymi kruszący się sufit. Mocnym szarpnięciem pociągnął ich jeszcze wyżej na drewniany podest, pod same dębowe drzwi z żelazną zasuwą, drzwi nie były zamknięte, pchnęli je ramieniem, z pochyloną bronią, powoli, krok za krokiem weszli do przedpokoju, w którym stał rower pomalowany na srebrno obok drewnianych nart i sanek ze skórzaną uprzężą, nacisnęli na klamkę białych drzwi na końcu korytarza, zobaczyli przed sobą czarne wnętrze nieoświetlonego pokoju...

W pokoju Maria stała obok łóżka, na którym leżał Nauczyciel z Neustadt, półprzytomny, obolały, umierający. Kiedy zobaczyła, że stanęli w drzwiach, omiatając wnętrze zielonawym światłem latarek, krew odplynęła jej z serca, ale oni stali w drzwiach z bronią w rękę, jakby zupełnie jej nie widzieli, tylko nerwowymi zygzakami światła omiatali od podłogi do sufitu pogrążony w mroku pokój, jakby chcieli na ścianach odczytać jakiś ważny hieroglif, który został tu gdzieś wyryty przed wiekami. „Tu ich nie ma – powiedział po paru chwilach niski, krępy. – „Przecież nie mogli się rozplątać...” – mruknął drugi. Weszli do pokoju, stukając zabłoconymi obcasami na deskach podłogi i parę razy przeszli obok niej tak blisko, że niemal potrącili ją łokciem. Z zadartą głową patrzyli w szklany sufit, a ona, zamarła z lęku, z wilgotnymi dłońmi, drżała, że jeśli Nauczyciel zacznie jęczeć z bólu, szklana ściana, która oddziela go od nich, rozwieje się, tylko czarny pies, przyczajony, warujący w drzwiach z brzuchem przyciśniętym do ziemi, odślaniał kły i jeżył sierść świecąc w ciemności okrągłymi oczami, jakby miał przed sobą kałużę

świeżo rozlanej na podłodze, jeszcze parującej krwi. Pociąg-
nęli go na smyczy do kuchni, wzięli się do przetrząsania
półek kredensu, zrzucali na ziemię talerze i półmiski, odsu-
wali kredens od ściany, zaglądali nawet za wiszący zegar
z emaliowaną tarczą, jakby tam mogło być jakieś przejście
do pomieszczeń, których jeszcze nie zdołali wypatrzeć. Po-
tem przyklękając, z uchem przysuniętym do desek, jak leka-
rze opukujący plecy chorego, opukiwali kolbami pistoletów
podłogę w poszukiwaniu pustych miejsc, gdzie pod deskami
mogliby się ukryć ci, dla których nie było miejsca na Ziemi.

Wreszcie, zniechęceni, z przekleństwami na ustach, wy-
szli z mieszkania, zostawiając za sobą drzwi otwarte na oścież.
Ich wściekłe kroki słychać było na schodach. Ujadanie psa to
wybuchało, to gasło w czarnej studni klatki schodowej, po-
mnożone echem trzaskającym o sufity. Schodząc w dół, cią-
gnęli za długą smycz, na której szarpało się rozwścieczone
zwierzę. Oszołomiona tym mnożącym się w głębi domu
echem, Maria miała wrażenie, że zapada w jakiś mroczny
sen, ale choć nie mogła się ruszyć z przerażenia, czuła nie-
pojętą pewność, że teraz, gdy tak schodzili w dół po skrzy-
piących schodach w ciemność klatki schodowej, znalazła się
poza ich zasięgiem, w bezpiecznej przestrzeni, która zwinęła
się wokół niej jak kula ze szkła o przezroczystych ścianach,
odgradzając ją zupełnie od świata, choć to tylko przez czysty
traf światła latarek, skaczące po pokoju, nie wypatrzyły jej
w ciemności. Gdy rozwścieczeni ludzie Haberstadta stanęli
pośrodku ciemnego wnętrza, krok od niej, wpatrując się z za-
darta głową w szyby szklanego sufitu, pewnie sądzili, że
właśnie tamtędy dziewczynka wydostała się na dach z ucie-
kającym mężczyzną i może właśnie dlatego nie dostrzegli
żelaznego łóżka, które stało w niszy pod ścianą. Teraz wie-
działa, że znalazła się w miejscu, w którym nikt ich nigdy nie
odnajdzie, bo miejsce to wymknęło się poza grę światła i cie-
nia, przesunęło się poza życie i śmierć, wniknęło w szczelinę,

która rozsunęła się w czasie, niedostępne dla ludzi, odgro-
dzone od świata.

Od razu jak tylko ich kroki umilkły na schodach, wzięła się do opatrywania ran Mistrza, przerażona, że jeśli udało jej się wyrwać go śmierci, to może właściwie tylko po to, by umarł w spokoju na żelaznym łóżku, tak ciężko i niedobrze oddychał. Był tak słaby, że ledwie wspiął się po schodach tutaj, na wysokie piętro tego budynku, gdzie teraz leżał w ciemnym pokoju na tym samym łóżku, na którym jeszcze wczoraj leżał chłopiec.

Z uniesioną lampą w dłoni, pochyliła się nad nim, uważnie oglądając okaleczone ciało, ale rozpoznawała je z trudem, tak był odmieniony. Kiedyś – było to wiele dni temu – znalazła się w szpitalnej sali w Akademii Lekarskiej w Langfuhr, mogła więc napatrzeć się na to, co z ciałem człowieka robią tajemnicze siły, które ludzie nazywają chorobą. To jednak, co ujrzała teraz, pochylając się z uniesioną lampą nad jego ciałem, było tak niezwykle, a zarazem tak pospolite, że gdyby nie miłość, jaką była przepelniona, nigdy by tego ciała nie dotknęła. Ułożone na świeżych prześcieradłach, przypominało rzeźbę poobtłukiwaną w wielu miejscach, z której strzępkami schodzi polichromia, odsłaniając chory miąższ drewna, poddany długotrwałej pracy zniszczenia, jakby jakaś mroczna siła w swojej zaciekłości chciała przekrwawić wszystko, co żywe, w to, co bezsilne i martwe. Na bolesnej powierzchni skóry widoczna była długa historia udręczeń, rozpisana na dziesiątki śladów działania wymyślnych instrumentów, którymi zadawano mu ból w śledztwie, pamięć niklowanych ostrzy, świdrów, kleszczy, szczypiec i haków. Można było pomyśleć, że Mistrz wrócił z jakiejś kliniki, w której rządził szalony chirurg, obojętny na ból swoich pacjentów, zajęty tylko tym, by jak najskuteczniej okaleczyć powierzone jego opiece ciało, więc – cierpliwy i równocześnie gwałtowny – dokonywał spustoszeń na każdym skrawku skóry, upartą pracą chirurgicznych narzędzi przeobra-

zając ją w pejzaż blizn, bruzd, wybrzuszeń, opuchlizn, zaróżowień i skaleczeń, strupów i jątrzących się ran. Patrząc na to ciało pomyślała o tym, przez ile chorób musi przejść każdy człowiek w swoim życiu, by zasłużyć na śmierć, bo to, co teraz miała przed sobą, w blasku uniesionej lampy wyglądało niczym otwarty atlas anatomiczny, w którym purpurowymi, brunatnymi i sinymi barwami z pedantyczną starannością przedstawiono wszystkie możliwe udręczenia, jakie mogą na człowieka spaść na Ziemi, tak jakby zwykły szpital, który ludzie chętnie uważają za miejsce uzdowień, naprawdę był fabryką ran, której niewinna, uspokajająca nazwa została wymyślona tylko po to, by ukryć prawdziwe przeznaczenie niklu, eteru i polerowanej stali.

Teraz miała poczucie, że nie ma na świecie nawet jednego kraju, w którym nie wymusza się zeznań zadawaniem bólu, brakiem snu, głodem i psychicznym udręczeniem, że na całej Ziemi nie istnieje nawet jedno państwo, gdzie władza nie byłaby na zawsze stowarzyszona z przemocą, chociaż każde państwo ukrywa ten nikczemny sekret, stawiając przed oczami ludzi obraz mądrej Temidy, która z dokładnością do jednego grama odmierza na swojej wadze każdą winę i zasługę, jak aptekarz dozujący pacjentowi starannie odważone proszki, utłuczone specjalnie dla niego w porcelanowym moździerz. To, co widziała przed sobą, było zapisem pedantycznej roboty państwa nad żywą tkanką ludzkiego ciała, dowodem wszechmocy tajemnych instytucji, które są rdzeniem państwa i jego podstawą, bo jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, państwo przy pomocy stosownych narzędzi bierze w obroty ludzką skórę, mięśnie, ścięgna, krew płynącą w żyłach, przypominając przerażonej duszy, że każdy człowiek jest własnością tych, którzy sprawują władzę, nawet jeśli broni go przed przemocą konstytucja, bo w każdym państwie każdy może zostać w dowolnej chwili wyciągnięty nocą z własnego łóżka przez chłopców na posyłki i wywieziony w nieznanne miejsce, gdzie zgodnie z pra-

wem można z nim zrobić wszystko. Ciało Mistrza, na które patrzyła, było opowieścią o państwie, które chętnie podaje się za opiekuna ludzi, ale czasem zdarzają się chwile, gdy to, czym państwo jest naprawdę, wychodzi na jaw i wtedy ludzkie ciało zaczyna z przeraźliwą jasnością mówić o tym, co jeden człowiek potrafi zrobić z drugim człowiekiem, jeśli tylko ma w swoim ręku władzę.

Wystarczy – myślała w gniewie, oświetlając lampą ciało Mistrza – że człowiek znajdzie się w więzieniu, a państwo zbliża się do jego ciała na odległość paru centymetrów, nawet jeśli więźnia strzegą święte tablice regulaminów. Ludzka skóra staje się bezbronna, gdy bierze ją w obroty lenistwo strażników, którzy nie rozpalają w porę w piecach, by ogrzać cele więźniów, obojętnie drzemią na korytarzu, gdy kamienne zimno przenika ciała zamknięte za kratami, a drobny brak wody do mycia i świeżego powietrza zmienia powierzchnię ramion, bioder i pleców w bolesny, swędzący obszar, który nie jest w stanie osłonić ciała przed światem. Dobrze pamiętała ciemne milczenie więziennych murów, kiedy tamtego dnia zeszła na dół, do aresztu Prokuraturii, z wdowami po zabitych policjantach, by znaleźć celę, w której trzymano Mistrza.

Teraz, pochylona nad nim, wsłuchana w jego słaby oddech, ostrożnie przewijała bandaż, które przy każdym dotknięciu brązowiwały wilgocią sączącą się z ran, zadrapań i skaleczeń. Prześcieradła ciemniały od potu, który występował na ramionach i piersiach. Brała maść na palec, ostrożnie smarowała nią zablizniające się oparzenia, by choć trochę złagodzić ból. Ciało Mistrza było bezwładne, ciężkie, czuwając przy nim całą noc, z trudem obracała je na łóżku, by pod kolanami i na łopatkach nie zrobiły się odleżyny.

Rozpoznanie

Siódmego dnia obudził się o świcie i powiedział, że chce się spotkać z uczniami. Uznała to za nierozsądny kaprys, bo przecież nie wszystkie rany jeszcze się zagoiły, powinien wydobrzeć do końca, więc gdy odrzucił kołdrę i wstał z łóżka, spłoszona, od razu podbiegła do niego i podtrzymała za łokieć, by nie upadł, tak dotąd był słaby i chory. Gdy jednak podszedł do stołu, wstrzymała oddech, niepewna, czy to, co widzi, jest prawdą. Jeśli kiedykolwiek miała uwierzyć w jakieś cuda, przed czym zwykle się wzbraniała, to właśnie teraz mogła to zrobić. Poranne słońce, przenikające przez szklany sufit pokoju, oświetliło ciało, którego widok wprowadził ją w zdumienie, tak było czyste, gładkie i zdrowe, jakby nagle czas cofnął się i godziny, które minęły w udręce, zaczęły biec na nowo, odtwarzając tylko najlepsze chwile z tego, co minione. Wszędzie tam, gdzie dotąd były ledwie przyschnięte skaleczenia, zgrubienia, bolesne wypukłości, skóra wygładziła się, zsinienia i zaczerwienienia zbladły, blizny rozjaśniły się. W pierwszej chwili uznała to za efekt gry słonecznego światła przenikającego przez mleczone szyby szklanego sufitu, ale gdy dotknęła jego ramion, pojęła, że nie było to złudzenie. Ciało wyciągnięte z choroby i śmierci, przemie-

nione, jasne, wyglądało – chciała wierzyć, że dzięki jej staraniom – tak jak dawniej, jakby cierpienia i rany, jakie mu zadano w śledztwie, były tylko niedobrym snem. Gdyby ktoś ujrzał to przemienienie, mógłby pomyśleć, że Nauczyciel właśnie przebudził się po długim śnie i wyszedł nienaruszony z własnego grobu na oliwskim cmentarzu, z którego ona pomogła mu wyjść własną pracą, jak kiedyś on pomógł wyjść z grobu kupcowi z Langfuhr, Ablowi Wareckiemu. Teraz – widziała to – stojąc przy stole, cieszył się ciepłem słonecznych promieni, które przenikały przez szklany sufit, obrysowując złotawą linią kark i plecy. Gdy mył włosy pod strumieniem wody, pogwizdując jakąś piosenkę, stała w drzwiach łazienki z ręcznikiem w dłoniach, nie kryjąc zachwytu. Najchętniej pozbierałaby z podłogi skórę, która z niego zesłała jak z liniejącego węża, odsłaniając spod jaszczurczych zgrubień, obrzmień, pęknięć i skaleczeń, ciało gładkie, mocne, uradowane własną siłą. Wiedziała, że takie rzeczy czasem się zdarzają, ale przecież nie w ciągu siedmiu dni, więc wciąż walczyła z obawą, że złudzenie pryśnie i znowu ujrzy przed sobą tamto okaleczone ciało, którego w pierwszej chwili nie była w stanie rozpoznać, pełna lęku na widok jątrzących się ran, które teraz były już tylko wspomnieniem. Znowu jak dawniej odgarniał palcami włosy spadające na czoło, aż przez chwilę gotowa była uwierzyć, że aresztowanie w oliwskim parku, śledztwo, biczowanie w piwnicach Prokuratorii, proces, śmierć na Karlsbergu, wszystko to był tylko niedobry sen, a teraz stoi przed nią ten sam szczupły, wysoki mężczyzna, który kiedyś stanął przed drzwiami jej domu przy Jäschkentaler Weg ze skórzaną torbą zarzuconą na ramię.

Nazajutrz poprowadziła go przez strychy kamienic do miejsca, gdzie ukrywali się uczniowie. Zapukała do drzwi, tak jak było umówione, a gdy Peter odsunął zasuwę, wprowadziła Mistrza do sali z podłogą pomalowaną na czerwono. Kiedy jednak podeszła do ludzi stojących przy maszynach do

szycia, hałas terkoczących mechanizmów wezbrał kaskadą stuknięć, zgrzytów i brzęków, jakby mężczyźni w satynowych fartuchach, nie podnosząc oczu znad pędzących igieł, skuleli nad maszynami, chcieli ścianą metalicznego hałasu odgrodzić się od niej i od mężczyzny, którzy weszli do ich kryjówki i teraz patrzyli na ich robotę.

W głębi sali, na dużym blaszanym stole, który wyglądał jak stół wykradziony z prosektorium, szczękały czarne krawieckie nożyce, dziobiąc długimi końcami gruby materiał wzdłuż papierowych wykrojów przykładanych do tkaniny. Jakub, który szył kołnierze – z trudem go rozpoznała – śpiewał rozpaczliwie jakiś psalm, którego słowa przepadały w hałasie jak srebrna nić w brudnych splotach wełny. Matthias, który przyszywał kieszenie i mankiety, wykrzykiwał święte przekleństwa. Lukas, gwałtownymi błyskami igły przyszywał oficerskie gwiazdki i naszywki do pagonów, mechanicznie odmawiając jakąś groźną modlitwę, jakby chciał rozgnieść dłonią umykające spod palców robactwo. Fala hałasu, wzniecanego przez przyspieszające obroty maszyn, rosła z taką siłą, że wprawiała w drżenie szyby w wielkich oknach, z których rozpościerał się widok na Motławę, wieżę Ratusza, Marienkirche i dachy domów w śródmieściu. Widoczne za szybami miasto wyginało się w drżącym szkle jak wosk topniejący w pobliżu ognia, proste ściany dalekich budynków falowały w słońcu, którego zimny blask zapowiadał nieodległą zagładę murów, bram, wież i fasad, dotąd bezpiecznie wygrzewających się w ciepłych promieniach. Ale gdy Maria dała do zrozumienia, że nie opuści sali, huk zaczął przycichać.

„Musimy szyć mundury – powiedział do niej po chwili Johann, gdy się zbliżyła do jego maszyny – bo tylko wtedy nie wywozają nas i nie zabijają”. „Musimy być przydatni – dorzucił Markus, który stał dwa kroki dalej – bo tylko tak

oddalimy od siebie groźbę śmierci. Pracujemy prawie za darmo, ale tylko dzięki temu jeszcze żyjemy”.

„Chyba oszaleliście – powiedziała Maria. – Szyjecie nieprzytomnie te mundury, a potem gromadzicie je tutaj, za ścianą – podeszła do blaszanych drzwi, za którymi w wysokim magazynie piętrzyły się aż pod sufit warstwy płaszczy, spodni, bluz, getrów z wojskowego sukna, jak warstwy geologiczne brunatnej ziemi naniesionej przez potop. Markus tymczasem wyciągnął spod mundurów stary egzemplarz Biblii, nadzarty przez myszy i zbierając do kupy rozsypujące się kartki: „O tu – pokazał palcem – napisane jest, że błogosławieństwo spłynie na tych, którzy ubierają swoich wrogów”.

„Czyż nie widzicie, że Nauczyciel jest znowu z wami?” – zapytała gniewnie, wskazując postać w długim płaszczu, stojącą przy drzwiach. „Nie mów tak – odrzekł na to Peter, nie patrząc na nią. – Czyż nie widzisz, że to przy drzwiach stoi nasz nadzorca, który każe nam szyc mundury dla urzędników Prokuratury, komisarzy i oficerów policji? Mówiąc, że to nasz Nauczyciel – dodał smutno – hańbisz pamięć tego, który zginął świętą śmiercią na wzgórzu Karlsberg, a który zostawił nam przesłanie, że trzeba zło dobrem zwyciężać. Tak i my szyjemy mundury dla tych, którzy nas prześladują”.

Johann położył palec na ustach. – Szukają nas po całym mieście. Powinniśmy zamurować drzwi i okna, i spać w szafach, by nikt nie dowiedział się o naszym istnieniu. Zostawimy tylko jedno okno, przez które będziemy spuszczać na sznurze na dno podwórza paki uszytych płaszczy, kurtek i mundurowych spodni, za które dostajemy jedzenie”.

Pochylili się znów nad maszynami, zaciekle wystukując igłami gęsty ścieg na wojskowym suknie. Inni zaś szcękając głośno nożycami na dużym blaszanym stole, wedle papierowych wzorów ze stemplami gdańskiego garnizonu i zarządu więzień wycinali z materiału rękawy, kołnierze, mankiety, krawieckim mydłem rysując na zielonym suknie żółtawe li-

nie, jakby oznaczali części zwierzęcia przeznaczonego na ubój, wydzielając kark, nogi, udziec, szyję, co przypomniało jej wizytę w rzeźni, aż się wzdrygnęła, widząc z jaką zajadłością oddają się swojej robocie.

Nauczyciel z Neustadt sięgnął do skórzanej torby przewieszanej przez ramię, wyjął z niej błyszczący przedmiot podobny do igły starego kompasu albo dawnego instrumentu medycznego do upuszczania krwi, a kiedy uniósł go w górę i słońce odbiło się od wypolerowanego metalu nagłym błyskiem, rozświetlając na moment całą salę, ogarnął ich lęk. Chowali się za maszynami, jakby zobaczyli śmierć, wciskali się pod blaszany stół z głową objętą rękami, jakby za chwilę miał się na nich zawalić sufit, przywierali do siebie ciasno, zaciskając powieki, żeby nie widzieć tego, co przed sobą zobaczyli, a Peter narzucił sobie na głowę wojskowy płaszcz, drżąc jak dziecko wrzucone do ciemnej piwnicy, byleby tylko nie widzieć człowieka, stojącego przy drzwiach. On zaś stał przed nimi, rzeczywisty, taki sam jak dawniej. W ich sercach panował zamęt, bo przecież na własne oczy widzieli jego śmierć na wzgórzu Karlsberg.

Dopiero, gdy Maria roześmiała się głośno, powoli, jeden po drugim, z nożycami, igłami, naparstkami, kawałkami krawieckiego mydła, z krawieckimi centymetrami w rękach, ubrani w satynowe fartuchy, podobni do ostrożnych ptaków, kroczących na chudych nogach, podchodzili krok za krokiem do Mistrza tak, jak ledwie przebudzony człowiek zbliża twarz do lustra, niepewny, czy widzi przed sobą swoje odbicie, czy tylko mylącą zjawę, więc palcami dotyka lustrzanej tafli, licząc na to, że w głębi lustra dotknie swojej żywej skóry. On tymczasem stał cierpliwie, z łagodnym uśmiechem na ustach, gdy go tak lepił swoim uważnym dotykiem z mgły lęku i odpowiadał ostrożnymi gestami na ich dotknięcia, nie chcąc spłoszyć powoli odradzającej się ufności.

Nie pytali go o nic, tylko wodzili po jego twarzy palcami, jak ślepe dzieci wodzą palcami po twarzy ojca. Skupieni na swoim marzeniu, odgradzeni od świata, zatopieni we własnych myślach, wymieniali między sobą krótkie, znaczące spojrzenia, jakby dawali do zrozumienia, że muszą się mieć na baczności, bo nic jeszcze nie jest przesądzone, a wszelki pośpiech może tylko pogorszyć sprawę. Kiedy zaś już nasycili się jego obecnością, odwracali się i szli do swoich maszyn, spokojni, wygaszeni, z mocnym postanowieniem, że muszą wziąć się do pracy, dzięki której ocala życie. Nogi znów naciskały na pedały, wprawiający w ruch naoliwione mechanizmy, szpulki znów podskakiwały na obłym korpusie maszyn, ciągnąc czarną nić, a ręce zręcznie podsuwały pod spadającą igłę kolejny kawałek sukna.

Maria wyprowadziła Mistrza z sali. Gdy wychodzili, zegnęły ich uprzejme uśmiechy, w których nie było radości, tylko cicha prośba o chwilę wytchnienia i słodki dar zapominania, bez którego życie wydaje się dużo trudniejsze niż śmierć.

Ten, który przychodzi, by podpalić krzyż

W swoim życiu słyszała o różnych cudach, ale teraz wiedziała, że prawdziwym cudem było tylko to jedno: że udało jej się ocalić go od ukrzyżowania. Wszystko inne nie miało znaczenia. Mogła sobie powiedzieć, że pokonała babilońską bestię, zwyciężyła Lewiatana biur, kancelarii, sal konferencyjnych, urzędów, posterunków policji, koszar, więzień i ministerialnych gabinetów, ale wiedziała, że tak naprawdę zrobiła tylko na jedną chwilę niewielki wyłom w stalowej ścianie, który – nie miała złudzeń – już po chwili zrósł się bez śladu.

Dręczyła ją tylko sprawa nieznanego człowieka, którego ciało spalono w żółtym dole obok trzech krzyży stojących na wzgórzu Karlsberg, mała sprawa, narywająca jak drzazga pod paznokciem, chociaż mądry, bezlitosny duch zapominania, z którym walczyła, jak mogła, powtarzał jej wieczorami, że za jakiś czas i o tej sprawie zapomni, bo nie istnieje nic, czego nie umielibyśmy zapomnieć do końca, nawet jeśli jest to bolesna śmierć osoby najbliższej, a cóż dopiero śmierć osoby dalekiej, pozbawionej nazwiska, z którą nie łączy nas nic oprócz skrytego wyrzutu sumienia.

Zapomnisz i o tej sprawie – mówił duch zapomnienia, najpotężniejszy z duchów. Chciała w sobie zachować choćby cień pamięci o tamtym nieznanym człowieku, spalonym w żółtym dole na wzgórzu Karlsberg, ale wiedziała, że za jakiś czas nawet najzarliwszy wyrzut sumienia zblednie niczym sprany haft na płóciennej koszuli. Ktoś, kto chce wierzyć, że duszę da się zbudować na mocnym fundamencie winy, łądzi się jak dziecko, które nie wie, jak potężna jest moc daru zapomnienia. Przyszło jej do głowy, że większość ludzi w chwili śmierci nie pamięta niczego ze swojego życia, więc właściwie umieramy tak, jakbyśmy w ogóle nigdy nie żyli. I że ona też – pomyślała z lękiem – kiedyś umrze tak samo jak wszyscy, w chwili śmierci nie pamiętając niczego z tego, co przeżyła.

Teraz jednak chciała wierzyć, że wbrew wszystkiemu będzie pamiętać do końca to jedno: że udało jej się obdarować Nauczyciela małym zmartwychwstaniem i może to tylko miało jakiś sens.

Zamieszkała z nim w wysokim domu. Każdego rana, otwierając oczy, widziała nad sobą sufit z mlecznego szkła, po którym chodziły gołębie. Zaczęły się dobre dni.

Kiedyś o zmierzchu powiedział do niej. „Nie mogę dłużej zostawać w mieście. Muszę wyjechać”. „Dokąd?”. „Jeszcze nie wiem”. „Uniesiesz się w niebo i znikniesz mi z oczu?” – zażartowała pogodnie. „Ach, tak bywało dawniej – uśmiechnął się. „Zostawisz mnie po tym wszystkim?”. „Kiedyś się znowu spotkamy”. „I pewnie mi jeszcze powiesz, że robisz to dlatego, że nie możesz złamać prawa, o którym mówi Pismo?”.

W jednej chwili ciemne skrzydło zmasało złoty pył ze wszystkiego. Chwilami, gdy uświadamiała sobie, że już niedługo nie będzie go miała przy sobie, czuła łzy wzbierające pod powiekami. Gdy ją na tym przyłapywał, zmazywał pal-

cem słońce krople z policzka i wtedy znowu serce rozjaśniało się jak niebo po deszczu.

W piątek, dzień Pański, kiedy dzwony Katedry biją podobno inaczej niż zwykle, powiedziała do niego: „Chodź. Pojedziemy gdzieś”. Gdy zapytał: „Dokąd?”, sięgnęła tylko po kapelusz: „Zobaczysz”. Tramwajem, który ruszał sprzed Stadttheater, pojechali przez miasto, aż do ostatniej pętli, pod samo wejście do oliwskiego parku. Stąd krok już był tylko nad ciemne stawy, w których odbijały się stare, parkowe drzewa i dwie spiczaste wieże Katedry, a dalej nad blaszanym dachem kaplicy św. Jakuba wznosiło się ciemną plamą, wypukłe jak wzbierająca krwią rana, wzgórze Karlsberg. Wzięła go pod rękę i razem przeszli przez park koło strzyżonych szpalerów Drogi do Wieczności, potem minęli szklany pawilon palmiarni, ciemny od wielkich liści widocznych za szybami, przeszli między dwoma stawami przy szumiącej kaskadzie, gdzie zatrzymano go tamtej nocy, gdy opuścili go uczniowie. „Dokąd mnie prowadzisz?” – zapytał, gdy przez drugą, mniejszą bramę parku wprowadziła go na suchą, piaszczystą drogę, która biegła wzdłuż ogrodzenia cmentarza pod górę, w stronę lasu.

Piaszczystą drogą pod starymi brzoźami weszli w las, potem, nie spiesząc się, wspięli się po zasypanym igliwem zboczu i mijając szeleszczące graby, które porastały brzeg ubitej ścieżki, weszli na wzgórze Karlsberg. Pora była już przedwieczorna, ale słońce jeszcze nie zaszło za czarną granicę lasów. Nad Wittstock i Rennebergiem żarzyły się smugi zorzy. Gdy stanęli pod trzema słupami z poprzeczną belką, wkopanymi głęboko w ziemię, popatrzyli z góry na miasto, które rozpościerało się w dole czerwoną plamą dachów na zielonej równinie, sięgającej lasu nad brzegiem morza. Dzwon uderzył na wieży kaplicy św. Jakuba, zapowiadając rychłe nadejście nocy, ale Katedra trwała wciąż w słońcu, chociaż cień wzgórza, podobny do wielkiej, ciem-

nej dłoni, przysłonił już część parku i zgasił stawy koło młyna. Mistrz położył dłoń na środkowym słupie i przesunął ją po gładko wyheblowanym drewnie. Na wzgórzu Karlsberg nie było oprócz nich nikogo, tylko długie cienie trzech krzyży kładły się na trawiastym zboczu i po zielonych koronach sosen zsuwały się dalej, na Klosterstrasse i jasny plac przed Katedrą. „To dzieło ojca?” – zapytał, stukając dłonią w dębowe drewno słupa, na którym, w miejscu, gdzie pionowa belka łączyła się z belką poziomą, widniał wycięty dłutem znak cesarstwa. Nic na to nie odpowiedziała, nie chcąc wracać myślami do tego, co miała już za sobą. „Mówiłaś, że masz jakąś prośbę” – dotknął jej ręki, która była chłodna i obca.

Kilkanaście kroków od krzyży, w miejscu, do którego podeszli, na żółtej ziemi był czarny ślad płytkiego dołu z resztkami spalenizny. „Tu go spalili – ułamaną gałązką dotknęła strzępków popiołu, które zmieszały się z piaskiem i suchym igliwem sosen. – Potem zebrali spalone resztki do papierowej torby i wyspali do morza”. „Czego teraz chcesz ode mnie?”. „Żebyś go przywrócił do życia”. „Jego?”. „Tak, jego”.

Pochylił się nad płytkim dołem, wziął do ręki trochę piasku zmieszanego ze strzępkami popiołu, który przesypywał się przez palce jak krucha, morska sól. „Nie mogę nic zrobić”. „Dlaczego? Przecież żyjesz tylko dlatego, że on nie żyje”. „Wiem. Ale nie mogę zrobić nic”. „I wszystko zostanie zapomniane?”. „Wszystko zostanie zapomniane”. „Nie mów tak. O tobie będą pamiętać zawsze”. „Nie łudź się. Nikt nie będzie pamiętać o niczym”.

Stali obok siebie na szczycie wzgórza Karlsberg przy trzech słupach z poprzeczną belką, wkopanych głęboko w ziemię i patrzyli na dalekie morze, którego granatowa tafla ciemniała za polami równiny. Wieczne gołębie przeleciały nad głowami z trzepotem. Chłód szedł od lasów za przedwieczorną mgłą, która rozlewała się białymi smugami, wsia-

kając w sosnowe lasy nad doliną Freudenthal. Czarny zarys trzech słupów przecinał niebo poczerwieniałe na zachodzie. „Ale jedno zrobić możemy...”. „Co?” – popatrzył na nią.

Zebrała suche gałęzie, nacięła nożem ciernistych kłaczy dzikiej róży, narwała pożółkłej trawy, usypała pod każdym krzyżem wysoki stos, owinęła cierniami pionowy słup. Razem podłożyli płonące zapałki. Słońce już zachodziło. Wielkie i czerwone, dotykało szarzejącą tarczą dalekich lasów za Wittstock, Zoppot i Adlerhorst. Ogień popędził w górę po pionowym słupie ku poprzecznej belce i rozsypał się płomieniami na suchym drewnie. Trzy krzyże zajęły się szybko, zmieniając się w wielkie pochodnie na tle ciemniejszego nieba. Na widok płomieni strażnicy, którzy stali u podnóża góry, zaczęli biec ku nim, ściągając z ramion karabiny. Rozległo się parę strzałów. Ale oni oddalili się szybko, schodząc w dół po piaszczystym zboczu pod pochyłymi sosnami na drogę ku młyńskim stawom i Staremu Rynkowi, potem aleją strzyżonych lip doszli do pętli przed główną bramą do parku i wsiedli do tramwaju jadącego w stronę Gdańska. Z tylnej galerii ostatniego wagonu zobaczyli trzy czerwone płomienie jaśniejące na wzgórzu Karlsberg, które zmieniały drewno wkopanych w ziemię słupów w bijącą w niebo chmurę popiołu, choć strażnicy próbowali je gasić wodą i piaskiem. W domach całej Oliwy ludzie podchodzili do okien i patrzyli na łunę nad Karlsbergiem.

Nazajutrz w mieście wybuchły niepokoje. Było południe, gdy wyszli z domu. Przez Zieloną Bramę i Langer Markt poszli w stronę Ratusza i studni Neptuna, potem w stronę Złotej Bramy. W przecznicach Langgasse stały wozy pancerne, strzegące gmachu poczty i banku Hersena.

Niespokojny tłum, zabrany na Kohlenmarkt przed gmachem Stadttheater, wznosił okrzyki przeciwko państwu i cesarzowi, przeklinał właścicieli fabryk, ministrów, dyrektorów, drwił z prokuratorów, komisarzy policji i generałów, szydził

z kłamiwych dziennikarzy, pastorów i biskupów, domagając się chleba, godności i pięciogodzinnego dnia pracy w całym cesarstwie.

Tak doszli na gdański dworzec. Budynek hali dworcowej oplatały rusztowania ze świeżych desek sosnowych, spod których świeciła świeża czerwień odnawianej fasady zniszczonej wybuchem. Na wieżę dworca wciągano linami nowe wskazówki zegara, które miały zawisnąć na tarczy z wieńcem rzymskich cyfr.

Kiedy weszli na peron, Maria powiedziała: „Nie zostawiaj mnie”. Pociąg z Marienburga wjeżdżał już na dworzec, buchając czarnym dymem pod niebo. Na peronie żołnierze w mundurach polowych z karabinami przewieszonymi przez ramię zatrzymywali pasażerów, leniwie przeglądając paszporty i przetrząsając otwarte walizki. Objął ją i pocałował we włosy, potem delikatnie odsunął od siebie, bo trzymała go mocno w ramionach jak gołębia, który chce się wyrwać z jej rąk. Wsiadł do wagonu, gdy pociąg już ruszał.

Żrenica

Wracając z dworca, spotkała na Stadtgraben panią Sonnenberg. Na jej widok chciała natychmiast cofnąć się w tłum przechodniów, którzy wchodzili i wychodzili z domu towarowego Mellersów, ale było już za późno na taki ruch. Poczowała paniczny lęk, że jeśli chłopiec opowiedział... Ale pani Sonnenberg tylko serdecznie ją uścisnęła. Miała na sobie inną niż zwykle suknię z jasnego atłasu, włosy upięte swobodnie, szyję odsłoniętą, na przegubie perłową bransoletkę. Cała promieniowała spokojem, jakby nie miała żadnych zmartwień. Patrząc na nią, Maria pomyślała, że musiała to być kiedyś bardzo piękna kobieta, bo nawet teraz ślady dawnej urody nadawały jej twarzy przyjemny, a nawet pociągający wyraz. „Co pani zamierza? – zapytała pani Sonnenberg, gdy obok sklepu kolonialnego Meinla, skrzyły w Pfefferstadt. – Wróci pani do nas zajmować się jak dawniej Helmutem? Prokurator Hammels wyraża się o pani nader pochlebnie i jak mnie zapewnił, może być pani spokojna, że dawne miejsce na panią czeka. Może pani wrócić, kiedy tylko zechce. Wspomniał nawet, że byłby skłonny podnieść pani uposażenie, gdyby tylko pani się zgodziła...

Maria jednak pokręciła głową. „Nie, pani Sonnenberg, nie mogę. Muszę zajmować się ojcem”. Nawet się nie zdziwiła, że kłamstwo przyszło jej tak łatwo, ale teraz była myślami gdzie indziej. „A Helmut? – zapytała po chwili, pełna niepokoju, którego nie potrafiła ukryć. – Jak się teraz miewa? I jak zniósł to wszystko?”. Pani Sonnenberg jakby tylko czekała na to pytanie. W paru słowach od razu opowiedziała o tym, czego była świadkiem i o czym usłyszała od służącego Hertena.

Po pamiętnej wymianie na Weidengasse syn prokuratora Hammelsa został przywieziony przez Haberstadta do willi pod Lasem Gutenberga. Od razu wykąpano go, nakarmiono, chociaż upierał się, że wcale nie jest głodny, potem położono do łóżka i otulono kołdrą, jakby go dotąd trzymano w jakiejś zimnej kryjówce. Pani Sonnenberg, głęboko poruszona jego powrotem, czuwała nad nim do rana, ale spał mocno. Raz tylko krzyknął coś przez sen, czego nie można było zrozumieć. Prokurator Hammels następnego dnia koło godziny dziesiątej wysłał na pierwsze piętro służącego Hertena, by ten sprowadził syna na śniadanie do mahoniowego gabinetu, gdzie chciał z nim przeprowadzić dłuższą rozmowę. „Jak znalazłeś się poza terenem willi?” – zapytał na wstępie, gdy usiedli przy stole pod obrazem Friedricha, a służący Herten nalał kawy i herbaty do filiżanek, ale chłopiec nie bardzo umiał odpowiedzieć na to pytanie. Pamięta tylko to, jak stracił przytomność, gdy bawił się w ogrodzie koło altany, wśród krzewów różanecznika, ale kiedy dokładnie to się stało, nie potrafi powiedzieć. Potem ocknął się w jadącym samochodzie, dokąd go jednak przewieziono, nie wie. „Czy rozpoznałbyś ludzi, którzy cię uprowadzili?” – Haberstadt, siedząc po drugiej stronie stołu, podsunął mu album z fotografiami ludzi poszukiwanych na terenie całego cesarstwa, sporządzony przez urzędników IV Wydziału Prokuraturii, chłopiec jednak wyjaśnił, że nie rozpozna nikogo, bo

cały czas miał oczy zawiązane chustką. „A głosy? Czy rozpoznałbyś głosy?”. Ludzie, którzy powieźli go gdzieś samochodem, starali się mówić szeptem, więc nawet, gdyby te głosy dzisiaj usłyszał, nie byłby w stanie ich rozpoznać. „Miałem oczy zasłonięte przez cały czas. Trzymali mnie w jakimś pokoju. Chustkę ściągnięto mi z twarzy dopiero wtedy, gdy ktoś mnie wypuścił z jakiejś bramy na ulicę Weidengasse, gdzie czekał samochód pana Haberstadta”. „Pamiętasz, jak wyglądał ten człowiek z bramy?”. „Nie mogłem go zobaczyć. Było zbyt ciemno”.

Słyszając to, Maria poczuła falę gorąca w piersiach. Pani Sonnenberg popatrzyła na nią uważniej, zatrzymując się przed wystawą sklepu kolonialnego Meinla. „A wie pani, że prokurator Hammels wyjeżdża z Gdańska?”. „Tak? A dokąd?”. Maria nie mogła jeszcze ochłonąć po tym, co usłyszała. „Do Neustadt, panno Ferbelin. Przenosimy się do Neustadt. Do majątku Hammelsów pod miastem. Pan prokurator stamtąd właśnie pochodzi”. „Czy to znaczy...”. „Tak, panno Ferbelin, to znaczy, że prokurator Hammels postanowił złożyć rezygnację. I jeszcze na dodatek – pani Sonnenberg zniżyła głos – w liście do cesarza, który został wysłany kurierem parę dni temu, użył słów, które w stolicy przyjęto z oburzeniem, że czuje się zbyt już zmęczony, by kierować nawą prowincji cesarstwa, na której pokładzie płynie w niewiadomą przyszłość żalosne stado Noego. Wyobraża pani to sobie? Takie słowa w urzędowym liście!”.

Maria uśmiechnęła się. Była pewna, że sekretną wiadomość o treści listu pani Sonnenberg zawdzięcza służącemu Hertenowi, który – ta myśl wydała jej się dość zabawna – już pewnie od dawna otwierał koperty swego chlebobdawcy, dzięki czemu dobrze się orientował w sprawach większej i mniejszej wagi. Serce powoli uspokajało się w piersiach.

„Może się pani wybierze z nami do Neustadt, oczywiście, jeśli tylko ojciec poczuje się lepiej” – pani Sonnenberg

naciskała łagodnie. „Do Neustadt? – Maria zamyśliła się. Sama nazwa dalekiego miasta była dla niej bolesna. Wszystko, co niedawno przeżyła, stanęło jej przed oczami. – „Chyba jednak zostanę tutaj”.

Pożegnały się koło małego ratusza. „Niech się pani jeszcze zastanowi. Wyjeżdżamy dopiero za kilka dni, więc będzie miała pani trochę czasu do namysłu. Podobno w tym Neustadt jest bardzo pięknie. Ludzie spokojni, życzliwi, bogobojni. Może pani dołączyć do nas w każdej chwili – pani Sonnenberg rzuciła w jej stronę, wchodząc pod parasole kawiarni Rostkowskich, w której miała się z kimś spotkać. Maria pomachała jej ręką na pożegnanie, przeszła przez most nad Radunią przy Grosse Mühle i ruszyła w stronę tramwaju.

Nazajutrz wysłała do prokuratora Hammelsa uprzejmy list z prośbą o zwolnienie z obowiązków domowej nauczycielki, co tłumaczyła koniecznością dalszej opieki nad ojcem, który – jak to sformułowała – znowu zaczął niedomagać. Prokurator Hammels w odpowiedzi na jej list skreślił parę miłych słów na odwrocie wizytówki z cesarskim orłem, zapewniając, że o ile tylko okoliczności pozwolą, Maria w każdej chwili może powrócić do swoich pedagogicznych obowiązków, co z pewnością ucieszy Helmuta. W banku Hersena przelano na jej konto znaczną sumę za pracę i opiekę nad chłopcem, którą – jak mówiła pani Sonnenberg – oceniono wysoko.

Zaczęły się puste dni. Po przebudzeniu słoneczne światło raniło oczy. Wieczory dłużyły się. Próbowwała coś czytać, ale już po kilku stronach odkładała książkę, nawet jeśli to była powieść Juliusa Herhovea czy hrabiego Bertholza. Razem z matką kroїła warzywa na drewnianym stole w kuchni, szukając spokoju w prostych gospodarskich zajęciach, które zawsze lubiła, ale częściej siadała przy oknie po północnej stronie domu, patrząc na morze, widoczne za drze-

wami Lasu Gutenberga. Pomagała ojcu w stolarni, choć wcale o to nie prosił, zamiatała wióry z posadzki białej od drzewnego pyłu, układała narzędzia na półkach, ale choć wiedziała, że nie ma to większego sensu, czekała na list z paroma choćby słowami, który jednak nie nadchodził. Na ścianie przy drzwiach warsztatu wciąż wisiał przybity gwoździem rysunek architekta Delaroche'a, przedstawiający ze wszystkimi szczegółami jedno z siedmiu urządzeń drewnianych, które z taką starannością zostały wykonane przez ojca. W niedzielę zerwała go i wrzuciła w ogień.

Którejś nocy postanowiła spisać wszystko. Nie mogła zasnąć, wiatr wiał od strony morenowych wzgórz, pobrzękując szybami, gałęzie szumiały za oknem, dalekie błyskawice co parę chwil rozjaśniały niebo nad Nenkau, odbijając się rtęciowym blaskiem w stawie pod wierzbami. Pochylona nad stołem, szybko sunęła stalówką po papierze, raz jeszcze przeżywając to, co jej się przydarzyło w ostatnich dniach i tygodniach. Pisała o tym, jak wiele starań musiała włożyć, by zdobyć dla ojca zamówienie rządowe i jak – dumna, mocna, szczęśliwa – zjawiła się w domu przy Jäschkentaler Weg z papierem, na którym figurował podpis samego naczelnika Vorgasta, jak dostała potem zaproszenie do willi Evans, gdzie zaproponowano jej opiekę nad Helmutem, jak przebiegał pierwszy dzień pracy, kiedy zaczęła dawać lekcje w domu prokuratora Hammelsa. Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, gdy z pedantyczną wiernością starała się odtworzyć wszystkie niuanse żartów i paradoksów, którymi prokurator Hammels zabawiał ją wieczorami w mahoniowym gabinecie, gdy siedzieli w fotelach pod tajemniczym obrazem Friedricha. Potem uważnie dobierając każde słowo opisała zjawienie się Mistrza w domu przy Jäschkentaler Weg i nagły powrót ojca do zdrowia, kiedy któregoś ranka weszła do sypialni i zobaczyła, że łóżko jest puste. Słowo po słowie odtworzyła wszystko, co Haberstadt mówił w gabinecie mahoniowym do prokuratora Hammelsa:

o Mistrzu, gdy w pokoju na mansardzie usłyszała jego dobiegający z dołu głos, który ją tak przeraził. W żartobliwym uniesieniu opisała awanturę w kawiarni Martensa na Jopengasse, gdy niczym archanioł Rafael obroniła Mistrza przed sponiewieraniem przez kelnerów. Potem, zachowując stosowny umiar, opisała spotkania w wysokim domu pod sufitem z mlecznego szkła. Z bólem w sercu zrelacjonowała zatrzymanie Mistrza w parku przy kaskadach. Przedstawiła to, co wydarzyło się na wzgórzu Karlsberg, trzy słupy, śmierć i nocną wymianę chłopca na Weidengasse...

Siedziała przy stole całą noc. O świcie rękopis był gotowy. Pisząc, z ukosa przyglądała się samej sobie, rzucając okiem w lustro wiszące na ścianie w głębi pokoju. Odbicie twarzy płynne i niewyraźne. Obraz zamglony. O piątej, gdy zorza rozjaśniła niebo nad morzem, blask załśnił w szybkach kredensu. Cienie powoli cofnęły się w głąb pokoju i porcelana na półkach nabrała barw. Za oknem słońce powoli wychodziło zza ciemnej linii horyzontu. W Lesie Gutenberga odezwały się ptaki. Teraz plik zapisanych równym pismem kartek leżał przed nią na stole. Nie wiedziała, co z nim zrobić. Najpierw schowała go w szafie, pod lawendową pościelą, by – jak pomyślała – czekał na swoją porę, ale potem postanowiła, że da go uczniom Mistrza. Powinni przecież poznać prawdę. I kiedy nadejdzie stosowny czas, powiedzieć tę prawdę ludziom.

Do bramy wysokiego domu dotarła w południe, ale choć na wieży ratusza miała niebawem wybić dwunasta, na niebie nie było widać słońca, tylko mleczny blask rozjaśniał chmury nad wyspą. Wieża Marienkirche podpierała niski strop obłoków, które sunęły z zachodu na wschód jak płyta szarego piaskowca z zatartym napisem.

Chciała spotkać się z uczniami możliwie szybko, nie patrzyła więc na ludzi, których mijała na Weidengasse. Plik kartek, związany sznurkiem, trzymała pod płaszczem, przy-

ciskając dłoń do piersi, jakby samym dotknięciem chciała stłumić kłujący ból w sercu. Musiała przystawać na piętrach dla złapania tchu, by nie stracić wszystkich sił. Na drzwiach mieszkania z sufitem z mlecznego szkła zobaczyła pieczęć z czerwonego laku, którą ktoś pewnie przybił w nocy.

Wspięła się na najwyższe piętro po wąskich schodach z chwiejną poręczą i przez ciemne strychy, pochylając głowę pod belkami, które podpierały dach, przedostała się do najdłuższego domu w mieście. Na końcu strychu odnalazła drzwi. Gdy je otworzyła, z zadymionego pomieszczenia buchnął ku niej jazgot ludzkich głosów, którego nie mogła zrozumieć. Młodzi i starzy mężczyźni w pocerowanych marynarkach i postrzępionych płaszczach z paniczną zaciekłością handlowali tu gwoździami, dłutami, obcęгами, młotami, heblami, siekierami ciesielskimi, w pośpiechu odmierzając na wadze garście mosiężnych guzików, krzycząc przy tym i grożąc niewidzialnemu wrogowi, choć transakcje, które tu zawierano, najpewniej dotyczyły niewielkich kwot.

Idąc przez kolejne pokoje w głąb budynku, nie zwracała uwagi na to, co robili ludzie, obok których przechodziła. Nawet gdyby chciała ich o coś zapytać, pewnie nie usłyszełby jej głosu. Ze spokojem oddawali się codziennym zajęciom, których celem było podtrzymanie życia, jakby jej zupełnie nie widzieli. Mijała drewniane balie pełne mydlin, w których kobiety w chustkach na głowie prały dziurawe prześcieradła, beczki, w których dębową belką ubijano poszatowaną kapustę, krzesła z ratanowym oparciem, na których siedzieli starcy, czekając na coś, co nigdy nie miało nastąpić. Ale im bardziej wchodziła w głąb domu, tym dokuczliwsza stawała się obecność dzieci, które – jedno po drugim – dołączały do niej, chwytając za suknię, jakby były zupełnie ślepe i potrzebowały kogoś, kto je poprowadzi dalej między krzesłami, wannami, żelaznymi łózkami i kubłami na śmieci. Choć mogła odnieść wrażenie, że chcą jej coś powie-

dzieć, w istocie były tak zajęte sobą, jakby poruszały się za ścianą ze szkła. Trochę to przypominało chiński teatr cieni, w którym jako dziewczynka była kiedyś z ojcem.

W trzecim pokoju, między regałem z bielizną a czarnym kredensem, drogę zastąpił jej chłopiec z obandażowaną twarzą, który kiedyś, kiedy była tu po raz pierwszy, szczykał jej przed nosem szczypcami do kasowania tramwajowych biletów, a teraz ruchami ręki udawał, że młotkiem wbija w coś gwoździe. Robił to tak zręcznie, aż poczuła lęk, że chłopiec się skaleczy. Dwie dziewczynki, które mu pomagały, stały przy nim z obcęгами i stolarskim świdrem w dłoniach, czekając na polecenia. Inne trzymały w palcach po jednym długim gwoździu, którym można było bez trudu przybić belkę do belki. A przy tym wszyscy zachowywali się hałaśliwie, wydając ptasie dźwięki, naśladując wroni wrzask, pianie koguta o świcie, przenikliwy gwizd kosa, skrzek sroki, co wydało jej się obraźliwe, chociaż mogli nie mieć wcale żadnej złej intencji.

Podprowadzili ją do bocznej niszy na końcu korytarza, potem cofnęli się w mroczny tunel strychu i znikli. Ich głosy umilkły nagle, jakby w parę chwil roztrzepotane ptactwo wyfrunęło z szumem przez okienka w dachu. Zapadła cisza tak dotkliwa, że Maria poczuła głośnie uderzenia w skroniach. W głębi niszy ujrzała znajome drzwi do sali, w której kiedyś spotkała się z uczniami. Były obite blachą i żelaznymi listwami.

Położyła rękę na kłamce. Ustąpiły bezgłośnie, tylko łańcuch brzęknął przy otwartej zasuwie.

Stała w progu. Sala z podłogą pomalowaną na czerwono była pusta.

Na czerwonych deskach widać było tylko nieznaczne wgłębienia, tam, gdzie nie tak dawno stały rzędy maszyn do szycia Singer. Teraz w kilku miejscach czerwona farba była porysowana, jakby coś ciężkiego z trudem po niej przesuwa-

no. Na parapecie okna leżały czarne krawieckie nożyce, podobne do martwego ptaka z rozwartym dziobem. Kilka monet lśniło w pustej szklance. Skrawki żołnierskiego płótna walały się przy drzwiach, ale nie była pewna, czy mają ten sam odcień co mundury, które tu szyto. Miasto za oknem tonęło we mgle.

Ktoś tylko, nie wiedzieć czemu, na ścianie naprzeciw drzwi zawiesił portret cesarza w złotych ramach. Gdy przyjrzała się twarzy na portrecie, wydało jej się, że oczy cesarza nie są przymknięte, tylko pod rzęsami lśni blask żywej źrenicy.

Nad podłogą w chłodnych powiewach od okna unosiły się strzępki pierza. Pod sufitem pająk na cienkich nogach opuszczał się powoli na srebrnej nici, która nie mogła dosięgnąć ziemi.

Stefan Chwin
Gdańsk, 12 Juli 1918 – 11 April 1919